

JOHN JAKES

ZŁOTA  
KALIFORNIA

TOM I

A teraz chciałbym powiedzieć wam o najdziwniejszej rzeczy, jaką kiedykolwiek w dziejach ludzkości zapisano lub przechowano w ludzkiej pamięci. Wiedźcie, że na prawo od Indii znajduje się wyspa Kalifornia, leżąca tuż obok Ziemskiego Raju.

Garcia Ordonez de Montalvo Las Sergas de Esplandian  
Sewilla 1510

Czytając biografie Kalifornijczyków, znalazłem tam kilka niezwykłych rzeczy: niepokój zamiast zakorzenienia, ciągle zmiany zamiast tradycji, wolność zamiast odpowiedzialności... A także obsesję wielkości.

Carol Dunlop  
California People

Nie uważam Kalifornii za jakieś szczególne miejsce. To po prostu pewien rodzaj szansy.

James D. Houston  
Californians

Na Wschód pojechałbym tylko wtedy, gdyby ktoś nakłonił mnie do tego siłą, ale na Zachód jadę z własnej woli.

Henry David Thoreau

Trzydzieści lat po gorączce złota mężczyźni i kobiety, którzy mieli w sobie awanturniczą żyłką, zaczęli odkrywać prawdziwe złoto Kalifornii. Kryło się ono w kalifornijskiej urodzajnej ziemi i wartkich potokach, w ropie naftowej i złocistych pomarańczach oraz tak niezwykłych nowych przedsięwzięciach, jak kręcenie filmów czy produkcja samolotów.

Jeden z takich poszukiwaczy złota osiedlił się tu w 1886 r. Wybrał sobie tajemnicze, legendarne miejsce, o którym marzyło wielu ludzi. Kalifornia nadal była krainą geograficznych kontrastów: suchej sawanny i ośnieżonych górskich szczytów, zimnych purpurowych dolin i gorących żółtych pustyń. Miała powierzchnię ponad 158700 mil kwadratowych, odległość między jej północnym a południowym - krańcem wynosiła aż 10 stopni szerokości geograficznej.

Ziemia ta znała niejedną kulturę. Do jej obfitującego w liczne zatoczki wybrzeża przybijały galeony wiozące do Europy bogactwa Orientu. Sir Francis Drake dotarł swym statkiem do kalifornijskiego brzegu szukając legendarnej, północno - zachodniej drogi do Indii.

Hiszpańscy konkwistadorzy przechodzili w bród rzeki Kalifornii i przemierzali jej pustynie w poszukiwaniu mitycznych, brukowanych złotem miast. Jak sznurek paciorków różańca między San Diego a Sonomą powstało dwadzieścia jeden franciszkańskich misji. Ci pierwsi europejscy osadnicy, żołnierze i zakonnicy, z nieprzejezdanym despotyzmem czynili to, po co tu przybyli. W imię Boga i cywilizacji zrobili niewolników z pierwotnych mieszkańców Kalifornii: Indian, których najbardziej „wojowniczymi” zajęciami było wykopywanie korzonków roślin i wyplatanie wiklinowych koszyków.

Z biegiem lat przybywali do Kalifornii także inni, skuszeni nadzieją na wielką fortunę bądź łatwe życie. Meksykanie, dezercerujący z szeregów hiszpańskiej armii, osiedlali się na wzgórzach i zakładali wielkie plantacje bawełny. Nowe angielskie statki handlowe żeglowały tu, aby kupować łój i skóry bydłace - „kalifornijskie banknoty”, jak nazywali je Jankesi. Imperialna Rosja, szukając futer i nowych ziem, założyła kolonię na północnych wybrzeżach. Po kilkudziesięciu latach okazało się jednak, że ta inwestycja nie przyniosła mocarstwu dochodów.

Potem zaś pojawiła się nowa groźba: śmiali górale, którzy ryzykując życie, przemierzali ośnieżone przełęcze Sierry. Ich pożądlivy wzrok spoczął na urodzajnych ziemiach położonych po drugiej stronie gór i wkrótce wieść o ich odkryciach dotarła na wschód. Ruszyły w drogę całe rzesze „Angoli”. Od Atlantyku po Pacyfik nieśli Amerykanie sztandar „Manifest Destiny”. W 1846 roku dotarli do Kalifornii i w cztery lata później wcielili ją do Unii jako trzydziesty pierwszy stan. W ciągu 1851 roku na mocy nowego prawa zabrali kalifornijskie rancza ich prawowitym właścicielom. Wszystko to działo się przy akompaniamencie wrzawy, jaka wybuchła 24 stycznia 1848 r., gdy z położonego przy rozwidleniu American River tartaku kapitana Suttera rozległ się krzyk, który odbił się echem na całym świecie: „Złoto!”

Ten okrzyk przyciągnął najpierw setki, a potem tysiące ludzi. Wędrowali przez doliny i góry lub przybywali na chybottliwych stateczkach, które przyływały do wybrzeży Kalifornii z gorącej Panamy. Inne statki przyływały tu okrążając Przylądek Horn, wiele z nich tonęło podczas szalejących w tym miejscu burz. Pieszko, konno, wozami i morzem przybywało coraz więcej poszukiwaczy złota. Ściągali tutaj z farm i miast całej Ameryki, z Brytanii,

Niemiec, Francji, Szwajcarii, Rosji, Chin, Hawajów, Brazylii i wielu innych miejsc. W okresie największej gorączki złota każdego roku pojawiały się w Kalifornii kolejne setki tysięcy poszukiwaczy. Kilku z nich znalazło złoto, ale większości się nie powiodło. I nawet ci, którzy zdobyli bogactwo, szybko je stracili. Gorączka złota nie stworzyła ani jednego milionera, nie stała się zaczątkiem ani jednej rodowej fortuny.

W ciągu tych dziesięciu lat prawdziwy skarb Złotego Stanu odkryli całkiem inni ludzie. Przede wszystkim wszelkiego autoramentu kupcy i sklepikarze o niespożytej energii, którzy zaplanowali, sfinansowali i wybudowali zachodnią część pierwszej transkontynentalnej kolei żelaznej.

Inni Kalifornijczycy dorobili się bogactwa na kopalniach srebra położonych tuż przy granicy z Nevadą. Jeszcze inni w leżących odłogiem polaciach ziemi dostrzegli urodzajną glebę, która obsiana pszenicą dała olbrzymie plony i przyniosła im mnóstwo pieniędzy. Nawet w 1886 roku, licząca sobie już ponad milion mieszkańców, Kalifornia nie ujawniła jeszcze wszystkich swoich skarbów. Pomimo że wielu ludzi również tu przegrywało, jej mit jaśniał pełnym blaskiem. Była gwiazdą przewodnią dla odważnych, młodych marzycieli na całym świecie. Wciąż słyszeli jej syreni śpiew.

Oto historia jedne go z nich... i tych, których spotkał podróżując w poszukiwaniu złota Kalifornii.

Prolog  
KALIFORNIJSKIE MARZENIA  
1886

Trzej powieszni ludzie kołysali się na wietrze. Belki szubienicy skrzypiały miarowo, zaś szalejąca zamieć okrywała płatkami śniegu ich postrzępione płaszcze i martwe ciała. Chłopak był przerażony widokiem wisielców, ich zamkniętymi oczyma, białą jak brzuch ryby skórą i sinymi gardłami. Znał ich wszystkich: O'Murphy'ego, Caslina i wuja Dave'a - brata swego ojca. Przerażali go niemal tak samo jak ta niespodziewana śnieżna burza.

Zamieć nadeszła od strony gór i w ciągu tej chwili, kiedy stał obok szubienicy, zasy wokół niego zrobiły się o cal wyższe. Ostry jak małe igły śnieg ranił mu twarz i osiadał na włosach, nadając wygląd posiwiąłego starca.

Ze skostniałej z zimna prawej ręki wypadła mu nagle mała, błękitna buteleczka na lekarstwa. Gorączkowo szukał jej w zaspie, a kiedy znalazł, ukrył w kieszeni płaszcza, jedynej, w której nie było dziury. Buteleczka pochodziła ze sklepu przy kopalni - składu „Oskub mnie”, jak nazywał go ojciec, ponieważ to właśnie robił ze wszystkimi górnikami: spłukiwał ich do czysta. Chłopiec zaczął biec przez ciągle rosnące zasy. Nie było to łatwe i wkrótce zabrakło mu tchu. Dysząc ciężko czuł, że mróz przenika go aż do szpiku kości i sprawia nieznośny ból. Miał wrażenie, że nigdy już nie będzie mu ciepło, nigdy więcej nie zobaczy słońca. Gramoląc się przez skryte pod śniegiem ogrodzenie wokół osady górniczej obawiał się także, że nie zobaczy więcej ojca. Drogę do domu zagrażały mu zasy dwukrotnie wyższe od niego samego. Chciało mu się płakać, ale nie mógł tego uczynić, nie posiadał bowiem jeszcze tej umiejętności. Choć miał siedem lat, nie potrafił płakać. Jeśli było za mało jedzenia - a zawsze było go za mało - nie uronił ani jednej łzy. Kiedy mroźna zima ciągnęła się bez końca, a słońce widywało się jedynie w postaci bladożółtej zorzy na niebie - też nie wolno było płakać, mimo że serce zamierało z tęsknoty za światłem i

cieplem. Nie płakał nawet wówczas, gdy zatrudnieni przez kopalnię detektywi powiesili wujka za spiskowanie. Ani wtedy, gdy zgubił drogę do domu. Brnął przez zaspy, rozgarniając je obiema zaciśniętymi w pięści dłońmi. Wiatr wokół niego wył i zawodził ponuro. Włosy miał już całkiem białe. Nagle stracił równowagę i przewrócił się. Zapadł w sypki śnieg i zdjęty panicznym lękiem przyłożył zwinięte dłonie do ust.

- Tato! - krzyknął. - Tato, pomóż mi! - Pod jego paznokciami widniały czarne obwódki. Brud ten wynikał z charakteru jego pracy: wraz z czterdziestoma innymi chłopcami przenosił i sortował antracyt. Miał więc pod paznokciami czarne złoto Pensylwanii, ale nie mógł go sprzedać.

Obawiał się, że na jego wołanie nie będzie żadnej odpowiedzi. Nasłuchując, upadł ponownie. Nagle usłyszał z oddali głos.

- Mack! Mack, synu!

- Gdzie jesteś, tato? Nie widzę cię. Zgubiłem się.

- Mack, szukam cię od godziny - dobiegł go znowu znajomy głos. Pośpiesznie ruszył w tamtą stronę.

- Ale gdzie jesteś?

- Tutaj, chodź tędy. „Tędy, tędy”.

Głos krążył wokół niego, dobiegał z różnych miejsc, odbijał się echem, budząc coraz większe przerażenie. Wołał ojca, kierując się to na prawo, to na lewo i biegnąc wciąż coraz szybciej. Stare, podarte buty niosły go wąskim kanionem utworzonym przez zaspy.

- Tato! Tato! - wołał, a ze wszystkich stron dolatywały go setki odpowiedzi. Ludzki głos i wycie burzy tworzyły przerażający duet.



Usłyszał jakiś hałas i jednocześnie poczuł, że jego stopy zapadają głębiej w zaspę. Szarpnął się gwałtownie i obie ściany śnieżnego kanionu obsypały go fontanną białego pyłu.

Stanąwszy wreszcie na czymś twardym, znowu zaczął krzyczeć. Odwrócił głowę i zobaczył trzech powieszonych mężczyzn. A więc kręcił się w kółko. Nie oddalił się wcale od szubienicy, która stercząc ze śnieżnych zasp wyciągała ramiona ku oglądanemu przezeń po raz ostatni niebu.

- Pomóżcie mi! - poprosił martwych ludzi, kiedy znowu osunęła się zaspą i uderzyły weń wielkie grudy śniegu. - Niech ktoś mi pomoże!

Powieszeni mężczyźni otworzyli oczy i popatrzyli na niego.

Chciał krzyknąć, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Z otwartymi ustami obserwował śnieg, który siekł go z takim wyciem, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Znow próbował krzyknąć. Nic. Jego usta milczały jak martwe. Ale i tak było już wystarczająco dużo hałasu. Burza ryczała coraz głośniej i głośniej...

Otworzył oczy. Przerazający dźwięk wciąż rozbrzmiewał w jego uszach, póki nie usiadł i nie począł myśleć jaśniej. Rozległ się ostry gwizd lokomotywy, który szybko zamarł, kiedy pociąg zniknął na zachodzie, pozostawiając po sobie tylko smugę dymu, ścieląc się ponad uprawnymi polami. Zmusił się do głębokiego oddechu i po chwili jego serce zaczęło bić nieco wolniej.

Nocny koszmar powtarzał się regularnie co kilka miesięcy. Był tak znajomy jak stary przyjaciel, ale oczywiście nie tak mile widziany. Przywoływał złe wspomnienia: zimny, śnieżny, ponury świat węglowych hałd i położoną między Pottsville a Port Carbon w Pensylwanii górniczą wioskę, zamieszkałą przez irlandzkie i walijskie rodziny. Tam właśnie się wychowywał i tam też przeżył to straszne wydarzenie:

mając niespełna siedem lat zgubił się na pół godziny w śnieżnej burzy. Tak naprawdę jego życiu nic wówczas nie groziło, ale nie wiedział o tym. Zanim nadszedł ojciec z latarnią i zabrał go do domu, przeżył straszliwe chwile.

W swoim śnie zawsze umierał, zabijany przez pozbawiony słońca świat, gdzie nigdy nie było dość jedzenia ani drewna na opał, nigdy też dość pieniędzy, bo kopalnia potraçała sobie z pracowniczych pensji czynsz za mieszkanie, długi zaciągnięte w kopalnianym sklepiu oraz koszt górniczych lampek i oliwy do nich. Większości tych, co oddali swe zdrowie i najlepsze lata kopalni, brakowało także nadziei. Ojciec był wśród nich wyjątkiem: miał swoje wspomnienia, miał swoją książkę, miał Kalifornię.

Wszystkie te rzeczy przekazał synowi, który teraz wyczesywał z włosów kurz i wdrapywał się ponad złote liście drzew, aby uwolniony od ich cienia, odchyliwszy do tyłu głowę, chłonać gorące jesienne słońce. Z pewnością nie było ono tak wspaniałe jak słońce Kalifornii, ale zawsze stanowiło jakąś jego namiastkę. Nazywał się James Macklin Chance. Macklin było panińskim nazwiskiem irlandzkiej matki. Umarła przy jego urodzeniu i ojciec zawsze nazywał go Mackiem, na pamiątkę swojej miłości do niej. Miał pięć stóp i dziesięć cali wzrostu. Nosił brodę, która z biegiem lat okalała jego twarz coraz sztywniejszym zarostem. Choć przez ostatnie miesiące niemal stale przebywał na świeżym powietrzu, jego skóra miała tylko nieco ciemniejszy odcień niż w dniu, kiedy na zawsze opuścił hrabstwo Schuylkill. Wciąż miał jasną karnację człowieka ze Wschodu. Mack odziedziczył proste, brązowe włosy ojca i orzechowe oczy matki, której nigdy nie znał. Jego broda, której na czas tej podróży pozwolił swobodnie rosnać, była nieznacznie rzadsza i bardziej rudawa niż włosy na głowie. Krył się pod nią mocno zarysowany podbródek. Na jego twarzy często gościł szeroki, sympatyczny

uśmiech, choć lata spędzone w kopalni wyrobiły weń także pewną agresję i skłonność do bójek.

Zszedłszy z drzewa, pogrzebał w związanej w węzełek dużej błękitnej chustce, która kryła cały jego majątek. Miał w niej wielki składany nóż i książkę. Ubrany był w sztruksowe spodnie i starą drelichową kurtkę, o wiele za grubą jak na panujący upał, ale niezbędną w końcowym etapie jego podróży. Odszedł nie mając ani grosza przy duszy. Po wypadku w kopalni wypłacono mu z iście królewską hojnością 25 dolarów odszkodowania, w zamian za co musiał podpisać oświadczenie, że całkowicie zwalnia kompanię z odpowiedzialności za to, co się stało. Pogrzeb ojca pochłonął całą tę sumę.

Mack rozwiązał węzełek i w zamyśleniu popatrzył na poobijane jabłko i suchary, teraz twarde już jak drewno. Wziął suchara i sięgnął po książkę, strzepując okruszki z jej haftowanej, safianowej okładki. Obejrząwszy ją dokładnie, by sprawdzić, czy nie zagiął się żaden z rogów, pogładził dłonią wyblakłe, znane na pamięć litery. Napis na okładce głosił: PRZEWODNIK EMIGRANTA. KALIFORNIA I JEJ ZŁOTE POLA.

Poniżej widniało nazwisko autora: T. Fowler Haines, oraz data: 1848.

Książka miała wymiary trzy na sześć cali i była na pół cala gruba. Mack otworzył ją na stronie tytułowej i uśmiechnął się, jakby ujrzał starego przyjaciela „na podstawie własnych doświadczeń autora” I jeszcze: „wydano w Nowym Yorku, nakładem oficyny Cash Bros. cena 15 centów (z mapą).” Przeglądając tę małą książeczkę, z którą jego ojciec przewędrował cały szlak do Kalifornii i z powrotem, zatrzymał wzrok na swoim ulubionym zdaniu:

„El Dorado, w poszukiwaniu którego pierwsi osadnicy przybyli do Ameryki, zostało w końcu odkryte, dając

niektórym bogactwo, wszystkim zaś nową nadzieję." Jego ojciec wierzył w to przez całe życie, pomimo iż był tylko jednym z tysięcy przegranych argonautów, jacy wrócili do domu nie mając nic poza wspomnieniami o złotej od słonecznego blasku krainie. Mack wierzył w to także i teraz, kiedy wypadek ojca dał mu wolność - nigdy nie czuł się zobowiązany do lojalności wobec kopalni ani tego ponurego miejsca, które wysysało ze swych ofiar wszystkie siły i nadzieję - ruszył w drogę szlakiem nakreślonym słowami T. Fowler Hainesa. W Kalifornii już nigdy nie będzie mu zimno. Ani nie będzie biedny.

Mack jeszcze raz obejrzał książkę, wydało mu się bowiem, że prawy górny róg okładki jest trochę zagięty. Na szczęście nie był. Zawiązał chustkę i na nowo podjął wędrówkę na zachód, poprzez hrabstwo Union w Iowa.

Pół godziny później natrafił na dwóch parobków, którzy bili się, tarzając się zaciekle w błocie. Z błyskiem w swych orzechowych oczach Mack skoczył ku nim i rozdzielił ich, odciągając tego, który właśnie znalazł się na górze.

- Zostaw go - rozkazał.

- Nie wtrącaj się - odparł wyższy z chłopaków. - To mój brat.

- Nie obchodzi mnie to. Jesteś o całą głowę wyższy.

- Jakim prawem się w to wtrącasz?

- Ponieważ - odparł z uśmiechem Mack - lubię stawać w obronie słabszego, jeśli nie potrafi sam się obronić. Nauczył mnie tego mój ojciec. - Po chwili jednak spoważniał i mierząc palcem w twarz chłopaka, dodał. - Weź sobie do serca to, co powiedziałem. Nie zmuszaj mnie, bym powtórzył ci to jeszcze raz.

- Tak, proszę pana - odparł chłopak już nieco mniej pewnie.

- Jest tu gdzieś w pobliżu jakieś miasto?

- Trzy mile stąd - odparł mniejszy chłopiec.
- Świetnie. Muszę znaleźć jakąś pracę, żeby móc kupić sobie coś do jedzenia.

Ogrodzony budynek, dworzec w Macedon w stanie Iowa, prażył się w południowym słońcu. Szyny połyskiwały w świetle dnia, ciągnąc się na wschód i na zachód poprzez olbrzymią, żyzną prerię, na której widać było stajnie i stodoły. Mack stanął w cieniu rampy, zwabiony tam czymś donośnym, piskliwym głosem. Obserwował właśnie główną ulicę, kiedy usłyszał zdanie, a właściwie jego fragment.

„...nigdy nie było lepszego czasu na to, by sięgnąć po skarby Kalifornii.” Mężczyzna skryty w cieniu rampy mógł mieć jakieś czterdzieści lat, ale osiemnastoletniemu Mackowi wydał się wiekowym starcem. Nosił kraciasty, flanelowy płaszcz, sztywny papierowy kołnierzyk oraz krawatę w barwach pawiego pióra i melonik. Jego koszula i kołnierzyk połyskiwały w słońcu jak małe grudki złota. Mack nie dostrzegał tandetności tego stroju. „Kiedy będę bogaty, tak się właśnie ubiorę” - pomyślał. Mężczyzna ów pinezkami przypinał do słupa ogłoszeniowego jakiś papier. Kiedy Mack podszedł bliżej, dostrzegł plakat:

**DLA ZDROWIA, BOGACTWA I WYPOCZYNKU  
ODWIEDŹ KALIFORNIĘ  
JUŻ TERAZ  
OPŁATA ZA WYCIECZKĘ NIGDY  
NIE BĘDZIE TAK NISKA**

Nieznajomy człowiek uniósł dłoń i ciągnął dalej:

- Tak więc, moi przyjaciele... - Jego audytorium stanowiło trzech pyzatyh farmerów w słomkowych kapeluszach i przybrudzonych roboczych kombinezonach oraz matka dwóch małych dziewczynek, przyodzianych w staroświeckie czepki. - Nie wierzcie temu, co słyszycie od zazdrośników i ignorantów. Obywatele Kalifornii mają najlepiej z nas

wszystkich. Nie żyjąc wcale na jakimś wygnaniu, mogą radować się wspaniałym klimatem, najżyźniejszymi ziemiemi, błękitnym niebem, łagodnymi zimami i najzdrowszym otoczeniem w całych Stanach Zjednoczonych.

Macka nie trzeba było długo przekonywać, żeby w to uwierzył. Słyszał podobne opinie z ust swego ojca i czytał o tym na kartkach książki T. Fowlera Hainesa.

- A teraz, kiedy koleje żelazne Union Pacific i Central Pacific obniżyły opłaty za przejazd tak bardzo, jak nigdy dotąd, nie wolno wam przegapić okazji zobaczenia złotego stanu. Może odnajdziecie tam swój nowy dom? Kto wie, jakie bogactwa czekają na śmiałych i odważnych w Kalifornii? I to czekają już od owego dnia, gdy galeony Francisa Drake'a przybyły do jej brzegów, a nieustraszeni hiszpańscy konkwistadorzy przemierzali góry i doliny w poszukiwaniu skarbów. Nie wahajcie się, przyjaciele. Mam tu cennik opłat kolejowych i wszystkie potrzebne wam informacje. - Mówiąc to mężczyzna wymachiwał trzymanym w dłoni plikiem broszurek.

Jeden z farmerów pochylił się i splunął gęstą od żutego tytoniu śliną wprost na szyny.

- To o wiele za daleko jak dla mnie. I po co miałbym tam jechać? Żeby oskalpowali mnie Indianie albo zastrzelili pracownicy ochrony kolei? Nie, dziękuję - powiedział i odszedł.

- Proszę pana... panowie... to zupełne nieporozumienie i całkowita nieprawda. Pozostali farmerzy ruszyli w ślad za tym, któremu tak nie odpowiadała Kalifornia.

Wziąwszy broszurę, odeszła także matka dwóch dziewcząt. Sprzedawca biletów patrzył, jak przeskakiwały przez starego spaniela, który leżał w kurzu drogi, próbując przegonić ze swej sierści dokuczliwe pchły.

- Cóż, nie sądzę, aby te młode damy były w stanie zdobyć pieniądze na bilet. Boże, co za dzień! Wrzucił resztę ulotek do otwartej skrzynki i począł zbierać się do odejścia.

Mack postąpił krok naprzód.

- Chciałbym dostać jedną broszurkę - powiedział.

- Synu, Central Pacific wynajął mnie, żebym szukał w okolicy nadzianych klientów. Ty zaś nie wyglądasz na takiego, co byłby w stanie zapłacić choćby za bilet do najbliższej osady.

Mack rzucił mu ponure spojrzenie.

- Nie, nie byłbym w stanie. Ale lubię czytać o Kalifornii. Wszystko, co tylko wpadnie mi w ręce. Tam się zresztą właśnie udaję.

- Tak?

Mack skinął głową.

- A więc jesteś mądrzejszy od wszystkich tych okolicznych idiotów - wskazał na zachód. - To czas największej prosperity w historii Kalifornii. A te koleje to najtańszy sposób, żeby wziąć udział w tej przygodzie. Ale oni mi nie wierzą. Może w Des Moines ludzie nie będą tacy głupi.

Wręczył Mackowi broszurę. Jej okładkę ozdobił błyszczący obrazek przedstawiający kalifornijski wschód słońca ponad winnicami i łanami zbóż. Na narożnikach były patriotyczne napisy, a w tle uśmiechał się wesoło niedźwiadek grizli.

- Wielkie dzięki - powiedział Mack, wsuwając broszurę za okładkę książki, która na chwilę przykuła uwagę sprzedawcy biletów.

- Co to takiego?

- Przewodnik z czasów gorączki złota.

Sprzedawca wyciągnął rękę. Mack niechętnie podał mu książkę. Mężczyzna poślinił palec, żeby odwrócić stronę.

- Ostrożnie - poprosił Mack. - Dostałem od ojca. Miał ją ze sobą przez całą drogę na zachód.

- Mieszkał w Kalifornii?  
- Nie, w Pensylwanii. Teraz już nie żyje. Wrócił tam, kiedy nie znalazł złota.

- Wielu nie znalazło - powiedział mężczyzna, wyciągając pinezki, które przytrzymały jego plakat. Na samym dole widniał napis:

**ZOBACZ!**

**GAJE POMARAŃCZOWE I INNE NATURALNE SKARBY!**

**PRAWDZIWE BOGACTWA I SZANSA DLA PRZEDSIĘBIORCZYCH!**

**NOWE MIASTA DLA PODRÓŻNIKÓW!**

Wspaniałe obietnice zniknęły nagle zwinięte w rulon.

- A większość tych, którzy znaleźli złoto - ciągnął mężczyzna - przepuściła je na kobiety lub tanią whisky. Albo przegrała w karty czy kości. Moim zdaniem, chłopcze, szukanie bogactwa w ziemi i rzekach Kalifornii to niemądre zajęcie. Tam można znaleźć tylko złoto głupców.

- Wiem.

- Ale czy wiesz również, że prawdziwym złotem jest po prostu ta ziemia? - popatrzył melancholijnie w stronę linii horyzontu. - To najżyźniejsza, najpiękniejsza kraina, na jakiej kiedykolwiek spoczęło oko ludzkie.

- Czytałem o tym. I nie ma tam śniegu.

- To też prawda. O ile, oczywiście, nie mieszka się w Sierra.

- To nie dla mnie - oświadczył Mack. - Ja zmierzam do San Francisco. Nazywają to miasto Atenami Zachodu.

- No, no, jesteś ambitny - stwierdził z rozbawieniem mężczyzna. - Ale jak masz zamiar przebyć tę drogę?

- Tak jak podróżowałem dotąd. Gdzie się da, pojedę, a gdzie nie będzie to możliwe, pójdę pieszo.



Deska na końcu rampy zaskrzypiała. Mężczyzna zawiesił sobie na piersi metalową skrzynkę.

- Pójdiesz pieszo? - syknął.

Mack poczuł się zakłopotany. Gorączkowo przypominał sobie to, co powiedział mu ojciec: „Argonauci znają możliwości Kalifornii. Wiedzą o bogactwach, które tylko czekają na kogoś, kto się po nie schyli. Możesz je sobie wziąć i nikt nie ma prawa pytać, jak po nie przybyłeś. Są ludzie, którzy tak rozpaczliwie chcą dostać się do Kalifornii, że sprzedają wszystko, co posiadają żeby kupić bilet i dojechać tam pociągiem. Ci, którzy nie mają czego sprzedać, idą pieszo. Ja sam do takich należałem. Widziałem jak preria zrobiła się czarna od wędrowców podążających do Kalifornii.”

- Tak, proszę pana. W czterdziestym dziewiątym i pięćdziesiątym roku wielu ludzi przeszło tę samą drogę - odparł Mack.

Sprzedawca uśmiechnął się z politowaniem.

- Synu, jesteś szalony.

- Być może. Ale jednak tam dojdę.

- A więc ruszaj już teraz. Tylko uważaj, bo mamy tu swoje prawa dla włóczęgów.

Mack poczuł, że ogarnia go złość, opanował się jednak.

- Proszę pana... ja... potrzebuję pracy. Chętnie popracowałbym choćby za odrobinę jedzenia.

- Nie w tym mieście - odparł sprzedawca biletów. - Ale może znajdziesz coś w okolicy. Masz - Rzucił srebrną monetę, którą Mack zgrabnie schwycił w powietrzu.

Na stację z gwizdem lokomotywy wjechał pociąg. Sprzedawca popatrzył na zachód.

- To mój pociąg do Des Moines. Powodzenia, synu. Nadal uważam, że jesteś szalony, ale dałbym wiele, żeby wyruszyć razem z tobą i zobaczyć Kalifornię.

- Czy to znaczy, że nigdy jej pan nie widział?

- Nie. Koleje płacą mi tylko za sprzedawanie biletów do niej - powiedział, poprawiając krawatę. - Poza tym mam żonę i dziewięcioro dzieci w Rock Island. Nie mogę więc... no cóż, zazdroszczę ci.

Mack poczuł się wzruszony tym, że ktoś tak w pełni aprobuje jego przedsięwzięcie, i cały poprzedni gniew stopniał w nim w jednej chwili, kiedy mężczyzna dodał:

- Ruszaj w drogę.

Mack pomachał mu na pożegnanie. Minał go lokalny pociąg Burlington - Missouri otoczony kłębamii pary i dymu. Uśmiechnął się do dwóch dziewcząt stojących w oknie przedziału. Potem zaś, pogwizdując, ruszył na zachód.

Ku rzekom Missouri i Platte. Ku Góróm Skalistym i Sierra. Do Donner Summit, Emigrant Gap. Do Kalifornii.

Księga I  
PRAGNIENIA  
1886 - 1887

Pierwszym skarbem, jaki Kalifornia ujawniła swym zdobywcom po gorączce złota była jej ziemia.

Po tym, jak Meksyk wywalczył sobie niepodległość od Hiszpanii w 1821 roku, rząd meksykański w Kalifornii sekularyzował wszystko, co dotąd należało do misji kościelnych. Franciszkanie powrócili do Hiszpanii pokonani, pozostawiając nawróconych Indian samym sobie.

Pierwsi Jankesi, którzy dotarli do Kalifornii, od razu zorientowali się, jaką wartość ma tamtejsza ziemia. Chcąc zagarnąć ją dla siebie, wielu z nich przechodziło na katolicyzm, wżeniało się w osiadłe tu rodziny i wiodło luksusowe życie jako właściciele rancz hodowlanych.

Po tym, jak Kalifornia wstąpiła do Unii, inni, mający mniej sztywne zasady przybysze także dostrzegli wartość tej ziemi i postanowili zdobyć ją w sposób nieco mniej elegancki, ale prawdziwie amerykański: za pomocą prawa. Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił regulacje dotyczące sporów o ziemię, po czym powołał komisję, by wysłuchać argumentów zasiedziałych osadników i nowych przybyszów. Na nieszczęście żaden z członków komisji nie mówił po hiszpańsku. Większość przyznawanych nowym osadnikom działek opisywano za pomocą najmniej precyzyjnego języka świata: używając takich punktów odniesienia w terenie jak drzewo (które mogło zostać powalone podczas gwałtownej burzy), strumyka (którego bieg także zmieniał się w ciągu lat) albo skal (które potrafiły zupełnie zniknąć z miejsca). O ile źle opisane granice nie przetrwały nawet dnia, o tyle nie naruszone pozostawały inne, wyznaczone na podstawie precyzyjnych, acz sfalszowanych dokumentów. Znakomitą większość sporów o ziemię angielscy sędziowie rozstrzygali na korzyść swych angielskich klientów reprezentowanych przez angielskich prawników. Tak więc Kalifornijczycy, spokojni, kulturalni meksykańscy ranczerzy, zostali wkrótce

ograbieni ze swej ziemi. Kiedy ranczerzy zniknęli, a katastrofalna susza i późniejsze ulewne, powodujące powodzie deszcze sprawiły, że niegdyś dochodowa hodowla bydła stała się ryzykownym interesem, zarówno właściciele wielkich posiadłości, jak i drobni farmerzy przestawili się na uprawę zbóż. Dopiero teraz Kalifornijczycy zorientowali się, jak bardzo ich ziemia nadaje się do takiej uprawy. Zboże kiełkowało jeszcze podczas krótkiej, wilgotnej zimy i dojrzewało podczas gorącego, suchego lata. Dzięki temu nie groziły im ulewne, wyniszczające wszystko deszcze. Farmerzy zawozili plony na Wschodnie Wybrzeże lub nawet do Europy, gdzie szybko zaczęto bardzo je cenić. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Kalifornia wysyłała statkami za granicę czterdzieści milionów buszli zboża rocznie.

Te nowe uprawy zmieniły nizinne i pozbawione wyrazu doliny Sacramento i San Joaquin w źródło nieprawdopodobnego wręcz bogactwa. Była to pierwsza wielka rolnicza żyła złota w jednym z największych rolniczych regionów na świecie. Jak się okazało, nie ostatnia. Ale żyłą złota w przyszłości miało być coś, bez czego ten nizinny żyzny kraj nie mógłby dawać tak obfitych plonów - woda.

## Rozdział 1.

W Omaha w stanie Nebraska Mack przez kilka dni szorował podłogę w saloonie. Pierwszego popołudnia, kiedy odebrał już swój zarobek, ugryzł go pilnujący baru buldog i przez następny tydzień Mack leżał majacząc w gorączce. Kuśtykając wiodącą na zachód drogą o głębokich koleinach, próbował przekonać samego siebie, że sprzedawca biletów mylił się, mówiąc: „Synu, jesteś szalony.”

W pobliżu Kearney jakiś farmer wypalił do niego z obu luf swojej strzelby. Mack przeskoczył ogrodzenie tak szybko, że część ukradzionych jabłek powypadała mu z kieszeni. Gardził złodziejstwem i czuł się źle będąc zmuszony do kradzieży, ale owe jabłka stanowiły jego jedyne pożywienie przez kilka następnych dni.

Nieco później z wyschniętymi i pełnymi kurzu ustami zlekceważył ostrzeżenie zawarte w przewodniku i opadłszy na kolana na błotnistym brzegu Platte zaczął pić łapczywie. Woda miała ohydny, kwaśny smak i gdy zapadła noc, Mack leżał na ziemi wijąc się z bólu, który skręcał jego kiszki. Chorował przez tydzień.

Na prerii zobaczył podążający na zachód ekspres Union Pacific. Wyglądał jak długi smok z połyskującą w słońcu lokomotywą wagonami pocztowymi oraz pierwszą i drugą klas pasażerską. W jednym z okien przedziałów, w którym tłoczyli się jasnoskórzy ludzie w ciemnych ubraniach, łopotał transparent:

WYCIECZKA Z INDIANY

DO POŁUDNIOWEJ KALIFORNII

Pociąg wzniecił olbrzymi tuman kurzu. Kilku wycieczkowiczów z zainteresowaniem obserwowało Macka, który stojąc obok torów pomachał im ręką z udawaną beztroską, po czym zacisnąwszy zęby, ruszył w ślad za

pociągiem. Żółty pył osiadł na jego włosach, uszach i powiekach.

Rozbiwszy obóz w pobliżu Fremont's Ford, gdzie tory kolejowe rozgałęziały się wiodąc do niżej położonych części Kalifornii, Mack przy świetle księżyca czytał przewodnik T. Fowlera Hainesa.

Jego ojciec posiadał niewielką półeczkę książek o Kalifornii, pozółkłych, kupionych w większości na antykwarycznych wyprzedazach, ale pełnych optymistycznych wizji i niezwykłych obietnic. Ale T. Fowler Haines był ulubieńcem ojca. Podobnie jak inni autorzy przewodników, Haines podawał odległości w milach i opisywał charakterystyczne dla danego terenu znaki rozpoznawcze wzdłuż starego Szlaku Oregon i dalej na zachód, wzdłuż California Cutoff. Mack podążał opisaną przez niego drogą, choć nie trzymał się jej niewolniczo. W ciągu czterdziestu lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy Haines przebył ten szlak jako „naoczny świadek”, wzdłuż linii kolejowych i prowadzących do niej dróg powstało wiele nowych osad i miasteczek. Nawet w górach Mack kierował się mniej tym, co pisał Haines, a bardziej tym, co sugerowały tory kolei transkontynentalnej. Tym jednak, co najbardziej cenił u Hainesa, były jego niezapomniane historyjki.

Czytał więc po raz kolejny zamieszczone przez Hainesa wyjątki ze starej hiszpańskiej powieści, której to Kalifornia zawdzięczała swoją nazwę. Pisarz twierdził, że kiedyś ziemie te zamieszkiwały niezwykle silne, czarne kobiety, zwane Amazonkami. „Ich ramiona okrywały złote bransolety, ze złota także wykonana była uprząż, jaką zakładały na dzikie zwierzęta, które chwytaly i ujeżdżały...” W Kalifornii mieszkało też ponoć wiele bajecznych gryfów, kryjących się w licznych rozpadlinach i kotlinkach, jakimi usiana była tamtejsza ziemia.

Tej nocy śnił o gryfach i czarnych kobietach, nie zaś o powieszonych mężczyznach, śniegu i śmierci. Czasami chronił się na noc w jakiejś stodole lub oborze, niekiedy zaś pod drzewem bądź w rozpadlinie, i czekał aż zrobi się jasno. Zdarzało mu się widywać przy tej okazji niebywale rzeczy: wirujący obłok pyłu wokół trąby powietrznej, pożar prerii, który rozprzestrzenił się tak, że objął dziesięć pobliskich osad, stado bizonów - najwidoczniej Buffalo Bill nie wytepił ich wszystkich.

Jego ubranie robiło się coraz bardziej sztywne od brudu i śmierdzące, pomimo że prał je zawsze, gdy tylko znajdował odpowiedni strumyk. Od czasu do czasu udawało mu się przejechać kawałek drogi pociągiem, ale głównie wędrował pieszo. Ostry ból w udach i łydkach, który męczył go na początku wędrówki, teraz mniej dawał się we znaki. Na całym ciele uwypukliły mu się mięśnie, choć przecież i wcześniej nie należał do słabeuszy.

Najtrudniejszą rzeczą było zdobywanie jedzenia. Czasem żywił się tylko leśnymi jagodami i wodą. Nic dziwnego, że wychudł.

Kiedy szlak kolejowy skręcił nieco na północ, kierując się w stronę Wyoming, a potem opadając w dół ku Salt Lake, Mack nie podążył wzdłuż torów, lecz wybrał drogę na zachód, wiodącą do Kolorado. Gdzie tylko mógł, najmował się do pracy w zamian za nocleg i jedzenie, bądź kilka centów zapłaty. Rąbał drzewo na opał, piłował bale drewna i szorował podłogi barów.

Kiedy krajobraz stał się bardziej płaski i pustynny, Mack musiał zapomnieć, że żyje w wysoko rozwiniętym państwie, w którym prezydentem jest Grover Cleveland, gdzie przeszło dwadzieścia lat temu rozegrała się wojna secesyjna, jeszcze teraz chętnie wspominana przez dawnych bohaterów. Był to wiek obfitości, wiek cudów, sławny z przypominających



pałace wagonów Pullmana i napędzanych parą wodną, ruchomych schodów, z oświetlania ulic udoskonalonymi lampami Edisona i zakładania linii telefonicznych między głównymi miastami. Trzy lata wcześniej powstał nowy Most Brookliński - cud architektury, który mógłby konkurować z piramidami. Choć Mack wiedział o wszystkich tych rzeczach, a także o wielu innych, wydawało mu się, iż dotyczy to jakiegoś innego kraju lub wręcz innej planety. Wędrował przez wiele mil nie natykając się ani na jedno uprawne pole, ani na jedną bryczkę, słup telegraficzny czy choćby błakającą się owcę. Kiedy jednak przewędrował już przez tę wyludnioną okolicę i pokonał stojący mu na drodze łańcuch gór, ujrzał krainę, która przeszła jego najśmielsze wyobrażenia - dokładnie tak, jak opisywała to stara hiszpańska powieść.

Z każdym dniem dzień stawał się krótszy, powietrze chłodniejsze, a okolica wyglądała coraz smutniej. Mack wędrował przez osikowe, olchowe i jaworowe zagajniki, jakie zastąpiły bujne krzewy bawełny na plantacjach. Drzewa chyliły się ku ziemi targane wiatrem, którego podmuchy podrywały z ziemi obłoki różnokolorowych liści. Opadające liście wywoływały w nim uczucie smutku, przypominając o braku domu.

Stał w milczeniu na drodze pnącej się stromo w górę i drżał z zimna. Sypał gęsty śnieg, który w mgnieniu oka okrywał ziemię białym całunem, co przypominało mu wizje z jego nocnych koszmarów. Potarł zgrabiałymi dłońmi długą brodę, która sięgała mu do piersi, i wpatrzył się w groźną przeszkodę przed sobą. Góry Skaliste. Czarny granit i szary lód. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, aby zawrócić. Posłuchał jednak innego głosu. „W Kalifornii nigdy już nie będę biedny. Nigdy nie będzie mi zimno.”

Zszedł z zaśnieżonej, kamienistej drogi, wijącej się między okrągłymi głazami i osuniętymi z góry odłamkami

granitu, i krzyknął głośno z bólu, kiedy spróbował przenieść ciężar ciała na lewą stopę, opuchniętą, z powodu zbyt ciasnych butów. Składanym nożem rozciął but. Z niesionego na plecach tobołka wyciągnął koszulę i podarłszy ją na pasy, zabandażował stopę. Prał tę koszulę nie dalej jak wczoraj, a teraz patrzył, jak nasiąka krwią.

Z trudem powstrzymał cisnący się na usta krzyk. „Nie ma tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć” - pomyślał na wpół przytomnie.

Wiatr dmuchał mu prosto w twarz. Czuł osiadające na policzkach płatki śniegu i ogarnął go lęk. Zacisnąwszy usta, wsunął dłoń do kieszeni, wodząc palcami po skórzanej oprawie książki T. Fowlera Hainesa. Pod kciukiem poczuł wypukłość litery K w słowie „Kalifornia”. Zostawiając krwawe ślady stóp na śniegu, począł wspinać się urwistą ścieżką w stronę szczytu.

## Rozdział 2.

O budziło go jasne światło. Usiadł i przeciągnął się. Przemarzył do szpiku kości.

Słyszając wokół ludzkie głosy, przypomniał sobie, gdzie jest: o całą milę na wschód od Donner Summit i Truckee, w Sierra, wciąż jednak na terenie Nevady. Późnowiosenna burza zmusiła go do znalezienia sobie o zachodzie słońca schronienia w jednej z licznych szop, jakie postawiono w górach wzdłuż linii kolejowej Central Pacific. Szybko zapadł w sen. Całe szczęście, że nie przespał całej nocy - mógłby zamarznąć na śmierć.

Popełznął w stronę światła wpadającego przez drzwi szopy. Przypominał w tej chwili bardziej niedźwiedzia niż człowieka. Był zarośnięty i ubrany w kilka postrzępionych koszul, nosił zniszczony płaszcz ze skóry bawoła i mocno zawiązaną pod brodą czapkę. Na nogach miał trzy pary brudnych skarpet i buty, które udało mu się kupić po tym, jak przez tydzień gotował dla zatrudnionych przez Central Pacific robotników, układających nowe tory w Nevadzie.

Wsunął pod pachy zziębnięte ręce i wyjrzał na zewnątrz. Śnieg lśnił w świetle reflektorów lokomotywy, która z sykiem i gwizdem pary stanęła o pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie się znajdował. Mack dostrzegł węglarkę i pojedynczy wagon. Noc znów ogarnęła wszystko wokół, a martwe, niewzruszone skały jeszcze potęgowały wrażenie, że cały świat stał się nagle wymarły. Dostrzegł światło latarni przesuwanej się między lokomotywą a budką hamulcowego. W nocnej ciszy do uszu Macka dobiegały ich głosy:

- Uważaj, jak wyjdzie na zewnątrz, Seamus. Trzymaj lampę, kiedy będę robił użytek z mojej gumowej pałki.

Mack skulił się w mrocznym wnętrzu szopy, starając się, by nie padło nań światło latarni. Drzwi wagonu towarowego otworzyły się z hałasem.

- W porządku. Ty tam! Wyłaź. Chodź tu. Jest nas trzech, a ty tylko jeden.

To widocznie przekonało człowieka ukrytego we wnętrzu wagonu, bo cień jakiejś postaci ukazał się w drzwiach, po czym zeskoczył na ziemię. Straciwszy równowagę na oblodzonym zboczu nasypu kolejowego, człowiek ten przewrócił się i ześlizgnąłby się w dół, gdyby nie przytrzymał się wagonu.

- Nie będzie żadnych gapowiczów w pociągach Central Pacific Huntington - powiedział hamulcowy. - Mack zacisnął powieki słysząc stłumione odgłosy uderzeń gumowej pałki.

Pasażer na gapę jęknął i zsunął się z nasypu. Maszynista ze śmiechem kopnął leżącego w brzuch, a hamulcowy jeszcze raz zdzielił go pałką. Z gardła mężczyzny wydobył się ochryply jęk. Próbował podźwignąć się na nogi, wzniecając przy tym tuman śniegu. Mack usłyszał jeszcze przeraźliwy krzyk, po czym zapanowała cisza. Załoga pociągu wymieniła między sobą kilka zdań, których nie mógł już usłyszeć, i wróciła do lokomotywy. Hamulcowy zatrzymał się jeszcze na chwilę, by wysikać się na śnieg, po czym wspiał się na platformę. Lokomotywa zagwizdała. Jej gwizd odbił się echem o zbocza okolicznych gór. Pociąg ruszył, zbliżając się do szopy, w której nocował Mack. W świetle reflektorów, jak olbrzymie lustro, załśniła stal umieszczonego z przodu lokomotywy śnieżnego pługa.

Mack dobrnął do drzwi szopy. Poślizgnął się i o mało nie upadł wychodząc na zewnątrz. Trzymając się ściany popatrzył dookoła. Otchłań. Jedna wielka czarna otchłań. Boże...

Z sapaniem i zgrzytem pociąg mijał właśnie jego szopę. Mack nie mógł powstrzymać gwałtownego kaszlu, kiedy gęsta para i dym węglowy wdarły mu się do płuc. Jednak pociąg tak hałasował, że nikt niczego nie usłyszał. Szczękając zębami Mack patrzył, jak pociąg odjeżdża w dal.

Nie miał duszy samarytanina, ale nie mógł pozostawić bez pomocy człowieka leżącego pod nasypem. Ostrożnie ruszył w jego stronę. Byli sami wśród ciemności, siedem tysięcy stóp ponad poziomem morza. Chmury na niebie rozstały się nieco i gdzieś tam błyskały w oddali srebrne gwiazdy. Na ziemię spadały ostatnie płatki śniegu. Noc nadal była cicha i bezwietrzna. Światło gwiazd pomogło mu odnaleźć miejsce, gdzie kolejarze zdeptali śnieg, zeskakując na ziemię. Ruszył w dół nasypu. Stawiał kroki niepewnie, gdyż śnieg miał tu trzy do czterech stóp głębokości. Czuł, jak jego spodnie ponownie robią się wilgotne - przez całą zimę na przemian moczył je i suszył. Na dole, pomiędzy głazami, odnalazł jeszcze bardziej zdeptany śnieg, nie było tam jednak żywego ducha. Uważnie badając ślady pozostawione przez wyrzuconego człowieka, dotarł do miejsca, w którym się urywały, i uklękawszy począł rozgarniać śnieg zgrabiającymi dłońmi. Wkrótce poczuł pod palcami coś twardego i posłyszał chrapliwy oddech. Zaczął kopać jeszcze szybciej.

Wróciwszy do szopy, znalazł lampę i naftę. Zapalił knot. Spod jednej ze ścian usunął kosze i skrzynki. Wciągnął pobitego mężczyznę do środka, ułożył go wygodnie i zamknął drzwi.

Podróżnik był mniej więcej w tym samym wieku co Mack. Jego delikatna, jasna cera zrobiła się ogorzała pod wpływem wiatru, a ciało miał wychudłe od częstego niedojadania. Energię i chłopięcy wdzięk podkreślały gęste czarne brwi i potargane, lśniące włosy. Lekki zarost świadczył o tym, że nie tak dawno się golił. Miał na sobie postrzępiony wojskowy płaszcz, szare spodnie z dużymi czarnymi łatami i wysokie sznurowane buty. Z jękiem odchylił głowę, opierając ją o ścianę.

- Powinieneś odpocząć - powiedział Mack, ujmując mężczyznę za nadgarstek lewej ręki. - Nic nie masz złamanego?

Nieznajomy z trudem otworzył oczy. Były błękitne, niewinne i bezbronne jak oczy dziecka. Czując czyjąś dłoń na przegubie, próbował się bronić. Jego pięść wylądowała na głowie Macka.

Mack zachwiał się. Odzyskawszy równowagę chwycił mężczyznę za ręce, zanim zdążył zadać mu kolejny cios. Światło lampy odbiło się w oczach nieznajomego, zmieniając ich błękit w dwa opalizujące ogniki, przypominające oczy kota. Przez chwilę wydawało się Mackowi, że ma przed sobą zwierzę, a nie człowieka.

- Posłuchaj - powiedział szybko. - Nie jestem pracownikiem kolei. Podróżuję tak samo jak ty.

- Jesteś... - Mack poczuł, jak mężczyzna uspokaja się powoli.

- Wydobyłem cię ze śniegu pod nasypem - ciągnął. W wilgotnych od śniegu włosach nieznajomego dostrzegł nagle wąską rubinową strużkę. - Wygląda na to, że jesteś ranny - powiedział. Pozwól, że sprawdzę.

Mężczyzna ostrożnie pochylił głowę. Mack rozdzielił mu włosy i dostrzegł długą na dwa cale ranę, niezbyt głęboką, ale zabrudzoną i obficie krwawiącą.

- Przemyję to - oświadczył, przynosząc z dworu garść śniegu. Gdzieś z daleka postyszał złowrogie wycie. Czyżby wilki docierały aż tak wysoko? A może to tylko wiatr?

Wyciągnął z węzełka zapasową koszulę i podarł ją na bandażę. Zmoczonym w śniegu gałgankiem przemył ranę na głowie nieznajomego.

- Nie mam nic, żeby przemyć to lepiej - usprawiedliwił się.

- Ale ja mam - odparł mężczyzna sięgając do wewnętrznej kieszeni swego wojskowego płaszcza. Nagle okazał się zdumiewająco przytomny.

- Nie lej tego zbyt dużo - polecił, wręczając Mackowi mały brązowy flakonik. Mack polał ranę kilkoma kroplami żytniej wódki o ostrym zapachu. Nieznajomy zacisnął zęby, ale nawet nie jęknął. Miał piękne, białe zęby, które doskonale pasowały do jego regularnych rysów twarzy. Mack nie mógł mieć nawet cienia nadziei, że kiedyś będzie tak przystojny.

Rozwinął chustkę, w której przechowywał kawałeczek koziego sera, popstrzonego niebieskozielonymi kropeczkami pleśni.

- Zjedz to. Od razu poczujesz się lepiej.

- Nie chcę pozbawiać cię resztek jedzenia - odparł nieznajomy, odgryzł jednak kęs i żuł go z trudem.

Mack zaśmiał się. Nieznajomy zrobił na nim dobre wrażenie.

- Dalej, zjedz do końca - zachęcił go. - Wędruję już pięć czy sześć miesięcy i jakoś nie umarłem z głodu.

Nieznajomy zjadł ser i otarł usta.

- Dzięki, że się mną zaopiekowałaś - powiedział. - Chyba powinienem się przedstawić. Wyatt J. Paul. „J” to skrót od Junis. Pochodzę z Osage, z Kansas. Nikt chyba nie słyszał o tej dziurze.

- Ja nazywam się Chance. James Macklin Chance, ale to brzmi za długo. Mów mi więc Mack.

Podali sobie ręce. Uścisk dłoni młodzieńca z Kansas okazał się nadspodziewanie silny.

- Skąd pochodzisz, Chance?

- Z Pensylwanii. Z kopalni węgla w hrabstwie Schuylkill.

- I wędrujesz do Kalifornii, tak jak ja?

- Tak, do San Francisco.

- Ja wybieram się na południe. - Wyatt Paul wytarł nos i ponownie odsłonił w uśmiechu białe zęby. - Ale tam lśni ten sam słoneczny blask. Blask czystego złota. Sądzę, że powinniśmy razem go poszukać. Co o tym sądzisz?

- Odłóżmy to do rana. A teraz trochę pośpijmy.

- Lubisz dyktować ludziom, co powinni robić, prawda? - Twarz Wyatta ściągnął grymas gniewu. - Przepraszam - zreflektował się po chwili. - Nie miałem nic złego na myśli. Przez całą drogę jechałem na gapę pociągami i dopiero tutaj mnie przyłapali. Jeśli ich kiedyś dorwę, rozwalę im te głupie łby.

- Jasne, masz rację - odparł Mack, myśląc, że jego nowy znajomy z pewnością nigdy by tego nie uczynił. Sięgnął po lampę i zgasił ją. Niewinne błękitne oczy zniknęły w mroku. Sam nie wiedział, czemu nappełniło go to grozą.

W oddali znowu zawyło jakieś dzikie zwierzę.

Płatki śniegu wirowały w szarym zmierzchu. Padało od dawna. Od wielu godzin Mack ani na chwilę nie mógł powstrzymać dzwonięcia zębami. „Pogoda tak paskudna jak w Pensylwanii” - pomyślał.

Już od dwóch dni podróżowali razem. Wspinali się na skały i schodzili w kotliny lub szli głównym traktem śladami kopyt końskich. To Wyatt pierwszy spostrzegł wbitą w ziemię drewnianą tabliczkę. Dotarł do niej brnąc przez zasy. Odgarnął śnieg zasłaniający napis: ,

**GRANICA STANU KALIFORNIA**

Kilka topniejących płatków osiadło mu na twarzy, kiedy próbował się uśmiechnąć.

- Powinniśmy skakać ze szczęścia - oznajmił apatycznie.

- Jeszcze nie. Chodźmy dalej.

Wyatt był zbyt zmęczony i głodny, by buntować się przeciw temu poleceniu. Wśród szalejącej burzy śnieżnej ponownie podjęli wędrówkę na zachód.



Dwie opatulone w szmaty postaci wyłoniły się z gęstej białej mgły, każdym krokiem unosząc z ziemi tumany śniegu i płosząc stadka małych górskich ptaków.

Mack szedł szybciej od Wyatta. Cóż za wspaniały aromat! Był to zapach lasu, wielkich sosen i modrzewi, białych jodeł i górskich świerków.

- Mój Boże, Wyatt, popatrz tylko na to - zawołał, wskazując ręką na dół, gdzie wśród rzednących mgieł rozciągał się połyskujący w słońcu las. - To Kalifornia. - Zrzucił z ramion płaszcz z bawolej skóry, czując się tak, jakby razem z tym okryciem pozbywał się zmęczenia, głodu i bólu. Szmaty na jego stopach, brunatne od zaschniętej krwi, zostawiały na śniegu głębokie ślady.

- Jezu, Jezu, czy czujesz to słońce? - kilkanaście jardów dalej Wyatt roześmiał się jak mały chłopiec i obrócił się kilka razy w kółko w jakimś zwariowanym tańcu.

Schodzili lesistym zboczem w szmaragdowo zieloną kotlinę, gdzie promienie słoneczne przebijały się przez mgłę. Śmiejąc się i dokazując zrzucili z siebie przepocone szmaty. Mack obrócił się ku słońcu. Czuł na twarzy ciepło, błogosławione ciepło.

Na stokach zielonych wzgórz balsamiczny wiatr kołysał żółtym kwieciem gorzycy, ogniście czerwonymi makami oraz purpurowym i różowym łubinem. Całości obrazu dopełniały niebieskie chabry i kwitnąca na biało koniczyna. Ta tęcza kolorów ciągnęła się na zachód aż po horyzont. W oddali wśród zieleni majaczyły tu i ówdzie ciemne plamki. Czyżby bydło?

Mack zatrzymał się wśród polnych kwiatów. Patrząc w stronę, z której przyszli - na ciemnozielone stoki Sierry i przejrzyście błękitne niebo, jakiego nigdy wcześniej nie widział, oraz ośnieżone, dumne szczyty - poczuł wzruszenie.

Wszystkie nadzieje, jakimi karmił się w przeszłości, przybrały realną postać.

Nagle na jego uniesioną w górę twarz padł ogromny cień. To złoty orzeł wracał właśnie do swego górskiego domu. Jak wielka mogła być rozpiętość jego skrzydeł? Trzy stopy? Cztery? Nigdy wcześniej nie widział tak olbrzymiego, majestatycznego ptaka. Z oczu popłynęły mu łzy, nie wstydził się ich, ale na szczęście Wyatt i tak pobiegł na sąsiednie wzgórze. Uczucie wzruszenia ogarnęło Macka jeszcze silniej. Góry, las i ta złota łąka wydały mu się czymś najlepszym, co może spotkać człowieka.

Chciał być wart tego zapierającego dech w piersi pięknego widoku. Rodził się na nowo. Stawał się Kalifornijczykiem.

Trzy noce później, przy wspaniałym ognisku rozpalonym z gałęzi i sosnowych szyszek, urządzili sobie królewską ucztę, zajadając dwa pstrągi złowione przez Wyatta i oczyszczone za pomocą składanego noża Macka. Mack patrzył na towarzysza z zazdrością. Przez osiemnaście lat znosił ubóstwo i chłody Pensylwanii, nie wiedząc nic o łowieniu ryb ani o polowaniu. Wyatt natomiast znał się na tym całkiem niezgorzej. Powiedział, że dzika gorczyca jest jadalna, i przyrządzili z niej lekko gorzkawą sałatkę.

Zaczęli opowiadać sobie nawzajem o swojej przeszłości. Wcześniej byli zbyt wyczerpani, żeby to zrobić. Mack opisywał swego ojca, dzień po dniu zginającego plecy w kopalni, żyjącego tylko jedną myślą, pragnieniem zaszczepienia synowi marzeń o Kalifornii i bogactwie, którego on sam nie zdołał zdobyć.

- Tata miał mnóstwo książek o Kalifornii, ale ta była jego ulubiona - powiedział, pokazując Wyattowi przewodnik. - To ona podtrzymała mnie na duchu podczas tej wędrówki, obiecywała bowiem, że tam nigdy nie będę głodny ani biedny. Ani nie będę musiał brodzić w śniegu.

Błękitne oczy Wyatta spoglądały nań z mieszaniną rozbawienia i czegoś nieokreślonego... może pogardy? Poprosił, żeby pokazać mu książkę, i Mack niechętnie wręczył mu przewodnik. Wyatt kartkował go powoli.

- „Kiedy kontynuowałem moje peregrynacje...” Co to znaczy?

- Nie wiem.

- „... od obozu do obozu i widziałem złoto, czasem w postaci złotych łusek, ale przede wszystkim rozproszone wśród zwykłego piasku, wydawało mi się, że baśniowy skarb legend arabskich stał się nagle rzeczywistością. Oczywiście należało w związku z tym oczekiwać ...” - Wyatt przerwał i wskazał Macowi następne słowo.

- Ekstra...ordy... naryj... nej - przesyłabizował Mack, bezradnie wzruszając ramionami.

Niewiedza Macka zdawała się sprawiać Wyattowi przyjemność.

- „...ekstraordynaryjnej fali emigrantów ze wszystkich zakątków świata. Opierając się jednak na własnych doświadczeniach mogę wam przysiąc, że złota wystarczy dla wszystkich.”

Zamknął książkę. Mack poczuł ulgę, kiedy przewodnik wrócił do jego rąk.

- I ty w to wszystko wierzysz? - zapytał Wyatt. - To znaczy tak, jak mój ojciec wierzył w to, co napisano w Biblii?

Mack z zakłopotaniem wzruszył ramionami. W głębi duszy istotnie w to wierzył.

- A ty nie? - odpowiedział pytaniem na pytanie. Wyatt wpatrywał się w gwiazdy.

- Wierzę, że przybywam tu, aby robić coś innego niż to, czym zajmował się mój ojciec. I wierzę, że mi się uda.

- Co masz na myśli?

- Mój stary nigdy nie zarobił ani dolara, którego mógłby zaoszczędzić. Był sezonowym kaznodzieją w Kansas i oczywiście miał zbyt wielu konkurentów, by naprawdę na tym zarobić. Poza tym zajmował się sprowadzaniem deszczu. Miał cały komplet mosiężnych prętów i rozwidlonych patyków, które mu w tym pomagały. Twierdził, że potrafi rozmawiać z Bogiem i Bóg zawsze wysłuchuje jego próśb.

- I jak wiele deszczy sprowadził?

- O ile pamiętam, żadnego. I Bóg też mu w tym nie pomógł. - Wyatt wydawał się rozbawiony własnym dowcipem, ale Mack poczuł się niezręcznie. - Mój stary zarobił tyle pieniędzy na sprowadzonym deszczu, co i na głoszeniu prawd o Jezusie i Duchu Świętym. Oczywiście, dokąd było z czego żyć, nie miało to dla nas znaczenia, przynajmniej tak długo, póki należeliśmy do ludzi uczciwych.

- Ostatnie słowo wymówił z sarkazmem. - Taką zasadę wyznawała moja matka. Była jeszcze gorsza od starego. Moje dwie siostry wierzyły w opowiadane przez nią bajdy, ale ja byłem o dziesięć lat młodszy i albo ona zmęczyła się już mówieniem bzdur, albo ja okazałem się zbyt sprytny, bo nie dałem się nabrać. To było cyrkowe przedstawienie, wielkie pieprzone oszustwo, rozumiesz?

W tej samej chwili odezwał się jakiś ptak. Może była to sowa? Wokół pachniało świeżą trawą i położonym nieco na wschód sosnowym lasem.

- Jak już ci powiedziałem, moja matka była dziwną kobietą - ciągnął Wyatt. - Na przykład nigdy nie podawało się u nas surowego mięsa, bo uważała, że pobudza ono najprymitywniejsze męskie instynkty. Wierzyła w hydroterapię - lecznicze właściwości wody. Byłem chorowitym dzieckiem i dlatego ciągle musiałem siedzieć owinięty w namoczone w zimnej wodzie prześcieradła. Codziennie godzinę - także w zimie. Nawet nie wyobrażasz

sobie, jakie szalone pomysły miała moja matka. - Mack słuchał go w milczeniu. - Przybyłem tutaj, żeby od nich uciec - dodał Wyatt. - Od nich i od tych wszystkich praw, jakimi rządzi się nasz dom. Nie pij, nie przeklinaj, nie cudzołóż, a z pewnością spotka cię za to zasłużona nagroda. Gdzie? Oczywiście nie w Osage. Ale w Kalifornii... tutaj, to co innego. - Coraz bardziej ożywiony Wyatt ani na chwilę nie przestawał mówić. - Wyjaśnię ci, co to miejsce dla mnie oznacza. Mój stary miał w życiu tylko jedną wielką szansę. Jego mieszkający w Topece brat zmarł, pozostawiając mu czterdzieści pięć akrów pierwszorzędnej ziemi na przedmieściach. Ojciec sporządził plany tego terenu. Chciał podzielić go na małe działki pod budowę domów. Ale jeden z miejscowych notabli nie pozwolił mu tego zrealizować. Ojciec będąc człowiekiem pobożnym, nie mógł złamać prawa. Modlił się więc przez całą noc, a następnego dnia sprzedał ziemię. Oczywiście, sprytny sukinsyn, który ją kupił, wiedział, jak przekupić władze Topeki, a nawet stanowego senatora, podzielił więc plac na działki i odsprzedał je z zyskiem.

Niespodziewany uśmiech na twarzy Wyatta miał świadczyć o tym, że dawno wybaczył już on uczynioną jego rodzinie krzywdę, ale kiedy odezwał się ponownie, jego słowa zabrzmiały gorzko.

- Sam więc widzisz, jacy pieprzeni głupcy mnie spłodzili. Głupcy, którzy trzymali się przykazań zawartych w Biblii i litery prawa. Nie chcę powtarzać ich błędów.

- Co więc zamierzasz tutaj robić? - zapytał kwaśno Mack.

- Kupić trochę ziemi, a potem sprzedawać ją z zyskiem. To była jedyna rozsądna rzecz, którą próbowałem zrobić mój ojciec. Tyle tylko, że źle się do tego zabrałem.

- I powędrujesz do Los Angeles?

- Na początek. Jest tam wiele ziemi. I bardzo mało ludzi. - Popatrzył uważnie na Macka. - A jakie ty masz plany?

- Takie same - zdobyć pieniądze.

- Ile?

- Całą fortunę. Wyatt potrząsnął głową i roześmiał się.

- Jesteśmy do siebie podobni, Chance. Bardzo podobni.

Dwaj dżentelmeni o wielkich ambicjach. Nic dziwnego, że natknęliśmy się na siebie w drodze do Kalifornii. Ten stan jest jeszcze całkiem dziewiczą krainą. Powiadają, że są takie miejsca, gdzie nie dotarła jeszcze fala osadników. Nie ustanowiono tam też zbyt wielu praw i zasad, które mogłyby ludziom przeszkadzać.

- A więc to tak wyobrażasz sobie Kalifornię? Jako miejsce, w którym można robić, co się tylko zechce? - Ta myśl wydała się Mackowi czymś całkowicie nowym i obcym.

Wyatt najwidoczniej wierzył w to, co mówił.

- Do licha, jasne - odparł zapalczywie. - Kalifornia jest taka jak Kansas czterdzieści lat temu. Być może, dzięki tym górcom, które powstrzymują podróżników, długo jeszcze taka pozostanie. Mam nadzieję, że będzie taka przynajmniej do chwili, kiedy zrobię majątek. A to nie powinno potrwać długo.

- Widzę, że wierzysz we własne siły.

Wyatt, słysząc ten komplement jeszcze raz potrząsnął ciemnowłosą głową, jakby to, co powiedział Mack, było całkiem oczywiste.

Z entuzjazmem i naiwnością właściwą młodym ludziom jeszcze przez następne pół godziny wymieniali uwagi i informacje. Dyskutowali o zaletach tej części Kalifornii, która leżała u stóp Tehachapi Mountains, mitycznej granicy przedzielającej stan. W pewnym momencie Mack przerwał w pół słowa i z pokrytego brudem szwu spodni wyłuskał pchłę, którą zgniótł między paznokciami.

- Boże, kiedyż wreszcie dostanę kawałek mydła i łyk gorącej kawy?

- Będzie to pierwsza rzecz, o którą zatroszczę się rano - odparł Wyatt.

- Jakim cudem?

- Czy nie widziałeś drogowskazu przy rozstajach? „Good Luck - dwie mile.” Założę się, że to jakieś stare, miłe miasteczko. Pojadę tam i uzupełnię nasze zapasy.

- Ale przecież nie masz pieniędzy.

- Nie mam - przyznał Wyatt.

- Jak więc to zrobisz? Wyatt przeciągnął się spoglądając na Macka z uśmiechem.

- Cóż, spróbuję poradzić sobie używając całego mego wdzięku. Poproszę ich o to, co nam potrzebne. Zobaczysz, że zlitują się nad dwoma świeżo upieczonymi Kalifornijczykami. Jestem pewny, że tak będzie.

Dochodziła ósma, kiedy stary Niemiec z siwymi bokobrodami kuśtykał powoli cienistą aleją. Był zmęczony i równie senny jak opustoszała, zakurzona wioska leżąca o pół mili od American River. Kiedyś było to szybko rozwijające się miasto, ale dawne złoża wyczerpały się. W 1884 roku jakiś przeklęty szeryf zarządził przerwanie hydraulicznego wypłukiwania nowych złóż, ponieważ wysadzanie w powietrze gór powodowało powstawanie wielkich rumowisk, zanieczyszczało rzeki i potoki, zabijało ryby i sprawiało, że na farmach w dolinie woda osadzała trujący muł. Co za głupota! Jakież jest pożytek z ziemi, skoro nie można wydobyć z niej wszystkich bogactw stworzonych przez Boga? Czy drzewa, ryby i woda mogą być ważniejsze od tego, co liczy się naprawdę? Niektórzy z tych Kalifornijczyków mieli całkiem źle w głowie. Szczególnie ten przeklęty szeryf. To on przyczynił się do ostatecznego upadku Good Luck, którego liczba mieszkańców zmniejszyła się teraz do stu dziewiętnastu osób. Niemiec został tu jednak i prowadził jedyny czynny w

mieście sklep. Był zbyt zmęczony, żeby zaczynać wszystko od nowa.

Siedzący na stercie odpadków kot prychnął na jego widok. Niemiec ziewnął i nagle dostrzegł stojącego w drzwiach na tyłach sklepu młodego, ciemnowłosego człowieka. Był to najbrudniejszy z włóczęgów, jakich stary sklepikarz kiedykolwiek widział.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Potrzebuję różnych produktów, panie. Mydła, kawy, blaszanego garnka i może trochę sucharów - odparł nieznajomy. - Ma pan to wszystko, prawda? - dodał z promiennym uśmiechem, który miał rozproszyć podejrzenia starca.

- Mam je, jeśli ty masz pieniądze.

Chuda szyja sklepikarza znalazła się nagle w twardym uścisku dłoni nieznajomego. Pięciodłowe ostrze noża zawisło o włos od krtani starca.

- Nie sądzę, bym potrzebował choćby złamanego centa. W każdym razie, jeśli zależy ci na życiu. A teraz odwróć się i otwórz te drzwi.

Wyatt nalewał parującą kawę z emaliowanego dzbanka. American River płynęła w dole z cichym pluskiem, połyskując w promieniach słońca.

- Powiadam ci, że robisz błąd, udając się do Frisco - powiedział, podając Mackowi jeden z blaszanych kubków.

Mack przełamał cienką skibkę chleba i podał połowę przyjacielowi.

- Ale nie ma innego miejsca w Kalifornii, które dorównywałoby temu miastu - odparł. - To dlatego nazywają je Miastem - przez duże „M”.

- W tym właśnie rzecz - skinął głową Wyatt. - Już teraz jest tam za dużo ludzi. Położyli łapę na wszystkich pieniądzech, jakie można było zarobić, i na pewno nie zechcą



się nimi podzielić z takimi jak my. Zatrzasnął ci drzwi przed nosem, panie Macklin Chance. Wtedy zjawisz się w Los Angeles, a ja zatrudnię cię u siebie.

- Przecież nie masz pieniędzy, żeby kupić ziemię - odparł na wpół kpiąco Mack. Wyatt uniósł twarz i przez chwilę w jego oczach odbiły się promienie słońca.

- Zdobędę ją tak samo, jak zdobyłem jedzenie. Zawsze jest jakiś sposób, jeśli człowiek ma trochę sprytu i umie gładko gadać.

- A cóż takiego opowiedziałeś sklepikarzowi?

- Sprytny człowiek nie zdradza wszystkich swoich sekretów.

- W porządku - odparł Mack, żując chleb. - Przypuśćmy, że pewnego dnia wyruszę na południe. Jak cię odnajdę?

- Zapytaj w Los Angeles o miasteczko, do którego wjeżdża się przez wielką łukową bramę. Mam już w głowie jej dokładny obraz. - Jego wąska dłoń, domyta w końcu z brudu, zakreśliła w powietrzu półkole. - Poza tym zorientujesz się po nazwie tego miasta. Nazwę je: „Miasto Zdrowia”. Jak sądzisz, po co ludzie będą tam przyjeżdżać? Dla klimatu! - Wyciągnął przed siebie ramiona, jakby chciał wziąć w objęcia złoty poranek. - Słońce świeci w Kalifornii przez trzysta dni w roku. - Opuścił ręce i roześmiał się. - W każdym razie tak o tym piszą.

- Przyznaję, że klimat nie jest bez znaczenia, ale ludzie przybywają tu przede wszystkim dlatego, że mają nadzieję na zdobycie bogactwa.

- Jezu, Mack, ale z ciebie nudziarz. Większość ludzi nie ma pojęcia, jak zdobyć majątek. Nie mają na to dość rozumu ani wystarczająco silnych nerwów. I chwała Bogu. Dzięki temu zostaje więcej miejsca dla pary takich sprytnych facetów jak my.

Wyatt dopił kawę strząsając ostatnie jej krople w ogień. Zasyczało. Poderwał się na nogi.

- Dokąd idziesz? - zapytał Mack.

- Na południe - odparł. - Czas ucieka. Możesz zatrzymać dzbanek do kawy. W ciągu kilku minut był gotów do wyruszenia w drogę.

- Doceniam to, co uczyniłeś dla mnie w górach - powiedział, wyciągając do Macka dłoń. - Odwiedź mnie w Los Angeles. A raczej w „Mieście Zdrowia”. Tymczasem, życzę ci powodzenia - uśmiechnął się.

Mack pomyślał, że Wyatt Junius Paul takim uśmiechem mógłby oczarować nawet anioły w niebiosach. Pomachawszy ręką na pożegnanie, Wyatt wszedł w płynące leniwie wody rzeki i wkrótce jego postać ukazała się między porastającymi drugi brzeg dębami i wierzbami. Mack patrzył za nim, kręcąc głową z rozbawieniem i niemałą ulgą. Zapewne nigdy więcej nie ujrzy już Wyatta i musiał przyznać, że wcale mu na tym nie zależało. Wyatt, choć pozornie beztroski, był jednocześnie w jakiś zimny sposób wyrachowany.

Mack nalał sobie resztę kawy. Czoło zroszone miał potem. Podwinął postrzępione mankiety koszuli i wyciągnął ramiona ku olbrzymiej, ognisto złotej tarczy słońca. Robiło się coraz cieplej, ale dla niego żaden upał nie mógł być zbyt duży. W pół godziny później ruszył na zachód.

### Rozdział 3.

Minął Sacramento i wędrował pszeniczną krainą, gdzie dojrzewające na polach zboże wyciągało ku wiosennemu słońcu długie źdźbła. Podczas minionego roku często widywał spoconych, przeklinających mężczyzn orzących ziemię ośmiokonnymi pługami. Na jednej z farm doliczył się nawet dziesięciu takich pługów, podążających polem jeden obok drugiego, jak wojskowa tyraliera, i wzbijających w niebo całe tumany pyłu. Tym, co zdumiewało go najbardziej, był brak jakichkolwiek ogrodzeń. Czyżby wszystkie te ziemie należały do jednego człowieka?

Rankiem trzeciego dnia dotarł do piaszczystego gościńca. Złocąca się w słońcu po obu stronach drogi pszenica sięgała mu ponad głowę. Czuł suchość w ustach. W gardle miał pył, unoszony przez wiatr z obsianych zbożem piaszczystych równin. Brudna, przepocona koszula lepiała mu się do pleców. Idąc wśród łąnów pszenicy, czuł się jak na patelni. Chyba jeszcze nigdy nie był aż tak znużony.

Może w cieniu odległych drzew odnajdzie wodę? Próbował biec, ale szybko dał temu spokój - czuł się przez to jeszcze bardziej zmęczony. Gwóźdź lub drzazga tkwiąca w bucie sprawiła, że utykał, był jednak zbyt wyczerpany, żeby zatrzymać się i pozbyć się jej.

Zakurzona ścieżka, wijąca się wśród drzew, istotnie zawiodła go wprost do wody. Był to mulisty strumyk szerokości zaledwie kilku jardów. Woda w nim miała rdzawoczerwony kolor. Mack zatrzymał się wśród dębów i wierzb, których pnie oplatało dzikie wino, i opadłszy na kolana pochylił się nad rdzawym strumieniem. W chwili, gdy jego twarz znalazła się tuż nad wodą, ponad złotymi łąnami pszenicy przetoczył się huk wystrzału. Jakiś człowiek zbliżał się ku niemu, galopując na koniu. Mack zerwał się z ziemi. Serce biło mu gwałtownie. Dostrzegł jeszcze dwóch innych

jeźdźców. Wkrótce uzbrojony mężczyzna zbliżył się do niego, ścigając wodze wielkiego gniadosza.

- Znajdujesz się na mojej ziemi i pijesz moją wodę - ryknął strzelając w powietrze z karabinu Smith Wesson Schofield kaliber 45. - Nie masz do tego prawa.

Nie przesłonięta kapeluszem, ogorzała od słońca twarz mężczyzny zdradzała jego chłopskie pochodzenie. Miał jasne oczy, perkowaty nos i głębokie dołeczki w okrągłych policzkach. Kilka kosmyków słomianożółtych włosów przykleiło mu się do czoła, choć widać było, że zwykle zaczesuje je do tyłu, chcąc ukryć łysinę. Był ubrany zbyt odświętnie i za ciepło jak na taki upalny dzień: miał na sobie sukienną marynarkę i brązową krawatkę. Zbliżał się pewnie do sześćdziesiątki.

Zbliżyło się do nich dwoje dalszych jeźdźców - dobrze ubrany mężczyzna i bardzo ładna kobieta. Mężczyzna miał na głowie piękny biały kapelusz, nosił białe bryczesy i lśniące, wysokie buty. Siedząca na wspaniałym czarnym koniu dziewczyna ubrana była w białą bluzkę i obcisłe męskie spodnie, zupełnie nie przypominające strojów, jakich zwykle kobiety używały do konnej jazdy. Opadające na piersi blond włosy przewiązane miała złotą jedwabną wstążką.

- Co masz na swoją obronę? - zapytał uzbrojony mężczyzna. Mack dostrzegł, że jego marynarka jest poplamiona, a koszula wychodzi mu ze spodni. Brzuch miał wielki jak dynia, zaś małe przenikliwe oczka niemal ginęły w fałdach spalonej słońcem skóry.

- Jestem bardzo znużony... - wyjąkał Mack, próbując opanować zdenerwowanie.

- Ach tak? - warknął mężczyzna, uśmiechając się złośliwie. Opuścił karabin i oparł go sobie o udo. Wolną ręką podrapał się w kroku. Młoda kobieta nie dostrzegła tego, gdyż był odwrócony do niej plecami. Poza tym i tak jej uwaga była

skupiona na Macku, podobnie jak uwaga jej towarzysza, którego Mack oceniał jako nieco starszego od siebie. Mógł on mieć jakieś trzydzieści lat. Był dobrze prezentującym się dżentelmenem z przyszczyżonymi bokobrodami i małym wąsikiem. Siedział swobodnie na koniu, nie kryjąc swej pogardy dla obdartego włóczęgi.

- Chciałbyś się napić, co? Powiem ci coś, chłopie. To moje ranczo. Moja ziemia i woda. Ci, którzy wchodzą tu bez pozwolenia, dostają kulkę w łeb.

Mack wiedział, że znalazł się w sytuacji, w której żaden sprzeciw nie ma sensu. Wskazał ręką ukryte za drzewami pola.

- Nie widziałem żadnej tabliczki, że to własność prywatna.

- Tabliczki nie mają znaczenia - ryknął mężczyzna, a jego gniady koń zbliżył się do rdzawego strumienia. - Wszedłeś na moją posiadłość od innej strony niż stoją tablice. I przewędrowałeś moimi polami dwadzieścia osiem mil.

Mack zaniemówił na chwilę. Dwadzieścia osiem mil?

- Jestem Hellman, ty głupcze - wrzasnął człowiek z karabinem, rozgniewany brakiem reakcji na jego słowa.

Mack drgnął przerażony. Dziewczyna pochyliła się nad końskim grzbietem, składając ręce na łuku wyszywanego srebrną nicią meksykańskiego siodła, i popatrzyła na uzbrojonego mężczyznę. Jego gniew wyraźnie ją bawił. Potem z sympatią spojrzała na Macka. Miała szerokie blad różowe usta, na których nie było śladu szminki, i oczy jeszcze bardziej błękitne od oczu Wyatta Paula.

- Czyżby to nazwisko nic ci nie mówiło? - zapytał młodszy mężczyzna.

- Nie, sir. Nic mi nie mówi.

Młodzieniec skierował swego pięknego kasztanka bliżej strumienia.

- Po Henrym Millerze ze spółki „Miller i Lux” pan Hellman jest największym posiadaczem ziemskim w tym stanie.

- Zgadza się - potwierdził uzbrojony mężczyzna - Otto Hellman. - Czyżbyś, gamoniu, nigdy o mnie nie słyszał?

- Nie pochodzi stąd - powiedziała dziewczyna. - Od razu to widać. Przynajmniej jest jeden człowiek, który cię nie zna - zachichotała.

- Nie wtrącaj się, Carlo - mruknął starszy mężczyzna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Była to z pewnością najbardziej nowoczesna kobieta, jaką Mack kiedykolwiek spotkał.

Otto Hellman wjechał do wody. Oczy Macka przesłoniły spływające z czoła krople potu. Był pewien, że wszyscy słyszą, jak głośno bije mu serce. Nazwisko Hellmana nic mu nie mówiło, ale najwidoczniej ten człowiek był kimś nadzwyczaj ważnym, pomimo nieco komicznego wyglądu.

- Nie rozumiem, o co ma pan pretensje - powiedział. - Chciałem się tylko napić. Chyba nie jest pan właścicielem wody.

Otto Hellman wydał dźwięk bardziej przypominający szczekanie psa niż śmiech. Młody mężczyzna pochylił się i szepnął coś do dziewczyny, która także wybuchnęła śmiechem.

- Wstydz się, Walterze - powiedziała.

Tych dwoje ludzi bardzo się od siebie różniło. Ona uśmiechała się szeroko i serdecznie, a on jakby niechętnie, z napięciem. Mack nigdy nie spotkał tak sympatycznie wyglądającej kobiety.

- Jezu, chłopie, niewiele wiesz o tym świecie - powiedział Hellman. - Nie jestem właścicielem wody? Oczywiście, że jestem. Nigdy nie słyszałeś o prawach osadniczych?

Mack przecząco potrząsnął głową.

- Ta woda należy do mnie, ponieważ jestem właścicielem ziemi po obu jej brzegach.

Niedowierzające spojrzenie Macka sprawiło, że Hellman zwrócił się do swego młodszego towarzysza.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli ty mu to wyjaśnisz, Walterze - powiedział. - Widać, że zupełnie nie wie, jak my tu, w Kalifornii, żyjemy. - Znowu popatrzył na Macka. - Pan Walter Fairbanks Trzeci jest prawnikiem z San Francisco. Jednym z najlepszych. Jest tak dobry, że Cholly Crocker oraz ten zdierca Huntington, a nawet gubernator Stanford chcieli zatrudnić go w Southern Pacific. Opowiedz mu więc o naszym prawie, Walterze.

- Skoro sądzisz, że jest on w stanie zrozumieć choćby podstawy prawa... - powiedział chłodno Fairbanks. Mack poczerwieniał, jednocześnie dostrzegając, że młoda kobieta spogląda to na niego, to na swego towarzysza, jakby obserwowała pojedynek. - Podstawowa angielska doktryna prawna dotycząca osadników powiada, że woda należy do tego, kto posiada ziemię, przez którą ona płynie. Pan Hellman jest właścicielem ziemi po obu stronach rzeki i dlatego też może budować groble, kopać kanały i kierować jej nurt, gdziekolwiek tylko sobie życzy. Może też zaskarżyć tych, którzy, mieszkając w dole rzeki, korzystają z niej do nawadniania pól, a uchylają się od płacenia mu za wodę tyle, ile zażąda. - Prawnik zdjął z głowy biały kapelusz i otarł czoło chustką do nosa. - Może nawet przepędzić stąd każdego, kto nie chce płacić. Oczywiście nikt nie zmusza farmerów, by korzystali z rzeki. Niech uprawiają zboże bez wody.

- To najohydniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - stwierdził Mack. Carla roześmiała się z podziwem.

- No i co ty na to, Swampy?

- Nie nazywaj mnie tak - odburknął Hellman. - Jako twój ojciec zasługuję na odrobinę szacunku.

- Twoja opinia jest tu bez znaczenia - zwrócił się do Macka Fairbanks, jakby przemawiał do niezbyt rozgarniętego ucznia. - Prawo jest prawem.

- A ten przekłety Wright próbuje je zmienić - wybuchnął Hellman. Mack zauważył, że jest autentycznie wściekły. - Ale jeszcze mu się to nie udało. Wright jest niczym więcej jak tylko wstrętnym radykałem. Uważa, że woda powinna należeć do każdego, kto ma choć skrawek ziemi nad jej brzegiem. Przecież to komunizm! Chce ograbić człowieka z ofiarowanego mu przez Boga prawa do owoców jego pracy i własności. - Jakaś niewidoczna muszka usiadła na szyi konia Hellmana. Gniadosz potrząsnął łbem i obrócił się gwałtownie, nieomal zrzucając jeźdźca. Klnąc po niemiecku, Hellman uderzył wierzchowca, po czym wycelował karabin prosto w czoło Macka.

- Do licha, sądzę, że zmarnowaliśmy już na ciebie dość czasu. Teraz rozumiesz, jak to jest z wodą. Tak więc wynoś się stąd.

- Do diabła, nigdy nic podobnego nie słyszałem - odparł Mack. - Żeby jeden człowiek nie pozwolił drugiemu napić się wody z rzeki?

- Nie ma żadnego znaczenia, co chcesz uczynić z tą wodą. To kwestia własności prywatnej. Poza tym... - pociągnął nosem jak węsząca w korycie świnia - nie podobasz mi się.

- A mnie tak - wtrąciła się Carla, uśmiechając się do Macka. Stalowo szare oczy Fairbanka zwęziły się gwałtownie.

Hellman obrócił konia tak, by znaleźć się twarzą w twarz z córką.

- Niezły z ciebie sędzia - powiedział sarkastycznie. - Ale i tak jeszcze nie znalazł się mężczyzna, który zainteresowałby cię na dłużej niż trzy tygodnie. Zdumiony jestem, że z hrabią Bolesławem przeżyłaś całe pół roku, zanim się rozwiedliście.



- Nie złość się na mnie. Poślubiłam tego idiotę tylko dlatego, że chciałeś mieć w rodzinie arystokratyczny tytuł, żeby zaskarbić sobie szacunek przyjaciół Waltera.

- Daj spokój - skarcił ją Hellman. - Nie dyskutuj o naszych rodzinnych sprawach w obecności jakiegoś włóczęgi.

- Ktoś, kto chce się napić wody, powinien mieć do tego prawo - powiedział Mack.

Hellman zatrzymał konia pośrodku strumienia i ponownie wymierzył w Macka karabin. - Nie przegadasz mnie, człowieku. Jesse James także używał broni w ten sposób i nikt nie był w stanie go przegadać. Kiedy będziesz miał na własność jakąś wodę, będziesz mógł pić, ile tylko zechcesz. Ale nie wcześniej.

- Jesteście wstrętni - stwierdziła Carla, uderzając konia obcasami.

Mack zauważył, że ma szerokie biodra i bardzo zgrabną sylwetkę. Mimo upału i napięcia z powodu wymierzonej weń broni poczuł do tej dziewczyny instynktowną sympatię. Obliznął spierzchnięte wargi, podczas gdy ona wjechała konno między niego a ojca.

- Pij, ile chcesz - powiedziała. - Mnie na pewno nie zastrzeli.

Zanim Mack zdążył jej podziękować, Hellman pochylił się i chwycił jej cugle. Czarny ogier szarpnął się gwałtownie.

- Wynoś się, śmieciu - wrzasnął Hellman, wymachując bronią. Lufa strzelby zawadziła o końską głowę i wierzchowiec znieacka stanął dęba. Carla ześlizgnęła się do tyłu i z krzykiem runęła do wody.

Mack rzucił się ku dziewczynie, zanim Fairbanks zdążył zsiąść z konia. Rdzawa, mętna woda rzeki zmoczyła twarz i bluzkę Carli. Mokry materiał przylegał teraz ciasno do jej piersi. Mack brnął przez muliste dno, podczas gdy prawnik,

popatrzawszy na swe nieskazitelnie białe spodnie, wahał się przed wejściem do rzeki.

- Wesprzyj się na mnie - powiedział Mack, otaczając dziewczynę ramieniem. Przyjęła jego pomoc z wdzięcznością. Z uwieszoną u jego szyi wcale nie lekką Carlą skierował się do brzegu. Intensywnie błękitne oczy kobiety znajdowały się tuż przy jego twarzy, wpatrując się w niego z napięciem. Mack dostrzegł szansę zemsty i wykorzystał ją błyskawicznie. Prysnał wodą tak, że Fairbanks nie zdążył w porę uskoczyć. Sadzając Carlę na brzegu, spod oka obserwował, jak prawnik gniewnie ogląda poplamione rdzawą wodą spodnie. Pochyliwszy się, Mack nabrał wody w obie dłonie i wypił ją pośpiesznie. Woda była ciepła, pełna piasku i cudowna.

Wyjechawszy ze strumienia, Hellman zaśmiał się rubasznie.

- Cóż, trzeba ci przyznać, że nie boisz się trochę pobrudzić, Johnny - powiedział szyderczo. Mack dostrzegł, że Fairbanks spłoszował. - I masz żelazne nerwy - ciągnął, wciąż trzymając w dłoni cugle wierzchowca Carli. - Ale własność jest własnością. Wcale nie żartowałem, mówiąc o tym. - Znowu uniósł broń, wymierzając ją w pierś Macka. - Wynoś się stąd. Natychmiast.

Mack miał zamiar prosić go, by dał spokój, ale widząc ponury, nieprzejeđnany wyraz twarzy Hellmana, zrezygnował. Nienawidził tych ludzi i nie chciał się przed nimi poniżyć. Zbyt dużą przyjemność by to im sprawiło. Upokorzenie było zaś uczuciem, które znał aż nazbyt dobrze.

- Którędy do San Francisco? - zapytał.

Fairbanks machnął kapeluszem w stronę, z której przyjechali.

- Tędy. Ale radziłbym ci, żebyś pojechał gdzie indziej. Nie wiem, czemu przybyłeś do Kalifornii, ale gorączka złota

skończyła się czterdzieści lat temu i nie potrzebujemy tu już takich śmieci i włóczęgów jak ty.

- Och, ty na pewno masz jak najlepszy rodowód, prawda?  
- zapytał Mack. Ta odpowiedź rozbawiła prawnika. Być może poczuł, że znowu ma przewagę.

- Nie mam zamiaru opowiadać o sobie byle komu. Ale wiedz, że urodziłem się tu, w Kalifornii. Jestem prawdziwym synem tej ziemi. Kimś, kim ty nigdy nie będziesz.

- Tak, wiem, kim jesteś. I powiedziałbym ci to, gdyby nie obecność damy...

- Przeklęty włóczęgo... - zaczął Fairbanks, Hellman zaś, postanowiwszy najwyraźniej wziąć udział w tym pojedynku, rozpryskując wodę ruszył przez rzekę. Mack odwrócił się na odgłos kopyt. Nie był przygotowany na ból, jaki go przeszył, gdy koniec bata rozciął mu policzek. Odskoczył do tyłu, ale Hellman, mimo krzyku oburzonej Carli, uderzył go po raz wtóry.

Z policzka Macka spływała krew. Miał ochotę rzucić się Hellmanowi do gardła, ale nie odważył się tego uczynić, widząc, jak twarz mu stężała. Wciąż trzymał karabin gotowy do strzału.

- Tu jest droga do Frisco - powiedział. - Jeśli dziś wieczór zobaczę cię jeszcze na moim terenie, będziesz martwy.

- Czasami jesteś prawdziwym sukinsynem, Swampy - powiedziała do ojca Carla. - I ty także, Walterze.

Fairbanks rzucił tylko gniewne spojrzenie Mackowi, ale Hellman wybuchnął wściekłością.

- Zamknij się, przekłeta dziewucho! - ryknął. Cóż takiego mówił Wyatt Paul o zamkniętych drzwiach? Mack oblizał znowu suche wargi i odszedł. Przechodząc obok dziewczyny, która stała na brzegu mokra, ubłocona i piękna, dostrzegł gorące, pełne podziwu spojrzenie, jakim go obdarzyła. Jej towarzysze także dostrzegli.

## Rozdział 4.

Tego wieczoru Mack odpoczywał w gaju olbrzymich drzew eukaliptusowych. Od strumienia Hellmana ruszył wyboistą, zakurzoną drogą biegnącą przez równinę pociętą licznymi strumyczkami, nad którymi pochylały się karłowate drzewka. O zmierzchu podniosła się mgła i choć Mack był pewien, że opuścił już posiadłość Hellmana, nie odważył się rozbić na noc obozowiska. Był półprzytomny z głodu. Próbował zapomnieć o tym, wypatrując drogi. Mgła była miękką białą, nadspodziewanie zimna i gęstsza od wszystkich mgieł, jakie kiedykolwiek widział.

Nagle posłyszał tętent kopyt końskich. Pośpiesznie ukrył się za pniem eukaliptusa, ściskając w rękę nóż. Znowu poczuł suchość w ustach, tym razem ze strachu. Czyżby Hellman wysłał kogoś, żeby sprawdził, czy Mack rzeczywiście wyniósł się z jego ziemi?

Mgła stała się w jednym miejscu ciemniejsza i Mack zdołał dostrzec sylwetkę konia i jeźdźca. Przybysz miał na sobie rozwianą pędem powietrza pelerynę. Kiedy Mack dostrzegł długie włosy jeźdźca, nie miał już wątpliwości, kto to jest.

- Panno Hellman - zawołał, wychodząc z ukrycia.

Dziewczyna gwałtownie ściągnęła cugle czarnego wierzchowca. Peleryna - rodzaj meksykańskiego poncho - opadła, okrywając jej plecy, ramiona i pierś.

- To naprawdę pan?

- Tak, proszę pani.

- Świetnie. Wiedziałam, że robotnicy z rancza ojca będą zbyt leniwi, żeby szukać pana porządnie w tej mgle. Ale mnie, skoro już coś sobie postanowię, nic nie powstrzyma. Mogę zsiąść z konia?

W pytaniu tym brzmiało nieznaczące napięcie. Mack wiedział, że ta dziewczyna jest osobą bardzo światową i że

nieraz zdarzało się jej już bawić w kotka i myszkę z mężczyznami. Była przecież żoną hrabiego. Mimo to fascynowała go. Odrzuciła do tyłu pelerynę i zsunęła się z konia. Miała na sobie białą bluzkę, spodnie i złotą wstążkę we włosach.

- To jest główna droga na zachód. Pomyślałam, że pewnie nadal pan nią idzie i że jeszcze nie opuścił pan rancza.

- To jest ranczo? Wygląda raczej na farmę.

- Musi się pan jeszcze dużo nauczyć o Kalifornii. - Roześmiała się. - Tutaj farmy nazywa się ranczami. Ale może by mi się pan przedstawił.

- James Macklin Chance.

- Jim...

- Nie. Nazywają mnie Mack - powiedział, kiedy wyciągnęła do niego rękę. Choć była to starannie wypielęgnowana kobieca dłoń, Mack poczuł, jak bardzo jest silna. Carla trzymała jego rękę dłużej, niż było to konieczne.

- W takim razie - Mack. Mogę usiąść na chwilę?

- Ależ oczywiście. Najlepiej tutaj - powiedział, rozpościerając na ziemi chustę. - Niestety nie mam żadnej derki.

- Ależ nie jest potrzebna - oświadczyła dziewczyna rozkładając swą pelerynę i siadając na niej z wdziękiem. Mack uświadomił sobie nagle, że są tu sami, pośród cichej, białej mgły. Carla wskazała mu miejsce obok siebie, ukląkł więc na pelerynie, zachowując jednak między nimi przyzwoitą odległość.

- Twój ojciec kazał mi się wynosić ze swojej ziemi, ale nie wiem, gdzie kończy się jego posiadłość. Może w Chinach?

Znowu się roześmiała.

- Prawie. Czy gdybyś wiedział, gdzie jest granica jego posiadłości, opuściłbyś ją? Skinął potakująco głową.

- Nie wierzę ci. Naprawdę cię podziwiam. Tata jest wpływowym człowiekiem. I, jak widziałeś, potrafi być niebezpieczny. Szczerze mówiąc, nigdy nie sądziłam, że znajdzie się człowiek, który będzie miał odwagę sprzeciwić się papie tak, jak ty to uczyniłeś. Jesteś wyjątkowo odważny.

- Byłem po prostu spragniony.

- Walter zazdrości ci tego, co zrobiłeś. On nigdy nie odważyłby się sprzeciwić memu ojcu.

- Jest prawnikiem twego ojca?

- Jednym z wielu prawników. Walter zrobił na ojcu duże wrażenie, ponieważ pochodzi z jednej z najstarszych kalifornijskich rodzin. Papie zaś zależy na tym, żeby szanowano go w San Francisco tak, jak krowy szanują byka - przewodnika stada.

Jej słowa sprawiły, że Mack poczerwieniał. Młode dziewczęta nie powinny mówić w ten sposób. W każdym razie córki walijskich i irlandzkich górników nigdy nie użyłyby takich określeń.

- Swampy nie jest zbyt dobrym ojcem, ale trzeba mu przyznać, że na interesach zna się jak mało kto. Henry Miller, inny Niemiec - naprawdę nazywa się Kreiser - ma milion czterysta tysięcy akrów. Ale tata ma ich niewiele mniej - milion dwieście tysięcy.

Mack gwizdnął z podziwu.

- Czemu twój ojciec nosi takie dziwne przezwisko?

- Z powodu czegoś, co ludzie określają „zbagnionymi sprawami” (Swamp (ang.) - bagno (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)). Zbyt skomplikowane, aby się w to wgłębiać. Mój ojciec, jak i Miller dorobili się majątku dzięki takim sprawom, ale tata nienawidzi ludzi, którzy określają go tym mianem. Ja często drażnię się z nim w ten sposób.

- Zauważyłem. Wyglądał wtedy tak, że omal się nie roześmiałem. Ale kiedy wymierzył we mnie broń, wcale nie wydawał się zabawny.

- Tata traci poczucie humoru, a także dobre maniery, kiedy w grę wchodzi pieniądze i jego własność. Doprowadził do bankructwa więcej konkurentów niż zdołałabym ich zliczyć. Ciebie zaś potraktował po prostu obrzydliwie. Jedną z przyczyn, dla których pojechałam za tobą, jest to, że chciałam cię za niego przeprosić. Usprawiedliwić go. Żebyś nie myślał tak bardzo źle o Hellmanach...

- Cóż, nieprędko zapomnę o twoim ojcu - odparł. „Nierzęsto spotyka się takich sukinsynów” - dodał w myślach. Odchrząknął. - Czy Walter jest twoim narzeczonym?

- Z pewnością chciałby nim być - odparła, oplatając rękoma kolana. - Nie mam żadnego narzeczonego. Byłam żoną polskiego hrabiego... słyszałeś już o tym. Wciąż jeszcze mam to świeżo w pamięci. Ale lepiej pomówmy o tobie - powiedziała, przechylając się ku niemu.

Kłęczący obok niej Mack zupełnie nie był przygotowany na to, co zrobiła. Zbliżywszy do jego twarzy swe różowe usta, poczęła pieścić jego wargi koniuszkiem języka. Oddech miała słodki, ale wyczuwało się w nim leciutką woń dżinu.

- A więc zgoda między nami, panie Chance?

- Oczywiście, panno Hellman.

Roześmiała się serdecznie słysząc tę odpowiedź. Potem zaś delikatnie dotknęła jego policzka, przesuwając palcami po ciemnej prędze zaschniętej krwi, jaką zostawiło uderzenie bata. - Bardzo cię zranił?

- Trochę. Zagoi się.

- Tata zachował się brutalnie.

- Nie musisz mi o tym przypominać. I tak nigdy tego nie zapomnę - odparł. W jego głosie zabrzmiała groźba.

Te słowa ponownie wprawiły ją w dobry humor.

- Pamiętaj więc - odparła, jeszcze raz w zamyśleniu przesuując palcem po jego policzku.

Mgła poczęła rzednąć. Poprzedniej nocy była pełnia i teraz mgłę rozświetlała perlista księżycowa poświata. Carla wstała i podeszła do konia. Wróciła po chwili, niosąc owinięty kolorową tkaniną pakunek i duży cynowy dzban.

- Przywiozłam ci wodę i jedzenie na drogę - powiedziała.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Och, spodziewam się za to nagrody. - Jej lekko szyderczy ton wzbudził w nim niepokój. Carla fascynowała go, ale także nieco przerażała. Czuł się jak hipnotyzowana przez węża żaba.

Ponownie usiadła obok niego.

- Ta droga zaprowadzi cię do Wheatville, które leży tuż poza granicami posiadłości mojego ojca. Stamtąd będziesz miał pociąg do San Francisco, o ile oczywiście zechcesz w niego wsiąść.

- Nie zechcę.

- Ale przecież tam właśnie zmierzasz.

- Jak najbardziej. Przybywam z Pensylwanii, żeby w Kalifornii dorobić się majątku.

- Ach, więc to tak.

- Wiem, że to wymaga czasu, ale kiedyś tego dokonam.

- Jestem przekonana, że się panu uda, panie Macklinie Chance - uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Wiedziałam, że i tak tam powędrujesz, pomimo ostrzeżeń Waltera. Walter nie jest głupi, ale w pewnych sytuacjach zachowuje się jak skończony idiota. Przywiązuje ogromną wagę do swego anglosaskiego pochodzenia i tego, że jest rdzennym Kalifornijczykiem. Radziłabym ci nie wchodzić mu w drogę. Choć nie wydaje mi się, byś miał kiedykolwiek obracać się w tych samych kręgach co on. On ma znakomite koneksje i mnóstwo znajomości. Jego ojciec i wuj kierują wielkim bankiem Fairbanks Trust.



- Będę trzymał się od niego z daleka, o ile on będzie się trzymał z daleka ode mnie.

- Uparty z ciebie gość. Lubię takich. Walter jest taki sztywny. Wszystko, co robi, jest zawsze przemyślane i wyważone. Typowy prawnik: żadnych wzruszeń, żadnych namiętności - powiedziała, opierając się plecami o pień eukaliptusa. Jej złota wstążka zaśniła we mgle i wydawała się teraz całkiem biała. Zobaczył rysujące się pod bluzką piersi i na moment ogarnęło go podniecenie. - Opowiedz mi o sobie - poprosiła.

- Cóż, mój pradziadek był wędrownym garncarzem w Anglii. Dziadek prowadził dom publiczny w Londynie, ale sprzedał go, żeby wyjechać do Ameryki. Ściślej - do Ohio, gdzie urodził się mój ojciec. James Ohio Chance - oto jak brzmiało jego nazwisko. Przybył tutaj podczas gorączki złota. Tu też poznał i poślubił irlandzką dziewczynę, co się nieczęsto zdarzało wśród protestantów.

- Chodziłam do katolickiej szkoły dla dziewcząt w pobliżu Monterey - przerwała mu Carla. - Pod wezwaniem św. Urszuli. U tamtejszych zakonnic uczyło się wiele dziewcząt z dobrych rodzin protestanckich. Jednak nudziłam się tam i płatałam takie figle, że kiedy miałam jedenaście lat, Swampy wysłał mnie do Europy. Zanim skończyłam szesnaście lat, byłam w Europie aż trzy razy.

- Z ojcem i matką?

- Z opłaconą opiekunką. Swampy został w Kalifornii. Nie znałam mojej matki. Uciekła od ojca, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem.

- I właśnie w Europie poznałaś tego polskiego hrabiego?

- Bolesława? Tak. Towarzyszył mi w drodze powrotnej do kraju i tata namówił mnie, żebym za niego wyszła. To był wielki błąd, ale Bolesław wydał mi się tak przystojnym

mężczyzną, że nie miałam nic przeciwko temu... - Zadrzała nagle. - Ta mgła jest taka zimna. Chodź tu bliżej i ogrzej mnie.

Mack przysunął się i nieśmiało objął ją ramieniem. Przytuliła się doń mocno, kładąc dłoń na jego kolanie. Ogarnęło go gwałtowne pożądanie. Członek tak mu zeszywniał i stwardniał, że musiał odsunąć się nieco, by Carla tego nie poczuła.

- Nigdy nie spotkałam człowieka podobnego do ciebie, Macku Chance. Jesteś bardzo odważny, a jednocześnie strasznie nieśmiały,

- Nie, nie... To ty mnie tak onieśmielasz. Niewiele wiem o bogatych dziewczętach.

- A więc już czas, żebyś się tego i owego nauczył. To będzie twoja pierwsza lekcja - zbliżyła usta do jego piersi. Poczul przez koszulę ciepło jej oddechu i wodzący po jego ciele język. - A teraz druga lekcja - powiedziała po chwili. - Kiedy nie mogę dostać tego, czego pragnę, nie rezygnuję szybko. - Czujesz ciepło? - zapytała pieszcząc jego włosy i całując go. - Walter Fairbanks zapewne posunąłby się nawet do morderstwa, gdyby dzięki niemu mógł się znaleźć na twoim miejscu.

- Nie jestem Walterem Fairbanksem.

- I Bogu dzięki - odparła, przesuwając językiem po jego policzku. - Właśnie dlatego pomożesz mi zapomnieć.

- Zapomnieć o czym? - zapytał

- O paru ostatnich latach. Bolesław, ten hrabia, choć bardzo przystojny, jako mąż okazał się strasznym człowiekiem. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy się upijają, ale jego nałóg był znacznie gorszy. Opium. I zupełnie zaniedbywał małżeńskie obowiązki w sypialni. Lubił natomiast wynajmować tych przerażająco zdeprawowanych ludzi, jakich pełne są ulice miast, i patrzeć... Cóż, całe szczęście, że się od niego uwolniłam. - Ponownie zadrzała. -

Nigdy nie przypuszczałam, że małżeństwo może pozostawić na człowieku blizny, ale z moim tak właśnie było.

Mack był zbyt wstrząśnięty, by powiedzieć cokolwiek. Uśmiech Carli stał się teraz nieco niepewny i smutny.

- Ja także wkrótce wybieram się do San Francisco. Co prawda, tylko z krótką wizytą. Na zakupy i dla kilku spotkań towarzyskich. Choć, właściwie, najbardziej lubię być sama, bo pozwala mi to uwolnić się od złych wspomnień. - Znowu go pocałowała. - Ale ty mógłbyś mi pomóc zapomnieć. - Zaśmiała się nagle. - Czy potrafisz wyobrazić sobie minę Swampy'ego, gdyby wiedział, że kocham się z człowiekiem, który nie ma grosza przy duszy?

Podziałało to na Macka jak kubeł zimnej wody. Odsunął się i zerwał się na nogi.

- Coś nie w porządku? - zapytała, także wstając.

- Panno Hellman, nie chcę, żeby w ten sposób załatwiała pani porachunki ze swoim ojcem.

Uderzyła go w twarz. Gniewnie chwycił ją za rękę, ale ku jego zdumieniu Carla roześmiała się i objąwszy go za szyję, przycisnęła usta do jego warg. Zadrżał, czując dotyk jej ciała.

- To nie tak, wcale nie tak, mój drogi - szepnęła, przytulając się do niego. Mack czuł się tak, jakby jego ciało miało za chwilę eksplodować. - Chcę się z tobą kochać - dodała. - Tak bardzo mnie podniecasz. Rozbierzemy się... - Zdjęła wstążkę i lśniące, złociste włosy opadły jej na ramiona. Zza białego welonu mgły wyrztał bladossrebrny księżyc.

Mack rozpiął guziki jej bluzki. Zrzuciła ją, po czym sama rozluźniła sznurówkę gorsetu. Miała duży, ciężki biust i ciemnobrązowe sutki. Pochylił się, całując jej piersi, ona zaś odchyliła głowę, jęcząc cicho, po czym ponownie objęła go, obsypując pocałunkami jego szyję i ramiona.

Nagle znieruchomiała.

„Co ja robię?" - pomyślał Mack, nie mógł się jednak powstrzymać od dotykania jej i tulenia do siebie.

- Powinniśmy postarać się, żeby było nam tak dobrze, jak tylko to możliwe - powiedziała Carla. - Poczekaj chwilę. - Wolnym, zmysłowym krokiem podeszła do swego konia i odczepiła od siodła jeszcze jeden olbrzymi dzban. - Wykapmy się.

- Co takiego ?

- Proszę, wykap się pierwszy. Przykro mi, że ci to mówię, ale śmierdzisz jak chłopak stajenny. Nie jest to zbyt romantyczne.

W jednej chwili Macka ogarnęło uczucie upokorzenia i gniewu. W geście udawanej skromności Carla kokieteryjnie zakryła biust gorsetem.

Wyjął korek i zamachnąwszy się wychlusnął wodę. Przyglądał się, jak błyskawicznie wsiąka w wysuszoną ziemię. Dziewczyna patrzyła nań z niedowierzaniem.

- Cóż, u licha...

- Posłuchaj. Być może jestem facetem, który nie ukończył za wielu szkół, ale nie masz prawa traktować mnie jak służącego. Nie będziesz mi rozkazywać. Ubieraj się i wracaj do domu.

Kopnął dzban, który potoczył się i uderzył ją w nogi tak mocno, że krzyknęła z bólu. Chwilę później odjeżdżała już galopem na wschód, niemiłosiernie okładając szpicrutą swego wierzchowca.

Jeszcze przez jakiś czas Mack widział jej jasne, rozwiane włosy, lśniące w świetle księżyca.

Mack przesiedział bezsennie całą noc, wsparty o szorstki pień eukaliptusa. Jasny krąg księżyca lśnił ponad zagajnikiem. W jego świetle Mack rozwijał i zwijał złotą wstążkę.

Zaprzepaścił szansę kochania się z tak piękną dziewczyną. Cóż, nic na to nie mógł poradzić. To prawda, że była piękna i

nie wahała się okazywać mu swych względów, ale cóż z tego? Była zepsutą kobietą, nawykłą do tego, że jej zachcianki natychmiast są spełniane, podobnie jak przywykł do tego ten Niemiec, jej ojciec.

Mack bardzo chętnie by się z nią kochał. Ale nie tak, jak ona to sobie wyobrażała.

Westchnął głęboko i złożony wstążkę, umieścił ją między stronami książki T. Fowlera Hainesa, jak gdyby chcąc choć na chwilę odsunąć od siebie wspomnienie jej włosów, oczu, dłoni i nagiego ciała Dziwna dziewczyna Z pewnością wpędzi w kłopoty - i to niemałe kłopoty - każdego mężczyznę, który jej zapragnie.

Ale czemu akurat on miałby się tym martwić? Przecież nigdy więcej jej nie zobaczy.

## Rozdział 5.

Kłopoty, z jakimi w ostatnich czasach musiał się borykać, sprawiły, że nie miał sił w pełni cieszyć się z tego, że jest już tak blisko San Francisco. Nawet kiedy dotarł do Wheatville, małego miasteczka leżącego przy torach kolejowych wiodących do Oakland i Frisco, nie poprawiło to jego nastroju. Coraz częściej spotykał obdartych mężczyzn, pracujących na polach pszenicy, których wszystkie doczesne dobra mieściły się w zrolowanych na plecach derkach.

Kiedy nieoczekiwany deszcz zmusił go do szukania schronienia na jednej z głównych ulic, przypadkowo potknął się tam o odzianego w łachmany człowieka, który nieprzytomny leżał w błocie między dwiema kałużami. Był to stary Indianin. Mack, odwróciwszy go na plecy, zobaczył pociągłą, ciemną twarz, wysokie czoło i ciemne włosy, bez jednego pasemka siwizny, pomimo iż człowiek ów miał już swoje lata. Na czole Indianina widniała rana, z której sączyła się krew.

Mack zaciągnął go na zaplecze jakiegoś sklepu i oparłszy o ścianę zaczął cucić. Kiedy stary Indianin odzyskał przytomność, powiódł Macka między pełnymi mrowiącymi się ludźmi rudarami do swego domu. Gestem zaprosił go do środka.

Śmierdziało tam zepsutym mięsem, ale Mack był szczęśliwy, że może skryć się gdzieś przed deszczem. Indianin rozpałił ogień w małym piecyku i poczęstował gościa czerwonymi jagodami i smaczными korzeniami, które wymagały jednak długotrwałego przeżuwania. Mack pomógł starcowi przemyć krwawiącą ranę.

- Napadło na mnie trzech spośród tych bezdomnych, obdartych ludzi, którzy sypiają na ulicach - powiedział Indianin. - Nie znaleźli przy mnie nic, co mogliby ukraść, ale i tak mnie pobili. Postąpiliby tak samo, gdybym był Chińczykiem.

- Czemu stąd nie wyjedziesz? Czy stąd pochodzisz?

- Pochodzę z południa. Ale nie mam już tam domu. Najmuję się do pracy w polu. O ile biali ludzie pozwolą mi pracować - dodał. Przez chwilę obserwował Macka uważnie. - Podoba ci się w Kalifornii?

- Tak, owszem. Jestem tutaj od niedawna. Przybyłem po to, żeby zbić majątek.

- Ha! - wykrzyknął starzec, ukazując w wesołym uśmiechu brązowe zęby. - A więc chcesz zostać wyzyskiwaczem. Nasi ludzie dobrze takich znają. Jeden z moich przodków wstąpił do misji San Luis Rey de Francia, ale traktowano go tam nie lepiej niż niewolnika. Zakonnicy za pieniądze wynajmowali go ranczerom do pracy, a kiedy protestował lub okazywał nieposłuszeństwo, karali go chłostą, oczywiście „dla dobra jego duszy”. Mój ojciec, jako młody człowiek, miał pueblo w Los Angeles, ale stracił je, kiedy ziemie te zajął Meksyk. Pracował na ranczo jako robotnik rolny. Płacono mu w każdy piątek. Nie pieniędzmi jednak lecz wódką. W sobotę był całkowicie pijany, o co właśnie chodziło jego pracodawcom. Niedzielę spędzał w więzieniu, a w poniedziałek wyprowadzano go i innych jemu podobnych, by sprzedać ich usługi ranczerom. W piątek kończyli pracę, otrzymując za nią zaledwie kilka centów. Resztę znów wypłacano im w wódcę... - Indianin wzruszył ramionami. - W Kalifornii są tylko dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy wyzyskują, i ci, których się wyzyskuje.

- A więc jeśli chcę mieć pieniądze, muszę znaleźć się pośród tych wyzyskujących? Indianin odpowiedział mu pełnym powagi skinieniem głowy.

- Jesteś dobrym człowiekiem, skoro pomogłeś staremu Indianinowi pobitemu na ulicy. Ale nawet w twoim wypadku jest to jedyny sposób. Tak to się już dzieje w Kalifornii.

Najpierw Hellman i jego prawnik próbowali rzucić cień na jego marzenia, a teraz ten smutny starzec robił to samo, snując swe gorzkie wspomnienia. Mack milczał, ale w głębi duszy poprzysiągł sobie dowieść, iż nie mieli racji.

Rankiem ponownie wyruszył w drogę, wędrując wzdłuż linii kolejowej. Pałące słońce szybko osuszyło ziemię po wczorajszym deszczu. Około południa natknął się na pracującą przy torach czterdziesto- czy pięćdziesięcioosobową grupę mężczyzn, którzy mimo upału zapamiętale wymachiwali łomami i łopatami i pchali ciężkie taczki.

Mack napił się z manierki, w której pozostało zaledwie kilka łyków wody, i zbliżył się do robotników. Większość mężczyzn była rozebrana do pasa, a ich ciała lśniły od potu tak, że skóra wyglądała jakby posmarowano ją oliwą. Wśród pracujących było kilkunastu Chińczyków, drobniejszych i bardziej ruchliwych od białych. Dostrzegł, że te dwie grupy - biali i żółci - nie rozmawiają ze sobą.

Wzdłuż torów biegał ze szczekaniem owczarek collie. Jeden z robotników zamierzył się na niego łopata.

- Wynoś się stąd, Ruffo. Pilnuj tego przekłętego psa, O'Malley, albo go zabiję!

Inny robotnik zagwizdał i krzyknął coś. Pies natychmiast skrył się w cieniu rzucanym przez stojącą nie opodal platformę. Posiedział tam przez chwilę, po czym znowu wybiegł i zaczął szczekać.

- Ruffo, ven agui! - wrzasnął jakiś człowiek. Mack popatrzył w tamtą stronę. Obok zaprzęzonego w muła wozu stał mężczyzna ubrany w ciężki czarny strój. Owczarek podbiegł do niego i zanurzył pysk w misce z wodą, którą przed nim postawiono. Teraz dopiero Mack dostrzegł na szyi mężczyzny koloratkę. To wyjaśniało, czemu nosił ten dziwny, ciemny strój.



Wóz zastawiony był beczkami, w których zapewne znajdowała się woda. Podszedł bliżej, lekceważąc niechętnie spojrzenia rzucane mu przez robotników.

- Buenos dias, desconocido - przywitał go ksiądz.

- Nie mówię po hiszpańsku. Czyżbym wyglądał na człowieka, który powinien znać ten język?

- Wręcz przeciwnie - odparł duchowny, składając ręce. - Wyglądasz na takiego, co dopiero niedawno znalazł się w Kalifornii.

- Po czym ksiądz to poznaje?

- Po twoim nosie - odparł tamten z rozbijającym uśmiechem. - Po twoich policzkach, różowych i łuszczących się. A także po twoim ubraniu. Wybacz mi, ale wygląda ono tak, jakby miało za sobą długą drogę.

- Racja.

Ksiądz z zadowoleniem pokiwał głową.

- Zwróciłem się do ciebie po hiszpańsku z przyzwyczajenia. To mój ojczysty język, którym mówi wielu ludzi w Kalifornii. Jeśli masz zamiar zostać tu dłużej...

- Na stałe.

- Excelente. Radzę więc, byś zapoznał się z espanol. Na pewno ci się to opłaci. Mack uważnie przyjrzał się duchownemu. Liczył sobie około dwudziestu pięciu lat, był dobrze zbudowany, miał kwadratową twarz o niskim czole i szerokim nosie. Na jego ubraniu widniały ciemne plamy potu. Piuwe, szeroko osadzone oczy przypominały spojrzenie starego Indianina, z którym Mack rozstał się niedawno. Nie mógł odgadnąć, czy ksiądz jest Meksykaninem, Indianinem czy też mestizo.

- Upalny dzień wybrałeś sobie na podróżowanie - ciągnął ksiądz. - Sądzę, że masz ochotę się napić.

- Dziękuję. Właśnie skończyła mi się woda - wskazał palcem zwisającą z ramienia manierkę.

Duchowny podszedł do najbliższej beczki i wyjąwszy szpunt nalał Mackowi wody. Była ciepła. Wypiwszy łyk, Mack wylał sobie resztę na głowę. Ksiądz roześmiał się.

- Dziękuję - powiedział Mack. - Chcę się dostać do San Francisco.

- A skąd wędrujesz?

- Z Pensylwanii. Nazywam się Macklin Chance.

- Witamy w Kalifornii, panie Chance. Jestem ojciec Marquez. Diego Marquez. W przeciwieństwie do tych dobrych ludzi, którzy w pocie czoła pracują tu dla Southern Pacific, urodziłem się w tym stanie.

Mack wskazał ręką na wóz i rzekł z wahaniem.

- A ja myślałem, że to przedsiębiorstwo nazywa się Central Pacific.

- Kiedyś nosiło taką nazwę. Ale dwa lata temu właściciele utworzyli nową kompanię o nazwie Southern Pacific i ta nowa linia kolejowa tak właśnie ma się nazywać. Wielka Czwórka, ci czterej bandyci, założyła to przedsiębiorstwo w Kentucky, ponieważ przepisy dotyczące kolei są tam znacznie łagodniejsze. Dozwolony jest niemal każdy występki przeciwko dobru publicznemu i każda nieuczciwość wobec robotników.

- A ty przywozisz tym ludziom wodę?

- Ktoś musi to robić. Właściciele kompanii nie czują się za nich odpowiedzialni - powiedział krzywiąc się. Zatkanął beczkę. Jego ruchy były szybkie i energiczne.

- Wygląda na to, że nie jest tu aż tak źle - zauważył Mack.

- Czy w Kalifornii macie dość wody?

- Tylko pod warunkiem, że szuka się jej we właściwym miejscu. Chodź bliżej i skryj się w tej odrobinie cienia, jaką tu mamy.

Podrapawszy muła za uszami, Marquez ściągnął swe ciężkie okrycie, pozostawiając jedynie koloratkę i czarny

fartuch, którym był przewiązany w pasie. Nie nosił koszuli. Miał szerokie, grube ramiona i Mack pomyślał, że wygląda jak byk.

Marquez okrążył wóz i zerknął ponad rozpaloną słońcem równiną ku zamglonemu pasmu gór. Od strony robotników dolatywały odgłosy uderzeń młotów, za pomocą których mocowano podkłady kolejowe, przekleństwa pracujących i pogróżki nadzorcy, krępego mężczyzny z rewolwerem u boku.

- Woda to najważniejsza sprawa w Kalifornii - powiedział Marquez. - Jedną z przyczyn, dla których mamy jej zawsze za mało, jest to, że pora deszczowa w zimie trwa bardzo krótko. Inna sprawa, że znaczenia wody zupełnie się tu nie docenia. Mój przodek, który jako pierwszy przybył do Kalifornii, był kastylijskim żołnierzem. Przymaszerował tu z Baja wraz z wyprawą Portoli i ojca Junipero Serry. Ta wyprawa miała miejsce w latach 1769 i 1770. Pozostawił po sobie pamiątkę, który przechowuje się w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Mój przodek uważał, że ziemia ta zupełnie nie nadaje się do tego, by zakładać na niej farmy - właśnie z powodu braku wody. Indianie byli tego samego zdania. Ale mylili się. Zakonnicy wiedzieli o tym i właśnie dlatego popełnili tak wiele zbrodni, ograniczając wolność tubylców. Posiali kukurydzę i jęczmień, zasadzili oliwki i winorośl wierząc w cud, jaki woda potrafi uczynić z tą jałową ziemią. Udzielili tej lekcji tym nielicznym Kalifornijczykom, którzy mieli ochotę się czegoś nauczyć.

- Ale nadal jest tu niewiele wody.

- Tutaj - owszem. Ale czy widziałeś położone wysoko pola w Sierra? Topniejący śnieg tworzy tam wiosną wodospady. Powstają wtedy liczne strumienie i potoki.

- Niewiele mogłem zobaczyć wędrując przez góry w zawiejach śnieżnych. W oczach Marqueza pojawił się szydrczy błysk.

- Powiadam ci, przyjacielu, gdyby woda mogła w jakiś sposób popłynąć w doliny, ta ziemia rozkwitłaby jak ogród. - Zmarszczył brwi i jego czoło przecięła gruba, pionowa bruzda, odbierając jego twarzy wyraz łagodności i czyniąc ją wręcz surową. - Ale byłby to ogród zroszony potem i krwią tych, którzy pracują na innych. I to za głodową zapłatę.

Mack pokręcił głową.

- Z czym to się tak nie zgadzasz? - zapytał go Marquez. - Z tym, co mówiłem o wodzie, czy też o pracy i wyzysku?

- Źle mnie zrozumiałeś, ojcze. Za mało się na tym znam, aby móc się z kimś nie zgadzać. Kręciłem głową, ponieważ... Cóż, tam na wschodzie, wśród irlandzkich górników, spotkałem bardzo wielu księży. Ale żaden z nich nie był podobny do ciebie. Jak niewolnik wozisz na tym pustkowiu wodę dla robotników. To zdumiewające.

- Wcale nie. Przybyłem tu z San Francisco na polecenie Komisji do Spraw Pracowników Najemnych. Papież Leon XIII wydał liczne odezwy skierowane do ludzi pracy na całym świecie, zachęcając takich jak ja do działalności na rzecz robotników. Zalecał nawet, by zmniejszać w ten sposób wpływy związków zawodowych. Moim zdaniem Ojciec Święty nie uczynił jeszcze tego wszystkiego, co powinien. Ale jest to zdanie mniejszości. Zdecydowanej mniejszości - podkreślił z uśmiechem. - Powiedz mi, po co przebyłeś całą tę drogę z Pensylwanii? - zapytał, uważnie przyglądając się Mackowi.

Mack nie chciał, by ksiądz uznał go za człowieka chciwego. Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Żeby mi się lepiej wiodło.

- W jakim sensie? Majątkowym?

A więc ksiądz rozszyfrował go.

- Tak.

- To całkowicie zrozumiałe. To miejsce zostało pobłogosławione na wiele sposobów. Obdarzono je wspaniałym pięknem natury, jak i wspaniałą ziemią pod uprawę. Dobrodziejstwem jest nawet to słońce, choć latem wydaje się ono raczej przekleństwem. Mimo to wielu z tych, co przybywają tu w poszukiwaniu bogactwa, nigdy go nie znajduje. - Utkwił w Macku spojrzenie swych brązowych oczu. - Wielu też schodzi na nieuczciwą drogę, kiedy te poszukiwania stają się ich obsesją.

Mackowi nie bardzo przypadły do gustu słowa młodego księdza. Doskonale wiedział, czego chce, a czego nie. Nikt nie miał prawa być jego sumieniem. Nie życzył sobie, by tacy ludzie jak Hellmanowie, stary Indianin czy też jakiś katolicki duchowny rzucali cień na jego marzenia.

Myślał właśnie, co powinien odpowiedzieć, kiedy do ich uszu dobiegł od wschodu przeciągły gwizd. Nadzorca wyjął z kieszonki wielki srebrny zegarek.

- Przerwać pracę! - zawołał.

Robotnicy stanęli wzdłuż torów w szeregu, trzymając narzędzia u nóg, jakby były to karabiny. Pociąg nadjeżdżał z hukiem, przypominającym łoskot lawiny. Buchająca z lokomotywy para wzbijała w powietrze tumany pyłu. Znowu odezwał się gwizd i dzwonek. Hałas obudził owczarka, który z głośnym ujadaniem wybiegł z ukrycia.

- Któż jedzie tym pociągiem? Prezydent? - zapytał Mack.

- W Kalifornii ludzie pracujący przy torach mają obowiązek stać na baczność w szeregu, kiedy przejeżdża pociąg. - Aby pokazać, jaki jest jego stosunek do tego przepisu, Marquez splunął tuż obok swych zakurzonych sznurkowych sandałów.

Pociąg wprawiał w drżenie ziemię. Owczarek podskakiwał, czekając bez wytchnienia. Lokomotywa była już niecałe pół mili od nich. Pociąg składał się jedynie z

pojedynczego, lśniącego złoceniami, pasażerskiego wagonu, węglarki i lokomotywy. Stevensa z wielkimi reflektorami i buchającym dymem kominem. Nic dziwnego, że ziemia trzęsła się pod kołami tego osiemdziesięciośmionowego potwora.

Z zarośli po drugiej stronie torów wyskoczył nagle dziki królik. Owczarek szczechnął i rzucił się przed siebie, by go złapać. Tęgi mężczyzna, ten sam, który wcześniej złościł się na psa, zamachnął się łopata i jej kantem rozplątał owczarkowi bok. Przez narastający huk zbliżającej się lokomotywy Mack usłyszał przeraźliwe skomlenie. Pies zrobił jeszcze kilka kroków i padł wprost na torach.

- Ruffo! - zawołał właściciel psa, wyrywając się z szeregu i biegnąc ku leżącemu zwierzęciu.

Brygadzysta wyciągnął rewolwer.

- Wracaj do szeregu, O'Malley! Znasz rozkaz gubernatora. - Na litość boską - wrzasnął Mack, rzucając się ku torom. Tuż za nim biegł ksiądz. Lokomotywa była już tuż obok.

O'Malley chwycił owczarka i ściągnął go z torów, jednak sam stracił równowagę i upadł wprost na szyny. Ostrzegawczy krzyk Macka utonął w ogólnej wrzawie, kiedy olbrzymi pług lokomotywy uderzył O'Malleya i wyrzucił go w powietrze. Ciało mężczyzny wpadło wprost pod koła, które odcięły mu głowę i zmiażdżyły tułów, rozpryskując wokół torów olbrzymie fontanny krwi. Mack dostrzegł na lokomotywie wielki, lśniący napis: EL GOBERNADOR. Komin zdobiły złocone litery: S.P.R.R. Minał ich lakierowany wagon pasażerski. Wszystkie jego okna, poza jednym, były puste. W tym jedynym oknie stał otyły, brodaty mężczyzna, gestem podniesionej dłoni pozdrawiający robotników. Chwilę później pociąg zniknął w oddali.

Mack zachwiał się na nogach, przecierając oczy. Wszystko stało się tak szybko, że miał wątpliwości, czy rzeczywiście się wydarzyło, czy mu się to po prostu nie przyśniło. Wciąż jednak miał w pamięci twarz pasażera pociągu, a czerwona miazga na żwirowym nasypie była z pewnością realna. Poczul, że ma mokrą twarz. Otarł ją i spojrzal na dłoń. Była czerwona. Czerwone były również twarze trzech innych mężczyzn, którzy stali najbliżej O'Malleya. Owczarek skamlał, próbując wstać, ale nie mógł dźwignąć się na nogi.

Jeden z robotników z wahaniem zbliżył się do trupa.

- Jezu, gdzie się podziała reszta... - zakrztusił się i opadłszy na kolana zaczął gwałtownie wymiotować.

Marquez stanął na torach i popatrzył w ślad za znikającym pociągiem. Twarz miał purpurową.

- Niech go Bóg skaże. Ten biedny człowiek nie miał nawet szans zmówić ostatniej modlitwy. - Popatrzył na Macka i podał mu swoją chustkę. - Otrzyj krew.

Mack ocierał czoło i policzki mając wrażenie, że już nigdy nie będzie czuł się czysty.

- Kim był ten tłusty sukinsyn?

W ciszy, jaka zapadła po tym pytaniu, skomlenie psa wydało się jeszcze głośniejsze.

- Gubernator Leland Stanford. Jeden z czwórki, która buduje tę kolej.

- Ten przeklęty maszynista musiał widzieć człowieka na torze.

- Oczywiście. Ale pociąg jechał za szybko, by można było go zatrzymać.

- Stanford widział chyba tryskającą krew.

- Wątpię. Ale jeśli nawet, co z tego? Cóż go obchodzi to, że jakiś pracujący tu dorywczo robotnik stracił życie? Kiedy budowano linię kolejową w górach, takie rzeczy zdarzały się

setki razy. I jeszcze jedno: ten pociąg nigdy się nie zatrzymuje. W żadnym wypadku. - Marquez zamilkł na chwilę i zerknął ponad ramieniem Macka na martwego człowieka. - Czy twój żołądek wytrzyma, jeśli pomożesz mi przy zwłokach?

- Chce go ksiądz pochować?

- Nie. Pięć mil stąd jest jakieś miasto. Zabiorę tam to, co z niego zostało, i spróbuję odnaleźć jego krewnych. Muszę to zrobić szybko, bo jeśli go tu zostawię, natychmiast zacznie gnić w tym upale.

- Dobra, jestem gotów - powiedział Mack, z trudem przerykując ślinę i modląc się w duchu, by udało mu się powstrzymać mdłości.

Zepchnęli beczki i ułożyli ciało O'Malleya na wozie pod brezentową budą. Mack dwukrotnie zwymiotował na widok krwi, obsiadających zwłoki much i smrodu. Mimo to poradzili sobie jakoś. Poblady na twarzy i ledwie trzymający się na nogach nadzorca zaproponował im wprawdzie swoją pomoc, ale Marquez posłał mu miazdzące spojrzenie, odszedł więc chyłkiem, by z powrotem zapędzić do pracy przygnębionych robotników. Pies stanął już na nogach utykając i skomląc żałośnie.

Wóz ruszył powoli w stronę oddalonych o pół mili na południe rozstajów, skąd wiodła droga do miasta.

- Opowiedz mi o Stanfordzie i jego współnikach, ojcze - poprosił Mack, idąc obok wozu.

- Jak już powiedziałem, zrealizowanie tego, co sobie zamierzili, pochłonęło w górach setki ludzkich istnień. Kiedy jedni umierali, zatrudniano następnych. Życie ludzkie było niczym więcej jak częścią maszynierii, natychmiast wymienianą w razie awarii. Czy to czyni z nich morderców? Nie wiem. Wiem tylko, że nie są to ludzie tacy jak inni. Są tu bogami. I nie budują tej linii kolejowej z altruistycznych



pobudek. Byli ubogimi sklepikarzami z Sacramento, kiedy wynajęli biednego Theodore Judaha, miłego, pełnego niezwykłych wizji inżyniera kolejowego. Nie obchodziły ich jednak jego piękne patriotyczne marzenia o kraju połączonym siecią stalowych torów. Chcieli po prostu kontrolować handel z kopalniami w Nevadzie. Judah wycofał się z tego, zanim jeszcze ten plan na dobre wprowadzono w życie. Jego także można zaliczyć do tych, którzy umarli za sprawą tej czwórki. W miarę realizacji swego wielkiego przedsięwzięcia nabyli oni olbrzymie posiadłości ziemskie, wielokrotnie oszukując i naciągając rządy Stanów Zjednoczonych i Kalifornii. Zgromadzili wielkie majątki, jedne z największych na naszej planecie. Czy to czyni z nich przestępców, czy tylko zwykłych ludzi interesu, którzy odnieśli sukces?

Dojechali do rozdroża. Marquez skierował wóz w lewą stronę. Zatrzymał muła.

- Pewnego dnia cała ta czwórka osądzona zostanie przez historię. Czekam na ten dzień z niecierpliwością. Tymczasem powiem ci o czymś, co rozsądny człowiek powinien mieć w Kalifornii bez przerwy na uwadze. Istnieją pewne wątpliwości, kto jest w tym stanie potężniejszy: Wszechmogący Bóg czy też kolej.

Mack popatrzył w pogodną twarz księdza. „Tylko ci, którzy wyzyskują, i ci, którzy są wyzyskiwani...” Miał jednak nadzieję, że w rzeczywistości jest nieco inaczej. Wierzył, że istnieje złoto inne od tego, jakie znalazł jego ojciec: pirytu, „złota głupców”.

- Miło mi było poznać księdza - powiedział. Uścisk dłoni duchownego był silny i energiczny.

- Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, senior Chance. I że kiedy już będziesz to miał, nie doznasz rozczarowania. Dziękuję, że towarzyszyłeś mi w tej drodze. Nigdy ci tego nie zapomnę. Bóg z tobą.

Cmoknął na muła i wóz ruszył, skrzypiąc i wzniecając tumany kurzu. Naraz Mack posłyszał szczekanie. Obejrzał się. Pies O'Malleya utykając włókł się zakurzoną drogą w ślad za wozem. Owczarek co chwilę upadał, ale podnosił się i szedł dalej.

Mack zagwizdał, by zatrzymać Marqueza. Ksiądz obejrzał się, dostrzegł psa i zwolnił. Mack pomachał mu ręką i odszedł drogą na wschód.

## Rozdział 6.

Tydzień później, w południe słonecznego, choć chłodnego dnia, Mack stał na pomoście w Oakland. Wyciągnął przed siebie ręce i roześmiał się, nie zważając na zamożnie ubranych pasażerów promu, którzy schodzili właśnie na ląd.

O Boże! Dotarł tutaj. Nareszcie jest na miejscu. Wciągnął w płuca zapach morza - woń słonej wody i ryb. Kilka białych żagli sunęło przez zatokę, a chłodna bryza tworzyła białe grzywy fal. A więc dotarł do Zachodniego Wybrzeża! W milczeniu patrzył na pobliskie wzgórza. Przyglądał się wielkim składom handlowym oraz pastelowym i białym rezydencjom, zdobionym tak pięknie jak weselny tort. Z prawej strony zatoka opływała ląd i stykała się z morzem. Zardzewiały, stary statek parowy, wyposażony prócz bocznych turbin także w maszty z żaglami, płynął kanałem między łodziami rybackimi. Z tej części półwyspu rozciągał się widok na złociste szczyty wzgórz porośnięte nielicznymi drzewami i na otwartą przestrzeń dolin, niczym jeszcze nie zabudowanych.

Mack opuścił ramiona, ale uczucie lekkości pozostało w nim. Nie miał pracy ani pieniędzy, ani nawet pomysłu, jak zdobyć jedno i drugie. Ale miał nadzieję, ogromną nadzieję, i cieszył się tym słonecznym dniem nad zatoką. Odepchnął od siebie złe wspomnienia z podróży.

Nieco dalej, na przystani, obwieszczając to gwizdem odpływał kolejny prom koncernu Southern Pacific. Wyglądał jak biały pływający zamek, na pokładzie którego stali ubrani w garnitury i krawaty dżentelmeni oraz damy z parasolkami. Nie brakowało też licznych biedaków, którzy starali się zarobić na tym statku na życie.

Mack zszedł na dół zmierzając w stronę białego budynku portowego. Ludzie omijali Macka, ponieważ jego broda była

już bardzo długa, a od jego ostatniej kąpieli minął cały tydzień.

Żółto - czerwony napis na budynku portowym głosił: PROM - 15 CENTÓW. Mack zauważył, że kasjer sprzedający bilety przygląda mu się spod oka, odszedł więc stamtąd, starając się opanować uczucie zniecierpliwienia. Przez godzinę zwiedzał handlową część Railroad Avenue, będącą przedłużeniem Seventh Street. W końcu powrócił na przystań. Od brzegu z gwizdem i hukiem silników odpływał kolejny prom. Bilety sprzedawał już teraz ktoś inny: niepozorny człowieczek w grubych, oprawionych w srebrne ramki, okularach.

Mack czekał, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Następny prom, „Contra Costa”, przybił do brzegu dziesięć minut później. Pasażerowie zeszli na ląd, statek zaś począł przygotowywać się do drogi powrotnej. Mack poczekał do ostatniego, wzywającego na pokład sygnału i przeszedł obok kasy w chwili, gdy siedzący w niej człowiek sprawdzał rachunki.

Opalony na brąz młodzieniec klarował liny na rufie promu, podczas gdy inni, stojąc na nabrzeżu, zdejmowali cumy i rzucali je na pokład. Wśród gwizdów i sapania „Contra Costa” odbiła od brzegu. Mack przemknął obok otyłej kobiety, która popatrzyła nań tak, jakby obawiała się gwałtu, i wspiał się na górny pokład, gdzie przycupnął na ławce tuż przy burcie. Wiał tu silny wiatr, niosący ze sobą zapach morza. Słońce nadawało wzgórzom San Francisco płomienny, soczysty wygląd, całkiem inny od wszystkiego, co Mack dotąd widział.

Wkrótce dostrzegł kontrolera, który wśród tłumu pasażerów przeciskał się w stronę górnego pokładu. Skulił się, próbując opanować zdenerwowanie.

- Bilet proszę - powiedział urzędowym tonem niewysoki, podobny do królika człowieczek z bokobrodami.

- Nie mam. Nie miałem pieniędzy. Ale muszę przepłynąć na drugą stronę, ponieważ...

Kontroler odwrócił się tyłem ze znudzoną miną.

- Mix! Portugalczyk! - zawołał. - Mam tu jeszcze jednego pasażera na gapę.

Mack kurczowo chwycił się barierki. Poniżej kłębiły się fale o białych grzywach. W Pensylwanii próbował nauczyć się pływać w starej gliniance, ale nigdy nie uzyskał w tym dobrych wyników.

Mix i Portugalczyk byli marynarzami pracującymi na promie. Jeden z nich, ciemnowłosa i ponury, miał w prawym uchu złoty kolczyk.

- Dajcie mi spokój, do cholery - powiedział Mack, próbując odepchnąć ich, kiedy starali się sprowadzić go na dół. Nie bronił się zresztą zbyt gwałtownie, bał się bowiem, że pobiją go do nieprzytomności. Prom znajdował się już na środku kanału. Jeśli będzie grał na zwłokę, może uda mu się znaleźć po drugiej stronie. - Pozwólcie, że wytłumaczę wam, czemu...

- Southern Pacific nie wsadzi twojej historyjki do banku, chłopcze - powiedział mężczyzna z kolczykiem w uchu. - Jeśli nie masz pieniędzy na bilet, musisz płynąć o własnych siłach. Taka jest zasada.

Drugi z mężczyzn chwycił Macka i otworzył barierkę. Pasażerowie przyglądali się tej scenie z zaciekawieniem i z rozbawieniem. Przerażony Mack szarpnął się do tyłu.

- Nie możecie tego zrobić. Utopię się. Nie umiem pły...

Kopniak w plecy sprawił, że skończył zdanie nieartykułowanym jękiem. Przez chwilę leciał w powietrzu, a potem nad jego głową zamknęły się fale. W ostatniej chwili zdążył jeszcze sięgnąć do kieszeni i wyjąć z niej swój

przewodnik. Kiedy wpadł do wody trzymał go w wyciągniętej dłoni ponad głową.

Parskając i krztusząc się zanurzył się w fale, gdy jednak zaczął poruszać nogami, znalazł się z powrotem na powierzchni. Oprzytomniawszy po chwili, starał się oddalić od huczącego nad głową promu, którego turbiny pryskały mu w oczy fontannami kropel i zalewały głowę słoną wodą. Jeszcze wyżej uniósł książkę. Nagle coś śliskiego otarło się o jego policzek. Dostrzegł przed sobą srebrne oko martwej ryby.

- O, cholera - jęknął.

Na pokładzie promu, za liną odgradzającą ławki dla pasażerów od miejsca dla marynarzy, jakiś ojciec dwojga dzieci wymachując gniewnie rękoma protestował przeciwko tak surowemu potraktowaniu Macka. „To już nie ma znaczenia” - pomyślał Mack.

„Contra Costa” odpływała w stronę jego wymarzonego miasta, a gwizd promu brzmiał jak ironiczne pożegnanie.

Zaczął ruszać rękoma i nogami, instynktownie starając się utrzymać na powierzchni wody. Szybko jednak poczuł zmęczenie. Zaczął opadać na dno, a ruchy jego kończyn stawały się coraz bardziej rozpaczliwe. Wsiadając na statek miał nadzieję, że marynarze nie wyrzucą za burtę pasażera na gapę, ale przeliczył się. Zaczynał tonać. Nagle usłyszał stukot małego parowego silnika. Zobaczył brązowy kadłub oblepiony czarnym szlamem i pojedynczy maszt bez żagla. Za sterem, wymachując gwałtownie rękoma, stał otyły Chińczyk w watowanym zielonym płaszczu z obciętymi rękawami. Miał czarną myckę i cienki warkoczek. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat i był niezwykle gruby.

- Trzymaj się, chłopie. Wyłowię cię - zawołał czystą angielszczyzną.

Zatrzymał łódź i obrócił ją dziobem do fal. Przez okrągłe pokładowe okienko Mack dostrzegł liczne orientalne ozdoby.

Zauważył też wymalowany na burcie napis: „Heavenly Dragon” („Heavenly Dragon” (ang.) - „Niebiański smok”). Mężczyzna wychylił się za burtę. Przez hałas silnika i plusk fal Mack usłyszał jego wołanie:

- Chwyć się mnie! I podkurcz nogi! Zamiast wykonać polecenie, Mack rzucił na pokład łodzi trzymany w rękę przewodnik.

- Oszalałeś? - wrzasnął mężczyzna.

- Uważaj na tę książkę - zawołał Mack. Podkulił nogi i chwycił dłoń mężczyzny. Czuł się śmiertelnie wyczerpany, jednak udało mu się jakoś wdrapać na pokład. Przez chwilę leżał bez czucia na zwiniętych rybackich sieciach, wsparłszy głowę o wypełnione ostrygami wiadro. Chińczyk powrócił do steru. W stronę Oakland płynął kolejny prom.

Wzburzone przezeń fale zakołysały łodzią, ale Chińczyk nic sobie z tego nie robił.

Miał pogodną uśmiechniętą twarz. Obracając sterem, zwiększył obroty silnika.

- Widziałem, jak wrzucili cię do wody. Nazywam się Bao Kee. Łowię w tych wodach ryby.

- A ja mam na imię Mack. Utonąłbym, gdybyś nie przybył na czas. Skurcz żołądka świadczył, że musiał nieźle opić się wody z zatoki, która lepiej

wygląda niż smakuje. Mokry i słaby przechylił się przez burtę i zwymiotował. Bao Kee uśmiechnął się, kierując łódź w stronę Oakland.

Bao mieszkał w rozpadającej się ruderze w ponurej chińskiej dzielnicy nie opodal portu. Powietrze wokół zatłoczonych, koślawych domków śmierdziało smażoną oliwą i jeszcze czymś słodkawym, mdlącym. Mack rozebrał się do majtek i rozwiesił przemoczone ubranie nad staromodnym piecykiem. Gospodarz rozpostarł na podłodze matę, na której

usiedli, i z zatłuszczonego papieru wyjął małą rybkę, by wypatroszyć ją przed smażeniem.

- Bardzo smaczna. - Zdjął z głowy myckę i przygładził dłonią lśniące włosy.

- Dobrze znasz tę zatokę?

- Od dawna mieszkam w Kalifornii. Urodziłem się w tym stanie - wyjaśnił Bao. Opowiedział Mackowi, jak łowi ryby, które odsprzedaje potem restauracjom w mieście, oraz krewetki, które po zasoleniu i zapakowaniu w beczki wędrują do Chin, gdzie uważa się je za wielki przysmak. Mack nigdy w życiu nie widział żadnego jadalnego mięczaka. Bao powiedział mu, że wielu Amerykanów nie jada „owoców morza”, uważając to za barbarzyństwo.

Mack wyjaśnił Chińczykowi, skąd pochodzi i jakie ma plany. Bao z aprobatą pokiwał głową.

- Zawiozę cię do miasta, kiedy tylko będziesz chciał - obiecał. - Bez żadnej opłaty.

Zza okna dobiegł ich jakiś krzyk. Wypadli na zewnątrz. Stary Chińczyk, handlujący zapalkami, wskazał im ręką wózek, którego jedno koło utkwilo w wielkiej wyrwie. Wózek wypełniony był wszelkimi rzeczami, jakie tylko znaleźć można na ulicy: szmatami, gazetami, kawałkami pokruszonego bruku. Otyła kobieta, najwidoczniej żona starego Chińczyka lamentowała, gestami dając do zrozumienia, że we dwoje nie są w stanie wydobyć wózka z dziury.

- Powiada, że jest za ciężki - wyjaśnił Mackowi Bao. Uśmiechnął się i jednym szarpnięciem uwolnił koło. Kiedy odchodził, odprowadzał go szmer uznania i pełne podziwu spojrzenia mężczyzn, kobiet i dzieci. Mack całkowicie zmienił zdanie o tym rybaku. Bao był wprawdzie otyły, ale na pewno nie należał do słabeuszy.



Wróciwszy do domu, Bao położył oczyszczoną i usmażoną na ruszcie rybę na dwóch cynowych talerzach i dodał do niej białego ryżu z kawałkami czegoś czarnego. Napełnił też mocnym owocowym winem dwa porcelanowe kubki. Kiedy gospodarz krzątał się przy piecu, Mack rozejrzał się po jego domu. Na trzech ścianach wisiały trzy, nieregularnego kształtu, lustra. W leżącym pod łóżkiem pudełku po cygarach mieściła się kolekcja kości do gry, kart i ręcznie rzeźbionych, drewnianych kostek domina z wypalonymi oczkami. Na stojącej na półce emaliowanej tacy leżał ręcznie malowany talerz, igły, niewielka oliwna lampka i długa fajka z porcelanowym cybuchem i ozdobnym ustnikiem z kości słoniowej, osadzonym na bambusowej rurce. Mack zauważył w cybuchu zwęglone resztki tytoniu. Dostrzegając zaniepokojenie Macka, Boa wyciągnął z pudełka po cygarach kilka dużych, wypolerowanych kulek i położył je na macie przed sobą.

- Chu - powiedział, wskazując na nie. - Żetony. Lubię grać. To namiętność Chińczyków. Gry hazardowe są jedną z tych rzeczy, które urozmaicają życie w zatoce. Wielu białych ludzi nienawidzi nas za to. - Potrząsnął pięścią przedrzeźniając ich: - Wynoście się stąd, kitajce!

Gestem zaprosił Macka, by usiadł na macie, i podał mu jedzenie.

- Czy zawsze byłeś rybakiem? Boa przecząco pokręcił głową.

- Imiałem się wielu zajęć, jeszcze zanim wyrosłem z chłopięcych lat. Byłem głównym kucharzem na pewnym ranczo w pobliżu Modesto. Nosłem granitowe bloki, gdy budowano winiarnię w Napa. Szorowałem podłogi, czyściłem buty... robiłem wiele rzeczy. Ale wiesz, co jest najtrudniejszym zajęciem? - zapytał, podnosząc kubek z winem. - Utrzymać się przy życiu.

- Biali nie chcą tu Chińczyków, prawda?

- Chcą, ale wyłącznie do pewnych rzeczy. Tylko do pewnych rzeczy - powiedział to spokojnie, ale Mack dostrzegł w jego ciemnych oczach gorycz. - Kalifornia jest moim domem. Nie chcę żadnego innego. Ale pan Kearney z Frisco, przyjaciel robotników, powiada: „Chińczycy muszą stąd odejść!” Tak więc prawo nas dyskryminuje. Nie mogę zostać pełnoprawnym obywatelem. Nie wolno mi posiadać na własność ziemi. Nie dostanę nawet pozwolenia na otwarcie własnego interesu. Jeśli trafię do więzienia... - sięgnął dłonią do swego warkoczyka i uniósł go do góry - prawo Pigtaila powiada, że mogą mi go obciąć. Tak to jest w Kum Saan. - Wzniósł kubkiem wina toast za Macka.

- Co to jest Kum Saan?

- Złota Góra. Ludzie z Kantonu nadali takie miano Kalifornii, kiedy przybyli tu przez morza w czterdziestym dziewiątym roku. Wtedy właśnie zawitał tu mój ojciec.

- Czy był poszukiwaczem złota?

- Tak.

- Tak jak mój.

- Ale żadnego złota tu nie znalazł. Jedyne, co go czekało, to ciężka praca i biali, którzy obawiali się, że ludzie Wschodu potrafią pracować lepiej od nich. Jednak mój ojciec był człowiekiem wytrwałym. I religijnym - to także cecha Chińczyków. Czerpał energię z niewidzialnych sił, które pulsują w przyrodzie.

Kiedy wrócił ze złotonośnych pól z pustymi rękoma, nie załamał się. Znalazł sobie pracę w mieście i wyrabiał cygara. Wielu Chińczyków zajmowało się wtedy wyrobem cygar. Mój ojciec zarabiał dosyć, by sprowadzić tu z domu piękną narzeczoną. Urodziłem się w tym właśnie mieście. W Oakland. Moja matka nie lubiła Kalifornii, jej zawistnych mieszkańców, ciężkiego życia... umarła po dwóch latach.

Rzucił przeciągłe spojrzenie na fajkę i inne przedmioty, po czym z wyraźnym żalem odwrócił głowę. Sięgnął po ostatni kęs kleistego ryżu i przełknąwszy go, otarł ręce o stare czarne spodnie.

- Ojciec zabrał mnie w góry, gdzie budowano kolej dla Cholly Crockera. Byłem jeszcze mały i nadawałem się jedynie do lekkich prac. Ale mój ojciec, zwinny jak małpa, był jednym z tych, którzy zakładali w skałach ładunki wybuchowe. Wielu jemu podobnych spadło w przepaść, innych rozerwała na kawałki nitrogliceryna. Ojciec wiele razy był o krok od śmierci. W 1869 nie udało mu się

jej uniknąć, kiedy wyczerpała się żyła złota i poszukiwacze rozpierzchli się po świecie. Wracaliśmy z gór do San Francisco i chcieliśmy zjeść kolację w małym miasteczku w pobliżu San Joaquin. Jakiś bardzo pijany biały człowiek napadł na ojca i uderzył go. Przez dziewiętnaście dni ojciec leżał trzymając się za brzuch, słabnąc coraz bardziej na skutek wewnętrznego krwotoku, aż zmarł. Od tamtej pory byłem już zawsze sam - zakończył Bao, a w jego głosie nie słychać było rozczulania się nad sobą.

- Wydaje mi się, że w tym mieście jest wiele miejsc, od których należy trzymać się z daleka - stwierdził Mack. - Te sukinsyny z promu nie musiały wyrzucać mnie za burtę. Do diabła, zwróciłbym im te śmierdzące piętnaście centów, jak tylko dostałbym pracę.

- To jak kolej. Oni mają coś, co ludzie nazywają... - przez chwilę przypominał sobie właściwe słowo - „monopolem”. Dobrze przyjrzałem się tej ośmiornicy. - Wyciągnął przed siebie ręce i splótł palce.

- Ośmiornicy? - Mack zerknął na leżące w resztkach ryżu kawałki czegoś czarnego. - Mój Boże, czy to, co jedliśmy...

- Nie, nie - roześmiał się głośno Bao. - To kałamarnica. „Ośmiornica” jest mianem, które nadano kolei. Widziałem je

w gazetach i słyszałem od pracujących w dokach ludzi. Od kolei zależy wszystko. Kompania kolejowa jest właścicielką jedyńych pociągów w całym stanie, może więc żądać za swe usługi, czego tylko zechce. Podobnie jest z przybrzeżnymi statkami i promami pływających przez zatokę. A nawet z większością doków w Oakland. Przysłuchiwałem się temu, co mówią inni - ciągnął Bao, pochylając się do przodu. - Zwykłym ludziom, pracującym w mieście, nie podobają się wysokie opłaty za prom. Ale sprytny człowiek potrafi z tego wyciągnąć korzyści dla siebie. I ja nie przegapię tej możliwości.

- Cóż, życzę ci szczęścia. Po tym wszystkim, co widziałem, nie darzę Southern Pacific zbyt dużą sympatią. - Mack wstał, przeciągnął się i dotknął swej wiszącej na sznurze koszuli. Była prawie sucha. Na zewnątrz ktoś trącał struny jakiegoś dziwnego instrumentu, wydobywając zeń smętne tony.

Bao włożył do wiadra cynowe talerze, na których jedli, i sięgnął po zrobioną z muszli ostrygi skrobaczkę.

- Jadasz je? - zapytał Mack.

- Łowię, kiedy jest ciemno.

- A czemu nie przy dziennym świetle? Bao uśmiechnął się lekko.

- Kolonie ostryg w zatoce stanowią prywatną własność.

- Mój Boże! A więc nawet to, co pod wodą, może do kogoś należeć? - zdumiał się Mack, biorąc do ręki swój przewodnik. Prócz paru kropel wody, które padły na okładkę, książka w ogóle nie ucierpiała podczas jego przygody.

- Jeśli wybierzesz się razem ze mną jutrzejszej nocy, pokażę ci hodowlę ostryg - powiedział Bao.

- Czy ma to być przejażdżka dla przyjemności, czy też przyda ci się moja pomoc?

- Z pewnością się przyda - odparł Bao. - Byłbym nieuczciwy, gdybym nie uprzedził cię, że może to być niebezpieczne.

Mack uważnie popatrzył na otyłego Chińczyka, którego zdołał już polubić.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Popłynę z tobą.

- Mógłbyś być Chińczykiem - stwierdził z promiennym uśmiechem Bao. - Ty także lubisz hazard.

Następnej nocy podczas odpływu łódź Bao Kee'a wyruszyła na zatokę. Osady na obu brzegach jarzyły się baśniowym światłem. Mack poddał się urokowi spokojnych fal, jasnych gwiazd na niebie i zamglonych, odległych wzgórz. Bao płynął przez zatokę zakosami, co Mackowi wydawało się stratą czasu.

- Nie - wyjaśnił Chińczyk, gdy go o to zapytał. - Sha - groźny duch złych sił, przerywający strumień energii życiowej, zawsze porusza się prosto. Linie proste nie są dobre.

Mack uśmiechnął się. Nigdy nie spotkał człowieka podobnego do tego Chińczyka. Odznaczał się zdrowym rozsądkiem i miał handlową żyłkę, a jednocześnie wierzył w coś, czego Mack nie był w stanie pojąć. Mimo to, bardzo go polubił.

Łódź zwolniła biegu. Mack najpierw poczuł ostry zapach ostryg, a potem zobaczył ich kolonię - długie, o chropowatej powierzchni miniaturowe wysepki otoczone czymś, co musiało być niezbyt głębokim kanałem. Bao wyłączył silnik i uważnie rozejrzał się dookoła.

- Czego szukasz? - zapytał Mack.

- Stróża. Dużo pije. Dużo śpi. Jest bardzo leniwy. A porządni ludzie nie mogą znaleźć pracy. Nie widzę światła. Widocznie magiczne siły są dzisiaj z nami. Weź to - wręczył Mackowi wiosło. - Wbij je w muł. Woda jest tu bardzo płytka.

Mack spełnił jego polecenie. Bao wyrzucił za burtę niewielką kotwicę i wyciągnął kilka ciężkich, skórzanych worków.

- Popatrz tam, widzisz? - wskazał widniejącą przed nimi ciemną, prostokątną tablicę. Mack z trudem odczytał umieszczony na niej napis:

HODOWLA OSTRYG FITZMORGANA WŁASNOŚĆ  
PRYWATNA OSOBY PRZEBYWAJĄCE TU BEZ  
ZEZWOLENIA ZOSTANĄ ZASTRZELONE

Bao oddychał ciężko, sapiąc głośno, co mogło być spowodowane zarówno podnieceniem, jak i jego wagą. Odłożywszy na chwilę torby, wręczył Mackowi parę grubych, sztywnych rękawic.

- Czy będą mi potrzebne?

- Tak. Inaczej porozcinasz sobie palce aż do kości. - Jego głos brzmiał teraz surowo i ponaglająco. Zniknął wesoły nastrój poprzedniej nocy. Szturchnął Macka pod zebro. - Pośpiesz się. Oprócz stróża czasami pojawiają się tu także inni ludzie.

Mack poczuł dreszcz na karku. Wyskoczył z łodzi i omal nie upadł. Chodzenie wśród ostryg było dlań zupełnie nowym doświadczeniem. Przypominało stąpanie po ułożonych pod kątem rzeźnickich nożach.

- Jacy ludzie?

Okrągłe policzki Bao rozciągnęły się w uśmiechu, ale był to zimny uśmiech, przypominający grymas wyrzeźbionego z kości słoniowej Buddy.

- Złodzieje ostryg. Tacy jak ja. Nie lubię dzielić się swym łupem. Nie rozmawiajmy więcej. Pracujmy.

Przewędrował prawie do końca przez kolonię ostryg i pochyliwszy się począł napełniać nimi worek. Mack poczuł narastający niepokój, pomimo że wokół nie było żywego ducha, a tylko w oddali błyszczały światła i lśnił srebrzyście

muł, odsłonięty podczas odpływu. Jakiś wielki statek, a może barka, majestatycznie płynął na północ. Mack był zły na Chińczyka, że nie wyjaśnił mu dokładnie, z jakim ryzykiem wiązało się przyplłynięcie tutaj. Zaczął zbierać ostrygi. Były tak ostre i śliskie, że w rękawicy wkrótce zrobiła się dziura. Po minucie krwawiły mu już dwa pokaleczone palce.

Kiedy wór był prawie pełny, spróbował unieść go i aż ugiął się pod jego ciężarem. Otyła sylwetka Bao pochylała się i prostowała, poruszając się rytmicznie przy wyławianiu ostryg. Mack ze zdumieniem spostrzegł, że Chińczyk napełnia ostrygami już drugi worek.

Pochylił się po kolejne, ostre i śliskie muszle i w tej samej chwili dostrzegł kątem oka błysk światła. Wyprostował się. Kolejny błysk. Mimo rękawic dłonie miał całkowicie zgrabiałe.

- Bao! - szepnął ochryple. - Widzę latarkę. O Boże, to łódź! - Pracował tak zapamiętale, że nie zwrócił na nią wcześniej uwagi. Łódź stała zakotwiczona po drugiej stronie hodowli ostryg. Różniła się od łodzi Bao - była większa, bardziej kanciasta i wyglądała o wiele solidniej.

- Dostrzegłem ją pięć minut temu - odszepnął Chińczyk.

- Ale... skoro my ich widzimy, to oni mogą też nas zobaczyć.

- Nic nie mów - wysyczał przez zęby Bao. - Bierz worki.

Łatwo było to powiedzieć. Kiedy Mack próbował zarzucić sobie jeden z worków na ramię, pod jego ciężarem stracił równowagę i worek wyślizgnął mu się z rąk. Ponieważ nie był dostatecznie dobrze ściągnięty sznurkiem, ostrygi wysypały się zeń z głośnym chlupotem.

Bao cisnął pod jego adresem jakieś przekleństwo. Ten hałas mógł ich zgubić. Mack zaczął zbierać wysypane ostrygi, ale Chińczyk rozkazująco trącił go w ramię.

- Zostaw je! - syknął, przerzucając swój worek przez ramię i ujmując wolną ręką ten, który nappełnił Mack. - Weź mój drugi wór.

- Kto tam jest, do diabła? - krzyknął ktoś, rzucając na nich snop światła. Na łodzi znajdowało się trzech albo czterech mężczyzn. Jeden z nich trzymał latarkę.

- To ten kitajski kundel - odkrzyknął inny głos.

- Do łodzi - syknął Bao, popychając Macka. Pobiegnął pierwszy i bez wysiłku wrzucił na pokład niesiony na ramieniu worek. Mack upuścił swój ładunek do wody, ale Chińczyk zdołał go również umieścić w łodzi, po czym cofnął się, by pomóc przy trzecim worku. Mack obejrzał się. W świetle latarni dostrzegł błysk metalu.

Nie bawiąc się w żadne ostrzeżenia runął Chińczykowi na plecy. Bao zaklął zaskoczony, rozcinając sobie przy upadku policzek o skałę. Mack posłyszał wystrzał z dwóch luf strzelby. Tuż obok nich śmignęły pociski.

- Pośpiesz się - rozkazał Bao, ocierając krwawiący policzek. W jego głosie nie było już gniewu.

- Lepiej zwiewaj stąd, kitajcu - zawołał jeden z mężczyzn na łodzi. - Jeśli cię złapiemy, obetniemy ci warkoczek i powiesimy cię za jaja, żółtą dupą do góry.

- Znam go - szepnął Bao, dźwigając z Mackiem częściowo wypełnioną ostrygami torbę. - Nazywają go „Rudobrody”. Parszywy typ.

- Zatoka jest dla białych, ty pieprzony psie na dwóch nogach - grzmiał nadal ten sam głos. Rzucając przez ramię trwożne spojrzenie Mack dostrzegł, iż rzeczywiście jeden ze ścigających ich ludzi ma brodę.

Inny z prześladowców rzucił nożem, ale nie dosięgnął ich. Mack i Bao jednocześnie wskoczyli do łodzi z dwóch różnych stron. Chińczyk raz jeszcze wykazał się niebywałą wprost zręcznością. Kiedy Mack podnosił kotwicę, Bao sięgnął do



kieszoni i wydobyl z niej staromodnego kolta. Podparłszy go lewym łokciem trzykrotnie wystrzelił w kierunku mężczyzn na łodzi.

Odgłos strzałów odbił się echem po całej zatoce i ich prześladowcy natychmiast padli na pokład. Bao roześmiał się cicho. Spróbował zapalić silnik, który jednak nie chciał zaskoczyć.

Gardło Macka ścisnęło się ze strachu. „Boże, niech zapali” - modlił się w duchu.

Złodzieje ostrzeg ostrożnie podnieśli się z pokładu. Nie słysząc następnych strzałów, poczęli zbliżać się do łodzi Chińczyka. Wszyscy poza Rudobrodym kulili się jednak lekliwie. Tylko on jeden stał wyprostowany i Mack dopiero teraz przekonał się, jak potężnie zbudowany jest ten człowiek, liczący sobie przynajmniej sześć i pół stopy wzrostu.

Bao mamrotał coś po chińsku, Mack zaś, pocąc się ze strachu, ścisnął kolbę kolta. Ojciec uczył go, by nigdy nie uciekał przed niebezpieczeństwem, ale tłumaczył mu także, że mężczyzna, który nie doznaje uczucia strachu, jest zarówno głupcem, jak i szaleńcem i że jeśli odwaga ma jakąś definicję, to brzmi ona: pokonać niebezpieczeństwo pomimo odczuwanego strachu. Być może okazywał właśnie w tej chwili odwagę, ale doprawdy nie sprawiało mu to najmniejszej satysfakcji.

Rudobrody majstrował przy swojej strzelbie, być może nabijając ją ponownie. Niespodziewanie silnik ożył.

- Uff - odetchnął Bao, wznosząc rękę ku niebu w geście wdzięczności. Obaj z Mackiem chwycili za wiosła i poczęli odpychać nimi łódź. Tuż obok kolejne dwa pociski wzbily w górę fontannę wody. Rudobrody zegnał ich wykrzykiwanymi głośno groźbami i przekleństwami.

Chińczyk westchnął głęboko i usiadł w łodzi, chwytając rumpel. Jego twarz powoli traciła kolor jasnej kości słoniowej i przybierała normalną barwę topionego wosku.

- Kiepski połów - powiedział Bao, trącając nogą leżący u stóp worek. - Nie chciałem narazić cię aż na tak wielkie niebezpieczeństwo - dodał po chwili milczenia.

Mack zlizął krew z poranionych palców.

- Ostrzegałeś mnie, ale nie powiedziałaś, że możemy przypłacić to życiem. Sądziłem, że nie jest to bardziej niebezpieczne niż każda inna kradzież.

Bao milczał. Być może przyznawał się w ten sposób do winy.

Przez jakiś czas obaj nic nie mówili. Łódź w ciszy płynęła zakosami przez zatokę. Nocne powietrze kojąco chłodziło twarz Macka. Minęli wielki, żelazny frachtowiec, wysoki jak dom. Kiedy przepływali obok niego, Mack dostrzegł pojedyncze światła i wielki biały napis: LIVERPOOL LADY. Jego gniew na Bao przygasł, ale teraz patrzył już inaczej na tego człowieka. Utkwiwszy spojrzenie w mijanych światłach wybrzeża pomyślał o T. Fowlerze Hainesie.

- Z pewnością diabelnie nie lubią tutaj obcych - powiedział w końcu.

- To prawda. Pomimo że, na dobrą sprawę, wszyscy Kalifornijczycy są przybyszami.

- Ci, którzy osiedlili się tu niedawno, pewnie uchodzą za najgorszych. Bao skinął głową.

- Dobrze, żebyś o tym pamiętał, kiedy zabiorę cię do miasta. W ten sposób uda ci się przeżyć.

- Do diabła z tym, panie Bao Kee. Interesuje mnie coś więcej niż samo tylko przeżycie. Mam takie samo prawo jak wszyscy inni, żeby tu być.

Rybak przygładził dłonią lśniące włosy i smutno popatrzył na swego naiwnego, lekkomyślnego pasażera.

## Rozdział 7.

Po wydarzeniach w pobliżu hodowli ostryg większą część nocy Mack spędził bezsennie. Wciąż na nowo powracało do niego to, co przeżył. Słyszał strzały Rudobrodego i wykrzykiwane przez niego groźby. Te wspomnienia męczyły go i nie potrafił się od nich uwolnić. „Nigdy nie będę biedny. Nigdy więcej nie będę marznąć...” Kalifornia była dlań Ziemią Obiecaną.

Dzień wstał jasny i pogodny. Mack przystrzygł sobie brodę pożyczonymi od Bao nożyczkami, po czym obaj zjedli złożone z ryżu, sucharów oraz herbaty śniadanie i pośpieszyli na przystań. Bao wciągnął żagiel na maszt i „Heavenly Dragon” przemknął między rybackimi łodziami. Na niebie unosiły się białe mewy. Kolorowa chorągiewka na szczycie masztu łopotała w przejrzystym powietrzu. Coraz lepiej widać było leżące w oddali miasto i Mack mógł już nawet dostrzec krzątających się na ulicach ludzi, którzy z tej odległości wydawali się mali jak lalki. Stromymi uliczkami ciągnęły powozy i konne tramwaje. Nieregularny wzór odbijających słońce szyb okiennych był jak malowidło pełne poziomych i pionowych linii, tworzących gigantyczną sieć.

- Przebyłeś daleką drogę, żeby zobaczyć to miejsce - powiedział Bao, dostrzegając wyraz twarzy swego pasażera. - Cieszę się, że mogę ci towarzyszyć u kresu twojej podróży.

Siedzący przy burcie Mack obrócił się. Wiatr rozwiewał mu włosy, zostawiając na wargach słonawy posmak. Wyjął z kieszeni przewodnik i uniósł go w górę.

- Marzyłem o tej chwili przez wszystkie lata, od kiedy przeczytałem tę książkę. Opowiada ona o cudach Kalifornii, o szansie, jaka stoi tu przed każdym przybyszem, ale nie wspomina ani słowem o ludziach, którzy zatrząskują ci drzwi przed nosem.

„Nie przywędrowałem z tak daleka po to, by tacy jak Hellman czy Fairbanks zawrócili mnie z drogi - pomyślał. - Albo tacy jak kolejowi potentaci lub ci przekłeci włóczędzy, którzy pobili starego Indianina. Czy też jak te szczury portowe, które wyrzuciły mnie za burtę.”

- Powiem ci coś - ciągnął Mack, wymachując książką przed nosem Bao. - Jeśli zamkną przede mną drzwi, znajdę do nich klucz. Albo je wyważę. W każdym razie pójdę naprzód.

Chińczyk uważnie popatrzył na Macka trzymającego w ręku książkę. Nie mógł nie docenić determinacji malującej się w orzechowych oczach swego nowego przyjaciela ani zlekceważyć odwagi rysującej się w jego zawadiacko uniesionym i nieco wysuniętym do przodu podbródka. Żaden człowiek nie przeszedłby pieszo całego kontynentu, gdyby nie towarzyszyła mu tak ogromna wiara...

- Popatrz - odrzekł Bao. - Już dopływamy. Oto twoje Miasto.

Księga II  
WITAMY W MIEŚCIE  
1887 - 1888

San Francisco. Handlowe, finansowe i kulturalne centrum Kalifornii, uważane często za Ateny Zachodu. Tak wspaniałe, że jego mieszkańcy nalegali, by nazywać je po prostu Miastem - przez duże „M”.

Przed gorączką złota Yerba Buena było małą, nędzną przystanią nad wspaniałą zatoką. Ale odkrycie złota w tartaku Suttera zmieniło wszystko, łącznie z nazwą miejscowości. Wkrótce wybrzeże zalały tysiące przybyszów. Nie wszyscy odjechali po tym, jak skończyła się gorączka złota. Wśród tych, co zostali, znajdowała się duża grupa Południowców, niektórzy z nich przybyli tu po złoto, inni zaś uciekali po prostu przed biedą i politycznym chaosem panującym w południowych stanach. Starali się oni przejąć kontrolę nad lokalną partią demokratyczną i toczyli boje w obronie secesji i niewolnictwa. Co bardziej konserwatywni uformowali Straż Obywatelską, która między rokiem 1851 a 1856 okryła się niesławą wieszając za jednym zamachem wszystkich aresztowanych, chcąc powstrzymać w ten sposób falę przestępczości.

Odnalezienie w pięćdziesiątym dziewiątym roku żyły srebra w Nevadzie rozpoczęło kolejny okres rozkwitu. Miasto stało się bramą do legendarnej Żyły Comstock. Bardzo szybko pojawiło się tu wielu przybyszów najróżniejszej narodowości. Przybyli tu zarówno australijscy włóczędzy o kryminalnej przeszłości, jak i nie mający grosza przy duszy Irlandczycy. Coraz bardziej rozrastała się ogromna rzesza robotników, zarówno białych, jak i stanowiących dla nich groźną konkurencją ambitnych i energicznych Chińczyków, zatrudnianych przy kładzeniu w górach torów kolei Central Pacific.

W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku San Francisco było domem dla dwustu dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi. Dobrze prosperowały banki, nieźle wiodło się rybakom

i marynarzom, kwitły teatry, rozwijały się towarzystwa literackie i działał telegraf, którego dzwonki jeszcze przez następnych dziesięć lat słyszało się na szlaku do Nob Hill. Miasto dumne było z osiadłych tu licznych zamożnych, szlacheckich rodzin i wielu członków nowej elity tęskniło do tego, by poprzez małżeństwo wejść do tego szacownego grona, podobnego „Czterystu najlepszym” z Nowego Jorku.

Jednocześnie San Francisco miało i swoje dzikie oblicze. Tworzyli je ludzie mieszkający wokół zatoki w Oakland oraz ci, którzy mieli nieszczęście przybyć tutaj z Central Valley i teraz gnieździli się w nędznych chatkach z gliny, w osadach na południe od Tehachapis. Dla „dobrze urodzonych” ludzie ci po prostu nie istnieli, a jeśli już dostrzegano ich obecność, uważano ich za niewiele lepszych od dzikusów. Wzbudzali taką niechęć, że kilka razy, bez powodzenia, próbowano się od nich uwolnić.

Oczywiście w praktyce elita miasta niewiele mogła uczynić z wciąż napływającą falą marynarzy, „kitajców”, Irlandczyków i biedoty z dolin. Jedyne, co zostawało, to traktować ich z góry, wznosząc niewidoczny mur, by choćby siłą trzymać ich z daleka od siebie.

## Rozdział 8.

Wiele lat później Mack zastanawiał się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby tego popołudnia nie zachował się zgodnie ze swoją naturą, to znaczy impulsywnie.

Nie wiedział jeszcze, że to jego impulsywne działanie w ogóle będzie potrzebne, kiedy „Heavenly Dragon” z hałasem silnika przybijał do zrujnowanego nabrzeża, przy którym cumowały liczne puste łodzie. Mack wyskoczył na pomost, gdzie nie było nikogo prócz naprawiającego liny mężczyzny i siedzącego na stołku starego, schorowanego rybaka. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na przybysza. Także ruchliwe, kamienne miasto za ich plecami zdawało się nie robić na nich żadnego wrażenia.

„Niech mnie diabli wezmą - pomyślał - jeśli i ja miałbym kiedykolwiek tak zobojętnieć.”

Pożegnał się z Bao, obiecując dać wkrótce znak życia. Chińczyk pomachał mu na pożegnanie i odpłynął. Jego łódź oddalała się, a bielejący na tle wody żagiel stopniowo stawał się coraz mniejszy. Mack obserwował skręcający na północ szlak wodny. Sto jardów ciemnozielonej wody oddzielało to nabrzeże od następnego, o wiele większego, do którego przybijały promy Southern Pacific.

Pasażerowie wchodzili do brzydkiego, drewnianego budynku, bardziej przypominającego szopę niż biuro. Obsługa promów - ludzie w rodzaju tych, którzy wyrzucili go za burtę, krzatali się wokoło. Jeden prom przypląwał właśnie do brzegu, podczas gdy inny, „Alameda”, odbijał od niego, dzwoniąc i gwizdząc.

A potem Mack zobaczył ją.

Była młoda i stała na skraju pomostu jakieś sto stóp od niego. Elegancka i szykowna, miała na sobie prostą białą bluzkę i spódnicę w podłużne zielono - białe paski. Jej stroju dopełniały białe rękawiczki i płaski słomkowy kapelusz,



przypięty do włosów dużą, mosiężną spinką. Była szczupła, miała małe, krągłe piersi i nie używała tiurniury.

Mack skierował się w jej stronę. Kobieta rzuciła na odpływający prom ostatnie pożegnalne spojrzenie, zerknęła na mały, złoty zegarek, który miała na piersi i nagle skoczyła z pomostu do wody. Przez chwilę Mack widział jej spódnicę uniesioną ponad sięgające kostek, żółte, zapinane na guziki buty, po czym usłyszał plusk. Siedzący na stołeczku rybak nie mógł tu nic poradzić - był za stary. Mack zaczął machać w stronę odpływającego promu. Kapitan, załoga oraz pasażerowie z pewnością zauważyli, że dziewczyna wpadła do wody.

- Ratujcie ją! - krzyknął. Maszyna promu nadal jednak pracowała miarowo. „Alameda” ani nie zatrzymała się, ani nie zmieniła kursu.

Stojąc na krawędzi pomostu Mack widział unoszący się na falach słomkowy kapelusz dziewczyny, jednak jej twarz znajdowała się ponad wodą. Z jakiegoś powodu nie tonęła.

Znowu krzyknął w stronę promu. Żadnej odpowiedzi. Rzucił na ziemię swój skromny dobytek i nie zastanawiając się nad tym, że nie umie pływać, wskoczył do wody. Dopiero wtedy zadał sobie pytanie, czy zdoła utrzymać się na powierzchni wody tak długo, by wyciągnąć tonącą na brzeg. Na chwilę skryła go woda, wynurzył się jednak szybko i krztusząc się wyciągnął rękę ku dziewczynie. Natrafił na jej smukłą szyję. Dziewczyna otworzyła oczy. Były brązowe i piękne.

- Do licha, wynoś się stąd. Potrafię pływać.

- Chwyć się mnie - wycharczał z trudem, bijąc w wodę rękoma i nogami, żeby nie utonąć. - Samobójstwo niczego nie rozwiązuje.

- Zostaw mnie! - zawołała, kopiąc go pod wodą. Uderzyła go zaciśniętą pięścią w białej rękawiczce. - Idiota. Próbuje zebrać materiał do artykułu. Jestem reporterką.

Mack puścił ją... i sam poszedł na dno.

Dziewczyna chwyciła go za szyję i mocno objęła ramieniem. Wyrwał się przez chwilę, póki nie uświadomił sobie, że tym razem to ona ratuje jego. Rozgarniała wodę holując go za sobą i już po chwili głowa Macka uderzyła o oślizgły kamienny filar pomostu.

Dziewczyna pomogła mu wyjść z wody. Dopiero teraz, nieco zły i zmieszany, mógł jej się dobrze przyjrzeć. Była w jego wieku lub niewiele starsza. Miała szerokie usta oraz mocno zarysowany podbródek. Nie patrzyła na niego, lecz na prom, który teraz znajdował się już daleko na wodach zatoki.

- Co za nikczemnicy. Rozkład jazdy jest dla nich ważniejszy niż wszystko inne. Przecież widzieli, jak wpadłam do wody. Oczywiście nie mogę tego udowodnić, bo niby jak? - Odwróciła się i popatrzyła na niego bez zainteresowania.

Mack kichnął. Poczul, że na czole ma coś lepkiego, jakies morskie wodorosty.

- Jeśli taki był cel tej kąpieli, to przepraszam, że ci przeszkodziłem. Do diabła, przecież ja nawet nie umiem pływać.

- Naprawdę? - Jej spojrzenie złagodniało, jakby dopiero teraz go dostrzegła. - Myślałam, że jesteś po prostu taki niezdarny.

- Niezdarny! Boże! - jęknął, sięgając po swoje zawiniątko.

- Jesteś na mnie zły...

- Ależ nie. Zawsze, kiedy komuś pomagam, narażam się na przekleństwa, kpiny i ciosy. Żegnaj, kimkolwiek jesteś - powiedział, zbierając się do odejścia.

- Nie, proszę, nie odchodź. Nie powinnam z ciebie szydzić. To, co zrobiłeś, było wspaniałe i świadczy o twojej odwadze. Nie cierpię tylko, kiedy wymyka mi się z rąk materiał na artykuł.

- Jaki artykuł? Może zechciałaby mi pani powiedzieć, o co chodzi, panno...

- Ross. Nellie Ross.

- Mack Chance.

Stał przez chwilę, patrząc na nią wyczekująco. „Co za dziwny młodzieniec - pomyślała dziewczyna. - Ubogi, biednie odziany, sądząc po stroju - prostak." Ale ani nie zachowywał się, ani nie mówił jak prostak. Na pewno był bardzo impulsywny. Zaintrygował ją. Zamiast pozwolić mu odejść, co chciała uczynić w pierwszym odruchu, wskazała mu ławkę u wejścia na pomost.

- Usiądźmy tam na chwilę. Wszystko ci wyjaśnię.

Mack posłusznie poszedł za nią. On także poczynił pewne spostrzeżenia. Była jego wzrostu i poruszała się energicznie. Była bardzo pewna siebie, co jednak nie czyniło jej mniej kobiecą.

- To bardzo proste - powiedziała, wskazując mu miejsce obok siebie. Mack usiadł, czując jak z jego przemoczonego ubrania ściekają strużki wody.

- Czytujesz „Examinera"? Przecząco potrząsnął głową.

- Dopiero co tu przybyłem.

- Mój pracodawca, pan Hearst, przejął go w tym roku od swego ojca, senatora, który dorobił się milionów na kopalniach srebra. Młody pan Hearst zamierza uczynić „Examinera" najlepszą gazetą na Zachodzie. Pracuję dla niego pod pseudonimem Ramona Sweet. Opisuję morderstwa, katastrofy kolejowe i wszystkie takie okropności. Jeśli brakuje prawdziwych wiadomości, staramy się coś wymyślić. Taka jest zasada pana Hearsta.

Mack był zafascynowany. Dziewczyna miała mały, zadarty, nieco chłopski nos i szeroką, interesującą twarz.

- I właśnie coś takiego zrobiłaś na przystani? Nellie Ross skinęła głową.

- Przeprowadzałam eksperyment. Pan Hearst, podobnie jak ja, nienawidzi Southern Pacific. Oni zupełnie nie dbają o bezpieczeństwo pasażerów. W zeszłym miesiącu za burzę jednego z ich promów wypadł siedmioletni chłopiec. Załoga tak zwlekała z zatrzymaniem silników, że zdążył utonąć. To właśnie dlatego skoczyłam do wody: żeby zobaczyć, jak szybko wyruszy mi ktoś na pomoc. O ile w ogóle ktoś to zrobi.

- A ja popsułem ci eksperyment.

- Nic nie szkodzi. Będą jeszcze inne okazje. Nie jestem z tych, co łatwo dają za wygraną - oświadczyła, wyciskając wodę z prostych, ciemnych włosów. - A teraz niech mi pan powie, panie Chance, czym się pan zajmuje, poza przeszkadzaniem w pracy dziennikarzom? - uśmiechnęła się, chcąc w ten sposób złagodzić ironię tego pytania.

Z dziurawych butów Macka wylewała się woda.

- Jak dotąd jeszcze niczym. Dopiero co znalazłem się w San Francisco. Przybyłem tu z Pensylwanii. Szukam pracy.

- W naszej redakcji nie ma wolnych miejsc, ale za to w kantorku stoi zawsze wielki dzbanek kawy. Możesz się tam ogrzać i wysuszyć. - Wstała, poprawiając nasiąkniętą wodą spódnicę. Nie była tak zgrabna jak Carla Hellman. Mimo to jednak Mack uznał, że jest nadzwyczaj atrakcyjna.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie spotkałem damy, która pisywałaby do gazety - powiedział.

- Czyżbyś tego nie pochwalał?

- Cóż... - odwrócił wzrok ku nurkującym w falach mewom.

- Ma pan swoją opinię wypisaną na twarzy, panie Chance. Miejsce kobiety jest w kuchni i przy dzieciach. Takie jest pańskie zdanie, prawda? Podobnie jak milionów innych.

- Panno Ross, wykorzystaj pani każdą okazję, żeby rozpocząć walkę!

- Sprowokowałaś mnie do tego. Żyjesz w przeszłości, podobnie jak inni mężczyźni, których znam. Jak dotąd, niewiele kobiet para się dziennikarstwem. Jednakże to się zmieni - pomimo wściekłych protestów moich współpracowników, z których większość jest przerażona samym widokiem spódnicy w pokoju redakcyjnym. Ale ja pracuję tam i nie mam zamiaru rezygnować. Niech się pan przestanie gapić na mnie, panie Chance. Idziemy.

Nie potrafił jednak przestać na nią patrzeć. Nigdy dotąd nie spotkał dziewczyny podobnej do Nellie Ross - niezależnej, odrobinę szorstkiej i w jakiś niezwykły sposób pięknej. Było coś egzotycznego w kształcie i blasku jej ciepłych, brązowych oczu.

Wziął swe zawiniątko i poszedł pomostem, mijając po drodze starego rybaka, który utkwiał w wodzie pełen poczucia winy wzrok.

- Jeśli chcesz, popytam w biurze o pracę dla ciebie - powiedziała Nellie. - Może ktoś o czymś wie. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla mego wybawcy.

- Czyżby miały to być przeprosiny, panno Ross?

Popatrzyła na niego tak, jakby dopiero teraz zobaczyła po raz pierwszy. Ale nie było to spojrzenie pozbawione sympatii.

- Reporterzy nigdy nie przepraszają - odparła. - To osłabia ich autorytet.

Szli przez Market Street, najbardziej ruchliwą ulicę, jaką Mack kiedykolwiek widział, pełną powozów, konnych tramwajów i mnóstwa tłoczących się ludzi. Przekrzykując uliczny zgiełk Nellie zapytała go, po co przybył do Kalifornii.

Pokazał jej swój przewodnik.

- Ponieważ zawsze wierzyłem w to, co tu napisano... że człowiek może się tutaj wzbogacić.

Przez jej twarz przemknął lekki uśmiech, ale natychmiast spojrzała nań z sympatią. Obdarty Mack powiedział to z taką determinacją, że jej śmiech mógłby go okrutnie zranić. Podziwiała jego szczerłość.

- Rozumiem ten rodzaj ambicji - powiedziała. - Ja również mam podobne. Chcę pisać. Nie tylko artykuły do gazet, ale też powieści.

- Czy to dobry sposób na dorobienie się pieniędzy?

- Nie denerwuj mnie. Nie wszyscy marzą o bogactwie. Piszę, żeby powiedzieć prawdę. Żeby coś zmienić. Skręcamy tutaj - dodała, wyprzedzając go o dwa kroki i wchodząc w boczną ulicę.

„San Francisco Examinerem”, królem wśród gazet codziennych, jego wydawca i właściciel, W.R. Hearst, kierował z lokalu mieszczącego się przy Montgomery Street pod numerem 10. Mack nigdy wcześniej nie widział miejsca tak hałaśliwego, zasnutego dymem papierosowym, pełnego ludzi kręcących się wśród licznych krzeseł i stołów zarzuconych płachtami kancelaryjnego papieru.

Dostrzegł tu nawet mężczyznę rozmawiającego przez telefon, który dotąd widział tylko na obrazkach. Nellie zabrała go na zaplecze redakcji i naląła mu gorącej kawy. Jego ubranie wyschło już prawie i zeszywniało. Mack usiadł przy prostym stole, zupełnie, jego zdaniem, nie pasującym do tej dziewczyny i tego wspaniałego biura. Słyszał mężczyzn, klnących tak swobodnie, jak inni ludzie wymieniają codzienne pozdrowienia.

Nellie przysunęła sobie krzesło.

- Ten kapelusz, który zgubiłam w wodzie, był całkiem niezły... O, tak - dodała, widząc wyraz jego twarzy. - Głośno

tu. Ale po bliższym poznaniu okazuje się to całkiem miłym miejscem do pracy - zapewniła, wypijając łyk kawy. - Senator wydał ponad ćwierć miliona dolarów kupując „Examinera”, a potem pan Hearst rzucił Harvard i wróciwszy do domu poprosił ojca, by pozwolił mu się zająć redakcją. Liczy sobie tylko dwadzieścia cztery lata, ale ma cudowne pomysły - to prawdziwy geniusz, jeśli chodzi o prowadzenie gazety. Nie szczędzi pieniędzy, żeby zdobyć informacje. Wielu ludzi nie lubi go i nazywa „Rozrzutnym Willie”, ale on po prostu stara się przyciągnąć czytelnika kontrowersyjnymi tekstami. Nasz nakład przekroczył już dwadzieścia pięć tysięcy. Dwa miesiące temu pan Hearst osobiście podkupił pana Bierce'a z „Argonauty”, aby pisał teksty do jego „plotkarskiej” kolumny. To było naprawdę śmiałe posunięcie.

Podszedł do nich młody mężczyzna w zarękawkach i spodniach na szelkach. Jego rozdzielone przedziałkiem żółte włosy, krótki wąsik i małe oczy nie zrobiły na Macku dobrego wrażenia.

- Co z twoją próbą utonięcia, Nellie? - zapytał, pijąc kawę. Miał wysoki, piskliwy głos.

- Wybrałam nieodpowiedni moment, panie Hearst. Spróbuję jeszcze raz jutro - wyjaśniła, nie spojrzawszy nawet w stronę Macka, który poczuł dla niej za to ogromną wdzięczność.

- W takim razie nie mamy w tym tygodniu nic przeciwko kolejom. Witam - powiedział zwracając się do Macka, ale nie podając mu ręki. Opadł na krzesło i położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny ubranego w garnitur i krawat, noszone z całkowitą nonszalancją.

- Nad czym teraz pracujesz, Bierce?

- Nad tym, żeby uniknąć przeziębienia i reumatyzmu. Ten budynek to parszywe miejsce.

- Możesz zajmować się swoim zdrowiem po godzinach pracy. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

- W tej chwili nad tekstem o Smileyu, dyrektorze Sausalito - odparł Bierce. - I to wszystko za pieniądze podatników.

Przyglądał się Mackowi z wyniosłym zaciekawieniem.

- Bądź ostrożny. Smiley jest przebiegły. Jeśli dowie się, że masz go na oku, już po tobie - ostrzegł Hearst.

- Ufam Bogu, ale na wszelki wypadek noszę przy sobie kawałek żelaza marki Smith & Wesson - odparł Bierce, wskazując na swą kieszeń. Mack dostrzegł wyrzucenie w kształcie pistoletu.

Potem Bierce pokazał Hearstowi małą, oprawną w skórę książeczkę.

- Jeden z moich informatorów - alkoholików dostał pracę jako woźny na rogu Fourth i Townsend. Udało mu się zdobyć to.

- Co to takiego? - zapytała Nellie.

- Książka szyfrów Southern Pacific. Egzemplarz numer siedem. Należący do Crockera. - Polizał palec wskazujący i odwrócił stronę. - Słowo „odważny” znaczy „płatne w gotówce”. „Wklęsły” to „nie zobowiązuj się do niczego”. „Goryl” jest słowem na określenie prawa stanowego, a moje ulubione „cudzołóstwo” to „do niczego się nie przyznawaj”. Jest tego dwieście stron.

Hearst z uśmiechem przeglądał książeczkę, podczas gdy Bierce wyjął z kieszeni chustkę do nosa i zbliżywszy ją do ust kaszlał przez chwilę.

- Proszę nie popadać w euforię, panie Hearst. To jest bezwartościowe, dopóki nie mamy zakodowanych wiadomości, jakie przekazują sobie ci dranie prowadząc swój parszywy interes. Wkrótce zresztą zorientują się, że zginął im



jeden egzemplarz tej książeczki i wtedy zmienia szyfr, wydając osiem nowych broszur.

- Linie kolejowe prowadzą swoje interesy posługując się szyfrem? - zapytał ze zdumieniem Mack.

Bierce uniósł głowę.

- Kim jest ten naiwny młody dżentelmen, Nellie?

- Pan Chance. Śmiałek, który rzucił się w fale, by uratować mnie na przystani promów.

- A więc wygląda to tak, panie Chance. Trzej żyjący członkowie Wielkiej Czwórki: Crocker, Huntington i Stanford - Mark Hopkins zmarł tego roku, ulituj się Panie nad jego skąpą duszą - prowadzą ogromne interesy i dopuszczają się wielkich oszustw. Ich namiętność do zachowania tajemnicy wzrosła wraz z rozrośnięciem się biurokracji w przedsiębiorstwie. Człowiek, który naprawdę jest motorem tego wszystkiego - stary Collis P. - steruje tym ze Wschodu. To jeszcze jeden powód, by najważniejsze informacje przekazywać zaszyfrowane.

- Pan Chance jest tutaj od niedawna - powiedziała Nellie.

- Niewiele jeszcze wie o dżentelmenach z SP.

- To jeden z moich ulubionych tematów - powiedział Hearst z roziskrzonym wzrokiem. - Pozwoli pan, że wyjaśnię mu, jaka to dżungla. Kiedy sporządzano plany linii kolejowej, ci oszuści przekupili geologów, by przekonali oni Kongres, że góry Sierry sięgają o czterdzieści mil dalej na zachód. Rozumie pan: do każdej mili budowanych torów dopłacano subsydia rządowe, tym wyższe, gdy linia kolejowa przebiegała wśród wysokich gór. Kongres przełknął to oszustwo, dodając tym czterem bandytom pół miliona dolarów. Oto w jaki sposób działają. Grabią mienie publiczne.

„Ci, którzy wyzyskują i ci, którzy są wyzyskiwani...”

- Oczywiście co innego wiedzieć, a co innego udowodnić te rzeczy - powiedział Bierce. - Ale „Examiner” wciąż

próbuję... - urwał na dźwięk elektrycznego dzwonka. - Godzina do zamknięcia numeru. Obowiązki wzywają - rzucił odchodząc.

- Zaczekaj chwilę, Ambrose - zatrzymała go Nellie. - Pan Chance potrzebuje pracy. Słyszałeś może o jakimś zajęciu w mieście?

- Pewnie nie ma żadnych kwalifikacji? - Bierce powiedział to w taki sposób, że w Macku wszystko zawrzało. - Przykro mi, ale nie.

- Ned Greenway w zeszłym tygodniu szukał jakiegoś człowieka. Wytrzymałby pan pracując dla takiego zarozumiałego snoba, panie Chance? - zapytał Hearst.

- Kto to taki?

- Lokalny hurtownik. Reprezentuje wytwórnę szampana „Mumma”. Jest członkiem tutejszej socjety. Przestając z nim pozna pan wszystkich najznamienitszych ludzi w San Francisco.

- Możesz patrzeć, ale nie wolno ci niczego dotykać - zaśmiał się Bierce. - Po prostu urocze. - Złożył ironiczny ukłon i odszedł. Hearst energicznie potrząsnął dłonią Macka.

- Powodzenia. Nellie, muszę przedyskutować z tobą następny temat: „Receiving Hospital”. - Odszedł, znikając w dymie i hałasie pokoju redakcyjnego.

Nellie wstała, wygładzając spódnice.

- No i co pan sądzi o dostarczaniu szampana dla snoba, panie Chance?

- Zawsze to jakaś praca. Czy mogłabyś mówić do mnie „Mack”?

Ze zdziwieniem podniosła na niego swe duże oczy, jak gdyby ta propozycja zupełnie ją zaskoczyła.

- Oczywiście, dlaczego nie. Zapiszę ci zaraz adres Greenwaya. Pójdiesz prosto do niego, a ja przez ten czas

przedyskutuję z panem Hearstem, jak opisać paskudne warunki panujące w „Receiving Hospital”.

## Rozdział 9.

Ned Greenway był taki, jak opisał go Hearst, a nawet jeszcze gorszy; pompatyczny i sztuczny. Wyglądał jak mały wieloryb kroczący dumnie i sztywno, to znów drepczący po swoim biurze na czubkach palców. Dobiegał czterdziestki, nosił wielkie wąsy i miał rumianą cerę pijaka. Przyjął Macka o wpół do drugiej po południu, od razu na wstępie informując, że może mu poświęcić zaledwie godzinę. Na srebrnej tacy w gabinecie stało nie zjedzone przez niego śniadanie: ugotowane na twardo jajka i butelka superwytrawnego „Mumma”. Podczas rozmowy więcej opowiadał o sobie niż o pracy.

- Wypiłem więcej wina niż jakikolwiek inny człowiek w Ameryce. Ostatniego roku ustanowiłem nowy rekord: dwadzieścia pięć butelek w ciągu dnia. Stworzę w San Francisco towarzystwo równie nobliwe jak „Czterystu” z Nowego Jorku. - Rozmawiał z Mackiem ubrany w wieczorowy garnitur. Nigdy nie pokazywał się ludziom w innym stroju.

Za pensję, jaką płacił mu Greenway, Mack nie mógł wynająć przyzwoitego pokoju ani nawet liczyć na dobre sąsiedztwo. Znalazł mieszkanie drzwi w drzwi z placówką Armii Zbawienia majora Wellsa, w odległym końcu Montgomery, w samym środku najbrzydszej dzielnicy San Francisco: Barbary Coast. Mack lubił jednak zwarte szeregi kamienic mieszczących lombardy, warsztaty rzemieślników, sklepy z używaną odzieżą, tanie kawiarenki i saloony z pianinami, skąd godzinami dolatywały go wesołe melodie i gdzie barmani dolewali do szklanek podpitych gości chlorowaną wodę. Kiedy ofiara takiego oszustwa protestowała, wyrzucano ją za drzwi, wprost w objęcia agentów, przemocą werbujących ludzi do marynarki. Następnego dnia delikwent budził się na pełnym morzu jako członek załogi pracującej dla Japończyków. Skromne

zachowanie Macka stanowiło dobrą obronę przeciwko takim agentom. Tylko raz jeden z nich próbował zawracać mu głowę, ale wkrótce, otrzymawszy silnego kopniaka między nogi, dał spokój.

Godziny spędzone na należącym do Greenwaya wozie dłużyły się niemiłosiernie, a skrzynki z szampanem były ciężkie, ale dzięki tej pracy w przeciągu tygodnia Mack nauczył się poruszać po mieście. Powiększył też swoją garderobę o kraciasty garnitur ze sklepu z używanymi ubraniami. Pewnego dnia zadzwonił do „Examinera”, żeby zobaczyć się z Nellie. Hearst poinformował go, że Bierce oraz troje innych członków redakcji udało się do Sacramento, gdzie z powodu awarii lokomotywy wykoleił się i przewrócił należący do Central Pacific ekspres. Sześć osób zginęło. Jak na ironię, Hearst wysłał tam swój zespół specjalnym pociągiem tychże samych linii kolejowych, tak oto opisywanych w nagłówkach gazety: „Krwawa tragedia na „Szlaku Śmierci”! Przerażające sceny! Krewni szukają swoich bliskich wśród sterty zmasakrowanych ciał!”

**CAŁKOWITE MILCZENIE ZE STRONY ZARZĄDU KOLEI!**

**ZAGROŻENIE BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO!**

Pod tymi doniesieniami umieszczony był podpis Ramona Sweet. Mack poczuł dumę: znał tę dziennikarkę Hearsta, równą słynnej Nellie Bly z Nowego Jorku. Wyciął ten artykuł z gazety i przypiął pinezkami w swoim pokoju tuż obok planu miasta, na studiowanie którego każdego wieczora poświęcał co najmniej kilka minut.

Kiedy nie miał ochoty jeść w pobliskiej knajpce albo zwyczajnie brakowało mu pieniędzy, pracownicy Armii Zbawienia z pomieszczenia naprzeciwko zawsze znajdowali dla niego talerz zupy. Postępowali tak z każdym, kto mieszkał w sąsiedztwie. Mack szybko poczuł się tu jak w domu.

Wóz, którym jeździł, miał wymalowany na boku napis: GREENWAY'S SPIRITS. Mack przywiązał konia do słupka na zapleczu Odd Fellows Hall i otworzył tylną klapę wozu. Miał na sobie strój roboczy: luźną białą koszulę, sztruksowe spodnie, wysokie buty i płócienny fartuch. Był piątkowy wieczór, właśnie wybiła jedenasta. W San Francisco panował piekielny upał.

Począł wyciągać z wozu skrzynki superwytrawnego Mumma i ustawiać je jedna na drugiej na podjeździe. Przez otwarte drzwi słyszał głośnie rozmowy i muzykę grywaną przez Ballenberg's Society Band. Co piątkowy bal organizowany przez Greenwaya toczył się w najlepsze. Tańce zaczynały się o dziesiątej, o północy zaś służba podawała kolację. Praca Macka polegała na dostarczaniu szampana.

Zaintrygowały go marszowe tony muzyki. Zupełnie nie przypominały tanecznych melodii. Wewnątrz budynku odezwał się policyjny gwizdek i zgromadzeni zaczęli bić brawo. Mack zupełnie nie rozumiał ludzi z tego towarzystwa.

Obrócił się w stronę wozu, chcąc wziąć z niego kolejne skrzynki, kiedy usłyszał za sobą męski głos.

- Co za szaleństwo! Ta mała pierdoła dmucha w gwizdek i wszyscy maszerują dookoła jak ołowiane żołnierzyki. Nie przypomina to żadnego tańca, jaki kiedykolwiek... - mężczyzna urwał gwałtownie, gdy Mack obrócił się twarzą do niego.

Mack również był zaskoczony.

- Dobry wieczór, panie Hellman - powiedział z napięciem w głosie.

Hellman podrapał się po podbródku. Biały krawat miał przekrzywiony, a wieczorowy garnitur przypominał worek na kartofle. Zaciągnął się dymem mocnego cygara i uważnie przyjrzał się Mackowi.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział w końcu. - Usiądę tutaj na chwilę. Mack postawił skrzynki na ziemi. Ojciec Carli wyglądał niewinnie i poczciwie, tak jakby nigdy nie mierzył w Macka z pistoletu, ani nie groził, że go zabije. Co najdziwniejsze, Mack ucieszył się ze spotkania z nim.

- Jezu, jak gorąco! - Hellman szarpnął kołnierzyk, jakby była to pętla stryczka. Popatrzył na skrzynki. - A więc to jest miejsce, do którego zmierzałeś. Nie potrzebujesz już wody. Masz szampana.

- Nie piję go, tylko rozwożę. Hellman wzruszył ramionami.

- Praca jest pracą. Nie ma w niej nic naganego, dopóki daje ci pieniądze.

- Nie zarabiam ich tyle, ile bym chciał. Hellman wydmuchnął dym z cygara.

- Teraz mi się podobasz. Oto odpowiedź godna człowieka, który chce odnieść sukces.

Mack dźwignął jedną ze skrzynek.

- Przepraszam. Muszę zanieść to do środka.

- Pozdrów ode mnie moją córkę, jeśli ją tam zobaczysz.

- Jest tutaj?

- Nie sądzisz chyba, że zabrałem ją tu z własnej woli? Jasne, że tu jest. To wcale niezła zabawa. Powiem panu, panie...

- Mack Chance.

- ... panie Chance, że spodobał się pan mojej córce, kiedy wędrował pan przez nasze ranczo. Powiedziała, że jest z pana ambitny młody facet. Podobał jej się sposób, w jaki mi się pan stawiał.

- Nie stawiałem się. Byłem spragniony. Jeden łyk wody nic pana nie kosztował.

- Coś ci na ten temat powiem - Hellman ponownie zaciągnął się cygarem. - Prawo jest prawem. Jeśli chcesz

zrobić pieniądze, musisz nauczyć się je szanować i wykorzystywać. To lekcja numer jeden - wydmuchnął dym. - Masz, weź to. Chcę się w ten sposób wkraść w twoje łaski. Nie jest to zbyt ładne, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale może ci się przyda.

Wręczył Mackowi kosztowny portfel z czarnej, cielejącej skóry, którego elegancję psuł jednak jaskrawy wizerunek pomarańczowego słońca, wschodzącego ponad skałami. Wyhaftowany nad tym napis głosił: YOSEMITE VALLEY.

Mack uznał, że portfel jest piękny.

- Dziękuję, sir.

- Nie ma za co. Mam tuzin lepszych. A tak przy okazji. Carla nie przyjechała tu sama. Towarzyszy jej ten prawnik, którego już poznałeś, Fairbanks. Dostał tutaj niezłe zajęcie. Ma być człowiekiem numer dwa w dziale prawnym Southern Pacific. Mack poczuł się przykro rozczarowany.

- Doskonale rozumiem, czemu nie odstępuje na krok pańskiej córki. Jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Tak jak jej matka - powiedział Hellman z dziwnie chmurnym spojrzeniem. - Nawet nie wiesz, jak wielki jest to kłopot. Piękne kobiety zawsze ściągają na siebie uwagę mężczyzn. I często potem wpadają w poważne tarapaty. Przyznaję, że zepsułem Carlę. Dawałem jej zbyt wiele, bo to moje jedyne dziecko. Kocham moją córkę, ale jednocześnie wiem o niej wszystko, Johnny...

- Mam na imię Mack, nie Johnny. Hellman klepnął się w kolano i wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Na Boga, masz rację! Przejęzyczenie, bodaj tak to się nazywa. Maleńka uwaga, zanim odejdziesz - podszedł bliżej, brudząc wieczorowe spodnie z atlasowymi lampasami. - Tak między nami. Ciesz się, że nie masz pieniędzy, które pozwoliłyby ci starać się o Carlę. Tak naprawdę podnieca ją



tylko gonienie za czymś. Gdy tylko otrzyma to, co chciała - nowy kapelusz czy nowego mężczyznę - nie pragnie tego już więcej i od razu zaczyna interesować ją ktoś nowy. Poza tym, jeśli wypije za dużo, zachowuje się gwałtownie. Miałem nadzieję, że znajdzie się ktoś, przy kim się ustakuje, ale to chyba niemożliwe. Niech Bóg ma w opiece człowieka, który spróbuje ją okiełznać. Mówię ci to jako jej ojciec: nie powinieneś marzyć o niej.

Mack skinął głową. Hellman najwidoczniej nie wiedział nic o tym, co wydarzyło się we mgle, on zaś nie miał zamiaru go o tym informować.

- Przepraszam, muszę już iść - powiedział, podnosząc skrzynki.

- Jasne, Johnny - Hellman ze smutkiem zerknął na wydmuchiwane przez siebie kłęby dymu.

Odd Fellows Hall udekorowany był atłasowymi kokardami i olbrzymimi wiązkami kwiatów. W większości gazowe, a nie elektryczne lampy oświetlały tańczących, którzy maszerowali czwórkami, po czym, dzieląc się na pary, rozchodzili się w takt muzyki na dwie strony. Ubrany w nienaganny frak Ned Greenway prowadził taniec. Jego partnerką była nieładna, podstarzała kobieta, zapewne pani Martin, o której wcześniej wspomniał Mackowi. Jak mówił Greenway, zaliczano ją do najlepszego towarzystwa, ponieważ to właśnie jej krewni ufundowali gazowe oświetlenie klubu. Zyskała dzięki temu przywilej układania wraz z Greenwayem listy gości i decydowania, kto powinien zostać zaproszony.

Wielka sala pachniała perfumami i brylantyną. Nieoczekiwanie Mack dostrzegł Carłę, chichoczącą i flirtującą z za wachlarza przynajmniej z pół tuzinem mężczyzn. Jej widok tak go zaskoczył, że omal nie upuścił skrzynki z szampanem.

- Postaw to gdzie trzeba. Pośpiesz się - warknął jeden z kelnerów ustawiających na stołach eleganckie srebrne półmiski z szynką, orzeszkami ziemnymi i ostrygami. Mack wsunął skrzynkę pod zasłany obrusem stół i zaczął umieszczać butelki w wypełnionych lodem wiaderkach.

Taniec zakończył się przy akompaniamencie głośno dudniących bębnow. Ned Greenway znowu użył złotego policyjnego gwizdka, który nosił na szyi na złotym łańcuchu.

- Panie i panowie, kolacja za dwadzieścia minut.

Tańczący śmiejąc się wesoło opuścili parkiet, orkiestra zaś zeszła z estrady, by na zewnątrz budynku zapalić papierosy. Mack wziął pustą skrzynkę i ruszył w stronę kuchni.

Carla pośpiesznie przepychała się w jego stronę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Fairbanka, ale nigdzie go nie dostrzegł. Carla zbliżyła się do niego. Miała na sobie suknię z ciemnozielonego atłasu z ekstrawaganckimi, bufiastymi rękawami i spódnicą zebraną w sute fałdy, wyszywaną złotymi cekinami. „Wyglądają jak małe złote gwiazdki” - pomyślał, gdy podeszła bliżej. Ciasno zasnurowany gors miał głęboko wycięty dekolt. Trzycalowej wysokości kolia z olbrzymimi diamentami oplatała jej szyję. Nad diamentowymi kolczykami połyskiwał wpleciony we włosy diadem.

Mackowi serce zamarło z zachwyty.

- Omal nie umarłam, kiedy cię zobaczyłam - oświadczyła.
- Cóż za niespodzianka. Co tu robisz?
- Pracuję. Rozwożę szampana.
- Mogę trochę dostać?

Mack rzucił nerwowe spojrzenie na przygotowujących kolację kelnerów.

- Musisz o to poprosić jednego z nich. Kilkoro gości dostrzegło, że rozmawiają ze sobą, i zaczęło coś szeptać. Carla obejrzała go od stóp do głów z ironicznym uśmiechem.

- Jest pan już bardzo daleko od posiadłości mojego ojca, panie Chance. I, jak sędzę, zdążył się pan już wykąpać.

- Zawsze marzyłem, żeby się tu znaleźć... - powiedział bez zastanowienia, coraz bardziej zmieszany jej spojrzeniem. Na w pół odkryte piersi Carli zapraszały do pocałunków... „Boże, skąd przychodzą mi do głowy takie myśli?” - zganił się w duchu. Córka Hellmana naprawdę potrafiła zawrócić mężczyznom w głowie.

- I dlatego podążasz moim śladem. - Jej usta znowu skrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Myślałem o San Francisco, nie o pani, panno Hellman. Mam swoje ambicje... Dotknęła jego brody ozdobionym diamentami wachlarzem.

- Tak, wiem. I nadal masz taki ostry język. Podoba mi się to. Ale nie obronisz się przede mną tak łatwo. Wyznam ci, mój drogi, że spodziewałam się tu śmiertelnej nudy, kiedy przyjmowałam zaproszenie Waltera. A jednak się nie nudzę.

Dotknęła językiem dolnej wargi, a w jej błękitnych oczach pojawiły się ciepłe błyski. Mack poczuł się onieśmielony i zakłopotany skupionymi na nich spojrzeniami gości, ale Carla zdawała się zupełnie nie zwracać na nie uwagi.

- Czy jest możliwe, byśmy znaleźli tu jakieś miejsce... Przerwał jej donośny męski głos:

- Nasi przodkowie byli prawdziwymi angielskimi osadnikami. Założyli ten stan i dlatego powinien on stanowić dla nas świętość.

Fairbanks. Oraz trzech równie eleganckich dżentelmenów, zasłuchanych w jego słowa.

- Musimy wykorzystać każdą szansę, by stopniowo oczyścić Kalifornię z obcych naleciałości, zamiast pozwalać, aby napływało tu coraz więcej przybłędów... Carlo, moja droga, zauważyłem, że z kimś rozmawiasz. Nie mam pojęcia, kto to...

Rozpoznał Macka i zdumienie na jego twarzy ustąpiło miejsca wściekłości, którą usiłował pokryć ironią.

- Mój Boże, to ten niewydarzony podróżnik. Chyba nikt cię tutaj nie zaprosił, co?

- Pracuję dla pana Greenwaya.

- No to udało ci się w życiu.

Fairbanks nosił białe rękawiczki, a jego małe wąsiki błyszczały od pomady. Przysłuchujący się rozmowie dżentelmeni wybuchnęli śmiechem.

- Znasz tego chłopaka, Walterze? - zapytał jeden z nich.

- Owszem, Trevisie. Poznałem go kilka miesięcy temu w posiadłości Hellmana. To jeden z tych nowo przybyłych, którzy zabierają nam miejsce.

- Och, czyżby Kalifornia była pańską własnością? - zapytał Mack. Oczy Fairbanksa zwęziły się lekko.

- Sądzę, że należy bardziej do mnie niż do ciebie. Nie będziemy dyskutować na ten temat. Jak wszędzie, również tutaj obowiązują pewne prawa. - Wskazał w stronę kuchni. - Tam są drzwi dla handlarzy.

- Czemu jesteś tak nieuprzejmy, Walterze? - zapytała Carla. Oddech miała przyśpieszony i nie potrafiła ukryć, jak bardzo podnieca ją ta wymiana zdań.

- Powiedziałem tylko, że tacy ludzie nie powinni mieszać się z gośćmi. Jak dobre towarzystwo mogłoby być dobrym towarzystwem, gdyby nie obowiązywały pewne zasady?

Mack zawrzał gniewem. Ci ludzie byli tacy elegancy, bogaci i pełni pogardy dla innych... I w dodatku mieli dość pieniędzy, by starać się o córkę Hellmana. Poczł wypływający na twarz rumieniec.

- Wyjdę, kiedy będę gotów - odparł.

- Och, Boże, co za wściekły niedźwiedź - powiedział jeden z dżentelmenów z pijacką czkawką.

- Wygląda mi raczej na włóczęgę z Barbary Coast - dodał inny.

Carla ujęła Macka pod ramię, rzucając Fairbanksowi prowokacyjne spojrzenie.

- Uważam, że zachowujecie się jak chamy.

- Proszę, proszę - powiedział człowiek z czkawką. - Córka Hellmana nazywa nas chamami.

Jego dwaj towarzysze roześmiali się.

- Zamknijcie się, sukinsyny - powiedział Mack, stając przed Carłą. Wiedział, że popełnia błąd, był jednak tak wściekły, że nic nie mogło go powstrzymać. Zapadła grobowa cisza.

- Nie podoba mi się twój język, chłopcze - powiedział Fairbanks.

- Nic mnie nie obchodzi, co ci się podoba. Oni powinni przeprosić pannę Hellman. Fairbanks strzepnął niewidoczny pyłek ze swego rękawa.

- Wynoś się stąd - powiedział.

Mack zamachnął się pięścią.

Fairbanks odskoczył do tyłu i cios Macka przeszył powietrze. Powoli, jakby rozkoszując się tym, co czyni, Fairbanks zdjął rękawiczki.

- Potrzyj ją, Haig - poprosił jednego ze swych towarzyszy, uśmiechając się jednocześnie do Macka. - Nie powinienesz być tego robić. Regularnie trenuję boks w moim klubie. Broń się.

Mack nie zdążył nawet unieść ręk, kiedy dosięgła go pięść Fairbanksa. Zachwiał się. W panującej wokół ciszy słychać było podniecone oddechy zgromadzonych. Jakaś kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć.

Przez salę przepychał się Greenway, ściskając w dłoni swój złoty gwizdek.

- Cóż to za zgromadzenie. Co się... - Kolejny cios nastąpił tak szybko, że Mack nawet nie zauważył, kiedy Fairbanks wziął zamach. Uderzenie sprawiło, że wpadł na zastawiony stół, przewracając wazę z zupą z homara i salaterkę z wędzonymi kiełbaskami, które zrosiła kapiąca mu z nosa krew.

Greenway wspiął się na palce, z całych sił dmuchając w swój gwizdek.

- Co to za bijatyka? - zapytał.

- Ten człowiek bez powodu napadł na pana Fairbanksa - odpowiedział ktoś z gości podnieconym głosem.

- Mój Boże, ależ to przerażające - wykrzyknął Greenway.

Mack podniósł się. Włosy opadły mu na czoło i przesłoniły oczy. Fartuch i koszulę miał całe we krwi. Rzucił się na prawnika, ale trudno było go zaskoczyć. Fairbanks błyskawicznie odsunął się na bok i wymierzył kolejny cios, który dosięgnął brody przeciwnika. Mimo przeszywającego bólu Mack jeszcze raz próbował ataku, kątem oka dostrzegając twarz Carli i jej wpatrzone w niego błyszczące oczy. Uderzył. Fairbanks roześmiał się, zaś uderzenie, choć silne, musnęło zaledwie jego ramię. Natychmiast znalazł się przy Macku zasypując go gradem ciosów. Cofając się i krztusząc krwią Mack próbował za wszelką cenę utrzymać równowagę. Jego twarz była już jak befszytk.

- Jesteś zwolniony. Nigdy nie waż się pokazać mi na oczy - wrzasnął Greenway. - Panie Fairbanks, proszę przyjąć moje najgorętsze przeprosiny. Czy mam wezwać policję? Chce pan wnieść oskarżenie?

Fairbanks przygładził włosy i chusteczką wytarł palce.

- Nie ma potrzeby - uśmiechnął się ironicznie. - Chodź, moja droga. - Ujął Carle pod ramię. - Dobrze będzie odświeżyć się po tym wszystkim odrobiną szampana.

Carla obejrzała się, ale Mack nie mógł niczego wyczytać z jej twarzy. Był wściekły, że przegrał, pozwalając upokorzyć się w jej obecności.

- Wyrzucicie stąd tego śmiecia - wysyczał Greenway, przestępując z nogi na nogę. Trzech silnych kelnerów podniosło Macka i wyrzuciło za drzwi.

Mack stał na rogu ulic Fourth i Townsend. Spowijająca miasto mgła sprawiła, że przemarzył do szpiku kości, mimo to nie ruszał się z miejsca, wpatrzony w czteropiętrowy budynek, przypominający wyglądem więzienie. Mieszkańcy San Francisco, podobnie jak Bierce, powiadali, że biura SP są bardziej okazałe od budynków rządowych w Sacramento. Niektórzy twierdzili nawet, że budynki rządowe są własnością SP. Mack wodził wzrokiem po oknach, wpatrując się w mokre od deszczu szare okiennice. Które z tych okien należy do Fairbanksa? Skoro prawnik jest jego wrogiem, wrogami są również ci, co go zatrudniają.

## Rozdział 10.

Tak więc potrzebuję nowej pracy - oświadczył Mack. Było późne niedzielne popołudnie. Zadzwoił do „Examinera” w nadziei, że Nellie będzie pracować nad mającym się ukazać następnego ranka numerem gazety, i nie pomylił się. Kiedy skończyła, pojechali konnym tramwajem aż do końcowego przystanku i spacerowali, patrząc na fale rozbijające się o nabrzeże Presidio. Niemal jednym tchem opowiedział jej o tym, co się wydarzyło, o walce i o powtórnym spotkaniu Hellmana. Nie wspomniał jednak ani słowem o Carli.

- Być może najbardziej potrzebny mi teraz trener boksu - stwierdził na zakończenie.

- Jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co cię spotkało, Mack.

- Zasłużyłem sobie na to - przecież chciałem go uderzyć. Ale wcale nie żałuję.

- Rozumiem, co czułeś. Poznałam Fairbanksa. Bracia Fairbanks byli pionierami z Georgii, jednymi z wielu, którzy opuścili plantacje bawełny na Południu i przybyli do Kalifornii podczas gorączki złota. Członkowie tej rodziny uważali się za arystokrację wśród plantatorów. Fairbanksowie, sprytniejsi od swych rywali, którzy udali się prosto na złotonośne tereny, postanowili zająć się pieniędzmi i złotem poszukiwaczy - tych, którym się powiodło, jak i tych przegranych. „Dixie Express Company” stała się początkiem „Fairbanks Trust”. Bardzo szybko bracia wstąpili do Chiv.

- Do czego?

- Chivalry (Chivalry (ang.) - rycerstwo.). To proniewolnicze skrzydło partii demokratycznej. Przed wojną domową było bardzo silne. Ojciec Fairbanksów działał również w Straży Obywatelskiej. Sam Fairbanks walczył w Sacramento o „Exclusion Act” z osiemdziesiątego drugiego roku, który miał powstrzymać napływ Chińczyków. Teraz,



kiedy masowo zaczęli przybywać tu przemytnicy, jest zwolennikiem prawa nakazującego rejestrowanie wszystkich Chińczyków. Bez wątpienia uważa ich za coś niewiele lepszego niż bydło i sądzi, że słabsze sztuki należy po prostu wyrznać. Jest najgorszego rodzaju „społecznym darwinistą”.

Nellie wyjaśniła mu także, że Fairbanks jest aktywnym działaczem „Native Sons of the Golden West”, stowarzyszenia białych mężczyzn urodzonych w Kalifornii po siedemnastym lipca 1846 roku.

- W tym właśnie dniu kapitan Sloat zawiesił amerykańską flagę nad Monterey Bay Moim zdaniem to banda snobów i bigotów. Nawet jeśli są wśród nich jacyś przyzwoici ludzie, Fairbanks z pewnością do nich nie należy. Jest pozbawionym serca zarozumialcem.

- Ale nie jest głupi.

- Nie. I właśnie dlatego jest taki niebezpieczny.

- Nie jest też ułomkiem. Bez trudu się ze mną rozprawił.

Nellie zbliżyła się, by obejrzeć jego sińce. Kiedy ujmowała go pod ramię, poczuł przez koszulę dotyk jej małych, jędrnych piersi.

- Jeśli serio mówiłeś o boksie, wiem, gdzie możesz znaleźć dobrego trenera.

- Kto to jest?

- Nazywa się Jim Corbett. Irlandczyk, którego ojciec jest właścicielem przedsiębiorstwa wynajmu koni. Ma zaledwie dwadzieścia lat, ale jest już mistrzem wagi średniej w Olympic Club. Pan Weston, Anglik, który zajmuje się w tym klubie boksem, twierdzi, że rokuje on wielkie nadzieje.

- Ho, ho! - roześmiał się Mack. - Kobiety zwykle nie znają się na boksie.

- Ale ja się znam. Uwielbiam sport. Ty też wkrótce go polubisz. Dzieje się tak niemal ze wszystkimi, którzy przybywają do Kalifornii ze wschodu. Jest coś w tutejszym

klimacie, co sprawia, że rachityczne kiełki zmieniają się w dorodne słoneczniki.

- Opowiedz mi coś więcej o tym bokserze.

- Wstąpił do klubu, żeby grać na drugiej bazie w drużynie baseballowej, ale uniemożliwiła mu to kontuzja ręki. Wtedy zainteresował się boksem. Niczym nie przypomina tych zabijaków, jakich widywałeś na pokazach w barach. Jest zawsze gładko ogolony i zadbany. Wybredny, jeśli chodzi o stroje... Niektórzy wyśmiewali się z niego z tego powodu. Kiedy jednak posmakowali jego pięści, przestali się śmiać. Ma inną pracę, ale zamierza zająć się boksem zawodowo. Jeśli to uczyni, może wyrosnąć na wielką gwiazdę sportu. Trzy razy w tygodniu trenuje w Olympic Club, a w czasie weekendu organizuje pokazy w saloonie Billy'ego Delaney'a w Oakland. Parszywa speluna. Czasami też urządza je na barce zacumowanej w zatoce...

- Byłaś tam?

- Niestety nie. Moje informacje pochodzą z drugiej ręki, od dziennikarzy sportowych. Kobietom nie wolno oglądać treningów w Olympic Club ani chodzić na pokazy. To jeszcze jedna niesprawiedliwość, z którą pewnego dnia trzeba będzie skończyć.

Mack uśmiechnął się i odruchowo pogładził jej dłoń.

- Jesteś taka waleczna?

- Jak najbardziej. Jestem i muszę walczyć o miejsce na ziemi.

Mack postanowił, że spotka się z tym młodym bokserem, gdy tylko będzie miał odrobinę czasu i trochę pieniędzy w kieszeni. Po tygodniu poszukiwań dostał pracę jako pomocnik kucharza w knajpie „Royal Midway” w Barbary Coast.

Główny kucharz, kościsty, gadatliwy Filipińczyk imieniem Garcia, szybko nauczył Macka wielu rzeczy. Od

czasu do czasu podkradał właścicielom lokalu butelkę wina i był na tyle miły, że dzielił się nią ze swym pomocnikiem.

- Chardonnay. Kraut, który przybył z Prus, gdzie uczył się sztuki robienia win od Haraszthy'ego, założył tu własną wytwórnię. Robi najlepsze wina w Kalifornii. To niezły interes.

- Nie znam się na winach - wyznał Mack, próbując wytrawnego, mocnego wina o słomkowej barwie.

- No, teraz już coś o tym wiesz - zaśmiał się Garcia.

- Tak. I nawet mi smakuje. Zarabiał dość, by wpłacić zaoszczędzone trzy dolary do banku Wells w Fargo, gdzie uprzejmy urzędnik o uczesanych z przedziałkiem włosach i miłych, niebieskich oczach pomógł mu wypełnić blankiety.

Rozkoszował się tym, że za każdym razem, gdy przemierzał strome uliczki, jego nogi stawały się silniejsze. Nigdy wcześniej nie widział tak licznych i tak brudnych bezdomnych ludzi, tak czystych i zadbanych kobiet ani tak jasnego blasku słońca. Kochał jesienne chmury na niebie i ilekroć na nie patrzył, czuł jak ogarnia go zachwyty, jak szybciej zaczyna bić jego serce.

Och, Kalifornia!

Nellie przyniosła mu egzemplarz Ramony, mówiąc, że to otworzy mu oczy na los kalifornijskich Indian. Autorka, Helen Jackson, walczyła o prawa Indian aż do śmierci. Przez ostatnie lata życia przyjaźniła się z Nellie. Mack pomyślał o księdzu Marquezie i swojej niechęci wobec każdego, kto próbował stać się jego sumieniem. Wciąż jednak był zauroczony Nellie, pomimo że niewiele o niej wiedział, zdusił więc w sobie uczucie zniecierpliwienia i przeczytał powieść.

Nauczył się jeść ostrygi i zdmuchiwać pianę z kufła z piwem. Dowiedział się, że pewien krótkowzroczny polityk imieniem Buckley - „Ślepy szef”, jak go nazywano - kieruje partią demokratyczną ze swej „Snug Cafe” naprzeciwko City

Hall i że pochodzący z Dalekiego Wschodu gangster o pseudonimie Mały Pete rządzi podziemną organizacją Chińczyków. Nauczył się unikać hord wygłodniałych psów, blakających się nocą po ulicach, i pokochał piwo „Allsop's Ale”, kawę J. Folgera oraz cukierki Domingo Ghirardello, „Czekoladowego Króla Zachodu”. Dowiedział się, że w San Francisco jada się na modłę francuską: „lunch” w południe i obiad wieczorem. Odkrył, że człowiek może wiele skorzystać w ładnej bibliotece „Merchants Exchange” przy Bartery Street. Nauczył się nie zawracać sobie głowy chrobotaniem podłogi w nocy, bowiem nawet najlepsze domy pełne były szarych, czarnych i białych szczurów, które zagnieździły się w mieście już w czterdziestym dziewiątym roku, kiedy to wraz z argonautami zeszły na ląd z ich statków. Dowiedział się, że najelegantsi dżentelmeni w mieście jadają na obiad steki z dziczyzny i kraby, że najlepiej ubrane kobiety kupują suknie w „Ville de Paris Felixa Verdiera”, a najznamienitsi mieszkańcy miasta regularnie bywają w operze Toma Maguire'a na przedstawieniach z udziałem światowej sławy śpiewaków i aktorów. Dowiedział się, że synagoga Sherith Israel jest ortodoksyjna, podczas gdy świątynia Emanu - el należy do kongregacji zreformowanej. Włożył nawet wiele wysiłku w to, by zrozumieć, na czym polega różnica. Dowiedział się, że „Lotta's Pump”, piękna, odlana z żelaza fontanna na Market Street, była darem słynnej aktorki Lotty Crabtree, która zaczynała swoją karierę w San Francisco. Dowiedział się, że „Alcatraz” znaczy „pelikan” i że w owej twierdzy w porcie „The Rock” przebywają wojskowi więźniowie Polubił syreny przeciwmgielne, grzechot kości w domach gry w Barbary Coast, dźwięki akordeonu dobiegające z ogrodu niemieckiej piwiarni i gwizd wielkich żelaznych parowców należących do Pacific Mail Company, które przyływały tu z Chin. Nauczył się być dzieckiem Miasta.

Nieostrożny klient zaproszył pewnej nocy ogień w „Royal Midway”, co zmusiło właściciela do zamknięcia lokalu. I to na dobre. Znów bezrobotny Mack uznał, że dostatecznie długo odkładał już swoją zemstę. Rozstał się z piętnastoma centami, płacąc tę sumę za prom znienawidzonemu SP, popłynął do Oakland, by zobaczyć się z Bao Kee. Następnej niedzieli wybrali się razem na poszukiwanie młodego boksera.

Barcę, o którą im chodziło, odnaleźli w pobliżu Oakland' s Inner Harbor. Po obu stronach przystani cumowały tu małe żaglówki i łodzie z silnikami parowymi. Na barce kłębił się hałaśliwy tłum mężczyzn. Było ich tak wielu, że Mack nie mógł dostrzec walczących.

Weszli na pokład barki i natychmiast znaleźli się oko w oko z lufą wymierzonego w nich rewolweru, trzymanego przez rosnącego wykidajkę.

- Żadnych pieprzonych kitajców - usłyszeli.
- To mój przyjaciel.
- Nic mnie to nie obchodzi. Nawet gdyby był twoim pieprzonym bratem

- W porządku, poczekam tutaj - powiedział ugodowo Bao.

Mack niechętnie zgodził się na to i zaczął się przepychać przez tłum. W środku zapach brylantyny mieszał się z odorem potu, cebuli i czosnku.

- Wstań na litość boską, Murphy - jęczał jakiś człowiek o nosie przypominającym kartofel, potrącając Macka uniesionymi w górę pięściami.

Mack wspiął się na palce i dostrzegł tego, który najwidoczniej był Murphym: młodego osiłka z żółtą brodą i białym ręcznikiem zawiązanym w pasie. Po jego twarzy spływały strużki krwi. Unosił w górę rękawice bokserskie, próbując niezdarnie zasłonić się nimi i wymierzyć cios. Ale uderzenie ledwie musnęło starannie uczesane włosy Corbetta, w którym Mack rozpoznał tego samego, uprzejmego

niebieskookiego urzędnika, który przyjmował jego depozyt w Wells. Corbett miał na sobie sięgające łydek niebieskie, sznurowane buty i spodenki gimnastyczne. Wyglądał tak schludnie i porządnie, że zupełnie nie pasował do poplamionej maty brudnego ringu.

- Skończ z nim, Jim, to już zaczyna być nudne - krzyknął jakiś mężczyzna, bijąc brawo i gwizdząc.

Murphy zerknął na nieprzyjazny tłum i splunął na spodenki Corbetta. Młody urzędnik bankowy poczerwieniał i dwukrotnie uderzył jedną rękawicą o drugą. Tylko w ten sposób uzewnętrznił swoje uczucia.

- Walcz albo zejź z ringu, Murphy - krzyknął sekundant Corbetta, mały łysy człowieczek z owłosionymi uszami.

- Tak, zdecyduj się, czego chcesz - powiedział Corbett z dziwnym błyskiem w oku.

Murphy opuścił głowę, a spojrzenie jego zamglonych, ciemnych oczu stało się wręcz mordercze. Ktoś zawołał Corbetta, który na moment odwrócił głowę w tamtym kierunku. W tej samej chwili Murphy uderzył go poniżej pasa.

Widzowie krzykiem obwieścili faul. Corbett poczerwieniał, patrząc na pociągającego nosem i uśmiechającego się szyderczo Murphy'ego. Opanował się jednak, znowu uderzając rękawicą o rękawicę, po czym ruszył do przodu. Trzykrotnie, raz za razem jego pięści lądowały na głowie przeciwnika. Murphy zachwiał się i cofnął. Próbował dosięgnąć Corbetta z prawej strony, lecz jego rywal zrobił unik w lewo. Zaatakował więc z lewej, ale Corbett tylko na to czekał. Wykorzystał, że przeciwnik odsłonił się na chwilę i wymierzył mu trzy ciosy w splot słoneczny. Murphy jęknął, z trudem łapiąc oddech. Oczy zaszły mu mgłą. Corbett jeszcze raz uniósł prawą pięść. Chrząst, który rozległ się na zamarłej nagle widowni wprawił wszystkich w drzenie.

Murphy runął jak ścięty z nóg. Z jego warg sączyła się na matę żółta ślina. Ktoś uderzył młotkiem w gong i kilka sekund później Murphy'ego ściągano już z maty, przykładając mu do twarzy nasiąkający krwią ręcznik.

Corbett nałożył szlafrok i wycierał ręcznikiem włosy, podczas gdy otyły jegomość, Billy Lee Delaney, kręcił się wśród tłumu.

- W porządziu, panowie. Czy jest jeszcze ktoś, kto miałby ochotę na rundkę z dżentelmenem Jimem?

Z tłumu dały się słyszeć jakieś żarty, ordynarne uwagi, ale nie było nikogo chętnego do walki.

- Nikt? Naprawdę nikt? Mack uniósł dłoń.

- Współczuję ci, chłopcze - powiedział stojący w pobliżu mężczyzna. - Lepiej od razu powiedz, kogo zawiadomić na wypadek twojej śmierci.

Serce waliło Mackowi jak młotem, kiedy wchodził na ring. Zerknąwszy w dół dostrzegł na macie krople krwi, które lśniły w promieniach słońca. Jim Corbett zdjął szlafrok. Obejrzał się przez ramię, rzucając swemu nowemu przeciwnikowi szybkie, obojętne spojrzenie. Po chwili spojrzał jednak nań znowu.

Zrobił krok do przodu, unosząc rękawicę.

- Wells, Fargo.

- Pomógł mi pan przy moim depozycie. Nazywam się Chance.

- Jim Corbett.

Byli mniej więcej w tym samym wieku i instynktownie poczuli do siebie sympatię. Nagrzane słońcem powietrze pachniało morzem i rybami. Corbett obejrzał Macka od stóp do głów, ale w jego wzroku nie było pogardy.

- Zdejmij koszulę - powiedział Delaney. Mack spełnił jego polecenie. Delaney podał mu rękawicę. - To twój narożnik - wskazał ręką. - Nic się nie martw, synu -

uśmiechnął się do Macka, mrugając jednocześnie do Jima. - Jeśli będzie bardzo źle, przerwę wam.

Corbett uśmiechnął się ze swojego narożnika - tym razem, kiedy Mack był już jego rywalem, uśmiech ten był bardziej powściągliwy. Delaney uderzył w gong. Podciągnawszy niebieskie spodenki Corbett z gracją ruszył do ataku.

Mack trzymał pięści tak, jak zaobserwował to u Fairbanka owej nocy w Odd Fellows Hall. Nawet nie dostrzegł pierwszego ciosu, jaki wymierzył mu Corbett, poczuł jedynie ból w szczękę i oczy zaszyły mu mgłą. Corbett odskoczył do tyłu. Uderzenia Macka w żaden sposób nie mogły go dosięgnąć. Był zbyt szybki i zwinny. W końcu Mack zapędził go do rogu i wymierzył cios, ale Corbett w ostatniej chwili zrobił unik i rękawica Macka musnęła jedynie jego ucho. Uśmiechnął się pobłaźliwie i uchylił się przed następnym uderzeniem.

Pod koniec pięciominutowej rundy Corbett uderzył Macka w łuk brwiowy, co spowodowało silne krwawienie. Wśród tłumu rozległy się gwizdy oraz okrzyki „dołóż mu jeszcze raz”, „na deski go, Jim, na deski”. Mack uparcie trzymał się na nogach, choć Corbett zadał mu kolejne ciosy w szczękę i klatkę piersiową.

Rękawice przeciwnika zdawały się same fruwać w powietrzu. Ciosy sypały się coraz szybciej. W końcu Mack zbuntował się przeciwko bólowi i wykorzystał chwilę, kiedy pewny zwycięstwa rywal odsłonił się na chwilę. Tłum ryknął ze zdumienia, gdy mistrz Jim zachwiał się na nogach i omal nie upadł. Billy Delaney odciągnął go na moment do narożnika, by doszedł do siebie.

Na twarzy Corbetta malował się teraz nieklamany szacunek. Skoncentrował się i w chwilę później na oszołomionego i obolałego Macka posypał się grad ciosów. Wreszcie zabrzmiał gong.



Ku zdumieniu Macka z tłumy dały się słyszeć głosy chwalaące go za walkę. Corbett podał mu ręcznik.

- Ja na początku walczyłem gorzej. O wiele gorzej. Masz świetny cios, ale nie wiesz, jak go prowadzić. Nie wiesz, jak robić uniki i zasłaniać się. Ja miałem te same kłopoty, dopóki nie zabrał się za mnie pan Watson. Możesz mi przypomnieć swoje nazwisko?

- Mack Chance.

- Cóż, nie jesteś zły.

- Chciałbym być o wiele lepszy.

- Serio? Mack skinął głową.

- W porządku. Wpadnij do Olympic Club o szóstej we wtorek, w czwartek albo w sobotę. Tam będziemy mogli poćwiczyć. Przyda mi się silny sparingowy partner.

Zapuchnięte oczy Macka załśniły podnieceniem.

- Jasne, że wpadnę.

- Będę czekał - powiedział Corbett z lekkim skinieniem głowy i ciepłym uśmiechem.

Mack nie od razu pojawił się w Olympic Club, znalazł bowiem pracę w miejskim wydziale robót ulicznych. Nie było to zbytnio frapujące zajęcie, ale dzięki niemu mógł opędzić swoje skromne potrzeby.

Po tygodniu szef wysłał go na wzgórze Nob Hill. Bogaci obywatele miasta wybudowali tu rezydencje jeszcze wspanialsze od tych w South Park i Rincon Hill. Z owiewanego wiatrem wierzchołka wzniesienia roztaczał się widok na dzielnicę bankową. Mack z podziwem patrzył na drewniane pałace zdobne gotyckimi, strzelistymi wieżyczkami.

Wysypał ziemię z taczki obok sześciocalowej dziury w jezdni na rogu ulic California i Mason, z trudem zmuszając się, by myśleć o tym, co robi. Siłą powstrzymywał się od patrzenia na domy, walcząc z uczuciem zazdrości. Nie miał

pojęcia, do kogo należą budynki, na które spogląda, ale wiedział, że wszyscy spośród Wielkiej Czwórki mieszkają właśnie na Nob Hill. Każdy z nich starał się wznieść dom wspanialszy od innych, by zadowolić swą żonę i wprawić we wściekłość żony pozostałych potentatów. Flood, król srebra z Nevady, oraz inni milionerzy także tutaj mieszkali. Sama śmietanka.

Mack ujął łopatę i począł spychać ziemię do wyrwy w drodze. Na stoku wzgórza ód strony Oakland dzwonieniem obwieszczał swoje przybycie tramwaj należący do California Street Cable Railroad. Orędownikiem założenia tej linii, jak mu powiedziała Nellie, był gubernator Stanford. Mack przemierzał Nob Hill, wykonując swą żmudną pracę. Hałasy miasta nie zakłócały porannej ciszy tej wysoko położonej dzielnicy. Słyszeć było jedynie, jak ktoś ustawia butelki z mlekiem pod niewidocznymi stąd drzwiami kuchennymi, oraz rytmiczne uderzenia kijanki do prania na podwórzu. Nagle z Powell Street wyjechał kryty powóz i zatrzymał się tuż obok Macka. Jak przystało na sumiennego pracownika służb miejskich, Mack przerwał pracę i stanął wyprężony z łopatą u boku.

W powozie siedziało elegancko ubrane, niemłode już małżeństwo. Siedzący na koźle starannie ubrany dżentelmen wskazywał im coś batem.

- Nie mógłbym zaproponować państwu lepszego miejsca na nowy dom. Nob Hill to najodpowiedniejsze miejsce na wybudowanie rezydencji.

- Skąd wzięła się taka dziwna nazwa: Nob? - zapytała kobieta.

- Od nababów, władców Indii. Oni także mieszkają we Wspaniałych pałacach. Muszę państwa ostrzec, że zostało tu już zaledwie kilka placów. No i ceny są niebotycznie wysokie.

- Och, to nie gra roli - odparła kobieta. - Pan Sineheimer sprzedał właśnie fabrykę w Chicago i dostał za nią mnóstwo pieniędzy. Po prostu: furę pieniędzy.

Zachowujący dotąd stoicki spokój starszy mężczyzna pokraśniał z dumy.

- Oczywiście - odparł agent, odruchowo się uśmiechając.  
- Właśnie dlatego mogę państwu sprzedać każdą wolną tutejszą działkę i zapewnić, że jest to świetna inwestycja. Muszę zaznaczyć, że kiedy już zbudujecie dom, nie będziecie mogli obyć się bez służby. Będziecie potrzebowali mnóstwo służących.

- Podoba mi się tu - oświadczyła żona milionera.

Podczas gdy Mack obserwował tę scenę, jakaś ubrana w czerń kobieta w średnim wieku wyszła z olbrzymiego domu na południowo - zachodnim rogu California i Powell i skierowała się w stronę Mason. Mack pomyślał, że jest to służąca wysłana po coś przez swoich państwa. W tym samym momencie, kiedy kobieta na ukos przechodziła skrzyżowanie, powóz ruszył gwałtownie. Zapatrzona w inną stronę, za późno zauważyła pędzącego na nią konia.

- Z drogi - krzyknął agent, wymachując batem.

Kobieta cofnęła się gwałtownie, upuszczając na jezdnię torebkę. Gdyby pozwoliła jej zostać tam, gdzie upadła, nic by się nie stało. Ona jednak wróciła po swą zgubę.

Agent gwałtownie ściągnął lejce, próbując skrócić w bok, ale rozpędzony koń nie zareagował na to. Mack rzucił się w stronę kobiety, całkowicie oszołomionej i ogłupiałej ze strachu. Objął ją ramieniem i z całej siły pociągnął do tyłu, ratując spod kół.

Upadli na ziemię. Agent ponownie strzelił z bata i ruszył z kopyta, uwożąc swoich klientów.

- Strasznie mi przykro, proszę pani. Mam nadzieję, że pani nie zraniłem.

- Nie, nie - odparła otrzepując suknię. Była niska, pulchna i ciemnowłosa. Jej owalna twarz przypominała mu portrety królowej Wiktorii, wyjąwszy oczy: okrągłe i wylupiaсте. - Myślałam, że ten człowiek zatrzyma powóz.

- Na pewno nic pani nie jest?

- Poza urażoną godnością, nic. Dziękuję za pomoc - rzuciła mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie. - Ludzie, których dotąd przysyłano do naprawiania ulic, wyglądali niewiele lepiej niż włóczędzy. Ty jednak jesteś inny.

- To jedyna praca, jaką udało mi się dostać, proszę pani. Zresztą, chyba bym jej nie przyjął, gdyby nie to, że pozwala mi dużo być na powietrzu.

- Lubisz być na powietrzu?

- Bardzo. Kocham słońce.

- Jesteś tutejszy?

- Teraz już tak.

Popatrzyła na niego w zamyśleniu.

- Mój mąż hoduje konie wyścigowe na ranczo na półwyspie. Zawsze potrzebuje młodych, zwinnych ludzi do pracy w stajni. To ciekawsza praca od tej, którą wykonujesz. Jeśli chcesz, dam ci list polecający do naszego zarządcy.

Mack miał ochotę podrzucić w powietrze swoją łopatę.

- Tak, proszę pani. Bardzo chcę. Jak się nazywa to ranczo?

- Palo Alto. Ranczo Lelanda Stanforda. Nazywam się Jane Lathrop Stanford, gubernator jest moim mężem. Chodź ze mną. Mój dom jest zaraz za rogiem. Do Crockerów mogę wybrać się później.

Podążając za nią w stronę imponującej rezydencji przypomniał sobie kulejącego owczarka, zmasakrowane ciało O'Malleya i poczuł zapach lepkiej krwi na twarzy.

Po wejściu na marmurowe schody znalazł się w olbrzymim, okrągłym holu, którego podłogę wyłożono

kamieniem. Widniały na niej jakieś dziwne, nie znane mu symbole z czarnego marmuru. Znaki zodiaku, jak mu później wyjaśniła Nellie, która знаła ten dom. Wszyscy znali ten dom - nawet ci, którzy nie mogli mieć nadziei, by ich tu kiedykolwiek zaproszono.

Zawieszony siedemnaście stóp nad podłogą żyrandol z bursztynowego szkła rzucał łagodne, złote światło. Jane Stanford poprowadziła Macka przez niezliczone pokoje, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać. Rozpoznał bibliotekę, salę bilardową i pokój muzyczny z olbrzymim fortepianem. Było tu tyle obrazów, fresków i rzeźb, że z powodzeniem zapełniłyby one niewielkie muzeum. Pośrodku licznych cieplarnianych roślin tryskała srebrzystymi strumieniami wody fontanna. W kolejnym pokoju dostrzegł coś jeszcze bardziej zdumiewającego: na nieprzeliczonych gałęziach posadzonych w doniczkach drzew siedziały ptaki: nieruchome, złote ptaki.

- Są metalowe - wyjaśniła pani Stanford, widząc, że Mack aż zatrzymał się ze zdumienia. - Poruszają się i śpiewają za sprawą sprężonego powietrza. Gubernator uwielbia wszelkie mechaniczne przedmioty.

Ubrani w czarne liberie mężczyźni i kobiety przemierzali sale rezydencji tak cicho jak mnisi. Zanim jeszcze dotarli do wspaniałego urządzonego pokoju na tyłach budynku - bawialni pani Stanford - Mack doliczył się czternastu osób służby.

Gospodyni zaprosiła go, by rzucił okiem na rozpościerający się z okien widok na położone w dole miasto, sama zaś szybko napisała krótki list przy stojącym w kącie sekretarzyku. To, co zobaczył, pozostawiło w nim takie uczucie, jakby przynajmniej przez pięć rund walczył z Corbettem. Miał nadzieję, że mimo oszołomienia nie zapomni podziękować Jane Stanford, kiedy odprowadziła go do wyjścia, ale nie był tego jednak pewny.

- Czy jest Nellie?

- Gdzieś tu się kręci - odpowiedział Bierce, wzruszając ramionami. - Przygotowuje się do przeżycia załamania nerwowego na Market Street, skąd ma zostać przekazana w ręce maniaków seksualnych pracujących w „Receiving Hospital”. Pewna pacjentka przysięga, że straciła dziewictwo właśnie za sprawą jednego z nich. Brzmiało to jak kiepski żart. Bierce posadził Macka na krzesło i nalał kawy.

- Co cię tutaj sprowadza?

Mack pokazał mu list polecający.

- Ho, ho! Podpisany przez taką wielką damę. Czy masz zamiar przyjąć tę pracę na ranczo?

- Nie wiem jeszcze. Spotkałem już kiedyś Stanforda. Nie spodobał mi się.

- Znienawidziłby cię, gdyby usłyszał, co powiedziałaś - odparł kwaśno Bierce. - W 1860 roku gubernator odkrył politykę. Sprawilo to, że przez wiele lat na zmianę to wprowadzał się, to wyprowadzał z budynków rządowych, a później, w osiemdziesiątym piątym, dotarł do amerykańskiego senatu. Po dziś dzień lubi, jak się go tytułuje „gubernatorem”. Jest jak duże dziecko. Pragnie, by kochali go wszyscy prości ludzie w Kalifornii. Jest zwolennikiem Unii. Jego zamiłowanie do bycia popularnym naraziło go na konflikt z Huntingtonem, który uważa, że jedynym sposobem zarządzania kolejami jest pilnowanie własnego nosa i postępowanie jak ostatni sukinsyn.

- A więc Stanford nie jest już we władzach kolei? Bierce przecząco pokręcił głową.

- Kiedy on i Collis P. stali się bogaci, odkryli, że bardzo się między sobą różnią. Huntington jest groszrobem, a Stanford rozrzutnikiem. Doszło między nimi także do ostrej awantury o kandydowanie do senatu. Stary gubernator przegrał, zajął się więc jeżdżeniem swoim pociągiem,

wyścigami konnymi i innymi zabawkami. Jako waszyngtoński polityk był zresztą równie gorliwy i skuteczny jak Humpty Dumpty (Postać z tradycji angielskiej. Grubas o sylwetce w kształcie jajka.).

Pojawiła się Nellie, ubrana w dziwną sukienkę, która wyglądała, jakby uszyto ją ze skrawków szarych i zielonych szmat. Jej brudne policzki pokrywała gruba warstwa różu. Wyglądała brzydko i biednie.

- Dokąd wybierasz się w tym stroju? - zapytał Mack.

- Biedacy nie noszą sukni z „Worth of Paris”. Nie martw się, mam przy sobie również mały pistolet. Tak na wszelki wypadek.

Mack nie mógł oderwać wzroku od jej dziwnie pomalowanej twarzy. Czemu ciągle myśli o tej dziewczynie? Jak dotąd niewiele o niej wiedział. Właściwie tylko tyle, że pochodziła z niewielkiego miasteczka Hanford. Nie lubiła mówić o sobie.

- Rozmawialiście o naszym ukochanym byłym gubernatorze? - Nellie wzięła do ręki list gubernatorowej i przeczytała go. - Mam nadzieję, Mack, że nie zamierzasz dla niego pracować. To gruby, wstrętny oszust, krwiopijca, który żyje z tego, co monopol Southern Pacific zdoła wydusić z ludzi.

- Ale mówiłaś mi, że to jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce.

- Oczywiście - potwierdził Bierce. - We wszystkich artykułach, które na jego temat pisałam, zawsze starałam się to podkreślić. - Przerzucił kilka leżących na stole „Examinerów” i znalazł egzemplarz z nagłówkiem: „Gubernator Leland Stanford’.

- Wobec tego praca dla niego może mnie wiele nauczyć - powiedział Mack. Bierce wybuchnął śmiechem.

- Zachłanny z ciebie facet.

- Daj spokój, czyż nie tacy właśnie są wszyscy Kalifornijczycy?

- Taką opinię mogą mieć o nich ludzie za granicą - powiedziała Nellie. - Ale mylą się. Jestem tobą rozczarowana.

- Przykro mi.

- Czy to znaczy, że to, co mówię, nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? - pod jej żartobliwym tonem kryło się poważne pytanie.

Złożył list i schował go do kieszeni.

- Tym razem nie - odrzekł.

Nellie z nadzieją spojrzała na Bierce'a, ale on tylko wzruszył ramionami.

- No cóż, chłopcze - powiedział. - Jeśli podejmiesz pracę u gubernatora, nie wspominaj mu, że znasz kogokolwiek z naszej gazety. Ani słowa o tym w Palo Alto, o ile chcesz zostać tam dłużej niż pięć minut.



## Rozdział 11.

Mack stał przy ogrodzeniu, wymachując rękoma.

- Naprzód, naprzód Shannon - krzyczał.

- Wyprostuj się, chłopcze - wtórował mu równie podnieconym głosem stojący obok siwowłosa, krzywonogi Bask, Emilio Vasco.

Jednomilowy tor treningowy, jeden z dwóch wokół położonego pośrodku rancza parku, otaczało białe ogrodzenie. Kurz wzbił się w powietrze, kiedy dżokej spał ostrogami wspaniałego ogiera i po ostatnim zakręcie wyjechał na prostą. Był październik i łąki na półwyspie przybrały już żółtozłotą barwę. Kiedy Shannon podjechał bliżej, Vasco pomachał radośnie srebrnym, kieszonkowym zegarkiem.

- Jak dotąd, najlepszy czas. Gubernator będzie zadowolony.

Dżokej zsiadł, Mack zaś poprowadził konia przez padok do stajni, gdzie trzymano ponad sto ogierów, dwieście pięćdziesiąt rozplodowych klaczy i tyle samo źrebiąt. Gubernator Stanford nie cierpiał hazardu, postanowił jednak zadbać o lepszy poziom wyścigów konnych.

Vasco kroczył obok.

- Zmęźniałeś i opaliłeś się, chłopcze - odezwał się po dłuższej chwili milczenia. - Jak długo tu jesteś? Cztery tygodnie?

Mack skinął głową.

- Dopiero nauczyłem się utrzymywać w siodle.

- Dobrze sobie radzisz z końmi - stwierdził trener. - Lubią cię. A jeździć jeszcze się zdążysz nauczyć. Widziałem cię wczoraj w siodle. Zupełnie nieźle ci szło.

- Dziękuję, panie Vasco - powiedział Mack, szczęśliwy, że może być na świeżym powietrzu w to pogodne jesienne, kalifornijskie popołudnie. Szczęśliwy pomimo tego, że - jak

twierdzili jego przyjaciele z gazety - pracował dla pasożyta, którego często widywał z daleka.

Ranczo Palo Alto liczyło ponad siedem tysięcy dwieście akrów i zatrudniało stu pięćdziesięciu ludzi, w tym pięćdziesięciu Chińczyków. Wyjąwszy najstarszych trenerów, pracownicy co jakiś czas zamieniali się obowiązkami. Czasem Mack oczyszczał tory jezdzieckie, kiedy indziej pielł sześćdziesięcioakrowe grędy marchewki dla źrebiąt albo sadił sekwoje i japońskie cedry w liczącym sobie dwanaście tysięcy drzew trzystuakrowym zagajniku. Czasami zaś usługiwał w wielkim, ocienionym dębami dworze, który należał poprzednio do rodziny Gordonów. Oprócz tych obowiązków odpowiedzialny był za wyprowadzenie na wybieg kilku z dziewięćdziesięciu źrebiąt, wybranych przez gubernatora jako te, które rokowały największe nadzieje w przyszłych wyścigach. Każdy z koni musiał codziennie biegać przynajmniej przez dwadzieścia minut.

Pewnego ranka poszedł do budynku z wieżyczkami na dachu niosąc tacę z warzywami. Zapukał do kuchennych drzwi.

- Proszę wejść. Oczekiwał, że zastanie w środku kucharkę, olbrzymią Meksykankę, a tymczasem ujrzał panią Stanford, która pochylała się właśnie nad wielkim kuchennym stołem. W starej, perkalowej sukience zupełnie nie wyglądała na jedną z najbogatszych kobiet w Ameryce.

- Ach, to ty, ten młody człowiek naprawiający ulice... Mack. Witaj.

- Dzień dobry pani. Ogrodnik przysyła pani tę tacę.

- Postaw tutaj - wskazała na nasłoneczniony blat obok poruszanej wiatrem koronkowej firanki. Mack odstawił warzywa i zerknął na rozłożoną na stole akwarelę, przedstawiającą jakieś piękne, ciemnobrązowe budynki pokryte czerwoną dachówką. Przypominały wyglądem

klasztor hiszpańskiej misji. Jane Stanford pisała coś ołówkiem w rogu obrazka.

- To uniwersytet. Mamy zamiar wybudować go na pamiątkę naszego syna. - Poruszona wiatrem firanka ocieniła na chwilę jej twarz. Jej oczy zdawały się teraz bardziej zaczerwienione niż zwykle. - Zapewne słyszałeś o naszym synu?

- Tak, proszę pani. Zmarł na tyfus we Włoszech, kiedy miał zaledwie szesnaście lat. Straszne nieszczęście.

- Leland junior był naszym jedynym dzieckiem. Gubernator i ja pobraliśmy się na wiele lat przed tym, nim wydałam go na świat. Nazwaliśmy jego imieniem szkołę, a teraz postanowiliśmy założyć uniwersytet. Ale spotkała nas za to bardzo ostra krytyka. Radykalne gazety szydzą z nas, ponieważ uniwersytet w Berkeley nie może znaleźć nawet trzystu studentów. Pan Huntington, który nie jest zbyt miłym człowiekiem, nazwał nasz pomysł „cyrkiem Stanforda”. - Jej ból nieoczekiwanie wzruszył Macka. - Ale gubernator i ja nie damy się odwieść od naszych planów. Najlepiej wyraził to mój mąż, mówiąc: dzięki uniwersytetowi imienia Lelanda Stanforda juniora wszyscy kalifornijscy studenci staną się naszymi dziećmi. To zrekompensuje nam stratę naszego drogiego chłopca, który... który... wybacz mi...

Z chusteczką przy oczach wybiegła z kuchni.

- Bardzo kochali tego chłopca - powiedział Vasco, kiedy Mack poruszył ten temat przy kolacji. - Tak długo czekali na dziecko, że kiedy wreszcie się urodziło, gubernator wydał olbrzymie przyjęcie dla swoich przyjaciół. Kiedy wszyscy zajęli już miejsca, weszło dwóch służących z wielką srebrną tacą nakrytą kloszem. Zgadnij, co się ukazało, gdy go zdjęto? Leland junior. Goły i różowy leżał na posłaniu z kwiatów i paproci. Gubernator pęczniał z dumy, kiedy służący obnosili tacę dookoła stołu, by każdy z gości mógł popatrzeć na jego

syna. Potem wszyscy zabrali się do jedzenia, picia. Gubernator wypił za dużo i zwaliwszy się pod stół płakał i krzyczał, jak bardzo jest szczęśliwy. Nie było mnie przy tym, ale kucharka przysięga, że to prawda. To opowiadanie zmieniło nieco opinię Macka o gubernatorze, choć nadal nie mógł sobie wyobrazić, by ten „pasożyt” potrafił płakać.

Mack spotkał się z gubernatorem dopiero w listopadzie, kiedy Vasco chciał zaprezentować kilka najbardziej obiecujących wierzchowców.

Czekając w bibliotece na przyjazd pracodawcy, Vasco pokazał Mackowi wielką księgę zatytułowaną Koń w ruchu. Zawierała liczne fotografie, z których większość wydawała się Mackowi zupełnie identyczna.

Trzasnęły drzwi i Vasco odstawił trzymaną w dłoni filiżankę. Mieli przed sobą gubernatora we własnej osobie - dwieście siedemdziesiąt funtów Amasy Lelanda Stanforda, człowieka, który utrzymał Kalifornię w ramach Unii przez całą wojnę secesyjną. Poruszał się powoli i równie powoli mówił, robiąc duże przerwy, jakby po każdym zdaniu wrzucał do morza olbrzymi ciężar.

- Czy... ta... książka... interesuje cię... młody... człowieku?  
- To Mack, nowy stajenny, proszę pana... - zaczął Bask.  
- Poznaję... go - Mack w milczeniu przysłuchiwał się z trudem wydobywanym słowom.

Człowiek, który wstrząsnął krajem zagłębiając w piach srebrną łopatę i rozpoczynając w ten sposób budowę Central Pacific oraz wbił ostatni złoty gwóźdź w Promontory Point, kiedy owa linia kolejowa sięgnęła oceanu, był potężnie zbudowanym, otyłym mężczyzną. Mimo że przekroczył już sześćdziesiątkę, miał gęstą grzywę siwych włosów i wielką, kwadratowo przyciętą brodę. Słuchając go Mack wkrótce przestał zauważać pauzy między słowami.

- Osobiście sfinansowałem wydanie tej książki. Tekst pochodzi od doktora Stillmana, a fotografie są dziełem Edwarda Muybridge'a - oświadczył. - Zleciłem im tę pracę, by wygrać jeden z niewielu zakładów, na jakie pozwoliłem sobie w życiu.

- Chodziło o to, czy wszystkie cztery kopyta biegnącego konia jednocześnie odrywają się od ziemi - wyjaśnił Vasco.

- Otóż właśnie - powiedział gubernator. - Pan Muybridge, doskonały brytyjski fotograf, który teraz mieszka w naszym mieście, ustawił cały rząd aparatów fotograficznych obok toru wyścigowego. Aparaty kolejno robiły zdjęcia i fotografie te potwierdziły moje przypuszczenie.

Każde wypowiedane przez gubernatora zdanie trwało całą wieczność. Bask mrugnął okiem, ostrzegając Macka, by nie ważył się uśmiechnąć.

- Pozwólcie, że zaprezentuję wam jeszcze coś arcyciekawego - gubernator zmarszczył brwi, co nadało mu wygląd mocno czymś zajętego dziecka. - Coś, co zainteresowało nawet wielkiego pana Edisona.

Zdjął z półki zbiór fotografii podobnych do tych, jakie zamieszczono w książce, ale wykonanych w sepii, po czym wsunął je w ustawione na specjalnym postumencie ramki.

- A teraz patrzcie - poruszył urządzeniem. Koń, uchwycony na fotografiach w nieznacznie tylko różniących się pozycjach, zaczął teraz galopować: Jego bieg był nieco sztuczny i niezdarly, ale dawało to wrażenie ruchu.

- To wspaniałe, proszę, pana - zawołał Mack.

- Tak - nawet wymówienie jednego słowa trwało u niego całe wieki.

- Powinien istnieć jakiś sposób, żeby na tym zarobić.

- Na obrazkach, które zdają się poruszać?

Mack skinął głową. Bask zacisnął wargi, by wyrazić swoją pogardę dla takiej śmiałości wobec pryncypała. Stanford zamknął księgę i obrzucił Macka ciężkim spojrzeniem.

- Cóż, młody człowieku, być może jesteś właśnie tym, który tego dokona... choć... nie masz... doświadczenia... ani wykształcenia... Wielu potrafi marzyć... ale nie wszystkim starcza uporę... by swe marzenia zrealizować - powiedział z ironią w głosie.

Znowu wprowadził w ruch obrazki, bawiąc się tym jak dziecko. Mack nigdy nie miał zapomnieć tego widoku: Stanford i koń, który w magiczny sposób zaczął nagle biec. Na łąkach Palo Alto zapanowała zima. Cudowna zima, podczas której słońce często gościło na niebie, a ziemi nie skuwały mrozy. Tylko od czasu do czasu przerywał ludziom pracę deszcz. Śniegu na szczęście nie było. Z każdym tygodniem dzięki pracy na świeżym powietrzu przybywało mu sił. Dobrze sypiał w przytulnym pawilonie, gdzie nie przeszkadzały mu wyjące w oddali kojoty. Jadał wraz z innymi stajennymi przy stole, na którym nigdy nie brakowało pożywienia. W ciągu jednej kolacji mógł zjeść befsztyk i siekany kotlet, bochenek świeżo upieczonego chleba, gorące biszkopty, sześć do ośmiu gatunków warzyw i trzy gatunki owoców. dopełnieniem tej uczty był zawsze największy kalifornijski przysmak, jakiego nigdy wcześniej Mack nie kosztował: dorodne soczyste pomarańcze z gajów położonych na południe od Tehachapi Mountains.

„Examiner” Hearsta był na ranczo zakazany, ale Nellie napisała mu w liście, że artykuł o „Receiving Hospital” odniósł ogromny sukces. Zostali zwolnieni wszyscy pracownicy jednego z oddziałów i trzech nadzorujących ich lekarzy.

Stanford pojawiał się na ranczo od czasu do czasu, spacerując powoli alejkami i czyniąc coraz dłuższe przerwy

między słowami, kiedy coś mówił. Jego obecność za każdym razem przypominała Mackowi zgorzkniałego księdza i krwawe strzępy ciała kolejowego robotnika. I choć Mack zdawał sobie sprawę, że Stanford prawdopodobnie rzeczywiście jest takim zbrodniarzem, jakim przedstawiał go „Examiner”, było mu jednocześnie w jakiś sposób żal tego człowieka. Pomimo olbrzymiego bogactwa Stanford robił wrażenie nieszczęśliwego. Za każdym razem Macka ogarniały na jego widok mieszane uczucia, choć wolałby nie doznawać takich rozterek.

Baskijski nadzorca był zadowolony z pracy Macka, podobała mu się inteligencja i energia tego chłopaka. Kiedy więc Mack prosił każdej soboty o kilka godzin dla siebie, Vasco, nie zadając żadnych pytań, wyznaczał mu taką pracę, by mógł się z nią szybciej uporać. W te zimowe, sobotnie popołudnia Mack jechał pociągiem z Menlo Park do Oakland, po czym wsiadał na prom do San Francisco i szedł do Olympic Club przy Post Street. Kiedy pierwszy raz się tam pojawił, Jim Corbett przywitał go uśmiechem, oświadczając, że wszystko jest już przygotowane dla jego nowego sparingowego partnera. Przez kilka następnych tygodni w wielkiej sali klubowej, ze wszystkich stron wyłożonej miękkimi materacami, Corbett przekazywał Mackowi podstawową wiedzę o ciosach, unikach i poruszaniu się na ringu.

W drodze powrotnej do domu Mack zaglądał zwykle do Bao Kee i gawędził z nim przez godzinę. Dwukrotnie odwiedził jeden z licznych w Oakland burdeli. Za pierwszym razem spał z uroczą Chinką, młodą, choć zaskakująco lubieżną, za drugim razem z dziewczyną mówiącą wyłącznie po francusku. Z całej jej przemowy zrozumiał tyle tylko, że ma zapłacić z góry i wynieść się szybko, kiedy już będzie po wszystkim.

Zima mijała, a on nauczył się nieco boksu, zaoszczędził trochę pieniędzy, opalił się i zmęźniał. Jediną rzeczą, która zatruwała mu życie, była niecierpliwość. Wiele nocy przeleżał bezsennie, czyniąc sobie wyrzuty, że zbyt wolno zdąża do celu.

Z Nellie nie widział się aż do pewnego pięknego popołudnia wiosną 1888 roku. Myślał o niej często, z lekkim poczuciem winy z powodu córki Hellmana. Przepojone pożądaniem marzenia o Carli nawiedzały go niemal co noc. Dwukrotnie dzwonił do Nellie podczas sobotnich pobytów w San Francisco, ale nie zastał jej. Za drugim razem zostawił nawet dla niej list, powierzając go jakiemuś roztargnionemu, zaaferowanemu reporterowi, kiedy jednak nie doczekał się odpowiedzi, uznał, że jego kartka zaginęła gdzieś w bałaganie panującym w redakcji.

Trenował teraz dwuletniego ogiera imieniem Konkwistador, galopując na nim przez pastwiska aż po Governors Road, gdzie kończyło się ranczo Stanforda. Włosy Macka, teraz już dość długie, rozwiewały się na wietrze podobnie jak końska grzywa. Pewnego dnia obok wielkich eukaliptusów i drzew orzechowych rosnących wzdłuż głównej drogi ujrzał jadącą powozem kobietę, która na jego widok zatrzymała się i pomachała kapeluszem.

- Nellie! - wykrzyknął zdumiony, ściągając wodze. - Powinnaś być ostrożniejsza. Tutaj strzela się do dziennikarzy z San Francisco.

Roześmiała się.

- Nie wątpię w to. Staralam się więc schodzić z oczu ludziom pracującym na ranczo. Mój Boże, aleś ty opalony. Ta praca musi ci służyć.

- Owszem - Był tak wzruszony jej widokiem, że z trudem nad sobą panował.



- Czy dostaniesz trochę urlopu? - ciągnęła. - Z tydzień albo dziesięć dni? Pan Hearst dał mi parę dni wolnego. Chciałabym przez ten czas pokazać ci kawałek prawdziwej Kalifornii.

- Nie wiem, spróbuję. Zarządca mnie lubi. Nie mógłby mi wprawdzie zapłacić za ten okres...

- Czy to taki problem?

- Nie, nie. Regularnie odkładam trochę pieniędzy do banku. Zapytam.

- Moglibyśmy wyjechać w poniedziałek. Powinieneś zabrać ze sobą jakieś ciepłe rzeczy. Zamówię namiot i prowiant w Stockton.

- W Stockton? Dokąd się właściwie wybieramy?

- W góry Sierra.

W ustach zaschło mu na myśl o przebywaniu razem z nią sam na sam.

- Czy zatroszczysz się także o przyzwoitkę? - zapytał mimo to żartobliwie.

- Lepiej nie obiecuj sobie za dużo, panie Chance. Kobieta parająca się dziennikarstwem nie ma reputacji, o którą musiałaby się przesadnie troszczyć, ale nie uczynię nic, co mogłoby ją nadwereżyć. Jedziemy wyłącznie na wycieczkę krajoznawczą.

Ich oczy spotkały się i oboje równocześnie odwrócili wzrok. Czyżby i w jej twarzy widoczne było rozczarowanie?

## Rozdział 12.

San Joaquin lśniła jak błyszczący w słońcu metal. Mack i Nellie patrzyli na wodę pochyleni nad barierką otaczającą rzekę. - Jestem Rosjanką - powiedziała Nellie.

Gdyby nie barierka, Mack wpadłby pewnie z wrażenia do płytkiej, leniwie płynącej wody.

- Naprawdę nazywam się Natalia Rotchev. Złożywszy ręce i utkwivszy wzrok w linii horyzontu opowiedziała mu o sobie.

Urodziła się w Kalifornii, ale jej przodkiem był przywódca tutejszej rosyjskiej kolonii. Mack nigdy przedtem nie słyszał o Rosjanach w Kalifornii.

- Mieli fort i osadę na wybrzeżu, na północ od miasta, ale eksperyment nie powiódł się i w 1842 roku wyjechali stąd. Mój ojciec jednak został. Zmienił nazwisko na „Ross”, w hołdzie swym przodkom i osadzie „Fort Ross”, nazwanej tak na pamiątkę Rosji. Ojciec, doświadczony farmer, przeniósł się do doliny i tam się urodziłam. Powodziło się nam doskonale, ale mój ojciec z pewnością nie był idealnym człowiekiem. Należał do ludzi nieprawdopodobnie konserwatywnych. Traktował moją matkę niemal jak służącą. - Odgarnęła włosy z czoła i popatrzyła na Macka. - Bardzo wcześnie spostrzegłam, jak straszne wiodła życie. Uznałam, że sama nigdy nie dam się złapać w pułapkę męskiej dominacji. Rodzina Rossów osiedliła się na ziemi należącej do kolei w hrabstwie Tulare, które potem zmieniło nazwę na Hanford. Można by powiedzieć, że miasto zawdzięczało swe miano skarbnikowi Central Pacific, panu Hanfordowi. Ale to oczywiście żart - dodała. - Kolej zapraszała do siebie osadników. Jej agenci obiecywali, iż farmerzy będą mogli kupić w przyszłości tę ziemię po dwa dolary pięćdziesiąt centów za akr. Lata pracy i takich udoskonaleń jak rowy nawadniające zmieniło tę niegdyś jałową dolinę w kwitnące

poła uprawne. Kiedy kolej uświadomiła sobie, czego dokonali farmerzy, wycofała się ze swych obietnic. Wystawiła naszą ziemię na sprzedaż za siedemnaście do czterdziestu dolarów za akr. Na wolnym rynku.

Gorzkie wspomnienia sprawiły, że trudno było jej mówić i Mack ledwo rozumiał jej słowa.

- Tata nie mógł się z tym pogodzić. Wszystkie swoje pieniądze włożył w żywy inwentarz, ziarno i narzędzia. Poczul się oszukany. Razem z innymi farmerami zorganizowali grupę samoobrony o nazwie „Liga Osadników”. Pewnego dnia - osiem lat temu, w maju 1880 roku - kolej przysłała uzbrojonych ludzi z szeryfem, by odebrali farmerom ziemię. Osadnicy z bronią w ręku wyszli im naprzeciw. Kolej twierdziła potem, że farmerzy pierwsi zaczęli strzelać, ale nie wierzę w to. Jeśli nawet tak było, widocznie ich do tego sprowokowano. Zginęło siedmiu ludzi, w tym mój ojciec. Nazwano to bitwą o Mussel Slough. Był maj 1880 roku. Miałam czternaście lat. Pamiętam, jak wniesiono do domu ojca owiniętego w pokrwawiony koc. - Zacisnęła dłonie tak mocno, że pobieleały. - Już to było straszne, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Urzędnicy kolejowi zajęli biuro telegrafu, tak że cała ta historia nie mogła przedostać się do prasy. W miastach Huntington i Charley Crocker chodzili od redakcji do redakcji i przedstawiali własną wersję wydarzeń, całą winą obarczając farmerów. Zataili prawdę i wypaczyli ideę wolności prasy. Byłam dostatecznie duża, żeby to zrozumieć, i od tej pory nie miałam już żadnych wątpliwości, co chciałabym w życiu robić: pisać, mówić prawdę, zniszczyć kolej. Jej matka, dwaj bracia i trzy siostry zostali wyrzuceni z farmy, podobnie jak miało to miejsce w przypadku innych osadników. Ona sama opuściła dom, zmieniła imię na Nellie i pograżyła się w wartkim nurcie życia w San Francisco. Opowiadając o tym, ożywiła się nieco.

- Byłam zbyt młoda, aby przejmować się grożącymi mi niebezpieczeństwami. Chwytałam się tyłu zajęć, że nie potrafiłabym ich nawet zliczyć. Mieszkałam naprzeciwko burdelu Madam Cory Swett, która często karmiła mnie i stała się moją przyjaciółką. Poznałam Cesarza Nortona Pierwszego, szalonego króla ulic. Bawiłam się z jego psami: Bummerem i Lazarusem, które były ulubieńcami całego miasta. Słuchałam, jak Norton opowiadał o swej wielkiej idei: o wybudowaniu mostu między San Francisco a Oakland. Ludzie śmiali się z tego, ale ja uważałam to za całkiem rozsądny pomysł. W końcu uzbierałam dość pieniędzy żeby wstąpić na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. W 1870 pozwolono tam studiować również kobietom. To bardzo postępową uczelnia. Studiując, nocami nauczyłam się także pisać na maszynie. Po zrobieniu dyplomu złożyłam podanie o zatrudnienie u Hearsta. Pokazałam mu kilka swoich próbnych artykułów i dostałam pracę. Prawdopodobnie zresztą dlatego, że jestem kobietą. Pan Hearst to kobieciarz. Zdołałam jednak uniknąć jego zalotów, kiedy przekonałam go, że zrobię wszystko, pójdę wszędzie i podejmę każde ryzyko, byleby tylko zostać najlepszą reporterką w mieście. Teraz wiesz wszystko - zakończyła z lekkim wzruszeniem ramion.

- Rozumiem już, dlaczego jesteś taka niezależna.

- I dlaczego tak nienawidzę kolei.

- Tak - przyznał. - To także rozumiem.

W Stockton wynajęli wóz i załadowali nań namiot, materace, plecaki i prowiant. Nellie wyjaśniła mu, co rozumie pod pojęciem „podział pracy”. Ona będzie wynajmować lub kupować to, co jest im potrzebne w czasie wycieczki, on zaś weźmie na siebie większość ciężkiej pracy fizycznej.

- Będzie jej mnóstwo, nie dyskutujmy więc na ten temat. Roześmiał się. Nie należało sprzeciwiać się Nellie, o ile nie było się gotowym do stoczenia bitwy.

Wyruszyli na południowy wschód wzdłuż Old Sonora Road w stronę kopalń Mother Lode.

- Stamtąd pojedziemy do Big Oak Flat i Yosemite Toll Road - oświadczyła Nellie.

- Czy musimy płacić, żeby tam dojechać?

- Powinien pan to zrozumieć, panie Chance. Tutejsza ludność dorabia się podobnie jak inni Kalifornijczycy.

- Okropność - stwierdził i oboje uśmiechnęli się.

Jechali pośród winnic, pól, na których dojrzewały melony, pastwisk oraz łąnów pszenicy, mijając po drodze prażące się w spiekocie małe miasteczka. Przejechali przez Stanislaus przy Knights Ferry i krętą drogą dotarli do podnóża gór. Przed nimi wznosiły się majestatycznie góry Sierra. Niższe zbocza porośnięte były ciemnozielonymi sosnami i sekwojami, wierzchołki skrywał zaś wieczny śnieg. Mack miał złe wspomnienia z czasu swej wędrówki przez góry, ale zapomniał teraz o tym na widok oszałamiającego piękna pejzażu. A może stało się tak za sprawą dziewczyny, która siedziała obok niego na twardym koźle?

Tego wieczoru Mack na ochotnika zajął się przygotowaniem posiłku. Obrął i pokroił w kostkę ziemniaki, które kupili po drodze, po czym udusił je w kociołku wraz z cebulą i szczyptą pieprzu. Nellie gorąco pochwaliła jego kulinarne umiejętności.

- Nauczył mnie tego ojciec. Powiadał, że jeśli nie ma się zbyt wiele jedzenia, już samo gotowanie daje człowiekowi dużo przyjemności.

Roześmiała się.

Mack przez chwilę milczał, po czym niespodziewanie zmienił temat:

- Przypomniałem sobie tego Hellmana, właściciela ziemskiego... Skąd to przezwisko, które nosi?

- Dlaczego o to pytasz?

- Przypomniałem sobie o tym dzisiaj, rozmyślając o owej nocy, kiedy Greenway wylał mnie z pracy.

Skończywszy jeść Nellie wyjaśniła mu, że w 1850 roku rząd federalny wydał rozporządzenie o zwrocie zachodnim stanom milionów akrów bezwartościowej ziemi. W innych stanach były to na ogół moczary i trzęsawiska, ale jeśli chodzi o Kalifornię, popełniono pomyłkę. Po wyjątkowo silnych deszczach ziemia tylko wyglądała przez jakiś czas na bezwartościową, będąc w rzeczywistości najżyźniejszą krainą jaką tylko można sobie wymarzyć. Nim jednak wyszło to na jaw, stan zdążył już sprzedać ją po dolarze i dziesięć centów za akr.

- Hellman był w tym czasie młodym imigrantem, ekspedientem w sklepie rzeźnickim w Sacramento. Nie mam pojęcia, skąd zdobył kapitał na swą pierwszą inwestycję, ale już wkrótce toczył boje o ziemię z Henrym Millerem i obaj przekupywali inspektorów i mierniczych, by uzyskać zaświadczenie, że dana parcela jest trzęsawiskiem, podczas gdy w rzeczywistości wcale nim nie była. Miller i Hellman zrobili majątek na tym bagiennym oszustwie, ale przezwisko przylgnęło tylko do Hellmana.

- Interesujące - stwierdził Mack, odstawiając cynowy talerz i dostrzegając, że Nellie przypatruje mu się z uwagą.

- A teraz twoja kolej, żeby mówić.

- O czym?

- Po co tak naprawdę przybyłeś do Kalifornii?

Ciepły blask ogniska i uczucie sytości wywołane dobrym jedzeniem przełamały nieco jego niechęć do zwierzeń. Poza tym, jeśli w ogóle istniała jakaś dziewczyna, której ufał, była nią z pewnością Nellie.

- Po pierwsze, przybyłem tu dlatego, że w Pensylwanii nigdy nie sypiałem w czystym łóżku i nie nosiłem czystej koszuli. Wokół kopalni powietrze było tak brudne, że nawet

śnieg stawał się natychmiast czarny. To było straszne życie. Nie chcę opowiadać ci o tym, bo mogłoby przyprawić cię to o mdłości...

Potrząsnęła głową i niecierpliwie machnęła ręką.

- Widziałem przyjaciół mego ojca, którzy przychodzili z kopalni na kolację i pluli krwią. Widywałem ośmio-, dziewięcioletnich chłopców, zgarbionych jak starcy od sortowania węgla przez dwanaście, czternaście godzin na dobę. Ja także garbiłem się w ten sposób przez długi czas. Widziałem, jak zjeżdżali na dół szybami, kiedy mieli nie więcej niż dwanaście lat. Nie myśleli wówczas o niczym innym prócz tego, czy wrócą żywi na powierzchnię. Spędzali całe dni powoząc w ciemności zaprzężonym w muła wózkiem. Widywałem specjalną policję wynajętą przez właścicieli kopalni, która łamała robotnikom nogi pałkami, kiedy żądali skrócenia dnia pracy i bezpieczniejszych warunków. Jerry Caslin był przywódcą Molly Moguire...

- Tajnego stowarzyszenia. Czytałam o tym.

- Policja specjalna tak pobiła Jerry'ego, że nie mógł później rozpoznać własnej żony i dzieci. I chciał już tylko posiedzieć przy oknie, splunąć i wysikać się... och, wybacz, wymknęło mi się. Potem już cały czas robił pod siebie. W końcu umarł, gdy ktoś uraczył go trutką na szczury. Nikt nie dochodził, kto to zrobił. Nawet ksiądz. Tak więc istniało wiele powodów, dla których chciałem przyjechać do Kalifornii. Ale najważniejszym z nich był mój ojciec. Przybył tutaj podczas gorączki złota, nic jednak nie znalazł i wrócił z powrotem. Przez całe życie był biedny, a mimo wszystko wciąż wierzył w to miejsce. Mawiał, że jeśli człowiek nie może mieć żadnej nadziei tam, gdzie żyje, na pewno odnajdzie ją w Kalifornii. Uważał tak pomimo swoich smutnych doświadczeń. Dzięki niemu ja także w to wierzę. I zawsze będę wierzył.

Nellie była tak wzruszona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Pochyliła się i na moment położyła rękę na dłoni Macka. Onieśmielony odwrócił wzrok. „Cóż za wspaniały człowiek - pomyślała. - Po prostu wspaniały.”

Nellie zdawała się dobrze znać drogi wiodące ku górzystej krainie. Przyznała, że podróżowała tu często jako mała dziewczynka.

- Jeździłam tędy z wujem Sebastianem, który poślubił siostrę mojej matki, ciotkę Anię. Sebastian był baskijskim pastuchem owiec. Każdego lata pędził je na położone wysoko w górach pastwiska, zabierając ze sobą całą rodzinę. Ciotka Ania była prostą kobietą. Pracowała równie ciężko jak jej mąż, podobnie zresztą jak ich syn, Tomas. Ja także pracowałam, ale zawsze traktowałam ten czas jak wakacje. Do dziś Tomas jest moim ulubionym kuzynem.

Pod koniec dnia przejechali przez Chinese Camp, kiedyś pełne górników, a teraz zupełnie opustoszałe. Wyblakła reklama roboczych kombinezonów produkowanych przez Leviego Straussa nappełniła serce Macka dziwnym uczuciem. Być może jego ojciec przemierzał kiedyś tę samą wyboistą drogę? Często powtarzał, że w poszukiwaniu bogactwa odwiedził każdy zakątek Mother Lode. Wspinali się coraz wyżej. Mack czuł to w powietrzu, które stawało się coraz bardziej ostre. Nellie twierdziła jednak, że muszą wspiąć się jeszcze wyżej, jeśli chcą odnaleźć sekretną dolinę, dokąd wuj zabierał ją, gdy była dzieckiem.

- Dolinę Yosemite'a. To imię pewnego starego Indianina. Tutejsze plemię Ahwahneechee nazywa ją Ahwahnee - „Głęboka Zielona Dolina”. Biali ludzie odkryli to miejsce w 1851 roku. Byli to żołnierze z Mariposa Battalion. Zabili część Indian wodza Tenayi za to, że - jak powiadali - nekali wydobywających złoto górników. Nie uwierzysz własnym



oczom, Mack, kiedy zobaczysz to miejsce. Jego piękno wyciśnie ci łzy z oczu.

Na Jacksonville Hill Nellie zatrzymała powóz pośród strzelistych sosen i wyjaśniła Mackowi, że w dawnych czasach drogę tę przemierzały liczne wozy poszukiwaczy złota. Kiedy skręcali na południe na rozstajach dróg w Tuolumne, zjechała z wąskiej drogi, by pokazać mu najwspanialsze drzewo, jakie kiedykolwiek widział. Było nieprawdopodobnie wręcz wysokie i grube i miało dziwną, cynamonową barwę.

- Sekwoja. Starsza niż sięga ludzka pamięć. Te drzewa mogą być nawet najstarszą rzeczą na świecie. - Widok olbrzymiego pnia sprawił Macka w stan dziwnego spokoju, jaki ogarnia człowieka w cichym, mrocznym kościele.

Zanim opuścili Tuolumne Grove, udali się do Martwego Olbrzyma - niezwyklej atrakcji turystycznej, jak zapewniała Nellie. Ujrzeni wielką sekwoję, która od dawna nie miała już korony. Pozostał tylko dwustustopowy pień rozwidlony u góry, a droga przebiegała przez wielką dziurę w tym potężnym drzewie.

- Ten „tunel” powstał w 1878 roku. Jedź śmiało. Nasz wóz zmieści się tam z powodzeniem.

- Wspomniałaś o turystach. Nie widzę tu żadnych.

- Jeszcze za wcześnie. Pojawią się dopiero latem. Ostatniego lata Yosemite odwiedziło dwa i pół tysiąca ludzi. Za jakiś czas będziemy musieli wprowadzić specjalne przepisy, żeby ocalić to miejsce. Mam przyjaciela, Szkota, który już teraz o to walczy. Należy on do tych cudownych ludzi gór, jakich spotykałam, kiedy byłam dziewczynką.

Wkrótce Mack zrozumiał, czemu należało walczyć o ochronę tego zakątka. Obok nich z hałasem przetoczyła się karawana sześciu platform, a na każdej było osiem olbrzymich, spiętych łańcuchami pni.

- Łajdaki - warknęła Nellie. - Jeśli ich nie powstrzymamy, całkowicie ogołocą z drzew te góry.

Znów miał sen, w którym wyciągał przed siebie ramiona, wołając: „Tato, gdzie jesteś?”

Ktoś potrząsnął go za ramię.

- Mack! Obudź się.

Gwałtownie otworzył oczy. Na policzku poczuł zimne, nocne powietrze, pachnące dziką trawą i sosnami, nad głową ujrzał zaś ciemność pełną migotliwych gwiazd. Nellie, w długiej, popielatej, flanelowej koszuli, stała bosko pomiędzy nim a ogniskiem, teraz będącym już tylko kupką żaru, rozbłyskującą nieco jaśniej, gdy powiał wiatr.

Przypomniał sobie, gdzie się znajduje: w szczerym polu, w pobliżu małej górskiej osady Crane Flat. W oddali świeciły się żółte kwadraty okien drewnianego zajazdu. Mack usiadł, pocierając nie golony podbródek. Jego materac i ciepły koc leżały zmięte obok. Wieczorem rozstawił dla Nellie namiot, sam zaś ułożył się do snu przy ognisku.

Dziewczyna siedziała na pieńku, skromnie obciągając rąbek koszuli poniżej gołych kostek. Spod flaneli wystawały tylko jej małe białe stopy, ale ich widok w połączeniu z otaczającym ich pustkowiem wystarczył, by Macka ogarnęło bolesne pożądanie.

- Rzucałeś się i krzychałeś. Niewiele brakowało, a wpadłbyś do ognia. Co ci się śniło?

- Koszmar, który prześladowuje mnie od czasu dzieciństwa. Ciągle to samo: śnieg, ciemność, śmierć... - Ubierając te obrazy w słowa czuł, że nie potrafi oddać ich w całej pełni.

Nellie pochyliła się nad nim. Z większą czułością, niż normalnie byłoby to dopuszczalne, dotknęła jego twarzy.

- Być może po wpływie kalifornijskiego słońca zapomnisz kiedyś o tych złych snach.

Przytulił policzek do jej dłoni. Blask dogasającego ognia zamigotał w jej brązowych oczach. Miękkie wargi Nelli rozchyliły się. Uświadomiła sobie, co stanie się, jeśli oboje się nie powstrzymają.

Pocałowała go leciutko w czoło. Mack odniósł wrażenie, jakby przeszło go rozpalone żelazo.

- Nellie, ja...

- Dobranoc, Mack. Musimy wyruszyć wczesnym rankiem.

Odwróciła się i weszła do namiotu. Zanim zniknęła mu z oczu, obejrzała się i w jej oczach Mack dostrzegł żal, że nie mogą spędzić tej nocy razem.

Zmieszany i podniecony pragnął pójść za nią, ale obawiał się jej gniewu. Zrezygnowany zawinał się w koc i położywszy się na materacu jeszcze przez godzinę obserwował błyszczące na niebie gwiazdy. Czuł się młody, głupi, niedoświadczony, podniecony, zły. I zakochany.

Nadal podążali drogą w górę, w stronę Gin Flat, położonego siedem tysięcy stóp nad poziomem morza. Wkrótce szlak zaczął opadać nieco w dół, wiodąc tuż nad skalnym urwiskiem. Mieli teraz wyjątkowo piękny widok na porośnięte drzewami doliny i wysokie, granitowe szczyty. W ocienionych, przydrożnych kotlinach lśnił jeszcze nie stopniały śnieg.

W „Gentry's Hotel and Station” zapłacili za przejazd drogą, którą Nellie nazwała „zygzakiem”.

- Chcemy pojechać dwanaście mil w głąb doliny - oświadczyła.

- Dzisiejszy ranek nie nadaje się do takiej podróży. Musicie poczekać do popołudnia.

Zdecydowali się więc udać tymczasem do „Prospect Point”, bardziej znanego jako „Oh My Point”.

Mack szybko zrozumiał, skąd ta nazwa. Przed nim rozciągał się widok na wielki, nagi skalisty masyw, górujący ponad zalesioną doliną. Pełno było wodospadów. Mack oniemiał z zachwytu na widok gromady ptaków, które przemknęły obok nich z szumem skrzydeł.

- Gołębie pocztowe! - krzyknęła Nellie. Odezwał się dzwonek, powiadamiając ich, że mogą już ruszyć w dół górskiego zbocza. Na tym niebezpiecznym szlaku, pełnym wykutych w granicie ostrych zakrętów, powoził Mack.

- To dzieło Włochów z tutejszych kamieniołomów - powiedziała Nellie. - Nieprawdopodobny wyczyn.

- Nie mów tak dużo - mruknął Mack, którego bolały już ręce od trzymania lejców. Koła toczyły się o kilka cali od urwiska. Gdyby wpadli w przepaść, nie mieliby żadnych szans.

Jechali z szybkością dwóch mil na godzinę, dlatego też popołudniowa wycieczka zabrała im niemal sześć godzin. Spocony i śmiertelnie zmęczony Mack dotarł w końcu na dół i skierował wóz ku brzegowi wartkiej rzeki Merced.

- O Boże! - wyszeptał. Pomyślał, że tak właśnie czuli się ludzie z Biblii, kiedy na pustyni przemówił do nich Wszechmogący.

Słońce przesunęło się na zachód i stało już nisko, oświetlając jedynie szczyty gór i wierzchołki drzew, rzucające głębokie, długie cienie. Zatrzymali się na dnie doliny, przez którą płynęła rzeka o spienionej wodzie. Otaczały ich skały w kształcie wież.

- To El Capitan. Jest dwukrotnie wyższy od Gibraltaru. Wznosi się na wysokość trzech tysięcy stóp od dna doliny. Tam dalej jest Cathedral Rocks i Half Dome. Wodospady Yosemite są tutaj na lewo, a Bridalveil na prawo. Teraz, wiosną, można je podziwiać w całej okazałości.

Słuchając Nellie, Mack przyglądał się wodospadom rozsiewającym wokół obłoki złotych kropel. Jednostajny szum przyprawiał go o dziwne drżenie.

- Widziałeś już kiedyś coś podobnego? - zapytała dumna z siebie Nellie. - Jestem szczęśliwa, że to właśnie ja pokazuję ci to po raz pierwszy.

- I ja się z tego cieszę - odparł, obejmując ją ramieniem i całując.

- Lepiej jedźmy stąd - szepnęła, przyglądając włosy.

Dolina miała siedem mil długości i milę szerokości. Poniżej czołowej moreny, w miejscu, gdzie dwadzieścia tysięcy lat temu zatrzymał się ostatni lodowiec, Merced zmieniła się ze strumienia w łączącą liczne zielone stawy rzekę. Mack i Nellie ominęli małe hoteliki okupowane przez grupki turystów, siedzących w świetle zachodzącego słońca na werandach, i rozbili obóz na łące w pobliżu kępy topoli i olch. Drzewa z szumem liści gięły się w podmuchach chłodnego wiatru. Nellie ani na chwilę nie przestała pokazywać mu wszystkiego wokół: kępę jemioli na dębie, porastający granit mech, tworzący na skałach ciemne plamy, błyszczące oczy, które obserwowały ich spomiędzy drzew.

- To niedźwiadek grizzly - szepnęła. - Jeśli przyjdzie do nas po jedzenie, nie odpędzaj go.

Błyszczące oczy zniknęły.

Kiedy zapadł zmrok, Nellie pobiegła ku rosnącym na łące makom i zaczęła tańczyć. Wyrzucając wysoko bose stopy, wyglądała jak krasnoludek. Mack klaskał w dłonie w rytm jej ruchów. Zarumieniała się i potknęła się tracąc równowagę. Podtrzymał ją, przytulając do siebie nieco dłużej niż było to konieczne. Nellie wsparła dłoń na jego silnym ramieniu i niechętnie odsunęła się.

Ognisko trzaskało wesoło, kiedy Mack dusił nad nim w ciężkim, żeliwnym garnku soloną wołowinę, z lubością wciągając w nozdrza zapach mięsa.

- Naprawdę masz do tego talent - stwierdziła Nellie. - Powinieneś zostać kucharzem w „Palace Hotel”.

- Za mało tam płacą - zażartował. - Lubię gotować, choć niektórzy uważają to za kobiece zajęcie.

- Jest pan bardzo typowym mężczyzną, panie Chance, skoro wypowiada pan takie prymitywne sądy na temat męskich i żeńskich ról.

- Wydaje mi się, że większość ludzi podziela moje...

Przerwał mu okrzyk powitania. Przez pogrążoną w mroku łąkę szedł ku nim wysoki, kościsty mężczyzna. Włosy sięgały mu aż do ramion, a siwa broda była tak gęsta, że dałoby się z niej uwić niejedno ptasie gniazdo. Nellie pomachała mu ręką i skierowała się w jego stronę.

- Znasz tego człowieka? Wygląda jak włóczęga.

- I w pewnym sensie jest nim. To mój przyjaciel, John Muir. Nie miałam pojęcia, że go tutaj zastanę.

Nellie i Muir przywitali się serdecznie, po czym i Mack uścisnął silną, opaloną dłoń nieznajomego. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat i przejrzyście błękitne oczy.

- Miło mi cię poznać - powiedział z silnym szkockim akcentem.

- Możesz zostać z nami na noc, John?

- Jasne. - Muir rzucił na ziemię torbę i brązowy kapelusz z trzciny cukrowej. - Jest tu mnóstwo turystów.

Nellie skinęła głową.

- Każdy chciałby zobaczyć to miejsce - powiedział Mack.

- Owszem. Witałem tu już wielu gości, od czasu kiedy przybyłem tutaj po raz pierwszy w 1868 roku. Poznałem nawet między innymi Jessie Fremont i Susan Anthony.

- Yosemite malował Bierstadt - dodała Nellie. - Byli tu Mark Hopkins, Emerson, Barnum... długa byłaby to lista.

Muir usiadł i wsparł głowę na dłoniach.

- Czasami turyści zapominają o szacunku dlatego, co stworzył tu Bóg. A jeśli zbyt wiele z nich zacznie o tym zapominać, nie zostanie już nic dla następnych pokoleń.

- John jest samozwańczym obrońcą tej doliny - oświadczyła Nellie. Muir westchnął.

- To nigdy nie kończąca się walka.

Wyjaśnił Mackowi, że w 1864 roku Lincoln, przewidując, co może nastąpić, przyłączył Yosemite i okoliczne skupisko wielkich sekwoi, noszące miano Mariposa Grove, do stanu Kalifornia.

- Tak więc okolica ta była chroniona, tyle że ochrona okazała się za słaba. Mamy sprytnych drwali. I te przekłete owce. Zeszłego lata wypasano ich tu ćwierć miliona. Nie zostawiły na niektórych łąkach ani źdźbła trawy, wyskubały wszystko do gołej ziemi. Ja sam też pasłem tutaj niegdyś owce, póki nie zobaczyłem, jak wielkie sieją spustoszenie.

Mack poczęstował go soloną wołowiną. Muir nałożył sobie dwa plastry na cynowy talerz.

- Jak wobec tego zamierzasz chronić dolinę?

- Oddać ją pod zarząd Wydziału Wewnętrznego. Uznać za park narodowy, tak jak Yellowstone. Kontrolować ruch turystyczny i zrobić spis wszystkich tutejszych skarbów przyrody, by ci przekłeci rabusie nie mogli ich stąd zabrać.

- Ale, jak widzę, znajdują się tu również cenne źródła wody. Słyszałem, że ośnieżone szczyty górskie mogłyby nawodnić całą Central Valley, a może nawet dostarczyć wody dla miast na wybrzeżu, gdyby zbudować wodociągi.

- Wodociągi. Wielki Boże, synu! Naprawdę byś na to pozwolił? Pogarda brzmiąca w jego głosie rozzłościła Macka.

- Co jest złego w tym pomysle? Tutejsza woda mogłaby sprawić, że cały stan rozkwitnie.

- Ten pomysł jest po prostu straszny - odparł Muir. - Wydaje mi się, Nellie, że twój przyjaciel jest jednym z tych apostołów postępu, którzy chętnie zmieniliby to miejsce w zyskowne przedsiębiorstwo.

- Ja nie podzielam jego poglądów, John.

Mack z brzękiem odstawił trzymany w ręku talerz.

- Do diabła, nic takiego nie powiedziałem.

- Jestem przeciwny każdemu przedsięwzięciu, które zagrażałoby naturze - oświadczył Muir.

- Podobnie jak ja - poparła go Nellie.

- Mimo to jednak chcesz walczyć o niezależność kobiet - dociął jej Mack.

- A panu się to nie podoba, panie Chance? - zapytała.

- Nie bardzo - przyznał.

- No cóż, świadczy to tylko o tym, jak bardzo jesteś głu...

- W ostatniej chwili ugryzła się w język, po czym obróciwszy twarz ku drzewom próbowała się uspokoić. Mack utkwił spojrzenie w ogniu. Muir nabił tytoniem swą starą fajkę, po czym zapalił ją wyciągniętym z ogniska drewnikiem.

- Nie chciałem stać się przyczyną kłótni między wami. Po prostu bez ogródek wyraziłem własne zdanie, a jestem całym sercem przeciwko temu, co powiedziałaś.

- Nie sądziłem, że muszę uważać na każde wypowiedane słowo. Jestem w Kalifornii od niedawna. Próbuję dopiero przywyknąć do tutejszych obyczajów.

Błękitne oczy Muira mówiły, że stara się być tolerancyjny i wierzy, że za kilka lat Mack odkryje swój błąd i zacznie dzielić jego zdanie.

- Przepraszam, że się uniosłam - powiedziała Nellie dziesięć minut później.

- I ja cię przepraszam.



Mimo to wieczór mieli zepsuty. Udali się na spoczynek w złym nastroju, niemal ze sobą nie rozmawiając.

Następnego ranka, w jasnych promieniach słońca, wszyscy robili wrażenie, jakby zapomnieli o wczorajszej kłótni. Muir gotował kawę, podczas gdy Mack opiekał bekon, a Nellie kroїła chleb, rumieniąc go nad ogniskiem. Muir opowiedział Mackowi co nieco o sobie. Urodził się w Dunbar, w Szkocji, a dzieciństwo spędził w Wisconsin. Z powodu swych zasad odmówił udziału w wojnie secesyjnej: wojna jest zawsze czymś złym, bez względu na to, o co się toczy.

- Byłem po trochu wszystkim. Włóczęgą, przewodnikiem, pasterzem owiec, robotnikiem w fabryce nawozów w Indianapolis. To była świetna posada. Ale ciągnęło mnie do życia na świeżym powietrzu. Założyłem ranczo i żyłem na nim z moją żoną Louise i córkami: Wandą i Helen. Ale małżonka często pozwalała mi udawać się na włóczęgę, wiedziała bowiem, że tego potrzebuję. - Dopił kawę i począł nabijać fajkę. - Później zacząłem pisać artykuły i wygłaszać odczyty. Starłem się, żeby otoczono opieką miejsca podobne do tego.

Kiedy jedli śniadanie, na łąkę majestatycznie wkroczył łoś. Miał wielkie, rozłożyste rogi. Stał tam zaledwie kilka chwil, kiedy zza zakrętu wyłonił się wóz należący do hotelu Yosemite. Chichoczący turyści palcami pokazywali sobie zwierzę. Jeden z pasażerów, raczący się wódką prosto z butelki, opróżniwszy flaszkę rzucił ją za siebie. Nawet tutaj wyraźnie słychać było brzęk tłuczonego szkła. Łoś w oka mgnieniu zniknął im z oczu.

- Teraz już wiesz, dlaczego się tym wszystkim zajmuję, mój chłopcze - powiedział Muir bez gniewu w głosie.

Mack nie zdążył nic odpowiedzieć, ponieważ jeden z turystów wyrzucił właśnie zapalone cygaro, które potoczyło się w dół wzgórza. Muir zerwał się na równe nogi i pobiegł

przez łąkę. Znalazłszy miejsce, gdzie upadło cygaro, co nie było trudne, bo wciąż jeszcze unosiła się nad nim stróżka dymu, zgasił je, po czym krzyknął za oddalającym się wozem:

- Trzymajcie się z daleka od tego miejsca, jeśli chcecie, by traktować was z szacunkiem! Każdy głupiec może błyskawicznie wyciąć lub puścić z dymem te drzewa, ale Wszechmogącemu posadzenie ich na nowo zabierze całe lata.

Jednak nie usłyszano tam jego okrzyku. Kłęby szarego pyłu skryły wóz i Muir wrócił do ogniska.

- Przyjeżdża tu coraz więcej ludzi - powiedział smutno. - Wiem, że nie możemy ustawić przy wjeździe strażników, którzy orzekaliby, kto zasługuje na oglądanie tych cudów, a kto nie. Nie potrafimy powstrzymać tych wandalii, a musimy coś z tym zrobić. Szczególnie tutaj. Przewędrowałem piękne sawanny w Północnej i Południowej Karolinie i widziałem błękitnozielone wody Florydy. Wspiąłem się na Shasta i jako pierwszy biały człowiek ujrzałem zatokę lodowców w drodze na Alaskę, równie chłodną i spokojną, jak była od początku świata. Nie napotkałem jednak żadnego miejsca, które dałoby się porównać z tą doliną, z Yosemite. To po prostu klejnot w boskiej koronie. Właśnie dlatego chcę, by powstał tu park narodowy. Pragnąłbym też, żeby powstała organizacja, która walczyłaby o zachowanie w stanie nienaruszonym wszystkich tych dzikich miejsc. Ale szczególnie tego - wskazał starym kapeluszem otaczającą ich dolinę. - Czy ty, chłopcze, wstąpiłbyś do takiej organizacji?

Mack spojrzał mu w oczy.

- Tak - powiedział z wahaniem.

- Cieszę się - odparł Muir, choć w jego głosie brzmiało pewne rozczarowanie. - Muszę iść, Nellie. Chcę dostać się do wysokogórskiego obozu, żeby powspinać się na skały. Może też coś napiszę. Następnym razem zobaczymy się w mieście.

- Jasne, John. Ja na pewno chciałabym wstąpić do twojej organizacji.

- Nie miałem co do tego wątpliwości. - Cmoknął ją w policzek. Zrzuciwszy torbę na ramię, szybkim krokiem odszedł zalaną jasnymi promieniami słońca doliną.

- Naprawdę nie chciałam się z tobą kłócić - westchnęła Nellie. Mack nic nie odpowiedział. - Mack, proszę, zapomnijmy o tym. Nadal możemy być przyjaciółmi.

- Nie, jeśli uczciwe przyznanie się do swoich poglądów traktowane będzie jak... zbrodnia.

- Masz rację, wczoraj wieczorem zareagowałam zbyt ostro. To złe przyzwyczajenie.

- Chowanie urazy nie jest w moim stylu - odchrząknął. - Przepraszam.

- Dziękuję. To była piękna wycieczka, ale mamy jeszcze tylko dwa dni. Potem musimy wracać. Spędźmy ten czas jak najmilej. - Wyciągnęła ku niemu rękę. - Zgoda?

- Zgoda - uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń.

Nie od razu cofnęła rękę. Zaczęła bawić się jego palcami, wpatrując się w niego uważnym, skupionym spojrzeniem, jakby wiedziała o czymś, co teraz stało się nieuniknione. On także o tym wiedział i poczuł, jak ogarnia go lęk.

Wspięli się stromym szlakiem, by wczesnym popołudniem urządzić sobie piknik na brzegu Mirror Lake. Zanim jeszcze skończyli jeść, nad ich głowami zebrały się szare, gęste chmury i opadła mgła, skrywając górskie wierzchołki. Wodospady zdawały się wypływać wprost z przesłoniętego chmurami nieba. Tej nocy Mack spał ubrany w ciężki, wełniany płaszcz, który kupił po drodze.

Obudził się zziębnięty i przestraszony. Wiedział, że tym razem nie śnił i to, co usłyszał, nie było sennym koszmarem. Otaczała go biel... Dotknął językiem ust i poczuł na nich igielki lodu. Szron pokrywał także jego włosy. Leżał pod

grubą warstwą śniegu. Wstał z przemoczonego materaca i wytrzepał koc, strząsając zeń obłoczek białego puchu. Porywy wyjącego wiatru sprawiały, że śnieg zacinał i sypał mu prosto w oczy. Nie mógł powstrzymać szczęknięcia zębami. Spróbował poruszyć zgrabiałymi kończynami, ale tylko jęknął z bólu.

- Mack?

Odwrócił się w stronę namiotu, ale nie mógł go dostrzec. Głos Nellie był ochrypliwy ze zdenerwowania.

- Nie możesz zostać na zewnątrz. Chodź tu i ogrzej się.

Następnego popołudnia stanęli u stóp wodospadów Yosemite. Opadająca kaskadami woda rozbijała się o granitowe głazy i spływała do stawów pomiędzy skałami. W jednym z nich, dobrze skrytym przed ludzkim wzrokiem, osłoniętym sosnami i sekwojami, wykąпали się nago i po raz drugi zaczęli się kochać.

Mack całował jej krągłe i jędrne piersi. Śmiejąc się, wysunęła się z jego objęć i wskoczyła do wody. Poczuli się tym zawiedziony.

- A co, jeśli ktoś tu przyjdzie? - zapytała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jeśli drogą nadjedzie wóz pełen turystów?

- Nie dbam o to, a ty?

Otoczyła go ramionami, kiedy poprowadził ją w stronę wodospadu. Uniósł Nellie i zanurzył w wodę. Drżąc, objęła go nogami. Stała się jego częścią, on zaś stał się częścią niej. Stopili się w jedno z pięknem dzikiej natury.

Nad nimi huczały wodospady. Nellie przywarła do niego, poddając się ruchom jego ciała. Wreszcie jęknęła cicho i lekko wbiła zęby w jego ramię.

Wrócili do podnóża Sierra. Stojąc pośród rozkwitłych maków milczeli, myśląc o miłości, jaką zapalali do siebie i do tej pięknej doliny. Nellie powoziła, trzymając głowę na jego ramieniu. Słowa nie były im potrzebne.

Nellie była teraz zupełnie inna: młoda, pełna tęsknoty i pożądania. Po tej chłodnej, pewnej siebie, nowoczesnej dziewczynie, która kiedyś tak go zaintrygowała, nie został nawet ślad. A czy z nim samym rzecz nie miała się podobnie? Był w niej zakochany. Ale przecież nie przybył do Kalifornii po to, żeby się zakochać, lecz po to, by wypełnić obietnicę złożoną ojcu i przewodnikowi. Jak pogodzi ten cel ze swoimi nowymi uczuciami?

Jakiś niespodziewany dźwięk spłoszył konia i Nellie usiadła prosto, przecierając oczy. Pośród tumanów dławiącego kurzu wędrowało na wyżej położone łąki stado owiec. Kurz, smród owczej wełny oraz podejrzliwe spojrzenie kilku baskijskich pastuchów przywróciły Macka do rzeczywistości.

- Tu musi być z pięć tysięcy owiec - stwierdziła Nellie, krztusząc się pyłem i kryjąc twarz w jego rękawie. - Co zrobimy?

- Z owcami? Lekko klepnęła go w kolano.

- Z nami. Ze mną i z tobą. Kocham cię. Nigdy dotąd nikogo nie kochałam. Dawno temu był ktoś, ale... to nieważne. Nigdy się nie liczył. Tylko ty się liczysz. Ale ja pracuję u Hearsta, a ty też masz własne ambicje... To, co się stało... zmieniło wszystko.

- Czemu?

- Bo skomplikowało naszą sytuację. Wprost nieprawdopodobnie. Miałam przed sobą prostą, ściśle wyznaczoną drogę. A teraz...

- Ja też cię kocham, Nellie - czuł się dziwnie, po raz pierwszy wypowiadając te słowa.

- Boże, co my teraz zrobimy, co zrobimy?

Przytulił ją. Jeden z pastuchów rzucił im zaciekawione spojrzenie, po czym odwrócił wzrok. Mack pomimo że czuł się tak, jakby cały świat zwałił mu się nagle na głowę, zmusił się do tego, by powiedzieć to, co dyktowało mu setce:

- A co robi wodospad? Płynie tam, dokąd musi.
- To nie jest odpowiedź.
- Nie znam innej. I nie znaleźli lepszej przez całą drogę do miasta.

### Rozdział 13.

Mack i Jim Corbett wyszli z klubu olimpijskiego razem. Macka bolały mięśnie, a jedno oko zaczynało właśnie puchnąć. Od powrotu z Yosemite kilkakrotnie widział się z Nellie. Nadal byli w sobie zakochani, ale ani słowem nie wspominali o tym, co wydarzyło się w dolinie. Tak jakby istniała między nimi na ten temat jakaś nie pisana umowa.

Była chłodna, czerwcową sobota. Znad zachodnich wzgórz nadciągała mgła. Zanim opuścili klub, Corbett starannie zapiał rogowe guziki swej brązowej peleryny, założył rękawiczki i postawił kołnierz. Jego czarny, jedwabny kapelusz i brązowe kamasze doskonale pasowały do peleryny.

- Świetnie ci idzie - powiedział, kiedy skręcili we wschodnią część Post Street. - Jeśli nie zaprzestaniesz ćwiczeń, wkrótce będziesz prawdziwym pięściarzem, a nie tylko człowiekiem, który potrafi się bić.

„Dziwna uwaga” - pomyślał Mack.

- Mam zamiar dalej ćwiczyć - odparł.

- To świetnie. Żałuję, że nie będę mógł tego zobaczyć. Rzuciłem bank. Żenię się. Mack popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- Nie wiedziałem nawet, że jesteś zaręczony.

- Zdecydowałem się na małżeństwo dosłownie w jednej chwili - powiedział Corbett z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nie był pewien, czy postępuje słusznie. - To miła dziewczyna. Mamy zamiar zamieszkać w Utah.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego. Chcesz porzucić boks?

- Jeśli nie będę musiał, to nie. Nie sądzę, żeby w Utah mieli zbyt wielu pięściarzy. Rozczarowanie, jakiego doznał na wiadomość o wyjeździe Jima, sprawiło, że aż do następnej przecznicy Mack nie odezwał się ani słowem. Zapadał już zmrok, kiedy szli zatłoczoną Powell Street. Przy Union Square

dostrzegli odzianego w strój duchowny krępego człowieka, stojącego na drewnianym podwyższeniu. Otaczało go kilku mężczyzn, w większości ubranych w łachmany. Kiedy ucichł turkot przejeżdżającego wozu, do ich uszu doleciały słowa mówcy:

- ... to wasze prawo, by organizować silne związki zawodowe we wszystkich rodzaju przedsiębiorstwach. Nie pozwólcie, aby ktokolwiek wam to prawo odebrał.

Wielcy kapitaliści w tym mieście będą tego próbowali, ale musicie się bronić. Nie wolno dopuścić, aby...

- Znam tego człowieka - powiedział Mack.

- Całe San Francisco zna ojca Marqueza. Gdzie go poznałeś?

- W pobliżu Central Valley.

- Jeździ tam regularnie. Jest wikarym w katedrze Św. Marii w Van Ness. Nie podzielam jego radykalnych poglądów.

Nie podzielali ich chyba także stojący wokół kapłana ludzie. Jeden z nich sięgnął po kamień i rzucił nim w kaznodzieję.

- Dość tych przeklętych komunistycznych kazań, ty fałszywy katoliku. Marquez spokojnie spojrział na człowieka, który go uderzył.

- Jest moim prawem, zagwarantowanym przez konstytucję, i moim obowiązkiem wobec Boga mówienie wszystkiego, co dyktuje mi sumienie. Dziś zaś głos mego sumienia współbrzmi z głosem mego Kościoła. Papież Leon napisał, że Kościół nalega, by w stosunkach między pracodawcą a pracownikiem kierować się chrześcijańskim miłosierdziem i sprawiedliwością.

Człowiek, który rzucił kamień, splunął i odszedł. Mack dostrzegł w pobliżu umundurowanego policjanta, kołyszącego trzymaną w dłoni drewnianą pałką i przyglądającego się



księdzu. Jeden z przysłuchujących się słowom Marqueza ludzi także zauważył policjanta i odszedł pośpiesznie. W przeciągu kilku minut ksiądz stracił wszystkich słuchaczy.

Policjant uśmiechnął się, dotknął pałką daszka czapki i również odszedł.

- Poczekaj chwileczkę, tylko się przywitam - powiedział Mack do Corbetta. Zanim jednak zdążył przejść na drugą stronę ulicy, Marquez podniósł skrzynkę, która służyła mu za podium, i szybko odszedł ze skweru żwirową alejką.

W Oakland Mack zastał Bao Kee ogromnie czymś podnieconego. - Chodź i zobacz to, póki jeszcze jest jasno.

Poprowadził Macka na zniszczony pomost, pełen dziur i spróchniałych desek. Kołysała się tam na falach sześćdziesięciostopowej długości barka rybacka. Przez jej pokład i kabinę sterowniczą przeciągnięte były łańcuchy. Na dziobie wymalowano nazwę: „Grace Barton”. Bao przechadzał się po pomoście, przyglądając się jej z lubością.

- Łódź, na której urządzono dom gry - oświadczył. - Sam mahoniowy bar wart jest ze dwa tysiące dolarów. Ta łódź odbyła zaledwie trzy rejsy, a potem jeden wspólnik zastrzelił drugiego, żeby nie dzielić się z nim pieniędzmi, i uciekł. Jest na sprzedaż. Piętnaście tysięcy dolarów.

- Ma ładny kształt - powiedział Mack. - Ale czemu miałbyś zamieniać „Heavenly Dragona” na coś takiego?

- Żeby mieć łódź pasażerską - odparł Bao. - I odebrać klientów promom należącym do kolei. Przeliczyłem to na wszystkie strony. My obaj, wraz z jakimś kapitanem, moglibyśmy pobierać znacznie niższe opłaty. Na przykład pięć centów.

Ten pomysł spodobał się Mackowi. Ale zaraz zrodziły się wątpliwości.

- Nie masz przystani - zauważył.

- Możemy używać publicznego pomostu, zarówno tutaj, jak i we Frisco.

- SP ma komisję portową w kieszeni...

- Nie zdołają nas powstrzymać - przekonywał Bao. - Jeśli zdołamy kupić tę łódź, zrobimy na niej duże pieniądze.

Ostry podmuch wiatru zmarszczył wody zatoki.

- Czy mi się wydawało, że powiedziałeś : „my”?

- Potrzebuję cię - odrzekł Bao, uroczyście kiwając głową.

- Banki nie pożyczą Chińczykowi ani grosza. Dla nich nie jestem człowiekiem. Nawet nie zwrócą na mnie uwagi. - W głosie Bao brzmiała gorycz.

Miał rację. Mack nieraz słyszał na ranczo białych ludzi, którzy twierdzili, że Chińczycy powinni być rejestrowani, bo tak to nie wiadomo, którzy z nich przybyli tu jeszcze przed ukazaniem się Exclusion Act, a którzy przedostali się nielegalnie już później. Ich zdaniem wszyscy Chińczycy wyglądają identycznie.

- Jeśli pomożesz mi kupić tę łódź, staniesz się jej współwłaścicielem. I dostaniesz czterdzieści procent udziału w zyskach. Kapitanowi damy dwadzieścia.

Mack czuł jak jego serce znowu napęła się nadzieją, choć widział, jakie trudności trzeba będzie pokonać.

- Chętnie przyczynię się do bankructwa promów należących do kolei - odparł. - Zrobię, o co prosisz. Czy powinniśmy spisać jakąś umowę?

- Nie, mój przyjacielu. To wystarczy - wyciągnął do niego rękę.

- Poproś o pożyczkę Hearsta - doradziła Nellie, kiedy Mack opowiedział jej o swoim planie.

- Piętnaście tysięcy to diabelnie dużo pieniędzy.

- Jedna z najbardziej podstawowych zasad, jakiej musisz nauczyć się o pieniądzach, brzmi: jeśli ci, którzy mają pieniądze, nie chcą, byś i tyje miał, nawet pożyczka w

wysokości jednego dolara wyda im się zbyt duża. Ale jeśli już znajdziesz kogoś, kto chce ci dać pożyczkę, bo może zarobić na tym pieniądze, równie dobrze możesz poprosić go pięć centów jak i o pięć milionów.

Jacht parowy „Aquila” kołysał się na falach w słonecznej zatoczce. Dopiero kiedy wypłynęli z portu Sausalito, Mack natknął się na Ambrose Bierce'a, jak zwykle elegancko ubranego w biały garnitur, przechadzającego się pod markizami na rufie statku. Na brzegu były właśnie kościelne dzwony.

- Przyjechałem, by przedyskutować pomysł na artykuł - powiedział Bierce.

- Ale szef i Tessie wciąż jeszcze... hm... odpoczywają. - Sięgnął po stojącą na srebrnej tacy butelkę. - Co powiesz na łyk szampana? Doskonały gatunek. Madrone Vineyard, własność senatora Hearsta.

Mack potrząsnął głową. Zdenerwowany usiadł na płóciennym krześle i wziął do ręki egzemplarz „Examinera” z poprzedniego dnia. „Bitwa w dokach. Rozwoziciele wody kontra policja. Wszędzie pełno krwi i rannych. Dwudziestu aresztowanych. Katolicki ksiądz za kratkami.”

Mack przejrzał artykuł. Bez wątpienia chodziło o Marqueza.

- Znam go - powiedział do Bierce'a.

- Nie martw się. Kościelni notable już go stamtąd wyciągnęli. Ta burda miała miejsce w piątek. Marquez został aresztowany w dokach podczas zebrania rozwozicieli wody. Namawiał ich, żeby wstępowali do związku zawodowego. Właściciele kilku przedsiębiorstw wynajęli gromadę osiłeków, żeby pałkami rozpędzili to zgromadzenie.

- Czy to przestępstwo, jeśli robotnicy organizują związki zawodowe?

- Nie w San Francisco. Tu zawsze robotnicy byli silni, to proletariackie miasto. Ale jest wielu takich, którzy chcieliby to zmienić. - Bierce popatrzył na swego rozmówcę poprzez trzymany w ręku kieliszek. - Marquez jest radykałem. Jak to się stało, że go poznałeś?

Mack opowiedział o swym spotkaniu z księdzem.

- Ta wojowniczość Marqueza jest dla mnie całkiem zrozumiała - oświadczył Bierce. - Przed przybyciem Anglików jego rodzina posiadała jedno z największych rancz na południe od Tehachapi. Ojciec Marqueza dał się złapać w pułapkę procesów o ziemię i stracił wszystkie włości. Został mu tylko dom. Wtedy oszalał. Grasował po okolicy przez sześć czy siedem lat mordując Anglików. Schwytano go w końcu w pobliżu Los Angeles i zastrzelono jak wściekłego psa. Miał w ciele pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kul, jeśli dobrze pamiętam. Świetny przykład sprawiedliwości i miłosierdzia Anglików, nie sądzisz? O, dzień dobry, szefie.

Willie Hearst przetarł oczy i ziewnął, stając bosymi stopami na pokładzie. W błękitnym, aksamitnym tużurku wyglądał wyjątkowo blado. Zza jego pleców uśmiechała się do gości młoda dziewczyna. Mack wiedział, że to Tessie Powers. Hearst poznał ją, kiedy była kelnerką w restauracji w Cambridge za jego studenckich czasów.

Szampan oraz półmisek z ostrygami przywróciły szefa gazety do przytomności. Kołysząc głową jak ptak, wysłuchał propozycji Macka, by uruchomić prom przez zatokę, biorąc za bilet tylko pięć, a nie piętnaście centów.

Kiedy Mack skończył mówić, Hearst opadł na krzesło i zapatrzył się w duży palec u nogi. Tessie przycupnęła za nim, gładząc dłonią jego kark. Mack zacisnął na kolanach spocone dłonie, przekonany, że przedstawił swe plany za mało przekonywająco.

Nagle Hearst uniósł głowę.

- Podoba mi się to - stwierdził. - Śmiało przedsięwzięcie. Ci faceci z pewnością wściekną się, gdy uderzy ich to po kieszeni. Pożyczę ci tyle, ile potrzebujesz, żebyś mógł rozkręcić ten interes.

Mack zastanawiał się przez chwilę.

- Jest pan bardzo hojny, sir, ale jeśli mamy założyć przedsiębiorstwo i rozwijać interes, będziemy potrzebowali solidnego wsparcia z banku...

Hearst potrząsnął głową.

- Nie wydebicie ani centa z tutejszych banków. Siedzą w kieszeni kolei. Gdybyście spróbowali w Nowym Jorku, to co innego. Jestem w doskonałych stosunkach z niektórymi tamtejszymi bankierami. A co z łodzią, którą zamierzacie kupić? Jest warta tych pieniędzy?

- Tak mi się wydaje. Mój wspólnik, pan Bao, przysięga, że łódź jest doskonała.

- Dobrze. Mamy więc spełniony przynajmniej jeden warunek dotyczący pożyczki bankowej: zastaw.

Serce Macka podskoczyło, gdy usłyszał te słowa.

- A więc sądzi pan, że zdołamy dostać jakąś pożyczkę?

- O ile Huntington nie zorientuje się w waszych planach, zanim jeszcze nabędziecie barwę. Jeśli się o nich dowie, będzie walczył jak lew. Ma na Wschodzie swoje koneksje. I to nie byle jakie. O ile go znam, chętnie zapłaci za tę łódź nawet kilka razy tyle, ile jest warta, żeby tylko uniemożliwić wam wasze przedsięwzięcie. Huntington nienawidzi wszystkiego, co mogłoby pomniejszyć znaczenie kolei.

Hearst wstał i niepewnym krokiem podszedł do barierki.

- Cała nasza nadzieja w tym, że będziemy działać szybko. Dziś wieczór telegraficznie wyślę wiadomość do Nowego Jorku. Dotrze na miejsce przed północą.

W czwartek tego samego tygodnia Vasco odnalazł Macka na padoku.

- Gubernator prosi, byś przyszedł do niego do domu.
- Pójdę tam, gdy tylko skończę...
- Nie, teraz - powiedział Vasco, wyjmując mu łopatę z rąk. Mack nigdy dotąd nie słyszał w głosie zarządcy takiej niechęci i pogardy.

Wkrótce znalazł się w salonie naprzeciwko Lelanda Stanforda. Drobiniki kurzu tańczyły w powietrzu w promieniach przeświecającego przez zasłony słońca. Po raz pierwszy w oczach gubernatora malowały się jakieś uczucia. Na stojącym przed nim marmurowym stoliku piętrzył się stos dokumentów. Wśród nich Mack dostrzegł blankiet telegramu.

- Młody człowieku... - Głos Stanforda był równie głęboki jak zawsze, ale gniew sprawił, że tym razem mówił nieco szybciej. - Doszło do moich uszu... że ty, jako szef... czegoś, co nazywa się... Oakland Bay Transportation Line... wystąpiłeś o bankową pożyczkę... do banku w Nowym Jorku... mając zamiar... kupić mały stateczek... Otrzymałeś przy tym poręczenie... od urzędników... związanych z tym przeklętym szczeniakiem... Williamem Hearstem.

- Jak się pan o tym dowiedział, sir?

Stanford utkwiał w nim spojrzenie przypominające wzrok Buddy.

- Nie jesteś tu po to... żeby zadawać mi pytania... Pan Fairbanks... otrzymał tę informację... - Grube, białe palce miętoszyły trzymaną w dłoni kartkę. - Co masz do powiedzenia?

Mack wyprostował się. Do diabła, nie pozwoli się upokarzać.

- Zwróciłem się o tę pożyczkę dla przyjaciela, ponieważ banki nie robią interesów z Chińczykami. Prawo im tego zabrania. Mój przyjaciel chce uruchomić prom.

- Szczególna odpowiedź. A ty jesteś jego współnikiem. Czy masz zamiar konkurować z istniejącymi już promami Southern Pacific Railroad?

- Tak, mam zamiar. Dobrze to pan nazwał, gubernatorze. Konkurencja. Czyżby pan nie wierzył już w wolną konkurencję? Być może rzadko miał pan z nią do czynienia...

Dłoń Lelanda Stanforda drgnęła gwałtownie, zrzucając ze stolika mały wazonik, który stłukł się, rozsypując wokół tkwiące w nim drobne kwiatki.

- Jesteś arogancki, młody człowieku. Zachowujesz się niegrzecznie i obraźliwie. Wierzę w ochronę... moich interesów i mojej własności. W dobrej wierze... dałem ci tu posadę... A ty... zawiodłeś moje zaufanie.

- Miałem zamiar przyjść do pana, wyjaśnić wszystko i złożyć wymówienie.

- Och, naprawdę? Czemu miałbym w to wierzyć? Jesteś zwolniony...

- Proszę nie nazywać mnie kłamcą. To po prostu interes.

Stanford, ciężko jak słoń, wstał z krzesła. Mackowi zdawało się, że słyszy skrzypnięcie drzwi, nie potrafił jednak odwrócić wzroku od przypominającej homara twarzy gubernatora. Stanford nie blefował. Miał naprawdę silną pozycję i był niebezpieczny. W jego oczach czaiła się prawdziwa groźba.

- Wynoś się... Wynoś się stąd... razem ze swoim zamiłowaniem do... interesów. Interesy... też coś! Tutaj... ja jestem biznesmenem. A ty niczym więcej... jak zarozumiałym smarkaczem. Przekonasz się... kto tu rządzi... Czy moja kolej... czy taki śmieć jak ty.

Twarz Macka oblała się purpurą.

- Odchodzę, a pan przekona się jeszcze, że można przełamać pański cholerny monopol.

- Ty... młody głupcze. To ty... będziesz tym... który przegra.

- Leland - od drzwi dobiegł ich kobiecy głos. Mack odwrócił się i wyszedł bez słowa. Żona gubernatora dogoniła go w holu.

- Podobałeś się mojemu mężowi, dopóki nie usłyszał o tej sprawie. Nie ma dla niego rzeczy ważniejszej od interesów.

- Ani od pieniędzy. Ani od własności. To dla mnie dobra lekcja - powiedział Mack lodowato.

I w niej było coś z bezwzględności senatora. Jej smutne, wyblakłe oczy wpatrywały się w Macka uważnie.

- Daliśmy ci pracę i pieniądze, jedzenie i dom oraz wolny czas, kiedy tylko o niego poprosiłeś. Niewdzięczność nie jest cnotą, Mack. To jeszcze jedna dobra lekcja - o ile wierzysz w coś takiego jak moralność. Bądź tak dobry i opuść natychmiast dom gubernatora.

Jadąc pociągiem do Oakland, Mack patrzył przez zakurzone okno z żalem i poczuciem winy. W tym, co powiedziała Jane Stanford, było nieco prawdy. W jakiś sposób zdradził swojego pracodawcę. Być może pryncypał sam ponosił winę za to, że nie można mu było szczerze przedstawić całej sprawy, ale tak czy owak rozmowa z gubernatorem pozostawiła u Macka uczucie niesmaku.

Udał się prosto do domu Bao. Agent pośredniczący przy sprzedaży łodzi zgodził się, by zaczęli pracę, zanim stateczek zostanie ostatecznie kupiony, tak więc obaj spędzali długie dni szorując pokład „Grace Barton”, malując go i sprawdzając wyposażenie.

Wieczorami Bao uczył Macka, jak gotować chińskie potrawy. Ulubionym daniem Macka była słodko - kwaśna zupa z cienkimi plasterkami czarnych grzybów, lśniących jak anemony w złotej broszce. Nauczył się też przyrządzać wyśmienitą potrawkę z młodego psa.



Po kolacji najczęściej włączyli się razem po okolicy. Mack bardzo polubił pełnego życia, energicznego Chińczyka. Ozdobili swoją chatę papierowymi latarniami i z ułożonych tuż przy wejściu lakierowanych tac oraz wiklinowych koszyków sprzedawali suszone ryby, gęsie wątróbki, świeże warzywa, fajki do palenia opium, jedwabne chusty, pudełka pudru do twarzy i grzebienie z muszli.

Pewnego wieczoru spacerując nabrzeżem Mack usłyszał, że ktoś woła go po imieniu i zobaczył biegnącą ku niemu Nellie, już z daleka wymachującą trzymaną w ręku kopertą.

- Z Nowego Jorku. Dobre wiadomości.

Pewnego poniedziałkowego ranka w połowie lipca nowo uruchomiony prom „Bay Beauty” przyjął na swój pokład pierwszych pasażerów z miejskiej przystani w Oakland.

Początkowo urzędnicy zarządzający przystanią uznali to za działalność nielegalną, Mack pokazał im jednak licencję na prowadzenie interesu, jaką uzyskał przy pomocy Hearsta. Kiedy z kolei przyczepili się do tego, że Chińczykowi nie wolno być kapitanem, Mack wyjaśnił, że Bao jest jedynie pasażerem.

- To jest kapitan - oświadczył, wskazując na niskiego, bezzębego, zniszczonego mężczyznę w średnim wieku.

- Przecież to Bill Barnstable - zdumiał się urzędnik. - Wódczany Bill. SP wyrzuciło go z pracy za pijaństwo.

- Mnie wydaje się człowiekiem odpowiedzialnym - odparł Mack z obojętną miną. W głębi ducha on i Bao wcale nie byli zadowoleni z Barnstable'a, ale żaden inny kapitan w porcie nie chciał podpisać z nimi umowy.

Mack i Bao wynajęli kilku uliczników, by stanęli przed dworcem, na który ze wszystkich stron zatoki przyjeżdżały pociągi SP, i rozdawali podróżnym ulotki informujące o nowym, kosztującym tylko pięć centów promie przez zatokę.

O ósmej rano mieli już osiemnastu pasażerów, z których tylko jeden narzekał na brak miejsc siedzących.

- Wkrótce postawimy tu ławki - obiecał mu uśmiechnięty Bao. Barnstable zagwizdał i Mack odcumował stateczek. Był podniecony tym pierwszym rejsem i świeżym, porannym powietrzem. Szyjka brązowej butelki, wystająca nieco zza pazuchy kapitana, nie budziła jego niepokoju, ale poczuł się mniej pewnie, gdy zauważył, że z brzegu obserwuje ich zwalisty, rudobrody mężczyzna, który wskazując palcem na Bao mówił coś do swych równie groźnie wyglądających towarzyszy.

Wkrótce zwinna, mała barka doznała jeden z największych promów kolei: „El Capitana”. Barnstable dał sygnał, że chce go wyprzedzić. Podekscytowani pasażerowie skupili się przy okalającej pokład barierce, wymachując kapeluszykami.

- Do diabła z koleją! - wołano w stronę wielkiego promu.  
- Niech żyje Oakland Bay Line!

Barka przemknęła zuchwale obok „El Capitana”. Mack dostrzegł rozwścieczone twarze załogi wielkiego statku oraz zdumione i zdezorientowane spojrzenia jego pasażerów. Wymachując rękoma przechylił się nad barierką.

- Tylko pięć centów za rejs tą linią - krzyknął.

Tej nocy w chacie Bao liczyli monety i oceniali zyski. Mogli odbyć tego dnia zaledwie pięć rejsów, ponieważ urzędnicy na przystani w San Francisco godzinę zwlekali z wydaniem im pozwolenia na zacumowanie, kiedy przybili tam za drugim razem. Barnstable zlekceważył urzędników i dopłynął do pomostu, by Mack mógł zeskoczyć na ląd. Natychmiast pobiegł do „Examinera”. Hearst wysłał jednego ze swoich prawników, żeby udowodnił, że wszystkie dokumenty są w porządku i nie można zakazać promowi przybicia do brzegu.

Rozwścieczeni zwłoką pasażerowie przeklinali, przysięgając, że nigdy już nie skorzystają z usług nowej linii, ale pomimo tego, pod koniec dnia właściciele barki byli bardzo zadowoleni. Bao pracowicie przesuwał krążki swojego liczydła.

- Dziewięć dolarów, czterdzieści centów. To może być kura znosząca złote jajka.

- A przecież to dopiero początek, wspólniku - odrzekł z dumą Mack. Uścisnęli sobie dłonie.

Pierwszy tydzień dał im posmak tego, ile będą, być może, w stanie zarobić. „Bay Beauty” robiła codziennie dziesięć rejsów. Początkowo najwięcej pasażerów mieli rano, kiedy ludzie udawali się do pracy do miasta, i wieczorem, gdy powracali do Oakland. Wkrótce jednak wieść o nowym promie obiegła całe miasto i z usług Bao i Macka zaczęły także korzystać udające się na zakupy do San Francisco kobiety oraz wszyscy ci, których interesy wymagały przedostania się w ciągu dnia z jednego brzegu zatoki na drugi: służący, sezonowi robotnicy, posłańcy i uczniowie. Przez cały tydzień malutki prom przewoził za każdym razem około pięćdziesięciu pasażerów.

Bao coraz szybciej przesuwał krążki liczydła, a jego twarz coraz bardziej jaśniała.

- Dwadzieścia pięć dolarów za dziesięć rejsów. Sto pięćdziesiąt dolarów w sześć dni. Za miesiąc będziemy mieć sześćset.

- Świetnie - wykrzyknął Mack. - Wkrótce będzie nas stać na kupienie drugiego statku.

- Tak, już niedługo będziemy mieć ich wiele.

- Spodziewałem się bardziej zdecydowanej walki ze strony kolei.

- Minął dopiero jeden tydzień. Musimy być czujni.

Podjęli decyzję, że przeniosą się na statek, by móc strzec go w nocy. Mack, który trzymał swój przewodnik w chacie Bao, uznał teraz, że na łodzi jest zbyt dużo wilgoci i książka może się zniszczyć. Poprosił Nellie, by przechowała ją u siebie.

- Oczywiście - odparła. - Wiem, ile ten przewodnik dla ciebie znaczy. Zajrzę sobie do niego któregoś dnia. Dowiem się, kim był ten Haines i czego dokonał.

Bao bił wszelkie rekordy skrupulatności. Notował wszystko: liczbę rejsów i pasażerów oraz ceny i zużycie węgla. Wszystko to notował w małej książeczce, którą szybko zapisał i musiał sobie sprawić następną.

Pod koniec trzeciego tygodnia SP przystąpił do kontrnatarcia. Znajdowali się właśnie w drodze do San Francisco i był to ich drugi rejs tego dnia. Prom kołysał się lekko na grzbietach fal. Kapitan Barnstable płynął zakosami, starając się ustawiać łódź pod wiatr, choć przez to musieli płynąć wolniej.

Mack stał w sterówce razem z kapitanem, obserwując pasażerów zgromadzonych na pokładzie. W głównym pomieszczeniu promu, będącym niegdyś barem, zamontował osiem ławek, które własnoręcznie zrobił z desek. Wszystkie były teraz zajęte.

- ... „Golden Star” przewróciła się i utonęła. Kapitan Straws miał na pokładzie dziwkę i rzeka w ogóle go nie obchodziła. A ja mu uwierzyłem, kiedy przedstawił tę dziwkę jako swoją żonę...

Barnstable uwielbiał opowiadać o dawnych czasach, kiedy pływał z Sacramento w dół i w górę rzeki, przewożąc pełnych nadziei poszukiwaczy złota. Jego opowieść na chwilę oderwała Macka od obserwowania innych statków. Do rzeczywistości przywołał go dopiero krzyk i gwałtowne wymachiwanie rękoma któregoś z pasażerów.

Wysoki jak dom prom SP „Santa Clara” płynął prosto na nich. Statek był już tak blisko nich, że ujrzeni przyciśniętą do szyby kabiny zaciętą, jastrzębią twarz kapitana. Mack rzucił się do steru.

- Co oni, u diabła, robią? Są za blisko.

Barnstable dał sygnał syreną, jednakże „Santa Clara” nie zmieniła kursu. Kilku pasażerów na jej pokładzie ze zdziwieniem przyglądało się manewrom statku. Zaniepokojeni pasażerowie „Bay Beauty” zaczęli krzyczeć.

- Musi pozwolić nam przepłynąć - jęknął Barnstable. - Takie są przepisy na morzu.

- Ten prom nie ma zamiaru ustąpić nam drogi.

- Bóg mi świadkiem, że ja też nie ustąpię - warknął Barnstable. Zaciśniętą pięścią pogroził kapitanowi „Santa Clary”. - Co ty robisz, Septimus? Chcesz nas zabić? - zawołał.

Na pokładzie Bao Kee wymachiwał rękami, chcąc ostrzec statek, który nadal parł przed siebie, znajdując się już nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od nich. Wzburzone fale kołysały nim znacznie słabiej niż mała „Bay Beauty”. W pewnej chwili woda przelała się przez burtę i zmoczyła pasażerów, którzy poczęli krzyczeć i kłać.

- Skręcaj! - wrzasnął Bao, uderzając całym ciężarem ciała w sterówkę, ponieważ kolejna silna fala zakołysała promem.

- Nie zrobię tego - odkrzyknął Barnstable, chwytając syreny. Pięć krótkich gwizdków. Niebezpieczeństwo zderzenia.

Bao chwycił go obiema rękoma i odepchnął na bok. Dwoma krótkimi gwizdkami dał znak, że chce skierować się w stronę portu, po czym z rozmachem zakręcił kołem sterowym.

Niewiele brakowało, a Mack wyleciałby przez okno sterówki.

- To bunt! - krzyknął Barnstable, zataczając się. Mack usłyszał wrzawę dobiegającą z „Santa Clary” i dostrzegł złe, wykrzywione twarze jej kapitana i załogi.

A potem prom uderzył w nich. „Bay Beauty” przechyliła się silnie, a dobiegający z pokładu krzyk świadczył, że któryś z pasażerów wypadł za burtę. Mack rzucił się w tamtą stronę, by osobiście zająć się tym człowiekiem. Wyciągnięto go na pokład gwałtownie wymiotującego wodą. Kiedy opuszczał prom, odgrażał się, że wytoczy im proces.

Wracali do Oakland nie mając na pokładzie nikogo prócz irlandzkiej gospodyni, która skuliła się na ławce przesuając paciorki różańca. Barnstable zdrowo pociągał ze swej butelki, dopóki Bao Kee nie wyrwał mu jej i nie wrzucił do wody. Wszyscy trzej zakończyli ten dzień w ponurych nastrojach.

Na adres Oakland First National Gold Bank, dokąd wpłacali swój codzienny utarg, przyszedł od ręcznie napisany list. Pochodził od „Fourth and Townsend” i skierowany był do właścicieli Oakland Bay Transportation Line. W oschłym prawniczym tonie pytano ich, jaką cenę chcieliby uzyskać za swój prom i całe jego wyposażenie, oraz obiecywano dodanie pięcioprocentowej premii do tej sumy, jeśli transakcja miałaby zostać zawarta już w ciągu najbliższych trzydziestu dni. Na koniec proszono o możliwie szybką odpowiedź. Mack zwrócił uwagę Bao na podpis: „Walter Fairbanks III, członek Rady Naczelnej.”

Bao utkwiał wzrok w eleganckim nagłówku papieru firmowego, gdzie ozdobnymi literami wypisana była nazwa kolei.

- No to mamy wojnę - orzekł.

- Pierwszą walkę przegrali - stwierdził Mack, drąc list i wrzucając go do płonącego w piecyku ognia. - „Bay Beauty” nie jest na sprzedaż - dodał z uśmiechem.

Kiedy Nellie przyszła do nich w sobotę wieczorem na kolację, potwierdziła, że istotnie wojna rozgorzała w pełni.

- Collis P. Huntington przybył dziś po południu do „Palace Hotel”. O sześć tygodni wcześniej niż się go spodziewano. Jest wściekły z powodu waszego promu. Huntington nigdy nie tolerował konkurencji i zawsze starał się jej za wszelką cenę pozbyć. Nie sądzę, by się teraz zmienił.

- Będziemy się o to martwić później, Nellie - powiedział Mack. - Usiądź, proszę. - Miał na sobie płócienny fartuch kucharza. Na bocznym stoliku stała już odkorkowana butelka czerwonego wina z winnicy Świętej Heleny.

Pochyliwszy się nad piecem zajrzał do rondla.

- Już gotowe - powiedział. - Mój ojciec nauczył się przyrządzać to w kopalniach złota. Prawdopodobnie o to właśnie danie prosili skazani na śmierć ludzie, kiedy pytano ich, co chcą zjeść jako swój ostatni posiłek. W kopalniach niełatwo było o jajka i bekon, nie wspominając już o ostrygach, dlatego też kat musiał trochę poczekać, nim mógł ich powiesić.

Bao wybuchnął śmiechem, ale w głosie Nellie dał się słyszeć sceptycyzm.

- Jesteście w świetnym nastroju. Sądzicie, że udało się wam pokonać wielkiego Huntingtona?

Mack uniósł kieliszek z winem.

- Chcemy kupić kolejny prom. Zdecydowaliśmy o tym dziś po południu. Nellie trąciła się z nim kieliszkiem.

- Nic więc dziwnego, że czujesz się tak podekscytowany.

Rzeczywiście, Mack był szczęśliwy, pełen wiary w przyszłość i nadal zakochany w tej małej, energicznej dziewczynie, choć od powrotu z Yosemite ani razu się nie kochali, z rzadka tylko wymieniając pocałunki i uściski.

Opowiedział jej o liście Fairbanka.

- Otrzymanie takiej oferty wystarczy, by poczuć się jak Dawid, który właśnie pokonał Goliata.

- Mam nadzieję, że twoja historia zakończy się tak samo jak ta biblijna - powiedziała. - Ale pamiętaj, że twemu Goliatowi daleko jeszcze do śmierci.

Mówiąc te słowa, nie żartowała.

Minął następny tydzień, kolej zaś nie podjęła żadnych działań. Liczba pasażerów stale rosła, Mack i Bao zaczęli też przyjmować do przewozu niewielkie ładunki, skoro kupcy zwiedzieli się, że ich usługi są o trzydzieści procent tańsze od świadczonych przez SP.

Obaj wspólnicy rozglądali się za jakimś drugim stateczkiem do kupienia, ale nie znaleźli nic, co by im odpowiadało. Właśnie o tym Mack rozmyślał pewnej piątkowej nocy, wchodząc do kajuty. Bao od dawna chrapał już na dolnej pryczy. W kilki minut później zasnął również Mack.

Okolo północy obudził go jakiś dźwięk. W pierwszej chwili nie mógł wyłowić żadnego obcego odgłosu wśród znajomego chlupotu wody o burtę promu. Nasłuchując przyglądał zmierzwił od snu włosy. Wydało mu się, że słyszy pracujący na niskich obrotach silnik łodzi. Któż jednak przyplęwałby do nich o tak późnej porze?

Zerknął przez okrągłe okienko, które miał nad głową, ale dostrzegł tylko refleksy światła latarni zawieszanej na maszcie. Wstał z koi i potrząsnął ramieniem Bao.

- Czy coś się stało? - zapytał Chińczyk, budząc się powoli.

- Nie jestem pewien. Myślę, że mamy gości. Albo to ktoś, kto zboczył z kursu. Nikt inny nie cumował dotąd przy tym nędznym pomoście na bagnistym brzegu.

Nie zapalając światła Mack włożył flanelową koszulę. Żałował, że nie zadbało to, by na pokładzie „Bay Beauty”



znajdował się choć jeden rewolwer. Przypuszczał, że mimo wszystko SP będzie walczyć z nimi uczciwymi metodami.

Bao, ubrawszy się szybko, klepnął Macka w ramię, dając mu znak, że jest gotów. Ruszyli już do wyjścia, ale zatrzymali się słysząc dochodzący z zewnątrz hałas.

Tupot nóg. Wielu nóg. Jacyś ludzie wbiegali na pokład ich promu.

Jakaś łódź uderzyła o burtę ich stateczku.

- Kto tam? - krzyknął Mack, z trzaskiem otwierając drzwi.

Wbiegł na pokład i dostrzegł ciemną postać zamierzającą się bosakiem na okrągłe okienko sterówki. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zielone światło latarni pokładowej migotało jeszcze chwilę, nim zgasło. Księżyc w pierwszej kwadrze oświetlał tę scenę bladą poświatą.

W jego blasku Mack doliczył się co najmniej ośmiu napastników. Przy płynęli zardzewiałą, starą barką, którą zacumowali obok promu.

Wysoki mężczyzna z długą, rudą brodą pełnił rolę dowódcy, wydając polecenia pozostałym.

- Dwaj niech zejdą do maszynowni i zajmą się tłokami - rozkazał. - Rozsadzimy ten pieprzony statek na strzępy.

Mack zacisnął pięści.

- Wynoście się stąd do diabła - krzyknął.

Jakiś człowiek, którego w porę nie spostrzegł, zaatakował go z boku. Mack przewrócił się, uderzając całym ciężarem o deski pokładu. Bao skoczył ku napastnikowi, ale ten zdążył już się odwrócić i wymierzyć Chińczykowi cios w żebra. Bao zgiął się wpół, klnąc po chińsku.

Mack z trudem odetchnął. Próbuując wstać na nogi, zaczął pełznąć w stronę sterówki. Wewnątrz znajdował się Rudobrody, który uderzał drągiem w koło sterowe, że już trzeszczało, łamiąc się pod jego ciosami. Mack wdarł się do

środka akurat w chwili, gdy koło pękło na dwie części. Próbował powstrzymać intruza, ale on odepchnął go i począł okładać żelaznym drągiem.

Mack wypluł z ust kawałek zęba i krew płynącą mu z dolnej wargi. Napastnik zamierzył się, celując w podbrzusze Macka, który potoczył się w stronę drzwi i półprzytomny osunął się na pokład.

Rudobrody podszedł i z całej siły kopnął go. Mack krzyknął i zwinął się w kłębek.

- Nie chcemy w zatoce kitajców, którzy konkurują z białymi ludźmi - powiedział napastnik. - Teraz już będziesz o tym pamiętał, co? - wysyczał, spluwając Mackowi prosto w twarz i zniknął w ciemnościach.

Walcząc z rozrywającym wnętrzości bólem, Mack z trudem podniósł się na nogi. Sprężył się do skoku i wyrwał siekierę człowiekowi, który za jej pomocą chciał przedziurawić kadłub. Usłyszał czyjś przeraźliwy gwizd i w tym samym momencie wymierzył w podbródek mężczyzny silny cios trzonkiem siekiery.

Strach i wściekłość sprawiły, że czuł się jak w transie. Bao ukazywał się to tu, to tam, rozdając ciosy i klnąc po chińsku. Ale nie mieli szans: przeciwnicy byli zbyt liczni. Z wnętrza promu dobiegał odgłos łamanych ławek i jękliwy protest wyginanego metalu. Poniżej ktoś ponownie przystąpił do dziurawienia kadłuba.

Mack skierował się w tamtą stronę i ujrzał mężczyznę tnącego nożem nową, brezentową plandekę, którą rozwiesili nad otwartą częścią pokładu. Jakiś inny człowiek wynurzył się z ciemności i ruszył w stronę Bao.

- Bao, uważaj - krzyknął Mack. Rzucił się ku przyjacielowi, ale czas jakby nagle stanął w miejscu. Człowiek za plecami Bao wziął zamach. Mack biegł nadal, ale nic nie mógł już zrobić. Pałka uderzyła w głowę Chińczyka,

który zachwiał się i opadł na kolana. Mack z przerażeniem patrzył, jak z jego pękniętej czaszki tryska krew.

Człowiek, który uderzył Bao, ze śmiechem odskoczył do tyłu. Warkoczyk Chińczyka leżał na deskach pokładu jak czarno - czerwony wąż. Bao jęknął i znowu ruszył z miejsca.

Mack dopadł człowieka, który zaatakował Bao i wyrwawszy mu pałkę, jak mieczem uderzył go nią w głowę.

- Jezu - jęknął napastnik. Wypadł za barierkę i runął do wody.

Mack otarł krew i pot, które spływały mu z czoła. Czuł, że prom przechylił się i że przez przedziurawiony kadłub do wnętrza wlewa się woda.

- Przynajmniej o jednego sukinsyna mniej... - mruknął, odwracając się. Nie dokończył zdania, bo jeden z napastników, stanąwszy nad Bao, zatopił w piersi Chińczyka ostrze noża.

- Koniec z tą krypą, chłopcy. Dobra robota. Zjeżdżamy - usłyszał znajomy głos.

Statek coraz bardziej zanurzał się w wodzie, opadając na muliste dno. Napastnicy pośpiesznie przeskakiwali z powrotem na zardzewiałą barcę, po czym uruchomili kaszlący silnik i odpłynęli nie zapalając świateł pozycyjnych. Mack obserwował, jak ich łódź znika w bladym świetle księżyca. Po wodzie niósł się głośny śmiech Rudobrodego...

Mack ukląkł i wziął w ramiona ciężkie ciało współnika, układając sobie na kolanach jego głowę.

- Bao Kee. Och, Boże, Bao Kee. - Nie odważył się wyjąć noża z piersi przyjaciela. - Położę cię tutaj. Postaram się nie zadać ci bólu. Sprowadzę pomoc...

Bao otworzył oczy. Jego głos był słaby i ochryply jak szelest dartego papieru.

- Kum Saan - Złota Góra... to tylko pył.

Uśmiechnął się, jakby chciał przez to powiedzieć: „Takie są koleje życia” i skonał w ramionach przyjaciela.

Mack przeniósł Bao na pomost i ułożył w srebrnym blasku księżycyca, podczas gdy „Bay Beauty” powoli opadała na dno. Księżyc oświetlił na chwilę jego wypełnione łzami oczy. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Znał człowieka, który za to wszystko odpowiadał, i wiedział, gdzie go szukać.

## Rozdział 14.

Następnego popołudnia C.P. Huntington przyjął Waltera Fairbanksa w dużym apartamencie na stałe zarezerwowanym dla wysokich urzędników kolei, na siódmym piętrze „Palace Hotel”. Kiedy służący Huntingtona zniknął w sąsiednim pokoju, zamykając za sobą drzwi, obaj dżentelmeni usiedli do kolacji, na którą składała się zupa ogonowa, przepiórki w galarecie i szampan.

W apartamencie znajdowały się wszystkie nowoczesne urządzenia, jakich nie mogło zabraknąć w luksusowym hotelu: połączone z odbiornikami na dole przyciski, za pomocą których wzywano służbę, gazowe oświetlenie (wkrótce miało je zastąpić elektryczne, ale na razie jeszcze go nie zainstalowano) oraz doskonale wyposażone łazienki z wannami, prysznicami i klozetami. Rzeczy te nie robiły już zresztą na Huntingtonie żadnego wrażenia: w świecie, w którym żył, nie mogło być inaczej. Collis Potter Huntington miał sześćdziesiąt siedem lat. Ten wędrowny handlarz z Connecticut dorobił się pierwszych większych pieniędzy dopiero jako argonauta. Ujrzawszy Kanał Panamski uznał, że może zarobić parę groszy sprzedając ryż, ziemniaki, cukier i tym podobne niezbędne rzeczy ludziom, którzy podobnie jak on przepływali tędy, zdążając do Kalifornii.

Aby zdobyć towary na sprzedaż, Huntington nawiązał kontakty z miejscową ludnością. Zdarzało się, że musiał po nie wędrować dwadzieścia czy trzydzieści mil w jedną stronę, walcząc z gorączką, kleszczami i skutkami wypicia zgniłej wody, która co słabszych ludzi potrafiła nawet zabić. Huntington był jednak w młodości twardy jak żelazo.

Później, w Sacramento, zajął się handlem towarami żelaznymi, wraz ze współnikiem otwierając na rogu ulic K i L sklep „Huntington Hopkins & Company”. Często zaglądał do San Francisco, by popatrzeć, co przywożą zawijające do portu

statki, i od czasu do czasu dostarczał do tutejszych składów tytoń i łopaty dla tych, którzy przyplływali tu w nadziei znalezienia złota. Nad składem z artykułami żelaznymi znajdował się pokój, gdzie on i człowiek, będący później pierwszym przywódcą Wielkiej Czwórki, młody inżynier Theodore Judah snuli marzenia o wiodącej przez góry transkontynentalnej linii kolejowej. Huntington nie miał w sobie nic z patriotycznego wizjonera. Pomysł spodobał mu się dlatego, że dawał możliwość zdobycia monopolu na szybkie przewożenie towarów do kopalni srebra w Nevadzie, co wróżyło olbrzymie dochody.

Niegdyś bardzo wysoki, dziś zaczynał się już nieco garbić. Przykładał wagę do takich symboli godnego szacunku biznesmena jak schludnie utrzymana broda i staranny strój. Nie był człowiekiem zarozumiałym ani próżnym, wyjąwszy może to, że zawsze nosił na głowie czarną jarmułkę, by ukryć łysinę. Kiedy był czymś podniecony, w jego szaroniebieskich oczach zapalały się jasne iskierki. Ludzie nie lubili go, uważając za wyjątkowo niebezpiecznego. Jego wrogowie mówili o nim, że jest „równie bezwzględny jak krokodyl”.

W tej chwili kolacja zepchnęła interesy na dalszy plan i Huntington postanowił wtajemniczyć elegancko ubranego gościa w swoją filozofię życiową.

- Mam własną interpretację określenia „koszty ogólne”, Walterze. Szyny i podkłady są konkretnymi wydatkami, ale to samo dotyczy pieniędzy, które wydajemy na głosy polityków w rządzie stanowym czy Kongresie. Mogę ci dokładnie wyliczyć, ile to kosztuje. Wiesz, że chętnie wydaję pieniądze na polityków, którzy nam pomagają, podobnie jak na przyjazne nam gazety. Płacenie daje mi nad nimi kontrolę. A kontrola przynosi zyski.

- Zapierająca dech w piersi wizja, panie Huntington. Huntingtona niełatwo było jednak zbyć pochlebstwami.

- To po prostu sposób, w jaki działałam. I tobie też to radzę, jeśli chcesz dojść do czegoś w naszej firmie. Jesteś bardzo obiecującym młodzieńcem. Nie pozwalasz, by jakiegokolwiek skrupuły stanęły ci na drodze do zrobienia dobrego interesu czy zawarcia korzystnego kontraktu. To właśnie dlatego...

Przerwało mu głośne pukanie do drzwi.

- Nikogo innego nie oczekiwałem - powiedział Huntington z groźnym błyskiem w oku. - Pedley! - wrzasnął. - Zobacz, kto to jest, i wyślij go do wszystkich diabłów,

Po drugiej stronie podwójnych drzwi Mack uważnie rozejrzał się na wszystkie strony. Poniżej, w Grand Court, grało trio muzyczne, zagłuszane przez odgłosy końskich kopyt i turkot powozów na marmurowym podejździe. Wjazd od strony Montgomery Street miał kształt półokrągły, co pozwalało stangretom zajeżdzać tuż pod drzwi hotelu.

Twarz Macka była posiniaczona, dokuczał mu także ból mięśni, żołądka i klatki piersiowej. Włożył płócienną marynarkę, czystą, choć postrzępioną, i uczesał włosy, ale pomimo tych wszystkich zabiegów i tak nie sposób było go pomylić z którymkolwiek z gości „Palace Hotel”.

Na Jessie Street, ulicy, która znajdowała się po drugiej stronie hotelu dał dziesięć centów małemu czyścibutowi w zamian za informację o numerze pokoju Huntingtona. Wślizgnąwszy się do środka przez taras sali bilardowej, wspinał się siedem pięter schodami dla służby. Nie ośmielił się zaryzykować wjechania jedną z wyłożonych lustrami wind.

Zapukał po raz kolejny, rzucając niespokojne spojrzenia na sąsiednie drzwi. Miał nadzieję, że znajdzie się w środku, zanim przyłapie go tu służba hotelowa.

Drzwi otworzyły się.

- Chcę się widzieć z panem Huntingtonem.

Stojący w drzwiach kamerdyner zagrażał mu przejście. Ponad jego ramieniem dostrzegł brodatego mężczyznę w

myce. Natychmiast rozpoznał w nim człowieka przedstawianego na licznych rysunkach i fotografiach.

- Pan Huntington nie przyjmuje nikogo bez uprzedniego umówienia się. Mack bez trudu usunął służącego ze swej drogi i wszedł do środka, kopniakiem zamykając za sobą drzwi. Kiedy przechodził przez maleńki korytarzyk, kierując się w stronę urządzonego z przepychem salonu, Huntington zerwał się gniewnie z miejsca, zrzucając na dywan trzymaną na kolanach serwetkę. Dopiero teraz Mack zobaczył drugiego z mężczyzn i zatrzymał się: Fairbanks. Nerwowym ruchem prawnik przyglądał krótki, przylizany wąsik.

- Wyleją cię za to z pracy - warknął Huntington patrząc na przybysza. - Jestem szanowanym gościem tego hotelu i żaden jego pracownik nie ośmielił się nigdy...

- On tu nie pracuje, sir - przerwał mu Fairbanks. - To jeden z właścicieli tego taniego promu.

- Co?

- To Chance, sir.

- Który jest właścicielem czterdziestu procent niczego - uzupełnił Mack. - Prom leży bowiem na dnie Inner Harbor.

Huntington obszedł dookoła stół, jakby chciał skryć się za nim przed atakiem. Fairbanks także cofnął się gwałtownie. Mack i stary biznesmen przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- A więc miał pan wypadek... - zaczął.

- Który wasza przeklęta kolej zaaranżowała i za który zapłaciła.

- To bzdura. I obelga. Proszę zastanowić się nad tym, co pan mówi, młody człowieku.

- Próbuję. Pańskie zbiry dostały polecenie zatopienia mojej łodzi. A przy okazji jeden z nich zamordował mego współnika. Najpierw zdzielił go pałką w głowę, a potem wbił mu w pierś nóż. Zabił przyzwoitego, Bogu ducha winnego



Chińczyka, który po prostu chciał zarobić parę groszy na życie. Jest pan mordercą, Huntington.

Fairbanks brutalnie chwycił Macka za ramię, ale Mack odepchnął go, uwalniając się z uścisku.

- Ja to załatwię - oświadczył Huntington. Fairbanks zawahał się i niechętnie cofnął się. Huntington nie zwracał teraz na niego najmniejszej uwagi.

- Na Boga - zwrócił się do Macka - jeśli sądzi pan, że Southern Pacific Corporation albo ja osobiście posunęlibyśmy się do fizycznej przemocy, by pozbyć się konkurencji, musi pan być szaleńcem. Konkuruję z panem, podobnie jak z wieloma innymi, ale czynię to zgodnie z prawem. Nigdy nie uciekłbym się do niszczenia promu konkurenta czy też do morderstwa. Ani też nikogo nie upoważniłbym, aby czynił coś takiego w moim imieniu. Jestem w najwyższym stopniu oburzony pańskimi pomówieniami.

Napuszony styl Huntingtona i jego, zdawałoby się, autentyczne oburzenie sprawiły, że Mack poczuł się trochę mniej pewnie.

- Ktoś jednak to zorganizował.

- Otwórz drzwi, Pedley - rozkazał Fairbanks kierując się do wyjścia. - Sprowadzę kogoś, kto pomoże nam usunąć stąd tego...

- Powiedziałem ci, że sam to załatwię. - zatrzymał go Huntington, podchodząc do Macka. - Znam pańskie nazwisko, panie Chance. Miałem pewne plany dotyczące pańskiego nędznego promu. Poleciałem panu Fairbanksowi, by przygotował bardzo kuszącą ofertę wykupienia pańskiego przedsiębiorstwa. Ofertę, którą pan odrzucił. A teraz przychodzi pan tutaj, twierdząc, że nie mogąc kupić pańskiej barki, byłem zmuszony posunąć się do morderstwa. Ależ to absurd! Gdzie ma pan na to dowody?

- Ja... - Mack poczuł, że zaschło mu w ustach. Huntington wykorzystał jego niepewność.

- Niech pan posłucha: nie ma żadnych dowodów, ponieważ wszystko, co p powiedział, jest kłamstwem. A może ma pan w tym jakiś zbrodniczy cel? Wynoś się stąd, szumowino.

Mack zawrzał z gniewu. Obiema rękoma chwycił Huntingtona za klapy marynarki.

- Wielki Boże - krzyknął Huntington, chwiejąc się i szukając za sobą czegoś, o co mógłby się wesprzeć. Fairbanks odciągnął Macka do tyłu akurat w chwili, kiedy Huntington chwycił rąbek obrusa i jednym szarpnięciem zrzucił na podłogę wszystkie stojące na stole kryształ, porcelanę, sztucce i butelki z szampanem.

Fairbanks ruszył na Macka z zaciśniętymi pięściami i złym błyskiem stalowoszarych oczu. Mack także zacisnął pięści. Przybrał właściwą pozycję w sam czas, by obronić się przed ciosem prawej ręki prawnika.

Gorączkowo próbował przypomnieć sobie to, czego nauczył go Corbett. Uskoczył w lewo i zrobił unik. Kolejny cios Fairbanka trafił w próżnię. Prawnik popatrzył na niego ze zdumieniem. Mack wykorzystał tę okazję i wymierzył uderzenie w szczękę przeciwnika. Cios ledwie musnął Fairbanka, ale następny nie chybił już celu.

Oczy prawnika zaszły na moment mgłą. Cofnął się w głąb pokoju. Mack nie kontynuował ataku. Czuł się jak głupiec, boksując się pośrodku salonu. Huntington uciekł, rzucając mu takie spojrzenie, jakby miał do czynienia ze wściekłym szczurem.

- Niech cię diabli, Pedley. Odsuń się.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Z Grand Court dał się słyszeć turkot kół i stłumiona muzyka. Huntington miał bez

wątpienia donośny głos, było go bowiem doskonale słyszeć nawet siedem pięter niżej.

- Policja! - wrzasnął. - Wezwać policję! To ja, Huntington. Zostałem napadnięty!

Mack spostrzegł, że w holu otwarło się czworo drzwi. Czy zdoła uciec przez któreś z nich? Jeśli tak, przez które? Był głupi, pozwalając, by gniew i żal przywiodły go tutaj. Czego oczekiwał? Że Huntington padnie przed nim na kolana i ze łzami w oczach przyzna się do winy?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Obrócił się, ale prawnik był szybszy. Jego cios był dobrze wymierzony i silny. Mack zachwiał się i upadł na puszysty dywan. Gazowe lampy u sufitu zaczęły nagle wirować jak karuzela.

Oszołomiony usłyszał zgrzyt zatrzymującej się windy i pośpieszne kroki policjantów.

Mack leżał na kamiennej posadzce. Było to jedyne miejsce, jakie mógł znaleźć, bowiem w przeznaczony dla dwóch osób celi w więzieniu przy Kearny Street stłoczono aż pięciu mężczyzn. Nie było tu światła, a w rogu stało wypełnione nieczystościami wiadro.

Na żelaznej pryczy leżał jakiś złodziej kieszonkowy, obok którego klóciło się bełkotliwie dwóch pijaków, zaś jedyny stółek zajmował Diego Marquez. Kiedy policjanci wepchnęli Macka do celi, w pierwszej chwili zdumiał się widokiem księdza pomiędzy więźniami. Marquez z uwagą wysłuchał opowiadania Macka o zniszczeniu promu oraz jego zarzutach pod adresem Huntingtona. Siedział całkowicie bez ruchu, złożony na kolanach silne dłonie, podczas gdy leżący na podłodze Mack próbował oddzielić prawdę od podejrzeń i obrazów podsuwanych mu przez rozgnioną wyobraźnię. Podłożył sobie ręce pod głowę i zaczął myśleć na głos.

- Być może Huntington powiedział prawdę. Wielu białych ludzi na wybrzeżu nienawidzi Chińczyków, szczególnie

takich, którym się powiodło. Bao zbierał ostrygi w tym samym miejscu co Rudobrody i widziałem, jak ten zbir obserwował nas pierwszego dnia, kiedy uruchomiliśmy prom. Sam już nie wiem, co mam o tym myśleć.

- Ja myślę, że powinieneś się zamknąć - mruknął jeden z pijaków.

- Idź do diabła.

Złodziej wstał z pryczy i z hałasem oddał mocz do kubła. Marquez powoli obrócił się na swym stołku. Wpadające przez okratowane drzwi światło wiszącej w końcu korytarza lampy gazowej oświetliło olbrzymie sińce pod jego oczami - ślady niedawnego bicia.

- Sądzę - powiedział ksiądz - że Huntington nie maczał w tym palców. Do walki z konkurencją wynajmował zawsze polityków, nie kryminalistów. Szkoda, że nigdy nie znajdziesz odpowiedzi na to pytanie, ale tak już jest. Znasz zamiłowanie kolei do otaczania wszystkiego tajemnicą.

- Znam - westchnął Mack zerkając na księdza. - W jaki sposób ojciec znowu się tu znalazł?

- Dziś zwoływałem kolejny wiec. Policja go rozpedziła, a ja odmówiłem zejścia z podium. No i znalazłem się tutaj - uśmiechnął się gorzko. - Ostatnim razem zostałem oskarżony o zakłócanie porządku publicznego. Tym razem zarzut jest poważniejszy - zakładanie organizacji przestępczej. To nonsens. Ale w tym mieście i w tym stanie wielu ludzie uważa, że jakiegokolwiek polepszenie doli robotników jest zagrożeniem dla własności prywatnej. Co za pomieszanie pojęć! Prawo robotnika do wstępowania do związków zawodowych przysługuje mu po prostu jako człowiekowi. Sam Ojciec Święty stwierdził, że tak jest. Jednak ludzie, którzy nienawidzą tej idei, mają silne poparcie i mnóstwo przyjaciół we władzach miasta.

- Tyle to i ja wiem. Wciąż jednak nie rozumiem, jak osoba duchowna może trafić do więzienia. Czy władze kościelne nie ujęły się za księdzem?

- Jeśli będą mogli, uczynią to. Ale zabierze im to trochę czasu. Moje działania wzbudzają w archidiecezji pewne opory. Arcybiskup Riordan jest wobec mnie wyrozumiały. To uczciwy człowiek, wysłucha więc wszystkich argumentów - zarówno tych kilku, jakie przemawiają na moją korzyść, jak i tych znacznie liczniejszych, które mnie obciążają. Cóż, w żadnym wypadku nie mam prawa pogardzać księżmi, którzy są moimi przeciwnikami. Wszak to moi bracia w Chrystusie. Ludzie o konserwatywnych umysłach, ale szczerych przekonaniach. Są pewni, że właściciele fabryk mają rację, a związek robotników jest groźną, szatańską siłą.

Marquez splótł ręce pod brodą.

- Nie dostrzegają jednostronnego charakteru tej walki. Biedni i uciskani mają do dyspozycji niewiele sposobów obrony. Ich prawa muszą zostać wsparte - nawet zbrojnie, jeśli trzeba - ponieważ klasa bogaczy ma pieniądze i koneksje, które pomagają im ustanawiać własne prawa. Ta właśnie myśl przyświeca mojemu działaniu. Czasem, przyznaję, jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, że miałbym wśród ludzi większy posłuch i byłbym mniej ograniczony w tym, co robię, gdybym zrzucił sutannę i nie musiał odnosić się do moich wrogów z chrześcijańską powściągliwością. Kiedy zobaczyłem, co uczynili z moim ojcem - zastrzelili go za morderstwa, których dokonał w szale rozpaczy, gdy stracił wszystko, co posiadał - byłem rozżalony i zły. Jednak przez ostatnie lata pokonałem te uczucia. Wstąpiłem do zakonu, ponieważ sądziłem, że boska chwała zdoła uczynić więcej, niż kiedykolwiek zdziałał mój ojciec przy użyciu broni. Nie proszę Boga o pokaranie tych, którzy są przeciwko mnie, lecz o to, by ich oświecił i ukazał im prawdę.

- A ja będę się modlił za ich zgubę. Marquez uśmiechnął się krzywo.

- Tego właśnie po panu oczekiwałem, panie Chance. - W jego słowach kryło się uznanie.

Zaskrzypiały żelazne drzwi w końcu korytarza i zwałisty strażnik człapiąc podszedł do ich celi.

- Chance - krzyknął, otwierając kratę.

Mack zerwał się na równe nogi, niemal zapominając o bólu i sińcach.

- Czyżby ktoś wpłacił za mnie kaucję? Prawdopodobnie uczynił to „Examiner”. Ich policyjny reporter bez przerwy sprawdza listy nowo przybyłych do aresztu.

- Jasne, jasne. Wszystko już przygotowane - powiedział strażnik.

- Dobra wiadomość - stwierdził Marquez.

Gdy wyszli z celi, strażnik uderzył Macka pałką w plecy z taką siłą, że runął on na kratę zamykając celę naprzeciwko. Kiedy się odwrócił, z jego nosa spływała krew. Strażnik uśmiechnął się kołyszając trzymaną w dłoni pałką.

- Kaucja za ciebie? Nie tak prędko. Jeden z detektywów chce zamienić z tobą dwa słowa. Lon Coglan - Stary Srebrny Ząb. Najlepszy specjalista od prowadzenia śledztwa. Czeka cię miła zabawa.

Detektyw Lon Coglan ubrany był w pasiasty garnitur. W kieszonce marynarki miał srebrny zegarek - w identycznym kolorze co jego włosy i ząb. Wszystkie przednie zęby jego górnej szczęki były wystające, ale ten srebrny najbardziej rzucał się w oczy. Nadawało to całej twarzy ostry, szcurzy wyraz.

Lata popijania taniej whisky odcisnęły się wyraźnie na jego czerwonym, przypominającym ogórek nosie. Był o pół głowy niższy od Macka, którego posadził naprzeciwko siebie,

pod migotliwą gazową lampą, przykręconą tak, aby dawała jak najmniej światła.

Pokój śmierdział wilgocią. Kawałki odpadłego od sufitu gipsu leżały na podłodze, mieszając się ze szczurzymi bobkami. Przy drzwiach stał z założonymi rękoma jeszcze jeden detektyw. Mówiąc, Coglan bez przerwy chodził dookoła krzesła Macka.

- Ktoś ze szmatławca Hearsta zwiedził się już, że tu jesteś, tak więc wkrótce pozwolimy ci wyjść. Pan Huntington nie wnosi oskarżenia.

Mack nie mógł wprost uwierzyć w tak dobrą wiadomość. Srebrny ząb Caglana połyskiwał, odbijając światło gazowej lampy.

- Rozmawiałem z oficerem, który aresztował cię w „Palace Hotel”. Podobno oskarżyłeś pana Huntingtona o to, że zatopił twoją łódź i zabił współnika - detektyw z uśmiechem pochylił się ku Mackowi. - Naprawdę uczyniłeś to, chłopcze?

- To pan już wie. Coglan uderzył go.

Cios, nieoczekiwany i silny, trafił poniżej splotu słonecznego. Mack szarpnął się do tyłu, krztusząc się wymiocinami. Nie spadł z krzesła jedynie dlatego, że Coglan przywiązał mu z tyłu ręce do oparcia.

- Owszem, wiem i wprawia mnie to we wściekłość, ponieważ pan Collis Huntington jest uczciwym patriotą i szanującym prawo dżentelmenem. To moja osobista opinia, ale chcę, byś ją znał, pomimo że pan Huntington wcale nie prosił, bym cię o niej informował. Ponieważ jednak to właśnie ja jestem detektywem, którego przydzielono do tej sprawy, mam podstawy przypuszczać, że zechcesz zapoznać się z moimi sądami, co?

Mack zamrugał oczyma, starając się złapać oddech.

- Sądzę, że tak... Coglan znowu go uderzył.

- Głośniej, chłopcze. Nic nie słyszę.

- Powiedziałem - strużka czerwonej śliny spłynęła po policzku Macka - że wysłucham pana.

- Tak już o wiele lepiej.

Mack dusił się, jakby związano go grubym drutem. Detektyw na nowo podjął spacer dookoła krzesła.

- Jesteś w tym mieście nikim, Chance. I jesteś także strasznym dupkiem, jeśli sądziłeś, że możesz bezkarnie obrzucać błotem SP. Dwaj moi kuzyni pracują dla kolei. To przyzwoici ludzie, chrześcijanie z dużymi rodzinami. Powiadają ci, że gdyby usłyszeli twoje oskarżenia pod adresem pana Huntingtona, rozszarpaliby cię na strzępy. Budując kolej pan Huntington i jego wspólnicy zjednoczyli dla nas ten wielki kraj. Kolej zrobiła dla tutejszych biznesmenów i farmerów, a także dla całej Kalifornii, więcej niż ty czy twoje skośnookie, złodziejskie szczury zrobilibyście, gdybyście nawet żyli sto lat... - Coglán umilkł na chwilę. - I jeszcze jedno. Strażnik powiedział Jackie'emu - Coglán wskazał drugiego detektywa - że szeptałeś o czymś z tym komunistycznym księdzem. Czy to prawda?

- Znam go. Czyżby było to niezgodne z prawem?

Detektyw uderzył go po raz kolejny, przewracając wraz z krzesłem. Mack zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć.

- Nie pyskuj mi, chłopcze. To nie ty jesteś tutaj od zadawania pytań. Mack krwawił. Coglán zachichotał. Lubił takie sytuacje.

- Skoro znasz Marqueza, dużo to o tobie mówi. Nie chcemy takich jak ty w naszym mieście. Jestem tutaj po to, by cię co do tego całkowicie upewnić.

Pozorna łagodność tych słów sprawiła, że Mack ścierpł cały.

- Chcę przekonać cię, że nie będziemy tolerować tu radykałów, próbujących obalić panujący porządek oraz posuwających się do gróźb i obelg wobec naszych najbardziej



szanowanych obywateli. Wytlumaczę ci to w taki sposób, byś nigdy nie zapomniał tej lekcji.

Wyciągnął przed siebie prawą rękę, na której lśnił wielki sygnet z oszlifowanym diamentem.

- Podaj mi kastet, Jackie - rozkazał.

Wsunął na palce pierścionie z żółtego metalu.

- To będzie króciutki wykład, Chance. Uważam, że jesteś dostatecznie bystry, by od razu pojąć, o co nam chodzi. Potem pozwolimy ci stąd wyjść. Będziesz miał dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie San Francisco. Pan Fairbanks przekonał pana Huntingtona, aby odstąpił od oskarżenia. Dzięki temu unikniemy niepotrzebnego niepokoju opinii publicznej i oszczerczych artykułów prasowych. W zamian za to zapewniliśmy naszym szacownym obywateli, że się ciebie pozbedziemy.

Lewą ręką chwycił Macka za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Mack zagryzł wargi i mocno zacisnął powieki. Ból zdawał się przenikać całe jego ciało.

- Jeśli jakikolwiek policjant znajdzie cię jeszcze w tym mieście jutro po północy, wrócisz do tego pokoju z następną wizytą. Później będziesz już gotów wynieść się dokądkolwiek.

- Ty pieprzona małpo - wysyczał Mack. - Jeśli kiedykolwiek spotkamy się sam na sam w uczciwej walce, zabiję cię.

Zanim Coglán ochłonął ze zdumienia, twarz Macka znowu była spokojna i pozbawiona wyrazu.

- To było niegrzeczne, chłopcze. Ordynarne i niegrzeczne. Trzeba będzie nieco przedłużyć naszą lekcję - powiedział detektyw i uderzył go z całej siły.

Na kastecie zaśniła krew. Rozognione spojrzenie detektywa nie pasowało do łagodnego brzmienia jego głosu. Stojący przy drzwiach Jackie obserwował całą scenę uśmiechając się z lekka.

„Siedź cicho - nakazał sobie Mack. - Nie wydaj żadnego dźwięku. On pragnie byś jęczał i skamlał.”

Coglan znowu go uderzył.

Cios wyrzucił Macka razem z krzesłem o sześć cali nad ziemię. Uzbrojona w kastet dłoń detektywa unosiła się i opadała, unosiła i opadała, udzielając zapowiedzianej przez niego lekcji.

- Czy zaczynasz już rozumieć, o co mi chodziło? - zapytał policjant dysząc ciężko. Mack miał tak opuchnięte powieki, że z trudem otwierał oczy. Widział detektywa jakby za mgłą, w dodatku rozdwojonego na dwie postacie.

- Nie słyszę cię, chłopcze.

Mack splunął na niego, ale krwawa ślina wylądowała między jego własnymi stopami.

Coglan uderzył go raz jeszcze.

Dwaj policjanci wynieśli go na zewnątrz i rzucili na obmyty deszczem, lśniący bladoniebiesko chodnik. Mack próbował wesprzeć się o krawężnik, ale dłonie mu się ześlizgnęły i upadł twarzą prosto w rynsztok.

Parskając i plując uniósł głowę. Woda zmyła mu z twarzy nieco zaschniętej krwi. Podjechał powóz czekający po drugiej stronie ulicy.

Drzwi powozu otworzyły się i na chodnik wyskoczyła najpierw jakaś kobieta, a potem mężczyzna. Omijając kupy śmieci podeszli do miejsca, gdzie leżał Mack. Po jego czole, nosie i policzkach spływały krople deszczu. Kolejna błyskawica rozdarła niebo i, Mack rozpoznał Bierce'a.

- Chryste. To miasto jest osadą ludzi moralnie trędowatych.

- Skończ z tymi uwagami i pomóż mi, Ambrose - Nellie wyciągnęła głowę Macka z rynsztoka. Wsadzili go do powozu i odjechali, pozostawiając z tyłu przyglądających się im z rozbawieniem policjantów.

- Złamali ci nos - stwierdził stary lekarz, którego Nellie wyciągnęła z łóżka o drugiej nad ranem. Mack siedział skrzywiony pod gazową lampą na krześle w jego gabinecie. Był rozebrany do pasa, a jego tors przypominał namalowany żółtymi i czerwonymi farbami krajobraz. Twarz miał tak opuchniętą, że z trudem można było w niej dostrzec wąskie szparki oczu.

- Jeśli chodzi o obrażenia wewnętrzne, to nie wykryłem żadnych, ale na ostateczne wyniki musimy jeszcze poczekać. Ustalimy je po następnym badaniu.

Mack pomyślał o wyznaczonym mu przez Coglana terminie opuszczenia miasta.

- Wyleczenie ran zajmie jednak mnóstwo czasu - ciągnął lekarz. - Przez ponad miesiąc będziesz wyglądał tak, jakbyś walczył trzydzieści rund z Jimem Corbettem.

- I przegrał - dodał Mack.

Tylko oparty o ścianę obok wiszącego szkieletu Bierce uśmiechnął się słysząc te słowa.

- Proszę przysłać rachunek do „Examinera” - powiedziała Nellie.

- Chcę zobaczyć tego młodzieńca ponownie za jakieś trzy dni.

- Oczywiście - odparł Mack, z trudem poruszając popękkanymi i opuchniętymi wargami. - Dziękuję za pomoc.

Obudził się w salonie mieszkania Nellie, położonego - nomen omen - na stoku Russian Hill. Szare światło dnia wpadało przez olbrzymie okna. Po szybach spływały krople deszczu, rzucając dziwne cienie na posiniaczoną twarz Macka. Spał na pościeli z sobolowych futer. Nellie nie uznawała zabijania dzikich zwierząt, skąd więc pochodziły te skóry? Wbrew panującej modzie w salonie znajdowało się niewiele mebli, właściwie nic poza krzesłami o solidnych oparciach,

stołem i komodą. Wszystkie robiły wrażenie starych i wykonanych ręcznie.

Nad kominkiem wisiały trzy oprawione w ramki fotografie surowych, ciemnookich mężczyzn. Jeden z nich miał na głowie wielką futrzaną czapę. Pięknie utrzymanego parkietu nie przykrywał żaden dywan, ale i tu leżały zwierzęce skóry. W jednym kącie pokoju królował srebrny, ozdobny samowar. Nellie zapewniała kiedyś Macka, że jest stuprocentową Amerykanką, a jej rosyjscy przodkowie istnieją już tylko we wspomnieniach. Teraz zastanawiał się, czy naprawdę tak było.

Nellie przyniosła mu talerz złocistego rosołu.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła.
- Mogę podziękować za to Walterowi Fairbanksowi.
- Przynajmniej nie zostałeś w więzieniu - usiadła, podczas gdy on jadł zupę. Miał kłopoty z przełykaniem. - Przygotowałam dla ciebie walizkę. I czyste ubranie.
- Nie będę uciekał, Nellie.
- Nie masz wyboru. Oni mają po swojej stronie policję. Nie chcę przez to powiedzieć, że ją przekupili. Po prostu SP cieszy się tu wielkimi wpływami. Nawet Hearst nie ośmieliłby się im sprzeciwić, gdyby za nim i za gazetą nie stała fortuna i prestiż senatora.

- Do diabła, ci ludzie są o wiele za silni. To zwykli dyktatorzy.

- Wielu Kalifornijczyków zgodziłoby się z tą opinią. Huntington i jego wspólnicy mieli jednak prawie dwadzieścia pięć lat na to, by umocnić swoją pozycję. Samodzielnie nie pokonasz ośmiornicy, podobnie jak i ja tego nie uczynię. Nawet Hearst nie zdoła zrobić tego w pojedynkę. Jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi, będzie wymagało długiego czasu i olbrzymiej odwagi ludzi ze wszystkich zakątków tego stanu. Tymczasem zaś kolej rządzi tu wszystkim. W tej chwili ma

władzę nawet nad tobą. Nie chcę się z tobą rozstawać, ale jeśli nie wyjedziesz, ani przez chwilę nie będziesz bezpieczny.

- To tchórzostwo.

- To zdrowy rozsądek.

W końcu uległ prośbom Nellie, pozostawiając jej uporządkowanie jego spraw, gdy wyjedzie. Pieniądze z rachunków złożonych w depozycie w Oakland należały się kapitanowi Barnstable'owi, podobnie jak te z „Bluedorn's Coal Yard”.

- Dopilnuję, żeby wszystko zostało zapłacone.

- Mam dwadzieścia pięć dolarów oszczędności w banku Wells w Fargo...

- Zostaw je. Co jeszcze?

- Nic. Wszystko, co posiadałem, zatoneło razem z „Bay Beauty”.

- Poza tym - podała mu przewodnik T. Fowlera Hainesa. - Pomyślałam, że teraz znów zechcesz mieć go ze sobą. Coś mnie w nim zaciekało. - Wyjęła spomiędzy stron złotą wstążkę Carli. - Jest bardzo kosztowna.

Mack myślał pośpiesznie. Nellie nadal nie wiedziała nic o córce Hellmana.

- Należała do mojej matki - skłamał:

- Ach tak. To dziwne. Wydawało mi się raczej, sądząc z koloru, że to własność jakiejś młodszej kobiety.

Kiedy indziej Mack byłby rozbawiony jej zazdrością o nieznajomą rywalkę, ale teraz ucieszył się, że nie kontynuowała tego tematu, wsunęła wstążkę między kartki i oddała mu przewodnik.

Mack przekartkował kilka stron, po czym przeczytał:

- „Ludzkie oko nigdy nie oglądało piękniejszej i bardziej gościnnej krainy!” - Pokręcił głową. - Miałem zamiar w ciągu roku stać się bogatym. Przejść przez złotą bramę. - Zacisnął dłonie na okładce przewodnika. - Swampy Hellman był

pierwszym, który przede mną tę bramę zamknął. Potem uczynił to Fairbanks. I łotry z przystani w Oakland. A później Coglan... - Poczul ucisk w gardle. - Jeszcze tym razem udało im się zatrzasać przede mną drzwi. Ale przecież nie pozostaną one zamknięte na zawsze. Mogą je zaryglować, nawet zabić na głucho setkami gwoździ. Będę powracał i walił w nie tak długo, aż wypadną z zawiasów. Powiem ci coś jeszcze...

Próbował ukłęknać i Nellie popatrzyła na niego z niepokojem.

- Bądź ostrożny, Mack. Nie jesteś jeszcze...

- Następnym razem... - rzekł, przyjmując jej pomocną dłoń. - Następnym razem nie przybędę do San Francisco chyłkiem, na pokładzie jakiegoś rybackiego stateczku. Przyłynę prosto do przystani SP na największym i najdłuższym jachcie parowym, jaki kiedykolwiek...

- Daj spokój - szepnęła, przyciskając dłoń do jego ust. Wzrok utkwiony miała w oknie. - Proszę, daj spokój. Od tego może ci się tylko pogorszyć.

- Nie wierzysz, że zdołam tego dokonać?

- Wierzę, że powinieneś opuścić San Francisco przed północą. Czy masz dokąd pójść?

- Nie. Chyba spróbuję przedostać się do innego miasta. Do Los Angeles. Człowiek, którego kiedyś spotkałem, twierdził, że można tam zrobić kokosy na handlu ziemią.

Opuścił ręce i zastygł bez ruchu, podczas gdy Nellie podeszła do okna, bezustannie, jakby w zdenerwowaniu, splatając i rozplatając palce. - Nellie...

Popatrzyła na niego.

- Czy jest jakaś szansa na to, byśmy się tam udali razem?

Odetchnęła głęboko, próbując ukryć wzruszenie, zdradził ją jednak ochrypły głos.

- Nie.

Wiedział, że w głębi duszy uważała inaczej. Chciała pojechać z nim. Była szczupła i drobna, ale Mack pomyślał, że jest być może najtwardszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał. To czyniło ją w jego oczach jeszcze bardziej godną pożądania.

- Nie - powtórzyła jeszcze bardziej zdecydowanie. - Mam tu pracę, miejsce, w którym coś znaczę. I może dzięki temu potrafię coś zmienić w tym świecie.

- Do diabła, jesteś niemal tak ambitna jak ja.

Nie zaprzeczyła.

On także powoli podszedł do okna, sycząc z bólu i ostrożnie stawiając kroki. Dotknął jej włosów.

- Nienawidzę myśli o rozstaniu z tobą. Nie do końca cię rozumiem, niewielkie też mam pojęcie o twoich ideałach dotyczących losu kobiet, ale odkąd byliśmy w Yosemite... może nawet już od owego dnia, kiedy skoczyłem do wody i popsulem ci twój eksperyment, wiele dla mnie znaczysz. - Posiniaczoną dłonią uniósł jej podbródek i palcami delikatnie pogładził ją po policzku.

Po twarzy Nellie spływały łzy. Z całej siły przytuliła jego dłoń do swego policzka.

- Och, Boże! Lepiej byłoby, gdybym cię nigdy nie spotkała.

- Być może powinienem powiedzieć to samo, ale nie potrafię. To jak wodospady, przy których się kochaliśmy. Spadają w dół, bo nie mają innej drogi. Nie ma sposobu, by powstrzymać tę siłę...

- Jesteś dziwnym, niezwykłym człowiekiem. Wciąż pędzisz przed siebie.

- A czy ty nie pędzisz?

- Owszem, ale nie w pułapkę małżeństwa. Mam zbyt wiele do zrobienia w życiu.

- Któż w ogóle mówi o...

Wyrwała mu się i ponownie skrzyżowała ramiona.

- Takie rzeczy przychodzą na myśl, kiedy dwoje ludzi jest w sobie zako... kiedy żywią wobec siebie jakieś uczucia. Musisz wiedzieć, kim jestem, to wszystko. A teraz, skoro już wiesz i jeśli nadal mnie pragniesz...

Ich oczy spotkały się.

- Będę tutaj, gdy wrócisz - dodała.

- Wrócę. Otworzę te drzwi.

- Wierzę ci. Wierzę.

Otoczył ją ramionami. Pocałunki Nellie były namiętne i jednocześnie smutne. Pomimo ran i sińców Mack z całej siły przytulał ją do siebie. Kiedy opadli na futra, Mack zdał sobie sprawę, że kochanie się z nią sprawi mu jeszcze straszliwy ból. Nellie powstrzymała go.

- Nie, to sprawi ci zbyt wiele cierpienia.

Mack wiedział, co tak naprawdę myślała. Jej też zadałoby to ból, tyle że nieco innego rodzaju.

Siedziała z podwiniętymi nogami, patrząc jak Mack pakuje walizkę i odchodzi. Słyszała jego kroki stopniowo cichnące na schodach i dopiero, gdy całkowicie umilkły, wybuchnęła głośnym, niepohamowanym płaczem.



## Rozdział 15.

Gwałtowny, zimny wiatr z północy rozpędził zasnuwające i niebo chmury, odsłaniając wygwieżdżone letnie niebo. Na wzgórzach San Francisco migotały żółte, niebieskie i białe punkciki.

Mack włókł się wyboistą drogą wiodącą wzdłuż półwyspu na południe. Co jakiś czas przekładał walizkę z jednej ręki do drugiej. O wpół do dwunastej zatrzymał się, by odpocząć. Jeszcze raz popatrzył na pozostawione w tyle miasto. Idąc przez dzielnicę eleganckich rezydencji na południe od Market Street, poczuł się samotny i zagubiony. Blask świateł w oknach jeszcze bardziej pogłębiał w nim to uczucie. Potęgował też gwałtowną, nie pohamowaną rozpacz po śmierci Bao, po upokorzeniach doznanych od Fairbanksa i decyzji policji.

Czuł się jednocześnie rozczarowany i zły. Potem jednak pomyślał o prześladowającym go nocnym koszmarze i wszystkich tych mroźnych, białych zimach w Pensylwanii. Przypomniawszy sobie ojca i złożoną mu obietnicę oraz nadzieję, jakie wiązał z tym stanem on sam i setki tysięcy jemu podobnych.

Wyrzucono go z San Francisco, ale w Kalifornii było jeszcze wiele innych miejsc. Na południu będzie mógł zacząć wszystko od nowa. Tam jego marzenia staną się rzeczywistością. A potem wróci.

- Już nigdy nie będzie mi zimno. Ani nie będę biedny - recytował te słowa jak kościelną litanie. Rzuciwszy miastu ostatnie spojrzenie podniósł z ziemi walizkę. Jego ciało nadal buntowało się przeciwko jakemukolwiek wysiłkowi, ale w duchu poczuł się raźniej. Ścisnął ukryty w kieszeni przewodnik i ruszył w ciemność.

Księga III  
ŻYCIE WŚRÓD INDIAN ESCROW  
1888 - 1889

El Pueblo de Nuestra Senora la Reina de los Angeles de Porciuncula - Nasza Pani, Królowa Aniołów.

W 1781 roku hiszpański gubernator, Felipe de Neve, założył pueblo nad rzeką Los Angeles. Miało ono dostarczać zboża misjom i fortom na wybrzeżu. Pierwszymi mieszkańcami była grupa odważnych osadników z Sinaloa - trzydziestu czterech żonatyh żołnierzy i dwudziestu czterech żonatyh kolonistów. Było wśród nich kilku Indian i Murzynów.

Osada rozwijała się powoli. W 1820 roku wciąż miała tylko 650 mieszkańców. Początkowo była miastem cichym i prymitywnym, żeby nie powiedzieć prostackim. Dopiero napływ przybyszów w okresie gorączki złota prze mienił je w miasto przemocy, w którym na porządku dziennym były bójki, rozboje, morderstwa i samosądy. Mieszkańcy San Francisco szydzili zeń, nazywając „Miastem upadłych aniołów”.

W 1871 roku doszło do kłótni pomiędzy dwoma członkami małej chińskiej społeczności, podczas której zabito próbującego interweniować policjanta. Ponad czterystu mieszkańców Los Angeles wszczęło zamieszki. W ich wyniku w chińskiej dzielnicy, obok Sanchez Street, życie straciło dziewiętnaście osób. To także nie wpłynęło dobrze na fatalną reputację miasta.

Znaleźli się jednak biznesmeni, których martwiło panujące w mieście bezprawie, a prawdopodobnie jeszcze bardziej podupadający handel bydłem. Sądziłi oni, że zbudowanie kolei połączyłoby miasto silniejszymi więziami z cywilizowanym światem. Towarzystwo Southern Pacific było gotowe doprowadzić linię kolejową do Los Angeles, ale domagało się, by miasto partycypowało w kosztach tego przedsięwzięcia. W ten sam sposób budowano już kolej w kierunku południowym, przez dolinę San Joaquin. Społecznościom, które doceniły znaczenie kolei i były gotowe

za nie płacić, szybko dane było oglądać tory w pobliżu swych domów. Los Angeles także zdecydowało się zapłacić żądane przez SP 600 000 dolarów. Nałożono w tym celu specjalny podatek na mieszkańców miasta. Inne osady, na przykład San Bernardino, zlekceważyły kolej i w efekcie znalazły się poza głównymi szlakami komunikacyjnymi. Równocześnie pojawił się drugi czynnik, który pomógł w ucywilizowaniu i rozwoju południowej Kalifornii. W roku 1872 nowojorski dziennikarz, Charles Nordhoff, opublikował książkę zatytułowaną „Kalifornia: wspaniałe miejsce dla zdrowia, wypoczynku i osiedlenia się”. Ten hymn na cześć klimatu i możliwości wzbogacenia się zauroczył setki ciągnących na zachód osadników. Żadna inna książka o Złotym Stanie nie cieszyła się taką popularnością jak ta.

A wcale ich nie brakowało - takiej powodzi entuzjastycznych publikacji nie widziano od czasu gorączki złota. Southern Pacific doprowadziło linię kolejową do Los Angeles w roku 1876. Sieć kolejowa rozrastała się jak pajęczyna i wkrótce okazało się, że w południowej Kalifornii potrzebna jest druga linia. W 1885 roku Southern Pacific sprzedało swoje udziały na tym terenie firmie „Atchison, Topeka & Santa Fe”, w zamian za co przedsiębiorstwo to zobowiązało się zrezygnować z konkurowania z Southern Pacific. Wszyscy, poczynając od wielkich kolejowych magnatów, a kończąc na skromnych kupcach, chcieli zwiększenia wymiany handlowej, nowych, coraz większych interesów. Potrzebowali zarówno turystów odwiedzających Kalifornię, jak i tych, którzy pragnęli się tu osiedlić. Dlatego też SP zaczęło obniżać opłaty pasażerskie, a Santa Fe poszło w jego ślady. Bilet nad Pacyfik kosztował początkowo siedemdziesiąt dolarów, potem pięćdziesiąt, wkrótce zaś piętnaście, a jeszcze później pięć. W końcu, przez kilka

zwariowanych dni podróży z Kansas City do Los Angeles można było odbyć za jednego dolara.

Wszystkie kolejowe wydziały propagandy pracowały jak nigdy przedtem, organizując specjalne grupowe wycieczki, zamieszczając ogłoszenia i artykuły, w których wychwalano pod niebiosa kalifornijski styl życia. Władze Los Angeles prowadziły kampanię reklamową na własną rękę. Wszyscy obywatele miasta stali się agentami reklamowymi, korzystającymi z każdej okazji, by opowiedzieć nowo przybyłym o południowej Kalifornii. Wkrótce pociągi wycieczkowe przejeżdżały przez góry Sierra dniem i nocą, przywożąc setki pasażerów, którzy szeroko rozwartymi oczami wpatrywali się w słońce Los Angeles. Najpierw przyjeżdżało ich kilkuset na miesiąc, potem kilkuset na tydzień, a wreszcie zaczęli zjawiać się całymi tysiącami. Czekali tu już na nich niecierpliwie handlarze ziemią - wielkie rancza podupadły, więc ziemi było pod dostatkiem.

Los Angeles wkraczało w okres wielkiej prosperity. Uwolniło się od swej nędznej przeszłości i śmiało spoglądało w przyszłość. Nikt już nie ośmieliłby się nazwać go miastem prostackim, leniwym i zacofanym. Było nowoczesne, tętniło życiem, błyszczało.

## Rozdział 16.

Mack dotarł do Los Angeles pewnego gorącego jesiennego dnia, w drugi poniedziałek października 1888 roku.

Przybył od strony morza, przejeżdżając z zachodu na wschód na starym jucznym mule, którym zapłacono mu za trzy tygodnie pracy w Monterey. Właściciel muła i tak miał zamiar zastrzelić zwierzę, więc Mack wziął go w zamian za połowę swego zarobku.

Szybko okazało się, że muł może jeszcze przejść mnóstwo kilometrów, jakby chciał dowieść, że nie pora mu umierać. Mackowi spodobała się ta zwierzęca determinacja. Wędrował wzdłuż dzikiego wybrzeża, o którego skały rozbijały się potężne, spienione fale. Były dni, gdy napotykał tylko jednego podróżnego, i takie, kiedy był zupełnie sam na drodze. Czasem mijał po drodze małe miasteczka, zwykle jednak przez cały dzień oglądał tylko dzikie piękno bezludnego brzegu.

W San Luis Obispo właściciel tawerny powiedział mu, że Charles Crocker zmarł w sierpniu na cukrzycę w „Del Monte Hotel” w Monterey. Dwóch z Wielkiej Czwórki odeszło na zawsze, a wraz z nimi odchodziło w przeszłość także dziewiętnaste stulecie.

A jednak, podróżując na południe, Mack miał wrażenie, że cofa się w czasie. Napotykanie po drodze rancza i drewniane domki nie przypominały mu nowoczesnego, cywilizowanego San Francisco, ale Zachód, który przemierzył na własnych nogach.

Kiedy dotarł w pobliże rozkwitającej Santa Barbara, zauważył, jak inna jest ta okolica od miejsc, które dotąd widywał. Słońce zdawało się jaśniejsze, była tutaj także inna roślinność niż w północnej Kalifornii: palmy, kaktusy i przypominające paprocie drzewa pieprzowe. Wśród

cytrynowych gajów kryły się wstydliwie domy z suszonej na słońcu cegły.

Szlakiem przez góry Santa Monica dotarł aż do Pacyfiku. W jego piwnych oczach znowu zagościła nadzieja. Rozpierało go poczucie siły. Znow wierzył w siebie. Nos goił się szybko - oddychał już teraz bez trudu, nie czując bólu. Jednak wciąż miał pamiątkę po pobiciu - bliznę, przypominającą szczelinę w wysuszonej słońcem ziemi.

Znalazłszy się na brzegu morza, krzyknął z zachwytu i pobiegł przez plażę. Przez kilka chwil tarzał się w piasku i chodził na rękach. Potem rozebrał się do naga i wskoczył do wody, pokrzykując z radości, gdy rozpryskujące się fale unosiły go i przewracały. Zapomniał o porażkach poniesionych w San Francisco. Kochał to słońce, ten ocean, to nowe oblicze Kalifornii.

Następnego ranka skierował się na wschód, w stronę miasta leżącego w zakolu rzeki Los Angeles. Zobaczył robotników pracujących na plantacjach grochu i w wielkich figowych sadach. U podnóża gór natrafił na pierwsze oznaki burzliwego rozwoju, który opisywał mu Wyatt Paul. Na wielkiej równinie wznosił się w oddali samotny dom. Wymalowany białą farbą napis głosił, że rejon ten nazywa się Holly Wood.

We mgle jesiennego popołudnia miasto wydało mu się bezładnym skupiskiem drewnianych i ceglanych budynków rozrzuconych na przybrzeżnej równinie.

Popędził muła, którego nazwał Railroad (Railroad (ang.) - kolej żelazna.), i stare zwierzę posłusznie zaczęło iść nieco zwawiej. Mack poczuł się doświadczonym, bywałym w świecie Kalifornijczykiem

Miał dwadzieścia pięć lat.

Mieszkańcy San Francisco szydzili z Los Angeles, uważając je za prymitywne miasto krów, i pewnie mieli trochę

racji. Niemal natychmiast po wejściu do miasta Mack napotkał stado bydląt pędzone przez groźnie wyglądających vaqueros. W chwilę potem zobaczył wóz, którego tylne koło utkwilo w głębokiej dziurze. Tęgi mężczyzna skoczył wprost w błoto i naparł na wóz ramieniem.

- Przekłeta breja. Dlaczegoż nie załatają tych dziur?

- Breja - powtórzył Mack. Cóż to takiego? Zapamiętał nieznane słowo, przypominając sobie, że w okolicy widział wiele podobnych dziur.

Na peryferiach miasta widać było oznaki ożywionego handlu ziemią. Mack spostrzegł wiele ogłoszeń przybitych do słupów ze skrzynkami pocztowymi, napisów wyrzeźbionych w drewnie, a nawet namalowanych na ścianach okolicznych domów.

**PODMIEJSKIE WYCIECZKI!**

**PARCELE! PARCELE! PARCELE! DZIAŁKI  
BUDOWLANE!**

**KORZYSTNE INWESTYCJE!**

**ZAMIESZKAJ W KRAINIE BOGACTWA I ZDROWIA**

Agenci obiecywali Eldorado, zachęcając do osiedlania się w miejscach o mile brzmiących nazwach - Santa Monica, South Pasadena, Monrovia, Riverside.

Oszołomiony natarczywością tej kampanii reklamowej, Mack dotarł wkrótce do Los Angeles Street, brzydkiej, lecz ruchliwej ulicy, przy której znajdowały się jeszcze brzydsze magazyny wojskowe. Skręcił w lewo i po chwili znalazł się na ulicy równoległej do Los Angeles Street, głównej ulicy handlowej, nazwanej niezbyt odkrywczo Main Street (Main Street (ang.) - ulica Główna).

Było to miejsce rażących kontrastów. Mężczyźni w strojach pastuchów sprawdzali godzinę na dwóch nowoczesnych wieżach z zegarami, znajdujących się w dzielnicy handlowej. Zajęci interesami Chińczycy przemykali



pośpiesznie pośród kroczących statecznie meksykańskich kobiet z głowami okrytymi czarnymi szalami. Na ulicy pełno było koni i wszelkiego rodzaju wozów, od dwukółek poczynając, a na karetach kończąc. Mack przyglądał się wszystkiemu - gazowemu oświetleniu, jedwabnym sukniom, noszonej przez mężczyzn broni.

Najbardziej rzucali się jednak w oczy turyści: mężczyźni, kobiety i dzieci. Łatwo ich było rozpoznać po wyrazie podniecenia na bladych twarzach i ciemnym, grubym odzieniu. Klócili się na progach biur handlu nieruchomości lub siedzieli wśród tobołów przed hotelem St. Charles, wpatrując się tępo w wywieszkę BRAK MIEJSC. Turyści przypominali Mackowi ludzi, których spotkał w trakcie podróży po Środkowym Zachodzie. Ich liczba wprawiała go w osłupienie.

Dochodząc Main Street do miejskiego rynku minął okazały dwupiętrowy, ozdobiony stiukami hotel z arkadami. Nad jego dwoma wejściami widniały dumnie napisy: PICO HOUSE.

Mack zsiadł z muła i napił się wody z ocienionej cyprysami fontanny. Nagle popołudniową ciszę przerwały cztery rewolwerowe wystrzały. W chwilę później rozległ się tętent galopujących koni.

Railroad nastawił uszu, ale prócz niego nikt nie zwrócił na to uwagi. Niewidoczny gitarzysta znów zaczął grać przerwana na chwilę melodię.

Gwizd pociągu tak przyciągał Macka, że minął ładną świątynię z dzwonnica - kościół Nuestra Senora la Reina de Los Angeles - i znalazł się na dworcu kolejowym. Na peronie właśnie zatrzymywał się pociąg, ciągniony przez lokomotywę, która wypuszczała z komina kłęby dymu. Pasażerowie, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, wychylali się przez okna, krzycząc i żywo gestykułując.

Młodzieniec o szczurzej twarzy biegł wzdłuż pociągu, wymachując tablicą na kiju: NIERUCHOMOŚCI! WYJĄTKOWA OKAZJA!

- Tutaj, ludzie - wołał naganiacz. - Tutaj.

Mack także poczuł się podekscytowany.

- Wygląda na to, że wciąż jest to miejsce wielkich szans, prawda? - zapytał Railroada.

Muś najwyraźniej zgadzał się z nim, choć nic nie powiedział.

Wracając w stronę rynku, Mack zauważył także innych naganiaczy nagabujących turystów. Dostrzegł również liczne biura handlu nieruchomościami, usytuowane w najdziwniejszych miejscach: na parterach kamienic, w małych budkach, a nawet w krytych wozach. Uznał, że ta „gorączka ziemi” z pewnością pozwoli mu zarobić trochę pieniędzy.

Przed „Pico House” zaobserwował sześciokonny dyliżans pokryty podróżnym pyłem. Kiedy bagażowi wyładowywali kufry i walizy, wślizgnął się przez bramę i trafił na centralny dziedziniec z fontanną, pięknymi klombami i świergoczącymi ptakami w klatkach. Wchodzący i wychodzący goście uchylali kapeluszy, pozdrawiając czcigodnego, co najmniej osiemdziesięcioletniego staruszka siedzącego w małej altanie. Był to tęgi mężczyzna o brązowej skórze i zupełnie siwych włosach. Pomimo że dzień był ciepły, miał plisowaną koszulę, duży staromodny krawat i stary żakiet z aksamitnym kołnierzem i mankietami. Mack naliczył na jego palcach aż sześć srebrnych pierścieni. Stary człowiek roztaczał wokół siebie atmosferę dostojeństwa, a jego twarz przypominała Mackowi rycinę ze szkolnego podręcznika, przedstawiającą Wiktora Hugo. Wszystkim pozdrawiającym go ludziom staruszek grzecznie odpowiadał po hiszpańsku. Nagle pojawił się portier. - Nie potrzeba nam tu włóczągów.

- Nie należy tak traktować nieznajomych - powiedział jakiś mężczyzna wychodzący właśnie z hotelu. Był chudy jak trzcina i smagły, miał mongolski wąsik i żywe, ciemne oczy. Ubrany był w surdut, na głowie miał zaś płaski kapelusz. W rękach trzymał plik prawniczych dokumentów. Portier popatrzył na niego spode łba i odszedł.

- Lo mas justo y honrado - powiedział nieznajomy, składając lekki ukłon siwowłosemu mężczyźnie.

- Rzetelny i ... jaki? - zapytał Mack, idąc za nieznajomym.  
- Nie znam dobrze hiszpańskiego.

- Najbardziej rzetelny i najuczciwszy człowiek. Pio Pico, ostatni meksykański gubernator Kalifornii. Bardzo szanowany. Zbudował ten hotel. Niestety nie najlepiej poprowadził swoje interesy i przestał być właścicielem hotelu, choć wszyscy udają, że nadal nim jest.

Zatrzymali się przed bramą. Mack odwiązał swego muła.

- Ładne zwierzę - powiedział nieznajomy. - Jak go nazwałeś?

- Railroad. To dlatego, że jedzie się nim lepiej niż kolejami Southern Pacific, a przy tym nie żąda wygórowanych opłat i nie trzeba się martwić, że cię okpi.

Nieznajomy roześmiał się.

- Masz niezgorsze poczucie humoru. Jesteś tu nowy?

- Tak.

- Wielu mamy tutaj takich. Kiedy przyjechałem do Los Angeles pięć lat temu z Durango, miasto liczyło dwanaście czy trzynaście tysięcy mieszkańców. A ostatniego lata ich liczba zbliżyła się do sześćdziesięciu tysięcy! W tym dobre dwa tysiące Indian Escrow.

- Escrow?

- Tak tutaj nazywają tych, co handlują ziemią. Escrow to wyjątkowo bezwzględne i chciwe plemię. Czekają na nieroztropnych przybyszów, ściągniętych tutaj przez naszych

propagandzistów, takich jak pułkownik Otis z „Timesa”, który tak bardzo pragnie, by nasze miasto zyskało choć trochę z blasku i rozmachu San Francisco. Codziennie granicę Kalifornii przekracza kilka pociągów wycieczkowych. Dla Escrow w to graj, gorzej natomiast dla nas, pozostałych mieszkańców miasta. Jednakże nie będzie to trwało wiecznie. Złudzenia pękają jak mydlana bańka. Już to widać.

- Miasto robi wrażenie zatłoczonego.

- Ale i tak nie da się tego porównać z tym, co działo się tu w osiemdziesiątym siódmym roku. Chodź, pokażę ci coś.

Tym, co chciał pokazać, była tablica z wypisanymi kredą ogłoszeniami Indian Escrow. Ceny i lokalizacje oferowanych działek wciąż się zmieniały, o czym świadczyły liczne ślady ścierania.

**ONTARIO!**

**GRUNTY POD BUDOWĘ DOMÓW - CENA  
OBNIŻONA DO \$125**

**DZIAŁKI OGRODNICZE - CENY ZREDUKOWANE  
DO \$95**

**WIELKIE OBNIŻKI CEN TAKŻE W:**

**MONROVIA - ALOSTA - GARWANZA - SYCAMORE  
GROVE**

**WIADOMOŚĆ NA MIEJSCU!**

Entuzjizm Macka zaczął stygnąć.

- Można tu znaleźć pracę?

- Nie tak łatwo, jak w zeszłym roku.

- Znam agenta, który może coś mieć. Powiedział, żeby go odszukał, jeżeli kiedyś się tu znajdę. Nazywa się Wyatt Paul.

- Słyszałem o nim. Chyba mieszka w północnej części hrabstwa. Jestem prawnikiem, ale niewiele mam do czynienia z handlem nieruchomościami. Mogę cię zaprowadzić do biura kogoś lepiej poinformowanego.



Czarne litery na żółtym papierze obiecywały:  
PRZEJAZDZKA I LUNCH ZA DARMO! PODRÓŻ  
EKSPRESEM I WYGODNYM POWOZEM! ABSOLUTNIE  
ŻADNYCH ZOBOWIĄZAŃ!

Tym, co przyciągnęło jego wzrok, był rysunek przedstawiający wspaniałą, łukową bramę, nad którą wznosiło się wielkie, promieniste słońce. Napis na bramie głosił:

SAN SOLARO MIASTO ZDROWIA

Odnalazł człowieka, którego uratował w górach.

Wszedł do biura, odrywając siedzącego tam agenta od kontemplowania odrapanych ścian. Agent zerwał się na równe nogi i przez kontuar wyciągnął dłoń do przybysza.

- Witam, witam. Nazywam się Southwood. Newton Southwood, dla przyjaciół Swifty. Spotkaj się ze Swiftem, jeśli chcesz szybko zrobić dobry interes...

Uważniej przyjrzał się Mackowi - długowłosemu młodzieńcowi w wyświechtanym ubraniu, po czym przygładził ręką tłuste włosy. Był bezwzględny, choć wobec bogatych klientów przesadnie grzecznym Escrow o bystrych oczach.

- Jestem zainteresowany nowymi terenami budowlanymi - powiedział Mack.

- Mamy sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt rejonów podzielonych na działki. Nad oceanem, na południu i na wzgórzach. Może pan wybierać. O ile ma pan pieniądze - dodał, przyglądając się Mackowi podejrzliwie.

Mack wskazał na ulotkę San Solaro.

- Interesuje mnie „Miasto zdrowia”.

- Leży w dolinie Santa Clarita. Rano trzeba złapać lokalny pociąg Southern Pacific do Newhall, a potem przesiąść się do powozu. Organizator pobiera trzydzieści pięć centów opłaty za całą podróż.

- Na ogłoszeniu w oknie mówi się o podróży pociągiem ekspresowym i luksusowym powozem.

Southwood podał Mackowi ulotkę.

- Agenci mówią różne rzeczy. Skąd jesteś?

- Nie stąd - Mack doszedł do wniosku, że nie lubi Swifty Southwooda.

- W Los Angeles można to powiedzieć niemal o wszystkich, z wyjątkiem Indian i Meksykanów z okolic Sonory. Ja sam przyjechałem tu z Cleveland przed dwoma laty. Nie zarobiłem jednak tyle, ile zamierzałem. Wskazał na stosy broszurek i ulotek.

- Kiepsko idzie. Za dużo ofert. Tak samo jak na całym wybrzeżu, stąd aż do San Diego. Kolej przesadnie obniżyła ceny. Wynajęli zbyt wielu pismaków piszących pochwalne hymny. W efekcie więcej kręci się tu gapiów niż prawdziwych klientów. - Nie było wątpliwości, do której z tych grup zalicza Macka.

Powrócił do biurka, by znów robić to, co zwykli czynić Indianie Escrow, gdy nie było w pobliżu nikogo, kogo warto byłoby oszukać.

- Są tutaj jakieś tanie restauracje? - zapytał Mack nieznajomego mężczyznę w białym sombrero.

- Skąd mogę wiedzieć? Jestem z Wisconsin.

Kilka innych osób także nie potrafiło mu pomóc, w końcu jednak skierowano go na nędzną uliczkę w pobliżu rynku, którą otwarcie nazywano Nigger Alley (Nigger Alley (ang.) - Aleja Czarnuchów.). Ujrzał tam wiele dziwnych ludzkich typów - kowbojów, białej biedoty, opryszków i kilku obdartych mestizos.

Został mu jeden dolar. W barze kupił talerz fasoli i szklankę przejrzystej, palącej tequili - trunku, którego kiedyś już spróbował i który bardzo przypadł mu do gustu. Usiadł w rogu i zaczął czytać broszurę Wyatta Paula. Zachwalano w

niej uroki San Solaro, nowego miasta o zdrowym, południowokaliifornijskim klimacie.

„Ludzie cierpiący na przeróżne dolegliwości odkrywają, że San Solaro pomoże im w powrocie do zdrowia. Przepracowani i zgorzkniali szybko odzyskają wigor i powrócą do równowagi. Suchotnicy twierdzą, że wystarczy kilka tygodni, by pozbyć się tej pochodzącej z zimnego wschodu plagi. Nasza dolina jest bezpiecznym miejscem dla tych, których serca źle znoszą duże wysokości. Krótko mówiąc, możemy zapewnić, że śmierć jest tutaj wyjątkowym wydarzeniem. Wszyscy lekarze, utrzymujący się tylko ze swej praktyki, szybko umierają tu z głodu!”

Na kolejnych stronach zamieszczono rycinę przedstawiającą ulicę gęsto zabudowaną solidniejszymi i wyższymi domami niż te, które widział w Los Angeles oraz rysunki efektownych domów, gajów pomarańczowych i parowców przycumowanych w przystani na szerokiej rzece. Był oczarowany.

Zapłacił dwadzieścia centów za miejsce na stryszku dla siebie i stajnię oraz paszę dla Railroada. Rano kupił bilet na odjeżdżający o ósmej lokalny pociąg Southern Pacific do Santa Barbara. Nie mógł się wprost doczekać chwili, kiedy zobaczy San Solaro.



## Rozdział 17.

Nie mogę wprost uwierzyć - wyszeptał. Przypomniał sobie słowa Swifty Southwooda: „Agenci mówią różne rzeczy.”

Stał przed łukową, wielką i wspaniałą, czarną bramą z kutego żelaza. Słońce świeciło mocno. Dokładnie tak jak w broszurze. Ale poza tym wszystko wyglądało inaczej. Za bramą rozciągała się płaska, naga równina przechodząca w niewielką kotlinę. Jej zbocza tworzyły urwiste stoki wzgórz poprzecinane charakterystycznymi żółtawymi korytami wyschniętych strumieni. Wiodła przez nią wyżłobiona koleinami droga. Tekturowa tablica przytwierdzona do kija wyjaśniała, że szlak ów zwie się GRANDE BOULEVARD DE SAN SOLARO.

Mack poczuł, że pot spływa mu po karku. Musiało być dobrze ponad trzydzieści stopni. Wszedł przez bramę i ruszył przed siebie. Wszędzie, aż po odległy koniec doliny, napotykał tekturowe tablice. Niemal na wszystkich używano słów takich jak: Królewski, Cesarski, Elizejski, Rajski. Działki budowlane oznaczono chorągiewkami. Inne wielkie parcele prezentowano na przykład jako; GMACH OPERY W SAN SOLARO, GIEŁDA, SANATORIUM, PROPONOWANA LOKALIZACJA DLA STUPOKOJOWEGO LUKSUSOWEGO HOTELU. Nie było żadnych domów, żadnych budynków, poza jednym parterowym barakiem z niewykończonym dachem.

Żółte, czerwone i niebieskie chorągiewki łopotały na silnym wietrze. Wzdłuż Grande Boulevard Mack naliczył pięć działek oznaczonych jako sprzedane. Idąc posłusznie za strzałką z napisem „Kanał San Solaro”, zszedł z głównej drogi. Na dnie szerokiego koryta zobaczył skorupę skamieniałego, wyschłego na słońcu błota. Posuwając się wzdłuż kanału, dotarł do miejsca, które było, jak głosił napis PRZYSZŁĄ PRZYSTANIĄ ŁODZI. Przez chwilę wpatrywał

się w wyschnięte dno. Czuł przemożne pragnienie, by stąd uciec. Tylko rozpaczliwa nadzieja, że dostanie tu jakąś pracę, kazała mu zostać.

Wrócił na „bulwar” i zbliżył się do stojącego przy nim jedyne go budynku. Na tablicy ustawionej obok namalowano farbą napis: DWORZEC KOLEJOWY. Nie było jednak widać żadnych pociągów. Znajdująca się na drzwiach wywieszka informowała, że jest to TYMCZASOWE BIURO SPRZEDAŻY. Już miał zapukać, gdy nagle usłyszał muzykę.

Obszedł budynek dookoła i zobaczył namiot cyrkowy z żółto - białego płótna. TUTAJ LUNCH ZA DARMO! - kusiła tablica przy wejściu.

W środku przygarbiona kobieta o siwych włosach krzątała się wśród ustawionych na kozłach stołów, na których leżało przykryte gazą jedzenie. Mack zobaczył małe drewniane beczułki piwa, pojemniki na lód z cynkowej blachy i rząd gotowych do napełnienia szklanych dzbanków. Cztery mężczyźni w jaskrawo szkarłatnych mundurach ze złotymi galonami siedzieli na chybotających się, drewnianych stołkach. Jeden z nich czytał gazetę, drugi palił cygaro, pozostali dwaj grali na trąbkach.

Łysy trębacz zauważył Macka i odwzajemnił jego spojrzenie, uśmiechając się lekko. Mack wrócił do drzwi budynku i zapukał.

- Wyatt Paul? - zapytał, wchodząc do środka.

Wyatt ze zniecierpliwieniem popatrzył na przybysza stojącego pod ścianą. W pierwszej chwili nie rozpoznał go. Nosił białe drelichowe spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Biel stroju ostro kontrastowała z jego ciemną cerą. Zmarszczywszy brwi zastanawiał się, skąd ów człowiek może go znać.

- Chance - przypomniał sobie w końcu. - Mack Chance. Mój dobroczyńca z gór Sierra. - Zerwał się na równe nogi. - Jakżeś się tu, u diabła, znalazł?

- Złapałem lokalny pociąg do Newhall, a potem przyszedłem pieszo.

- Cztery mile! Zapomniałem, że już wcześniej przyszedłeś pieszo z Pensylwanii. Ale co z San Francisco? Czy nie tam zmierzałeś?

- Nie powiodło mi się. Za dużo zamkniętych drzwi.

- Ostrzegałem cię.

- To prawda. Mówiłeś także, że jeśli kiedyś znajdę się w Los Angeles, mam cię odszukać.

- Jasne, jasne, sam nie wiem, co ci powiedzieć, tak jestem zaskoczony. Ale cieszę się, że cię widzę. Naprawdę. Siadaj.

Zdjął z krzesła stos broszur. Wyatt Paul, choć przystojny jak zawsze, oddychał jednak dziwnie chrapliwie. Może zdrowy klimat potrzebny był bardziej jemu niż któremukolwiek z jego klientów?

- Udało ci się więc znaleźć ziemię...

- Tysiąc osiemset akrów. Cała dolina jest moja. To był niełatwy interes. Sporo wytargowałem.

Mack zachodził w głowę, jak to się stało, że człowiek jeżdżący na gapę pociągami towarowymi, bez grosza przy duszy, zdołał zgromadzić niezbędne fundusze.

- To imponujące. - Nie mógł wymyślić nic bardziej pochwalnego.

- Jeszcze nie, ale poczekaj trochę - powiedział entuzjastycznie Wyatt.

Na wszystkie ścianach widniały przychepione pinezkami szkice domów, mapy i dokumenty sprzedaży. Tuż nad głową Wyatta wisiał obrazek przedstawiający rosnące u podnóża wzgórz owocowe drzewa. PRZYSZŁE GAJE CYTRUSOWE SAN SOLARO.

Wyatt rozsiadł się wygodnie i przygładził sobie włosy.

- Jesteś w tej części kraju na stałe czy przejazdem?

- Wrócę do San Francisco, kiedy zarobię trochę pieniędzy. Powiedziałeś, że powinienem cię odnaleźć, jeśli kiedykolwiek będę potrzebował pracy.

Ostatnie słowo sprawiło, że oczy Wyatta znieruchomiały. Wziął do ręki pióro i uważnie przyglądał się kropli zaschniętego atramentu na stalówce. - Owszem, tak powiedziałem. Kłopot w tym, że mam dokładnie tylu ludzi, ilu mi potrzeba.

Mack położył dłonie na poręczach krzesła, zamierzając wstać.

- W takim razie, lepiej będzie...

- Nie, siedź spokojnie... pozwól mi się zastanowić. Coś wymyślimy. Robię tutaj pieniądze. - Zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując na plany i szkice przypięte do sosnowych desek. - Duże pieniądze.

W słowach tych zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. Przez otwarte okienko kasy biletowej Mack zobaczył sąsiednią salę z małym żelaznym piecykiem i rondlem pełnym zaschniętego tłuszczu. W rogu znajdowało się nie posłane łóżko, w którym kłoc drzewa zastępował brakującą nogę.

Wyatt dostrzegł spojrzenie Macka i szybko zatrzaskał mlecznobiałe drzwiczki. W jego oczach zapłonął na chwilę dziwny blask.

Mack zastanowił się, czy rzeczywiście chce tu zostać. Potem pomyślał, co go czeka w Los Angeles: rozładowywanie wagonów, sprzątanie chodników. Tu nie było nic poza spaloną ziemią i pozbawionymi drzew działkami - przynajmniej na razie. Może jednak w przyszłości będzie można zarobić tutaj sporo pieniędzy? Postanowił, że jeśli tylko Wyatt mu pozwoli, zostanie w San Solaro.

Wyatt poklepał Macka po ramieniu, odzyskując dobry humor.

- Sprzedałem jak dotąd trzydzieści dziewięć działek. Dzisiejsza grupa klientów przyjedzie koło południa. Zatrudniam meksykańskiego dzieciaka, który szuka ich po hotelach i agencjach w całym mieście. Potem jedzie wraz z nimi lokalnym pociągiem odjeżdżającym o dziewiątej trzydzieści i przywozi tutaj z Newhall naszym powozem. Chodź, oprowadzę cię po terenie, zanim się zjawią.

Mack skinął głową. Jego wzrok padł na jedną z leżących na wierzchu broszurek. Była inna, niż ta, którą dostał w mieście.

- Mogę wziąć?

- Oczywiście, przyjacielu - powiedział entuzjastycznie Wyatt. - Zaczynam wierzyć, że nasze ponowne spotkanie przyniesie mi szczęście.

Po wyjściu z biura Mack przejrzał broszurę.

**CUDA KALIFORNIJSKIEGO KLIMATU!**

**NIEZWYKŁE UZDROWIENIA**

**W „MIEŚCIE ZDROWIA”!**

Okładka ozdobiona była rysunkiem bramy. Tym razem jednak zachodzące słońce niemal zupełnie skryło się za wzgórzami. Czteroosobowa, zdrowo wyglądająca rodzina stała przed bramą, podziwiając wspaniałe widoki.

Skierowali się w głąb doliny. Mack zerknął do broszury. Na chwilę znieruchomiał z otwartymi ustami, po czym wybuchnął śmiechem.

- Niezłe, prawda? - zapytał Wyatt.

- Wyatt... obiecujesz, że klimat w twoim mieście uzdrowi wszystko, od nerwów i niestrawności po małżeńskie pożycie.

- To prawda. Postanowiłem pominąć raka.

- A co z tymi fotografiami? Skąd wzięłeś tę? Wyglądasz na niej, jakbyś stał nad grobem.

Mack wskazał na parę umieszczonych obok siebie zdjęć. Na fotografii po prawej, zatytułowanej „Po”, Wyatt wyglądał normalnie, na „Przed” miał głębokie, ciemne sińce pod oczami, wychudłe policzki i brodę dłuższą nawet od tych, jakie nosili generałowie w czasie wojny secesyjnej.

- Fotograf w mieście zrobił je specjalnie na moją prośbę. Powiedziałem mu, że mam na zdjęciu wyglądać tak źle, jak tylko to możliwe.

- Piszą tutaj, że Kalifornia całkowicie wyleczyła cię z gruźlicy. Nie wiedziałem, że miałeś suchoty.

Wyatt zaśmiał się głośno. Gdy przechodzili obok namiotu, ani kobieta, ani żaden z czterech muzyków nie pozdrowili swego pracodawcy. Wszyscy zdawali się w ponurym nastroju.

- Zauważyłem, że zamierzasz zbudować sanatorium.

- Z pewnością. Trzeba jakoś przyciągnąć gruźlików. Dlatego właśnie sfalszowałem zdjęcie.

Na zboczu wzgórza Mack dojrzał kępę sześciu drzew pomarańczowych, wysokich na dwadzieścia stóp. Wyatt zamyślił się.

- Mack - odezwał się po chwili. - Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności. Dlatego chciałbym znaleźć ci dobre miejsce. Ale przedtem musisz zrozumieć pewne rzeczy. Ludzie ze Wschodu przyjeżdżają tutaj kichając, prychnając i plując krwią. Mają zatwardzenie, cieknie im z nosa i żadnemu z tych smętnych facetów kutas nie stanął od czwartego lipca zeszłego roku. Marzą, żeby napić się z kalifornijskiego Graala. Napić się choćby łyk.

Mack uśmiechnął się z przymusem, czując, że cierpnie mu skóra.

- Wysiadają z pociągu i oślepią ich słońce - ciągnął Wyatt żywo gestykulując. - Powietrze zdaje się im kojącym balsamem. Są przyjemnie oszołomieni. Widzą to, co chcą zobaczyć: pełne słońca miejsce wolne od chorób i tak dobrze

im znanego przeklętego zimna, miejsce, gdzie wszystko jest możliwe, nawet zbawienie ich zepsutych dusz...

Zapatrzył się na pierzaste chmury. Mack ujrzał w jego oczach tęczyowy blask.

- Nienawidziłem moich rodziców, ale mimo że byli głupi, czegoś się jednak od nich nauczyłem. Moja matka przekonała mnie, że zawsze znajdą się głupcy pragnący cudownego wyleczenia. Czy pamiętasz, co opowiadałem ci o moim staruszkę?

- Zajął się handlem nieruchomościami i zbankrutował, tak?

- Dwie rzeczy go wykończyły: wyrzuty sumienia i zbyt wiele krępujących praw. Ja nigdy nie miałem kłopotów z sumieniem, a tutaj nie muszę również przejmować się prawem. Wolność - oto prawdziwe piękno Kalifornii.

- Ależ w Kalifornii obowiązuje całe mnóstwo praw...

- Nie mówię o drobiazgach. Wynająłem prawnika w Newhall i on się tym dla mnie zajmuje. Mówię o zapominaniu o najwyższych prawach: „Nie wolno okłamywać klientów. Nie wolno oszukiwać, nawet gdyby miało się pozostać biednym.” Najwyższe prawa - powtórzył.

Jego głos brzmiał tak przekonująco, że Mack prawie uwierzył, że Wyatt ma rację. Prawie.

- W istocie rzeczy, moi klienci oszukują sami siebie. Przeczytali książkę Charleya Nordhoffa albo któreś z ogłoszeń Southern Pacific na dworcu w rodzinnym mieście. Oni już z góry wiedzą, że w Kalifornii poczują się lepiej. Ja mówię im tylko: „Tak, tak, ale musicie sami pomóc sobie, żeby cud się dokonał.” Nawet, jeśli cuda produkuje się tu taśmowo.

Poprowadził Macka ścieżką wiodącą w stronę pobliskiego wzgórza i podniósł linę, do której przyczepiona była kartka z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Przepisnęli się pod nią i wygramolili się na niewielkie wzniesienie.

- Wciąż nosisz ze sobą składany nóż?

Mack podał mu go. Wyatt przygiął wysoką gałąź i przeciął sznurek. Z drzewa spadła pomarańcza. Wszystkie owoce na drzewach wisały na cienkich sznureczkach.

- Duma Południa - stwierdził Wyatt, rzucając pomarańczę Mackowi. - To nie ja wpadłem na ten pomysł. Wziąłem przykład z pewnego faceta zajmującego się sprzedażą ziemi w Riverside, gdzie są prawdziwe gaje. Owoce są wysoko nad ziemią, a ja nie pozwalam klientom podchodzić zbyt blisko, i wszystko gra. - Klasnął w dłonie i gwałtownym ruchem wznosił ręce do nieba. - Cuda! Przekłete cuda!

Mackiem szarpały sprzeczne uczucia: fascynacja i wstręt. Nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście zespół zaczął grać marsza. Wyatt dłonią osłonił oczy od słońca.

Wokół bramy kłębiły się tumany kurzu, z którego po chwili wyłonił się wielki powóz. Ciemną twarz woźnicy skrywał słomkowy kapelusz.

- To ci z pociągu lokalnego o dziewiątej trzydzieści - powiedział Wyatt i zaczął głośno liczyć. W powozie siedziało dwóch mężczyzn, trzy kobiety i dwie dziewczynki. - Gówno. Powinienem pozbyć się tego dzieciaka, który mi ich nagania. Za młody. Za miękki. A poza tym to Meksykanin. Portierzy i kelnerzy w dobrych hotelach nie dają mu nawet czasu, żeby... Zaraz! - Wymierzył palec w Macka. - Umiesz powozić, prawda?

Wyatt oprowadzał klientów po terenie. Mack szedł za nimi, podziwiając przedstawienie. Wyatt mówił przekonująco i z przejęciem jak kaznodzieja. Choć przybysze mieli początkowo dość ponure miny i byli zmęczeni podróżą, żartobliwa paplanina Paula szybko ich rozruszała - z jednym wyjątkiem.

Soder i Edna Erickson przyjechali z Minnesoty. Dwie dziewczynki - jedna nieśmiała i milcząca, druga hałaśliwa i



pełna energii - okazały się ich córkami. Soder Erickson powiedział, że uprawia kukurydzę. Był otyły, miał czerwoną twarz i oddychał z trudem, ale mimo to odmówił zdjęcia grubego, wełnianego płaszcza. Do słów Wyatta odnosił się podejrzliwie, nie szczędząc złośliwych komentarzy. Mack poczuł się niezręcznie.

Przyjechali także państwo Cato Purvis z Danville w stanie Illinois - bledziutcy ludzie, którym towarzyszyła równie wątłe wyglądająca siostra pani Purvis.

Słońce grzało niemiłosiernie. Gruba warstwa potu pokryła twarz Wyatta, która wyglądała teraz jak wysmarowana oliwą. Dzieci marudziły, panie wachlowały się chusteczkami, nic jednak nie mogło zgasić entuzjazmu Paula. Przerywał swój reklamowy monolog tylko wtedy, gdy ktoś zadawał mu jakieś pytanie.

- ... odpowiadając na pańskie pytanie, panie Purvis: działki rozchodzą się bardzo szybko. Szczególnie te przy wjeździe do miasta. Wczoraj sprzedałem cztery. Ale mogę pokazać panu kilka naprawdę pięknych przy rynku. Wszystkie po sto pięćdziesiąt dolarów. I wraz z każdą otrzymuje pan pełne prawo użytkowania wody.

Soder Erickson otarł chustką spocone czoło.

- Jakiej wody? Jego żona, Edna, zakaszłała.

- Ależ, Soder, przyjechaliśmy w gościnę do pana Paula i nie możemy być niegrzeczni.

- Gdzie tu niegrzeczność? W Norwegii, skąd pochodzę, pytanie jest po prostu pytaniem, a woda wodą. Nie widzę tu żadnej wody.

- Słusznie - powiedział Wyatt. - Bardzo słusznie, proszę pana. Lubię podejrzliwych klientów. - W rzeczywistości wcale ich nie lubił. Mack nie miał co do tego wątpliwości, widząc, jak z trudem przywołuje na wargi wymuszony, uprzejmy uśmiech. - Proszę pójść tędy, a pozna pan odpowiedź.

Przeszli przez drogę i znaleźli się na brzegu wyschniętego kanału. Energiczniejsza z dziewczynek wyrwała jeden z palików wyznaczających granice działki.

- Proszę to zostawić tam, gdzie było - poprosił Wyatt. Edna Erickson musiała jednak skrzyknąć córkę, żeby go usłuchała. - Obecnie - kontynuował Wyatt - ta posesja korzysta z wody ze studni. Rzecz jasna nie wystarczy jej dla całego miasta. Woda dla miasta popłynie tędy - Kanałem San Solaro. Każda działka zostanie nawodniona dzięki wyjątkowo efektywnemu systemowi drewnianych rur i zbiorników, których działaniu można się przyjrzeć w Los Angeles. Towarzystwo Rozwoju San Solaro zamierza poszerzyć i pogłębić ten kanał, żeby zapewnić wszystkim właścicielom działek stałe zaopatrzenie w świeżą wodę dla gospodarstwa domowego i celów rolniczych.

Mack cofnął się o krok, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Mój Boże, niemal już widział, jak płynie tędy woda: urokliwa, błękitna, niewidzialna woda...

- Powtarzam pytanie, panie Paul - powiedział Soder Erickson. - Skąd weźmiecie tę wodę?

- To proste, proszę pana, z największego darmowego rezerwuaru wody na całym kontynencie. - Wyatt wyciągnął ręce w stronę wzgórz. - W górach padają deszcze: woda dotrze do nas dzięki naturalnej sile grawitacji.

- Pan mówi, jak będzie kiedyś. Ja widzę, jak jest teraz. Nie ma tu wody.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Wyatt przez zaciśnięte zęby. - Wciąż mamy lato. W Kalifornii deszcze padają tylko w miesiącach zimowych. Budujemy zbiorniki.

- Proszę je pokazać.

- Pokażę panu projekty. Prace budowlane nie zostały jeszcze rozpoczęte. Ale do przyszłego roku pierwszy zbiornik

będzie gotowy. Równocześnie zacznie działać pierwsza część naszego systemu irygacyjnego.

- Skąd mogę wiedzieć, czy na pewno tak będzie?

Wyatt popatrzył na niego uśmiechając się lodowato.

- Ma pan moje osobiste zapewnienie. Moje zobowiązanie i obietnicę. - Erickson prychnął niecierpliwie, dobitnie dając do zrozumienia, co o tym myśli. - Chętnie też wprowadzę odpowiednią klauzulę do pańskiej umowy sprzedaży.

- Nie będzie żadnej umowy. Niczego nie kupuję.

- Ależ, Soder, podoba mi się ta śliczna, mała dolina - wtrąciła jego żona. - Czy nie moglibyśmy przynajmniej zastanowić się...

- Nie.

Wszyscy zamilkli, zmieszani. Ruszyli w dalszą drogę.

W pobliżu liny z tabliczką WSTĘP WZBRONIONY nieznosna mała dziewczynka zawołała:

- Mamo, popatrz! Prawdziwe drzewa pomarańczowe.

Przecisnęła się pod liną. Wyatt przytrzymał ją mocno.

- Drzewa pomarańczowe są delikatne, panienko. Trzeba być posłusznym temu, co mówią napisy.

Soder Erickson odciągnął córkę od Wyatta.

- Nigdy nie widziałem drzewa pomarańczowego z bliska - powiedział. Zmierzyli się wzrokiem. „Zaczyna być niedobrze” - pomyślał Mack.

- Wkrótce zobaczy pan setki, panie Erickson. Gaje San Solaro będą źródłem piękna i zdrowia dla wszystkich mieszkańców tego miasta.

- Wkrótce? Zdawało mi się, że drzewo pomarańczowe potrzebuje pięciu, sześciu, a nawet siedmiu lat, zanim zacznie owocować. Co to za sztuczkę pan wymyślił? Chcę przyjrzeć się tym drzewom z bliska.

Wyatt stanął przed nim i odepchnął go lekko.

- Słuchaj, człowieku, mówiłem ci, że... Rozwścieczony Erickson ruszył w stronę Wyatta. Jego żona z przerażeniem mocno przytuliła do siebie obie dziewczynki. Mack zobaczył w oczach Wyatta złe błyski i pośpiesznie stanął między mężczyznami.

Zaskoczony farmer zamrugał oczyma. Wyatt poklepał go przyjacielsko po ramieniu i obdarzył promiennym uśmiechem.

- Proszę posłuchać, sir. W każdym porządnym mieście obowiązują pewne prawa. San Solaro także ma swoje i jedno z nich brzmi: nikt, mieszkaniec czy przyjezdny, nie może niszczyć drzew pomarańczowych. Proste i jasne, prawda?

- Jedyłą jasną rzeczą jest to, że to zwykle oszustwo i że tracę tu czas. Kiedy odjeżdża powóz?

- Kiedy ja o tym zdecyduję! - syknął ze złością Wyatt.

Mack odwrócił się w jego stronę, chcąc go uspokoić. Za plecami słyszał, że żona Ericksona próbuje udobruchać męża. „Nie, nie” - powtarzał jednak Erickson, a hałaśliwa dziewczynka rozplakała się. W końcu Soder Erickson ruszył przed siebie główną drogą. Jego rodzina szła za nim. Ich śladem powlekli się także podenerwowani i zdezorientowani Purvisowie. Wyatt przyglądał się im, dygocąc z wściekłości tak mocno, że Macka ogarnęło przerażenie.

- Niech szlag trafi tego tłustego sukinsyna...

- Uspokój się. Pozwól mi się tym zająć. Zostań tutaj. Nigdzie się stąd nie ruszaj.

Wyatt i tak był zbyt zdenerwowany, by móc zrobić cokolwiek innego. Wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł spoconą twarz. Z nienawiścią wpatrywał się w Ericksonów.

Mack pobiegł za niedoszłymi nabywcami działek. Nagle usłyszał dźwięki muzyki - odetchnął z ulgą. Rozpostarł szeroko ramiona jak pasterz zatrzymujący stado.

- Ta muzyka oznacza, że lunch jest już gotowy, panie i panowie. Poczujecie się znacznie lepiej tam w namiocie, w

cieniu. Można się też będzie napić czegoś zimnego. Zapraszamy.

Trójka Purvisów posłusznie skrzyła w kierunku wskazanym przez Macka. Edna Erickson ścisnęła męża za ramię, chcąc powstrzymać kolejny wybuch jego gniewu. Ich nieznośna córka zaczęła jęczeć, że chce słodczy.

- Będziesz ty cicho, albo cię zleję! - huknął na nią ojciec. Mack pozwolił im oddalić się na sporą odległość, po czym wrócił do Wyatt, który stał przygarbiony, z klęską wypisaną na twarzy. Przynajmniej jednak przestał się już trząść.

- Dzięki - powiedział Wyatt.

- Musiałem udowodnić, że będzie ze mnie pożytek, kiedy mnie zatrudnisz. Wyatt uśmiechnął się z trudem.

- „Kiedy”? Jesteś bardzo pewny swego.

- Potrzebujesz pomocnika. A ja potrzebuję pracy. Chodź, musisz zostać z tymi ludźmi aż do odjazdu.

Wyatt zamierzał zaprotestować, ale zmienił zdanie. Najwyraźniej wściekłość już mu minęła.

- Wszystkie wysiłki na marne. Nic już dzisiaj nie sprzedam. Jedno zepsute jabłko zatruwa cały koszyk. Chętnie zabiłbym tego sapiącego sukina.

Mack popatrzył Wyattowi w oczy i pomyślał, że naprawdę byłby on gotów to uczynić.

Ćmy wlatywały przez otwarte okno do bocznej sali dworca i fruwały wokół dwóch dających słabe światło lamp naftowych. Wyatt kończył kolację. Mack oparł obcasy butów na chwiejnym stole i popatrzył na lampy. Gdzieś w oddali, na wzgórzach, czekały dzikie psy.

- Jak zamierzasz założyć tu gazowe oświetlenie?

- Jeszcze nie wiem.

- Skąd weźmiesz wodę?

- Nie wiem. Wynajmę eksperta. Chcesz nim być? Cóż, do diabła, ma to za znaczenie? Nawet jeśli żadne miasto nie

zostanie zbudowane, ci, co kupują parcele w San Solaro, robią pierwszorzędny interes. Ziemia zawsze jest najlepszą inwestycją.

- Racja. Ale ty sprzedajesz miasto. Obiecujesz to.

- Mogę cię zabrać do tuzina innych miejsc, gdzie robi się dokładnie to samo. Co ciebie ściągnęło do Kalifornii? Obietnice - odpowiedział sam sobie, skończywszy ogryzać kość. - Piekielnie dobry z ciebie kucharz.

Rzucił kość na brudną podłogę i wzięwszy lampę przeszedł do pomieszczenia zastępującego biuro. Gdy tylko się odwrócił, Mack szybko podniósł kość i wyrzucił ją przez okno, po czym ruszył w ślad za przyjacielem. Wyatt zanurzył pióro w kałamarzu i podszedł do wiszącej na ścianie kartki z napisem SPRZEDAŻ DZIENNA. Przy dzisiejszej dacie postawił wielkie zero. Kilka pozostałych kratek wypełniały pojedyncze cyfry.

Nagle Wyatt wbił pióro w cienką kartkę i zaczął ją drzeć. Mack wstrzymał oddech.

- Pewnie by mi się udało z Purvisami, gdyby ten sukinsyn Erickson wszystkiego nie spieprzył.

Mack nie odpowiedział. Wyatt podszedł do otwartych drzwi, oparł się o framugę i popatrzył w nocne niebo. Mack usiadł na powrót opierając nogi o biurko.

- Nie przejmowałbym się tym tak bardzo. Nie wydaje mi się, żeby Purvisowie tryskali entuzjazmem. Słyszałem w mieście, że ludzie nie kupują ziemi tak chętnie jak w zeszłym roku.

- To prawda. Szalona konkurencja. Potrzeba więcej sprytu i ciężkiej pracy. Wyatt wrócił do pokoju i z szuflady biurka wyciągnął butelkę czerwonego wina.

Chciał ją podać Mackowi, ale kiedy przecząco pokręcił on głową, sam odkorkował flaszkę i wypił trzy solidne łyki.

- Pogadajmy o interesach - odezwał się po chwili. - Możesz być dla mnie bardzo pomocny. Przyda się tu ktoś wyglądający na uczciwego człowieka. Poza tym czasem tracę panowanie nad sobą. Tak jak dziś. Wkroczyłeś w najbardziej odpowiednim momencie. Gdyby nie ten cholerny farmer, załatwilibyśmy sprawę z Purvisami. Tak więc, chcę cię zatrudnić. Musisz jednak o czymś wiedzieć. Wszystkie transakcje zapisane na tej kartce mają charakter umowy warunkowej. Inaczej mówiąc, opłaty gotówkowe są zwykle niewielkie. Czasem nie przekraczają pięciu procent całej sumy. Wszystkie te pieniądze idą na koszty przedsięwzięcia: na jedzenie, muzyków, bilety na pociąg. Chcę przez to powiedzieć, że nie mogę zobowiązać się do płacenia ci pensji.

- Nie będę pracował za darmo. Nigdy tego nie robiłem i nie zamierzam robić.

- Nie oczekuję, że będziesz pracował za darmo. Mówię ci tylko, że pensja nie wchodzi w rachubę. - Umilkł na chwilę. Mack nie potrafił odgadnąć, czy po to, by się nad czymś zastanowić, czy też w oczekiwaniu na odpowiedź. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły obojętnie. Na niemal dziecięcych wargach błyszczał tłuszcz.

Mack również milczał.

- Dam ci udziały w San Solaro, we wszystkich nie sprzedanych dotąd działkach. We wszystkim.

Mack z wysiłkiem próbował ukryć podniecenie. To był dla niego duży krok naprzód - olbrzymi krok. I zupełnie nieoczekiwany.

- Jakie udziały? Ile procent? Znowu zapadło milczenie.

- Dwadzieścia.

- Z pełnymi prawami do użytkowania wody?

Wyatt udawał, że zamyślił się poważnie, a Mack z trudem zachowywał powagę. Po chwili obaj wybuchnęli śmiechem.

- Niech cię diabli. Niniejszym mianuję cię głównym specjalistą od spraw wody w San Solaro. - Znów odkorkował butelkę i wypił kolejny łyk. - Jak ci się podoba pomysł zamieszkania w namiocie? Nic lepszego nie mogę zaoferować.

- Nie ma problemu. Lubię świeże powietrze.

Twarz Wyatta zmieniła się nagle. Jego niebieskie oczy patrzyły teraz na Macka niemal z dziecięcą szczerością, on jednak wiedział już, że to podstęp. Kolejna sztuczka.

- Jeśli dopuszczę cię do tutejszych interesów, muszę mieć pewność, że się stąd zbyt szybko nie wyniesiesz. Chciałbym mieć to na piśmie. Sporządzę małą umowę, w której znajdzie się klauzula mówiąca, że jeżeli przestaniesz tu pracować, będę miał prawo odkupić twoje udziały za jednego dolara, a ty nie będziesz mógł mi w tym przeszkodzić.

Mack wzorem Wyatta zwlekał chwilę z odpowiedzią.

- Taka umowa powinna działać w dwie strony. Zaskoczyło to Wyatta.

- To znaczy, że jeżeli wyjadę, stracę swoje udziały? - zaśmiał się ironicznie i mimo woli spojrzął na Macka z szacunkiem. - Skoro takie są twoje warunki... Mack popatrzył na niego spokojnie.

- Właśnie takie.

- W porządku. - Wyatt wyciągnął do niego rękę. - Umowa stoi. Uścisnęli sobie dłonie. Wyatt znów podsunął mu butelkę wina. Tym razem Mack wypił trochę mocnego, skwaśniałego alkoholu. Jego współnik wysączył resztę i otarł dłońmi błyszczące od potu skronie.

- Załatwię, żeby prawnik w Newhall przygotował papiery, a tymczasem... Co się stało?

Mack pochylił się, wyciągając spod biurka coś białego. Była to kobieca chusteczka z cienkiego płótna, ozdobiona koronką i pachnąca delikatnie cytryną.



- Któraś z przyjezdnych pań musiała to zgubić.

Wyatt z szelmowskim uśmiechem wziął od niego chusteczkę.

- Należy do pewnej damy, którą poznałem tego lata. Czasem przyjeżdża tu ze swego ranczo w Santa Clara w hrabstwie Ventura. Gdybym nie był tak strasznie zajęty, postarałbym się częściej z nią widywać. - Wrzucił chustkę do szuflady. - Zwykle przyjeżdża na kolację i zostaje na noc. Nigdy nie myślałem, że spotkam kobietę, która dorówna mi w łóżku, a jednak tak się stało.

Mack roześmiał się. Przechwałki Wyatta sprawiły, że nagle bardzo zateśknił za Nellie.

- Zacząłeś coś mówić.

- Tak. Podczas gdy prawnik będzie przygotowywał naszą umowę, ty możesz zacząć się uczyć, jak wygląda sytuacja w Mieście Zdrowia. Pierwsza lekcja: frajerzy sami nie spadają z drzewa. Trzeba się napracować, żeby ich tu ściągnąć z Los Angeles. To będzie twoje podstawowe zajęcie. Wyrzuciłem tego meksykańskiego dzieciaka, gdy tylko wrócił po odwiezieniu naszych gości do Newhall.

- Przecież wtedy jeszcze nie byłem zatrudniony.

Wyatt znów się roześmiał. Potrząsnął głową i poklepał Macka po ramieniu.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. Ludzie robią to, czego chcą.

- Erickson raczej nie. Co byś zrobił, gdybym odmówił?

- Nie odmówiłbyś, bo to mogłoby mnie rozgniewać. Bardzo rozgniewać.

Wciąż się uśmiechał, ale w jego głosie pojawił się ton groźby. Wyciągnęli płócienny namiot z szopy i przy świetle latarni ustawili go na działce w pobliżu wyschniętego kanału. Namiot był duży i wygodny. Wyatt przyniósł Mackowi kilka koców, żeby miał na czym spać, nim będą mogli kupić łóżko.

Mack poprosił o papier i pióro. W nocy napisał długi list do Nellie, w którym opowiedział jej o Wyatcie.

„To oszust, ale chyba nie w większym stopniu niż wszyscy inni «Indianie Escrow». Jest chytry, nerwowy i ma tyle uroku, że potrafi oczarować niemal wszystkich. Nie jest chyba zbyt rzetelny. Nie potrafię go rozgryźć, ale wyczuwam złą, niebezpieczną kombinację: brak sumienia i temperament wybuchowy jak butla nitrogliceryny - znacznie gorszy od mojego. Chcę zrobić pieniądze.

Mnóstwo pieniędzy. Ale ojciec nauczył mnie, że człowiek powinien myśleć nie tylko o tym, co robi, ale i jak to robi. Niezbyt odpowiada mi to, w czym zamierzam wziąć udział...”

Zakończył słowami „Szczерze oddany” i zapadł w niespokojny sen.

## Rozdział 18.

Kobieta, która zajmowała się tu kuchnią, znalazła Mackowi ciemnobrązowe porządne ubranie z popeliny. Wyatt powiedział mu, co młody Meksykanin robił w mieście, dał dziesięć dolarów na łapówki i zostawił samemu sobie.

Trzy pierwsze podróże Macka do Los Angeles nie przyniosły żadnych efektów. Kiedy po raz drugi powrócił z pustymi rękoma, Wyatt, który, choć nie było południa, zaczął już pić, obrzucił go ordynarnymi przekleństwami.

Jedyną rzeczą, jakiej Mack dokonał podczas tych pierwszych podróży, było sprowadzenie z miasta Railroada. Podróż na mule zajęła mu prawie cały dzień, ale urozmaicały ją interesujące widoki. W kanionie w pobliżu Newhall zauważył stary szyb naftowy. Obok odkrył jeszcze trzy kolejne szyby, w których pracowały małe silniki parowe. Mack wiedział oczywiście o naftowym szaleństwie w Titusville w Pensylwanii, ale nie miał pojęcia, że i tutaj prowadzono wiercenia. Jeszcze jedna rzecz warta zapamiętania.

Zapytał Wyatta o szyby naftowe.

- Przez całe lata próbowali wydobyć coś z Pico Canyon. Zaczęło się od tego starego szybu koło Newhall. Generał Andreas Pico i jego brat gubernator mieli wielkie plany: Lampy naftowe, olej... - Wiesz, jak skończyli, prawda? Pico jest biedakiem. Inni ludzie, którzy mieli najwidoczniej za wiele pieniędzy, wiercili też szyby niedaleko stąd, ale poza piaskiem i wodą nic nie odkryli. Zapomnij o tym.

Mack powoli począł zaznajamiać się z miastem. Przedstawił się kilku agentom i ponownie odwiedził Southwooda. Poznał też kilka hoteli dla biznesmenów i pracujących w nich ludzi, którzy za drobną opłatą mogli pomóc mu w naganianiu klientów.

Podczas jednej z podróży wdał się w rozmowę z człowiekiem niezłe znającym się na ropie. Potwierdził on to, co mówił Wyatt. Rzeczywiście, szyby naftowe rozsiane były po całej Południowej Kalifornii - w Tar Canyon, Sespe Canyon, Ojai. Lyman Stewart, przedsiębiorca z Titusville, wydobywał ropę w szybie Star 1 w Pico Canyon, a na początku tego roku ropa trysnęła mu także w szybie w Adams Canyon 16 obok Santa Paula w hrabstwie Ventura. Szyb dawał pięćset baryłek ropy dziennie, ale Stewart i jego wspólnik nic na tym nie zarobili, gdyż liczne wcześniejsze porażki kosztowały ich znacznie więcej. Biznes naftowy wszędzie był niepewnym interesem, ale szczególnie dotyczyło to Południowej Kalifornii. Należało to tłumaczyć warunkami geologicznymi tego regionu. Podziemne uskoki i dziwne skalne formacje czyniły wiercenia tutaj znacznie trudniejszymi niż na Wschodzie. Odkrycie ropy zależało od ślepego trafu.

Było to coś, o czym Mack miał zamiar pamiętać. Jesień na dobre zadomowiła się w Los Angeles. Dni wciąż były gorące, ale za to wieczory już chłodne. Każdego popołudnia słońce nad Pacyfikiem zachodziło odrobinę wcześniej. Przyjeżdżało coraz mniej turystów. Niektóre pociągi przybywały na dworzec zupełnie puste. Wiele wozów wycieczkowych z płóciennymi dachami, którymi wożono ewentualnych nabywców ziemi, stało od tygodnia zupełnie nie używanych.

Mack wciąż jednak całymi dniami pracował zawzięcie. W środę, w trzecim tygodniu pracy, złapał pociąg odjeżdżający o piątej rano do Los Angeles i po raz pierwszy zdecydował się pójść do Pico House.

W ruchliwym, zatłoczonym holu zauważył, że podwójne drzwi do sali bankietowej są otwarte. W środku siedziała liczna grupa dobrze ubranych mężczyzn. Kelnerzy sprząтали właśnie ze stołów po śniadaniu. Mack przyjrzał im się

uważnie, pomyślał bowiem, że może być wśród nich jego współpracownik, Reilley. Na podium, pod transparentem POMÓŻ W TYM, ABY LOS ANGELES STAŁO SIĘ WIĘKSZE, pojawił się mężczyzna w niebieskim mundurze z licznymi medalami. Miał około pięćdziesięciu lat, siwe wąsy i kozią bródkę. Gdy mówił, gestykulował żywo. Mack stanął w drzwiach i przysłuchiwał się z zaciekawiony.

- ... boom najwyraźniej się skończył. Chociaż nie musimy ogłaszać tego publicznie, takie są fakty. Nasz wróg - ekonomiczny zastój - zaczyna nas zwyciężać. Jaka w takim razie powinna być nasza strategia?

Rozglądając się po sali bankietowej, Mack dostrzegł Reilleya, tęgiego kelnera w okularach o grubych soczewkach, który niósł właśnie pełną naczyń tacę. Reilley pochwycił spojrzenie Macka i kiwnął mu głową.

- Doświadczenia na polach bitew w czasie wojny secesyjnej nauczyły mnie odpowiedzi na to pytanie. Gdy życie i własność są zagrożone, nie wolno się poddawać. Nie! - Uderzył ręką w stół. - Trzeba atakować. Proponuję rozpocząć ostrą kampanię, aby powstrzymać załamywanie się handlu nieruchomościami. Trzeba rozreklamować nasze miasto i cały region. Możemy zaoferować tanią ziemię i tanią siłę roboczą. Dlaczego mamy być skromni i to ukrywać? Poza tym, namawiam was wszystkich - tak, wszystkich odpowiedzialnych ludzi interesu - żebyście poszli śladem mojej gazety i ogłosili Los Angeles wyjątkowo bezpiecznym miejscem dla biznesu. Po prostu prawdziwym rajem.

Głos mówcy brzmiał chwilami piskliwie i nieprzyjemnie. Jeżeli jest właścicielem gazety - zastanawiał się Mack - to czemu nosi stary „mundur” wojskowy?

- Trzeba przedstawiać nasze miasto jako wspaniałe miejsce do prowadzenia interesów. Nie zepsute tak jak San Francisco i wolne od plagi związków zawodowych. Oto

prawdziwy wróg, panowie - związki zawodowe. Są skutkiem działań radykalnych zagranicznych rządów i cudzoziemskich ideologii. Nie pozwolimy, żeby ta parszywa zaraza się tu rozprzestrzeniła. Nie! Musimy odepchnąć tego jadowitego węża od naszych granic. Unieszkodliwić go raz na zawsze. A więc, panowie? Czy przyłączycie się do mnie w tej wielkiej krucjacie?

Mężczyźni zerwali się z miejsc, tupiąc i klaszcząc z entuzjazmem. Mack pomyślał o Diego Marquenie i z niechęcią spojrzął na mówcę. Ktoś pociągnął Macka za rękaw. Reilley zaprowadził go za pobliski kwietnik, który zasłonił ich przed wzrokiem innych ludzi. Gdy Mack wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, w oczach kelnera pojawił się błysk.

- Kto to przemawiał? - zapytał Mack.

- Podpułkownik Otis. Właściciel „Timesa”.

- Dlaczego nosi mundur?

- Zapewne miło wspomina służbę wojskową w Ohio podczas wojny. Dwukrotnie był ranny. Twierdzi, że zajmował się wywiadem. Przed kilku laty przybył tu z Santa Barbara, zupełnie bez grosza. Tam też miał gazetę, ale interes kiepsko mu szedł. Zaczął pracować w „Timesie”. W końcu kupił go do spółki z człowiekiem o nazwisku Boyce, a później zaoszczędził tyle, żeby wykupić także udziały swego współnika. Współpraca niezbyt dobrze im się układała.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek potrafił z nim współpracować.

- To nie była zbyt wielka gazeta, kiedy ją przejął. Dopiero potem zaczął się boom. Teraz pułkownik Otis i jego dyrektor handlowy, Harry Chandler, są na samym szczycie. Dobrze by było mieć tyle szczęścia - dodał kelner, znów spoglądając pożądliwie na banknoty.

- Jak widzę, Otis niezbyt troszczy się o los robotników.

- Trudno tego nie zauważyć - powiedział gorzko kelner. Przetarł okulary poplamionym fartuchem.

- Masz coś dla mnie dzisiaj?

- Coś wręcz wyjątkowego. Wczoraj wieczorem przyjechały z Iowa dwa pełne wozy. Połowa z podróżnych zatrzymała się właśnie tutaj. Tu masz ich nazwiska i numery pokojów.

Reilley wyciągnął zmiętą kartkę papieru. Szybko rozejrzał się na boki, po czym podał ją Macowi. Mack dał mu w zamian jeden banknot.

- Należy się jeszcze jeden dla Chaunceya z recepcji. On sporządził tę listę. Mack zapłacił i pośpiesznie ruszył w stronę schodów.

Rozejrzał się uważnie, a potem zapukał do drzwi pokoju numer 323. Korytarz śmierdzał cygarami i kurzem. Z trudem powstrzymując się od kichnięcia, zapukał po raz drugi.

- Już idę - dobiegł go niewyraźny głos.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Była grubsza niż Soder Erickson. Miała białą, piegowaną skórę i brązowe, zaspane oczy. Ubrana była w szykowną suknię, stanowczo zbyt dziewczęcą jak na swój wiek i tuszę.

Mack uśmiechnął się promiennie.

- Pani Hoover? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, wsunął w jej dłoń dwa tekturowe prostokąciki. - Pani bilety.

- Moje...?

- Bilety na bezpłatną wycieczkę do San Solaro, Miasta Zdrowia. Czeka tam też państwa koncert zespołu muzycznego i bezpłatny lunch. Żadnych zobowiązań. Po prostu zobaczycie piękne kalifornijskie okolice. Powrót do miasta wieczorem. Na pewno będzie pani zachwycona. Podróżuje pani z mężem, czy tak?

- Tak, ale on...

- Czy mogę prosić o podanie jego imienia?

- Ale... Oswald. Oswald Hoover. Ja jestem Rheba - dodała nie pytana. Mack zapisał to w notatniku i znowu się uśmiechnął.

- Spotkam się z państwem przed hotelem dokładnie za godzinę. Lokalny pociąg Southern Pacific do Newhall odjeżdża punktualnie o dziewiątej trzydzieści. Proszę się nie spóźnić.

- Och, nie! - powiedziała pani Hoover, jakby coś podobnego w ogóle nie wchodziło w grę. Potrząsnęła biletami.  
- Nie!

Mack zaznaczył numer pokoju w swoim spisie i nasunął kapelusz na oczy.

Jedenaścioro mieszkańców stanu Iowa wygrzewało się w łagodnym, jesiennym słońcu. Wyatt był pogodny i przyjacielski. Mówił potocznie, to żartując, to znów skrupulatnie, jak poważny biznesmen, odpowiadając na pytania. Słoneczny jesienny dzień i nadspodziewanie wielka liczba klientów podniosły go na duchu.

Najbardziej entuzjastycznie nastawiona była Rheba Hoover. Jej mąż, blady, artretyczny mężczyzna, nie miał nic do powiedzenia. W pociągu pani Hoover zadbała o to, by zająć miejsce obok Macka. Swymi obfitymi kształtami przyciskała go do ściany, ale Mack nie przestawał się uśmiechać. Z wielką uwagą słuchała tego, co mówił. W jej oczach z każdą minutą pojawiała się coraz większe uwielbienie. Nim dojechali do Newhall, znalazła się już nieomal w objęciach Macka.

Nie ulegało wątpliwości, że jej zainteresowania nie kończą się na sprawie ewentualnego zakupu ziemi.

W San Solaro Rhebę Hoover opanował szal kupowania.

- Artretyzm Oswalda wymaga zmiany klimatu. Jaka jest opinia lekarzy o tutejszym klimacie?



- Wprost trudno sobie wyobrazić coś lepszego, droga pani  
- odparł Wyatt. - Najlepszy klimat w całych Stanach Zjednoczonych. San Solaro jest uzdrawiającym darem Boga dla suchotników, ludzi cierpiących na choroby żołądkowe i ogólne wyczerpanie. Mój kuzyn, profesor chirurgii w Harvardzie, powiedział, że co do tego zgodni są wszyscy wybitni medycy na Wschodzie.

Mack stał na uboczu z rękami w kieszeniach, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem. Wyatt był zdumiewający. Cóż on wiedział o „wybitnych medykach na Wschodzie”? Nic.

- Och, to dobrze. Zakochałam się w tej narożnej działce. Miłość - to jedyne właściwe słowo. - Jej rozbiegane oczy spoczęły na Macku, który udał, że przygląda się właśnie czubkom swoich butów.

- Musimy zbudować tu dom, Oswaldzie - powiedziała, gdy cała grupa ruszyła w dalszą drogę. - Panie Paul, mówił pan, że kiedy zostanie ukończony system irygacyjny?

- Nic o tym nie mówił - wtrącił się mężczyzna o surowym wyglądzie, jedyne sceptyk w grupie.

Oczy Wyatta zmieniły się w jednej chwili, jakby nagle zgasły, przesłonięte chmurą „Boże, żeby tylko wszystkiego nie popsuł” - pomyślał Mack. Wyatt jednak zachował spokój, wciąż uśmiechając się przyjaźnie.

- System kanałów i pierwszy zbiornik zostaną zbudowane przed końcem pory deszczowej. Rada Nadzorcza Towarzystwa Rozwoju San Solaro zobowiązała się do tego. Będziemy mieli dla was wodę.

Szli teraz wolno, omijając kałużę, której Mack wcześniej nie zauważył. Wypełniał ją czarny, połyskliwy szlam.

- O, widzę, że już ma pan tutaj trochę wody - powiedział tamten sceptyk przez zaciśnięte zęby. - Tyle, że jest czarna jak Murzyn.

Kilka osób roześmiało się. Ale nie pani Hoover.

- Cóż to za obrzydlistwo, panie Paul?

- Tę maź nasi meksykańscy przyjaciele nazywają breją. W tym regionie pełno jest kałuż i rozpadlin. Nawet na ulicach Los Angeles - powiedział Mack.

Pani Hoover ani na chwilę nie spuszczała z Macka pełnego uwielbienia wzroku. Mężczyzna o surowym wyglądzie dotknął palcem kleistej mazi i skrzywił się.

- Co za smród. Czyżby ropa?

- Pewien jej rodzaj. Wiem tylko tyle, że jest bezwartościowa.

- Niewiele brakowało, a moja żona wpadłaby w to i zniszczyłaby sobie buty - powiedział mężczyzna. Mówił takim tonem, jakby czynił Wyatta osobiście odpowiedzialnym za istnienie tej kałuży.

- Natychmiast się tym zajmiemy - strzelił palcami Wyatt.

- Chance, znajdź łopatę i zasyp to. - Muzycy zaczęli grać. Wyatt rozłożył szeroko ręce. - Panie i panowie, oto sygnał, że lunch jest już gotowy. Mam nadzieję, że państwo Hoover zrobią mi ten zaszczyt i usiądą przy moim stole. A gdzie są te dwie inne pary, które wyraziły zainteresowanie kupnem ziemi w San Solaro?

W górę uniosły się cztery ręce.

- Pięknie, wspaniale. Chciałbym i państwa zaprosić do mojego stołu.

Poszli w stronę namiotu, rozmawiając wesoło, jak grupa dzieciaków wypuszczonych ze szkoły po lekcjach. Mack popatrzył za nimi z nie skrywaną urazą. Nie podobał mu się sposób, w jaki Wyatt zwrócił się do niego, rozkazując mu, jakby był niewolnikiem.

Potem jednak zobaczył panią Hoover, która trzymając męża pod rękę, oglądała się wciąż na Macka, machając mu

chusteczką, i w jednej chwili uraza do Wyatta za to, że polecił mu zasypać kałużę, ustąpiła miejsca wdzięczności.

Przeniósł wzrok na czarną maź. Kucnąwszy zanurzył palec w cieczy i powąchał go. Śmierdziało jak smoła. Zamyślony, wytarł dłoń.

Wyatt lekceważył rzeczy, których nie rozumiał. Mack uważał to za głupotę - człowiek nie powinien przegapić żadnej szansy. Jeżeli poszukiwacze ropy z Pensylwanii tropili ją w okolicznych dolinach i kanionach, to czy ta oleista ciecz nie byłaby dla nich wskazówką?

Na stacji w Newhall Mack namówił uczestników wycieczki, aby w jednej z gazet w Los Angeles opublikowali podziękowanie dla organizatorów. Było to rutynowe działanie agentów troszczących się o reklamę i Mack miał już przygotowany odpowiedni tekst.

„My, uczestnicy wycieczki do San Solaro w dniu... pragniemy wyrazić nasze szczerze podziękowanie dla jej organizatorów. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się panu Paulowi, człowiekowi, dzięki któremu San Solaro ma przed sobą jasną przyszłość.”

Przed odjazdem pociągu pani Hoover uściskała Macka. Stała potem na pomoście wagonu powiewając chusteczką i rzucając mu porozumiewawcze spojrzenia, których znaczenie zrozumiał dopiero po kilku minutach, kiedy w swej kieszeni znalazł klucz i kartkę:

„Kochany! Oswald szybko zasypia i nawet cyklon nie byłby go w stanie obudzić. Czekam na ciebie. R.”

Mack skierował wóz w stronę łukowej bramy San Solaro. W poprzednim tygodniu pomalował powóz na wesoły żółty kolor, dzięki czemu wyglądał pięknie i nowo. Sam Mack czuł się natomiast stary i zmęczony.

Kłębiaste chmury nad zachodnimi wzgórzami wyglądały przepięknie w świetle zachodzącego, purpurowego słońca, ale

nie potrafił rozkoszować się tym widokiem. Słupki wyznaczające granice działek rzucały długie cienie. Jadąc główną drogą, doszedł do wniosku, że San Solaro to miejsce smutne i opuszczone. Tylko blask lamp naftowych w oknach biura witał go przyjaźnie. Pomyślał, że gdyby nawet nie lubił tego miejsca, jakoś by się do niego przyzwyczaił. Nigdy zresztą nie wygasła w nim miłość do Kalifornii.

Słyszając turkot kół pojazdu, Wyatt wypadł na dwór i w pyle Grande Boulevard odtańczył taniec radości.

- Podpisane umowy. Trzy. Najlepszy mój dzień od kwietnia. Wykupiłem prawie wszystko, co było w sklepie. Umyj się, trzeba to uczcić.

- Wyatt, jestem zmęczony...

- Umyj się - nalegał Wyatt. - Zaprosiłem kogoś.

Dwadzieścia minut później Mack wszedł do biura z mokrymi jeszcze włosami... i oniemiał. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Na nakrytym białym obrusem stole stało sześć butelek czerwonego wina, blaszany pojemnik z ostrygami i słój śmietany. Prócz tego było tu też pół dużego krążka sera gouda, chleb, sześć pieczonych przepiórek, ciasto agrestowe, jabłecznik i placek z winogronami. Żeby rozłożyć tę furę jedzenia, Wyatt musiał wykorzystać wszystkie spodki i blaszane pokrywki, jakie mieli. Ta rozrzutność zupełnie Macka oszołomiła.

- Skąd to wszystko wzięłeś? Czy zapłacili ci gotówką?

- Nie dali ani grosza. Na razie, oczywiście. Przekonałem właściciela sklepu, żeby dał mi to na kredyt. - Wyatt dotknął ręką pieca. - Jest już dobrze ciepły. Mamy śmietanę. Co sądzisz o duszonych ostrygach?

- A co sądzisz o wytłumaczeniu mi, dlaczego przejadamy nasze zarobki? Do diabła, za pieniądze wydane na tę jedną ucztę można przeżyć rok!

- Mack, nigdy nie staniesz się prawdziwym Kalifornijczykiem, jeśli nie przestaniesz być tak cholernie oszczędny.

- Jestem oszczędny, jeśli idzie o przejadanie dochodów.

- Daj spokój, podpisałem umowy, więc to moje święto.

Mack czuł, że burzy się w nim krew, ale postarał się opanować. Położył dłoń na piecu i zaczął po cichu liczyć. Przy ośmiu ręka zaczęła go parzyć. W ten sposób zwykle sprawdzał, czy piec jest już dostatecznie gorący.

Z hałasem postawił garnek na piecu, wrzucił doń ostrygi i otworzył słoje ze śmietaną.

- Gdzie, do diabła, jest sól i pieprz?

- Uspokoisz się wreszcie? Tam, na półce. - Wyatt pochylił się nad trójkątym lustrem, przeczesując włosy i poprawiając krawat.

Mack usłyszał zbliżający się powóz.

- Oto nasz gość - zawołał jego wspólnik z młodzieńczym entuzjazmem. - Poczekaj, aż ją poznasz.

- Ją? - Niewiele brakowało, a słoje ze śmietaną wyślizgnąłby się Mackowi z rąk.

Wyatt wybiegł z biura. Mack podążył za nim. Na tle krwawoczerwonego, wieczornego nieba zobaczył mały powozik z pomalowanymi na złoto kołami, który z szaloną prędkością wjeżdżał właśnie przez łukową bramę. Za siedzącą na koźle kobietą podskakiwała wielka waliza. A więc ta dama zamierzała zostać tu na noc...

Twarz Macka pobladła nagle.

Kobietą w powoziku była Carla Hellman.

## Rozdział 19.

Carla skierowała powóz w stronę biura i ściągnęła lejce. Po chwili wynurzyła się z tumanu kurzu, energicznie wachlując się popielatą rękawiczką. Na widok Macka znieruchomiała.

- Chance, co ty tutaj robisz? Teraz i Wyatt zdębiał ze zdumienia.

- Znacie się?

- Owszem. I to całkiem dobrze - odpowiedziała Carla. Jak zwykle wyglądała przepięknie.

- Spotkałem pannę Hellman i jej ojca na północy - wyjaśnił Mack.

Carla poprosiła gestem, by ktoś pomógł jej wysiąść. Mack zbliżył się pośpiesznie i dziewczyna zeskoczyła wprost w jego ramiona. Roześmiała się, po czym poprawiła czarny, filcowy kapelusz. Miał on okrągłe rondo ozdobione strusimi piórami, których złotawa barwa harmonizowała z kolorem jej włosów. Jedwabna złota kamizelka pięknie kontrastowała z szykownym popielatym kostiumem. „Złota dziewczyna” - pomyślał. Cały jej strój robił wrażenie starannie przemyślanego i wspaniale pasował do jej figury i urody.

- June mówił mi, że wziął sobie współnika. Ale do głowy mi nie przyszło, że chodzi o ciebie. Dlaczego wyjechałeś z San Francisco?

- Tam też nie chciano dać mi nawet łyka wody. Uśmiechnęła się.

- Wyjaśnię to wszystko później - powiedział Mack. - W środku czeka prawdziwa uczta. Kto to jest June?

- No... nasz gospodarz.

- Junius to moje drugie imię - wtrącił Wyatt.

- Ach, prawda, zapomniałem. Ale June to raczej kobiece imię.

- Co z tego? Czasem mi to odpowiada.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły na moment delikatne, wręcz kobiece rysy twarzy Wyatta Mack uświadomił sobie, jak niewiele wie o swoim współniku i jak mało go rozumie.

Mack wyprzągnął z powozu konia Carli.

- Puzonista, którego wysłałeś z zaproszeniem, przyjechał dopiero wpół do piątej - powiedziała Carla. - Zabłądził.

- Ładne rzeczy - warknął Wyatt. - A ja zapłaciłem mu pięćdziesiąt centów i pożyczyłem muła Macka.

Mack czuł, że Wyatt jest wściekły, ponieważ okazało się, iż Carla nie tylko знаła jego współnika, ale najwyraźniej darzyła go też ciepłymi uczuciami. Carla weszła do środka i na widok zastawionego stołu klasnęła w dłonie.

- To istotnie ucza.

- Ciekaw byłem, czy w ogóle to zauważysz - mruknął Wyatt, spoglądając na Macka.

- Zazdrość mnie nudzi, June - Carla uśmiechnęła się chłodno. - A nudziarze wcale mnie nie pociągają. Otwórz wino.

Powoli zdejmowała rękawiczki.

Wyatt wziął do ręki korkociąg, a Mack skierował się do pieca. Napotkał wzrok Carli, który mówił, że jego z pewnością nie uważa ona za nudziarza.

Zajął się przyprawianiem i duszeniem ostryg. Carla i Wyatt, którego Carla z uporem nazywała June, rozmawiali, popijając wino, ale chwilami w ich głosach dźwięczała nieprzyjemna, wroga nuta.

Ponowne spotkanie z Carłą bardzo poruszyło Macka. Wciąż był nią zauroczony. Czuł się zazdrosny o Wyatta. Carla podniecała go, choć starał się to ukryć, jak tylko mógł. Dwie i pół godziny później, po zjedzeniu pieczonych przepiórek i ostryg oraz po wypiciu czterech butelek mocnego,

czerwonego wina, Mackowi zakręciło się w głowie. Przepelniony żołądek także dawał o sobie znać.

Carla rozwiązała biały, jedwabny krawat i rozpięła guziki kamizelki i bluzki. Nad jej górną wargą zbierały się kropelki potu.

Wzięła butelkę wina i przechyliła ją nad kieliszkiem Macka, gdy zaś potrząsnął przecząco głową, naląła tylko sobie.

Podczas kolacji Carla poznała historię pierwszego spotkania obu współników. Mack dowiedział się z kolei, że Carla opuściła San Francisco w tydzień po pamiętnej zabawie i przebywała odtąd w Południowej Kalifornii.

- Zostaniesz tu jeszcze przez jakiś czas? - zapytał.

- Może. Pod wieloma względami podoba mi się tu bardziej niż w San Francisco. Klimat jest cudowny. Nie mogę tego jednak powiedzieć o mężczyznach. Banda nudnych farmerów. Z kilkoma wyjątkami.

Rozmawiali także o nafcie. Macka zainteresowała wiadomość, że na ranczo Swampy'ego Hellmana w dolinie Santa Clara są olbrzymie kałuże ropopodobnej mazi i że tereny te oddano w dzierżawę poszukiwaczowi ropy z Pensylwanii, Stewartowi.

- Ropa to paskudna ciecz i przyciąga paskudnych ludzi - stwierdziła Carla. - Pojedź do Santa Paula, a będziesz miał wrażenie, że trafiłeś na Dziki Zachód. Każdej nocy strzelanina, zaś wszyscy mężczyźni to brudni analfabeci o wyglądzie szaleńców...

- Podczas gdy my w San Solaro - zawołał Wyatt, wymachując kieliszkiem tak gwałtownie, że kilka kropli wina spadło na podłogę - jesteśmy subtelni i przystojni.

- I pijani - dodała.

- Pijani - potwierdził.



Znów napełniła po brzegi swój kieliszek. Lampy naftowe oświetlały pokój słabym światłem. Mack nie potrafił oderwać wzroku od Carli. Była tęższa i okrąglejsza niż niegdyś. Wielkie piersi i szerokie biodra nadawały jej budzącą erotyczne skojarzenia ocieężałość. Prawdziwa kobieta ery wiktoriańskiej - przynajmniej z wyglądu. Im więcej jednak piła, tym bardziej ordynarnie się zachowywała, a piła tak dużo jak Wyatt.

- Jeżeli w tej dolinie jest tak niebezpiecznie - powiedział Mack - to czy nie boisz się jeździć tędy samotnie?

- Gdyby ktoś spróbował mnie niepokoić, wystarczy, że powiem mu, iż jestem córką Hellmana. A jeżeli to by nie wystarczyło, w torbie podróżnej mam coś, co na pewno zadziała. Kieszonkowego remingtona, kaliber dwadzieścia dwa. Dobrze strzelam. Ojciec mnie tego nauczył. Tak więc bądź ostrożny, Chance.

Popatrzyła na Macka tak, że zadrżał, po czym uniosła kieliszek i wychyliła go jednym haustem. Czerwone krople poplamiały jej złotą kamizelkę - wyglądały jak plamy krwi. Z westchnieniem opadła na oparcie krzesła.

- Boże, za dużo jedzenia. Prawdziwa orgia.

- To był wielki dzień - powiedział Wyatt. Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady pudełko cygar. - Trzy działki. Może do końca roku uda się sprzedać resztę? Nabici frajerów w butelkę, zebrać gotówkę i wynieść się stąd.

Mack oparł dłonie na kolanach. Próbował nie poddać się ogarniającemu go złemu nastrojowi. Wyatt grzebał w wyjętym pudełku.

- Boom się kończy.

Carla oblizwała brzeg kieliszka i zerknęła na Macka, który znów poczuł rosnące podniecenie.

- W mieście mówią, że już się skończył, June.

Wyatt popatrzył na nią, wzruszył ramionami i wyciągnął z pudełka wielkie, ciemnozielone cygaro. Potarł zapałką o piec, wydmuchnął wielki kłęb dymu i rzucił płonąca zapałkę na podłogę. Mack zgasił ją butem.

- Palisz jakieś wyjątkowe paskudztwo, June - powiedziała Carla. Wyatt podrapał się po brzuchu. W kącikach ust wciąż miał okruchy jedzenia.

- Kubańskie. Najlepsze.

- Mimo to śmierdzą jak palona trawa i psie gówno.

Na twarzy Macka odmalowało się napięcie. Carla zaczynała mówić coraz ostrzejszym językiem, podobnie jak Wyatt. Trudno było powiedzieć, które z nich jest bardziej pijane. A Hellman ostrzegał go kiedyś, że alkohol doprowadza ją do szaleństwa.

- Odłóż to cygaro - nakazała.

Zdawało się, że Wyatt wybuchnie gniewem, ale zdołał się jakoś powstrzymać.

Skłonił się jej nisko, tak że niewiele brakowało, a upadłby na stół, po czym zgasił cygaro, zanurzając je w świeżo napełnionym kieliszku Carli.

- Dla ciebie, kochanie, wszystko - pogładził ją po ramieniu. Jego ręka powoli zsunęła się, dotykając jej piersi. - Absolutnie wszystko.

- June, ty skurwysynu - Carla chwyciła kieliszek i wylała całą jego zawartość na talerz Wyatta. Wino rozlało się po stole i zaczęło skapywać na podłogę. Mack nigdy nie słyszał kobiety mówiącej w ten sposób. Co najdziwniejsze, sprawiło to, że pożałował jej jeszcze bardziej - przynajmniej teraz, gdy był pijany.

Wyatt zaczął głaskać jej szyję.

- Carlo, bądź milutka. To wyjątkowy wieczór. Zacisnęła usta i odepchnęła jego rękę.

- Przestań. Jestem zmęczona.

Podniosła się z krzesła i podeszła do otwartego okna. Jej powolny, ociężały chód zdawał się świadczyć o tym, że jest nie tyle rozgniewana, co znudzona. Mack stłumił dręczącą go zazdrość i głośno chrząknął.

- Muszę wstać wcześniej, żeby złapać pociąg do miasta. Dzięki za kolację, Wyatt. Cieszę się, że mieliśmy tak udany dzień.

Wyatt siedział rozwalony na krześle, z rozluźnionym krawatem i kosmykami włosów opadającymi na czoło. Wyciągnął przed siebie kościste nogi i kiwnął głową Mackowi, ani na chwilę nie spuszczać z oka wyglądającej przez okno Carli.

- Panno Hellman... to była prawdziwa przyjemność znów panią spotkać. Dobranoc. Być może, spotkamy się jeszcze...

Carla pośpiesznie odwróciła się w jego stronę. Zdawało się, że cały alkohol w jednej chwili wywietrzał jej z głowy. Popatrzyła nań swymi wielkimi ciemnoniebieskimi, pełnymi żaru oczyma... W jednej chwili zapomniał o Nellie.

- Jestem tego pewna, Mack. Słodkich snów.

Znalazłszy się na dworze, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, oddychając z ulgą. Przetarł zaspane oczy.

- Zabierzesz wreszcie te ręce, June? - usłyszał głos Carli. - Głowa mi pęka. Jestem zmęczona.

- Zmęczona, zmęczona. Czy w ten sposób chcesz się odwdzińczyć miłemu gospodarzowi?

- Nie jęcz, June. Skamlanie śmiertelnie mnie nudzi.

- Czasem wyłazi z ciebie zarozumiała, pieprzona dziwka.

- Zamknij się. Chcę się położyć spać.

- Sama? Długotrwała cisza.

- Nalej mi resztę tego wspaniałego wina. A potem zobaczymy. Straszliwie przygnębiony Mack ruszył w ciemność.

## Rozdział 20.

Pomimo załamującej się koniunktury, Mack i Wyatt pojechali do Newhall, by podpisać umowę.

- Zapamiętaj, Chance - powiedział wynajęty prawnik - ten dokument nie daje ci żadnych praw poza przewidzianymi umową. Tak więc nie wolno ci zabierać głosu w sprawach dotyczących San Solaro. Nie masz też prawa wglądu w księgi rachunkowe i inne poufne dokumenty. Jak również żadnych uprawnień bankowych. Jeżeli to jasne, proszę, podpisz tutaj.

„Dwadzieścia procent niczego, to wciąż nic” - pomyślał Mack. Ale podpisał umowę.

Po sprzedaniu trzech działek jednego dnia, Wyatt nie sfinalizował już żadnej nowej transakcji.

Ewentualnych klientów było coraz mniej. Mack podwoił swoje wysiłki, odwiedzał dwa razy więcej agentów w Los Angeles, dawał większe napiwki portierom i kelnerom, ale nie mógł nic poradzić na to, że pociągi przywoziły coraz mniej turystów, a ci, którzy przyjeżdżali, nie chcieli kupować ziemi. Nawet po obniżonych cenach. Miasta i dzielnice istniejące tylko na papierze znikwały teraz, wraz z ich założycielami. Ceny wciąż spadały. Intensywność napadów złego humoru Wyatta zależała od liczby gości, których Mackowi udawało się ściągnąć do San Solaro. Jeśli nie przywoził nikogo, jego wspólnik przeklinał, pił i niszczył wszystko, co wpadło mu w ręce. Mack wolał go w takich chwilach omijać z daleka.

Macka znowu zaczęły dręczyć nocne koszmary: sen o śnieżycy i o Bao Kee, umierającym w jego ramionach.

Spał cztery godziny na dobę, uważając, że nie może pozwolić sobie na większą stratę czasu. Od dziesiątej wieczorem do pierwszej w nocy przeglądał wszystkie umowy o sprzedaży ziemi w San Solaro. Jego wspólnik pozwolił mu na to. Czytał też kolejne rozdziały książki o przepisach prawnych obowiązujących w handlu ziemią. Wyatt trzymał tę

książkę na biurku, ale nigdy jej nie otworzył. Mack chciał wiedzieć, jakie są wymagania prawne zarówno dla sprzedających, jak i kupujących nieruchomości. Uczył się.

Któregoś słonecznego październikowego ranka spostrzegł Swampy'ego Hellmana jadącego powozem przez Main Street. Odruchowo pozdrowił starego Niemca, ten zaś skreślił gwałtownie w jego stronę, o mało nie tratując przy tym trzech przechodniów.

- Johnny! Co za niespodzianka! Mam jeszcze chwilę do umówionego spotkania. Właściwie, wcale mi się nie śpieszy. To prawnicy. Oszuści. Dla nich, podobnie jak dla większości ludzi, jestem tylko żyłą złota, którą można eksploatować. Wskakuj, postawię ci piwo.

- Ależ, panie Hellman, jest dopiero wpół do dziesiątej rano.

- I co z tego? Piwo pomaga w trawieniu. Piję je do śniadania od siódmego roku życia. Nie spieraj się, tylko wsiadaj.

W barze „Noonan's Bird Cage” Hellman zdmuchnął pianę ze swego piwa i przyjrzał się Mackowi badawczo.

- Przegonili cię, co?

- Tak, ale tylko chwilowo.

- Dla ciebie tak będzie lepiej, Johnny. Dorabiasz się tutaj?

- Trochę - skłamał. Hellman westchnął.

- Dobrze być ambitnym, ale powiem ci, że są problemy, w rozwiązaniu których pieniądze nie pomagają. Nie pomogą ani na wzdęcia, ani w opanowaniu szaleństw własnej córki. Wiesz, że Carla jest w Południowej Kalifornii?

- Obiło mi się to o uszy - powiedział ostrożnie Mack.

- Chciałbym, żeby wyjechała.

- Dlaczego?

- Znowu wpadła w kłopoty. Związała się równocześnie z dwoma, może nawet trzema mężczyznami.

Mack pobladł.

- Nie wiem, kim są. Z wyjątkiem jednego. To właśnie on najbardziej mnie martwi - ciągnął Swampy. - Buddy Lionel Beavis - król drewna. Znasz go?

Mack pokręcił głową.

- Ma twarz jak fladra, ale powiadają, że ta część ciała, która uszczęśliwia damy, czyni go prawdziwym Schwertkampfer. Mistrzem miecza, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Początkowo Buddy w ogóle nie zwrócił uwagi na Carłę, więc oczywiście musiała go złowić. Beavis jest żonaty. Spędzili kilka nocy w pewnym domku w lesie, ale nie byli ostrożni i ktoś ich zobaczył. Zrobił się niezły skandal. Jeszcze nie ucichło.

- Powiedział pan, że zajmuje się on drewnem. Gdzie? W Oregonie?

- Nie, jego drzewa są tutaj. A raczej drzewa jego ojca. Buddy byczy się teraz gdzieś koło San Diego. Podobno wciąż pali się do niej. Ona działa tak na wszystkich mężczyzn.

Mack wpatrywał się w swoje piwo.

- Oczywiście teraz, kiedy Carla już się z nim zabawiła, obchodzi on ją tyle, co zeszłoroczny śnieg - dokończył Swampy. - Jeśli spotkasz moją córkę, przejdź na drugą stronę ulicy. I to jak najszybciej.

Pewnego listopadowego popołudnia Mack poszedł do pomarańczowego gaju w San Solaro, aby w spokoju odpisać na ostatni list Nellie. Cienie stawały się coraz dłuższe, kiedy siedział oparty o drzewo, co jakiś czas podnosząc wzrok i spoglądając na Wyatta, prowadzącego po równinie trzech wycieczkowiczów. Jego wspólnik szedł wolno, bez zwykłego dla siebie zapału. Jego ospałość i zubożenie udzieliło się także gościom, smutnym i ubogim turystom. Kolejny kiepski dzień. Zmarszczywszy brwi Mack skupił się na pisaniu listu.

„Wciąż nie daje mi spokoju pewne pytanie. Ta ziemia nie kosztuje dużo, ale z pewnością jest trochę warta. Skąd wziął na nią pieniądze?”

Usłyszał tętent kopyt i skrzypienie kół. To jechała Carla, wzbijając tumany kurzu. Mack ukrył pod koszulą nie dokończony list.

Carla jak zwykle jechała szybko. Zauważywszy siedzącego pod drzewami Macka, pomachała mu ręką i zwolniła. Ubrana była w strój do konnej jazdy: białe batystowe spodnie i kurtkę z długimi rękawami. We włosy wplecioną miała złotą wstążkę, identyczną jak ta, którą przechowywał w przewodniku. Musiała ostatnio mało sypiać - świadczyły o tym mocno podkrążone oczy.

Mimo to jednak wkrótce przekonał się, że jak zwykle tryska dobrym humorem i energią. Mack poczuł równocześnie podniecenie i niepokój - uczucie, które zawsze wywoływała w nim Carla.

- Co tutaj robisz? Wyatt mówił, że nigdy nie przyjeżdżasz tu w ciągu dnia.

- Miałam coś do załatwienia. Zjadłam lunch w namiocie. Jednak ciebie tam nie było - w jej głosie brzmiał żal.

- Naprawiałem dach biura. Deszcz pada niezależnie od tego, czy mamy klientów, czy nie.

- Twój wspólnik jest dziś w kiepskim humorze.

- Jak zwykle. Interesy idą fatalnie.

Spojrzała ponad jego ramieniem. Odwrócił się. Wyatt i turyści zatrzymali się nad brzegiem kanału, niemal znikając im z oczu. Carla schroniła się w nikłym cieniu drzewa.

- Skoro jest pan tak nieśmiały, panie Chance, sama muszę zrobić pierwszy krok. Postanowiłam złożyć ci wizytę w ciągu dnia, bo nie mogę po prostu wślizgnąć się do twego namiotu w środku nocy. Gdyby Wyatt to odkrył, zrobiłby nielichą awanturę.

- Martwisz się tym ze względu na mnie czy na siebie? Carli spodobała się ta odpowiedź.

- Ze względu na nas oboje, mój kochany - powiedziała wesoło. - Najwyższy czas, byśmy spotkali się sam na sam. Gdzie bezpiecznie możemy to zrobić? Serce Macka zaczęło walić jak oszalałe.

- Carla...

- Ustalmy datę - przerwała mu zmienionym głosem - Zamiast jechać do Los Angeles, udasz się do hrabstwa Ventura. Potem możesz powiedzieć, że nie znalazłeś żadnych klientów.

Czy tak samo postępowała z Beavisem, królem drewna?

- Nie, Carlo. Zapomnijmy o tym.

Była zaskoczona. Dopiero po chwili pokryła zdumienie wzgardliwym uśmiechem.

- Och, a więc pomyliłam się co do ciebie? Czyżbyś przez cały czas udawał? A może wcale nie lubisz kobiet?

Wyraz twarzy Macka wskazywał niedwuznacznie, że to przypuszczenie było całkowicie błędne. Carla uspokajająco skinęła dłonią.

- Przepraszam. To nie było ładnie z mojej strony. Ale nie rozumiem twojej... niechęci. Przecież nieomal padłam przed tobą na kolana... - Głos jej się załamał.

- Mogę wyjaśnić moją „niechęć”, jak to nazwałaś - odezwał się Mack i wskazał na jedną pomarańczę. Była już pomarszczona, straciła też kolor. Najwyższy czas, by je wymienić - to także należało do jego obowiązków. - Ten owoc należy do Wyatta. I z tego, co wiem, ty także.

- Ciekawe, kto ci to powiedział.

- Jesteście kochankami. Nie starałaś się zachować tego w tajemnicy.

- Jestem nim zmęczona. Potrafi być czarujący, ale jest zupełnie nieodpowiedzialny. Ostatnio zrobił się taki



gburowaty. Chyba w żadnych okolicznościach nie potrafi zapanować nad sobą. - Znow popatrzyła na małe sylwetki ludzi koło kanału. Zasłonięta pnem drzewa przysunęła się do Macka tak blisko, że poczuł dotyk jej piersi. - Podczas gdy ty, mój drogi, potrafisz się znakomicie kontrolować. Zamierzam sprawić, abyś tę kontrolę utracił. Obiecuję, że to nie będzie nieprzyjemne.

Miał ochotę pocałować Carłę, ale zamiast tego coś kazało mu ją odepchnąć.

- Jeśli zechcę sięgnąć po kobietę należącą do innego mężczyzny, to sam zdecyduję o tym, kiedy i gdzie to zrobię.

- Czy nie pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie?

- Nie.

Poczerwieniała nagle i uniosła rękę, jakby chciała go uderzyć. Nie zrobiła tego jednak. Na jej wargach pojawił się lodowaty uśmiezek.

- Masz bardzo dziwne i staromodne zasady, panie Chance. Ostrzegam cię, że to nie przyniesie ci nic dobrego. Bardzo cię podziwiam. Może teraz jesteś biedny, ale nie będziesz taki przez całe życie. Umiesz walczyć o to, czego pragniesz.

Szukał w jej głosie śladu nieszczerości, ale nie znalazł.

- Jestem taka jak ty: zdobywam to, czego chcę. I jeśli ktoś mi tego odmawia, podwaja to tylko moją determinację. I zawsze mi się udaje, mój kochany. Zawsze.

Odjechała powozem w stronę wzgórza. Mack odprowadził ją wzrokiem. „Głupiec ze mnie, przeklęty głupiec, odepchnąć taką piękną kobietę!”

Nie mógł jednak zrobić nic innego. Przeklinając, tak mocno szarpnął jedną z wiszących na drzewie pomarańczy, że zerwał sznurek.

Żółte światło grudniowego świtu sączyło się zza położonych na wschodzie gór. Oddech Macka przemieniał się w obłoczki pary.

Używany wełniany płaszcz, który kupił w mieście, nie chronił wystarczająco przed zimnem.

Drzwi biura otworzyły się i na progu stanął także drżący z zimna Wyatt. Dwudniowy zarost nie dodawał mu uroku, ale przynajmniej nie był w wojowniczym nastroju. Na to było jeszcze za wcześnie.

- Boże, zima daje o sobie znać - powiedział, rozcierając zmarznięte ręce.

- Myślałem, że w Południowej Kalifornii nigdy nie jest tak zimno. Że tutejszym pomarańczom i cytrynom nie grozi mróz...

- Powinieneś jeszcze raz przeczytać tę książkę i nie być tak naiwny. - Wyatt uśmiechnął się pogodnie.

Mack doszedł do wniosku, że Paul jest w odpowiednim nastroju, żeby zadać mu kilka pytań.

- Wyatt, zawsze się zastanawiałem... ile zapłaciłeś za tę ziemię?

- Szesnaście dolarów za akr.

- Tysiąc osiemset akrów... to daje blisko trzydzieści tysięcy dolarów. Skąd wziąłeś takie pieniądze?

Wyatt pociągnął nosem i otarł go rękawem.

- Pożyczyłem od ojca Carli.

- Od Otto Hellmana? Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Nie bez powodu. Wielu ludzi nie znosi Hellmana. Gdyby zaczęto wiązać jego nazwisko z San Solaro, mogłoby to zaszkodzić moim interesom. Hellman to rozsądny człowiek. Zrozumiał, w czym rzecz, i uzgodniliśmy, że nie będziemy rozgłaszać jego udziału w tym przedsięwzięciu. Jeżeli kiedykolwiek zostanie to ujawnione, wszystkiemu zaprzeczę. -

Nagle w jego przyjacielsko dotąd brzmącym głosie zadźwięczała twardsza nuta. - Czy to ci wystarcza, współniku?

- Jasne - powiedział Mack, chociaż wciąż był zdziwiony. Chłodny, rozsądny Hellman, o którym mówił Wyatt, w niczym nie przypominał Swampy'ego, jakiego znał Mack. Czy naprawdę Wyatt miał aż tak wielki dar przekonywania?

- Pośpiesz się, jeśli chcesz zdążyć na pociąg - Wyatt poklepał konia po szyi. - I przywieź tu takich, co nie skostnieją z zimna.

- Jeżeli znajdę ich jeszcze w Los Angeles - odparł Mack, kierując się w stronę głównej bramy San Solaro.

W opustoszałym holu Pico House mały Meksykanczyk stojąc na drabinie zawieszał pod sufitem malowane akwarelami papierowe łańcuchy. Boże Narodzenie - Mack zupełnie o tym zapomniał.

W gorącej, zaparowanej kuchni odnalazł Reilleya.

- Nie ma nikogo - powiedział Reilley. - Od trzech dni.

- To niedobrze.

- Myślisz, że sam o tym nie wiem? - smutnym głosem stwierdził stary kelner, przecierając okulary.

- Tak to jest - powiedział Swifty Southwood, układając w równy stos broszury na kontuarze i zdmuchując z nich kurz. - Nasze nadzieje pękły jak bańka mydlana.

- W każdym bądź razie dziękuję ci, Swifty - Mack nałożył kapelusz i skierował się w stronę wyjścia.

- Nie trudź się przychodzeniem tutaj w przyszłym tygodniu. Zabieram swoją żonę do Vancouver. Pomieszkamy trochę u brata. W tym mieście umarłbym z głodu.

Mack jechał przez Main Street spoglądając na grudniowe, szare niebo. Jakże puste wydawały się teraz ulice w porównaniu z jasnymi dniami października. Mieszkańcy miasta rozjechali się we wszystkie strony. Znikły grupki turystów dyskutujących pod hotelami i agencjami handlu

nieruchomości, których szyldy były teraz pozrywane przez wiatr. Na szybach często pojawiał się namalowany wapnem napis: DO WYNAJĘCIA. Na peronie dworca Southern Pacific nie widać było żadnych ludzi, poza bagażowymi.

W poniedziałek następnego tygodnia - dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem - znów powrócił z Los Angeles bez żadnych klientów. Pogoda i tak była już paskudna, ale teraz pogorszył ją jeszcze silny, wiejący ze wschodu wiatr. Był zaskakująco gorący i niósł ze sobą tumany piasku, zasypując nim kaniony, jakby niespodziewanie dotarł na południe oddech pustyni. Wiatr szalał na opustoszałych ulicach San Solaro, gwałtownie łopocząc płóciennym namiotem. Jęk wichury ranił uszy i drażnił nerwy.

Mack siedział na krześle w namiocie, zastanawiając się, co robić. Tego dnia wrócił o wpół do drugiej i poszedł prosto do Wyatta, który siedział w biurze nad otwartą butelką wina. Przestał już dbać o swój wygląd. Golił się nie częściej niż raz na cztery, pięć dni. W milczeniu wysłuchał krótkiego raportu Macka, popatrzył na niego niechętnie, po czym zaczął niecierpliwie przeglądać księgę rachunkową, mruczając coś na temat wysokich kosztów.

Czterej muzycy w milczeniu grali w wista. Pani Brill, kobieta zajmująca się przygotowywaniem jedzenia, siedziała przy stole nieruchoma jak posąg. W pewnej chwili wiatr zrzucił na ziemię jeden z pojemników na żywność. Nikt z obecnych nawet się nie poruszył.

Nagle oczy kobiety rozszerzyły się. Wpatrywała się w coś na zewnątrz namiotu. Mack odwrócił się i zobaczył otrzępującego się z kurzu Wyatta. Przyczepiony do koszuli tylko jednym końcem kołnierzyk powiewał mu na wietrze. Był bez krawata. W rękach trzymał księgę rachunkową i kilka małych kopert.

Energicznie wszedł do środka namiotu.

- Zwalniam zespół. Panią też, pani Brill. W tych kopertach macie odprawy. W wysokości jednej dniówki.

Mack poczuł się tak, jakby zatrzęsała się pod nim ziemia.

Pani Brill zalała się łzami. Muzycy rzucili karty i odstawiwszy instrumenty, zerwali się na równe nogi. Ich przywódca, puzonista, tęgi mężczyzna ze staromodnymi bokobrodami podszedł do Wyatta.

- Jedna dniówka to za mało.

- Nie mogę dać więcej, Edelman. To wszystko, na co mnie stać. - Wyciągnął w jego stronę rękę z kopertami. Muzyk pokręcił głową. Wyatt cisnął pieniądze na ziemię. - Do diabła z wami - wymamrotał i zwrócił się w stronę pani Brill, która wzięła swoją kopertę. Wyatt pochylił się i spod jednego ze stołów wyciągnął butelkę wina. Trębacz podniósł kopertę, przeliczył pieniądze i gniewnie zmarszczył brwi.

- Proszę posłuchać, panie Paul. Zawarliśmy z panem umowę. Praca sześć dni w tygodniu aż do pierwszego stycznia.

- Gdzie, do diabła, jest korkociąg? - zapytał Wyatt panią Brill. Kobieta wciąż płacząc, wskazała ręką na stół.

- Gdzieś tutaj. Och, tak mi przykro...

Zniecierpliwiony Wyatt utracił szyjkę butelki uderzając nią o maszt namiotu.

- Panie Paul, zawarliśmy umowę - powtórzył trębacz.

- Ustną umowę - powiedział Wyatt, po wypiciu kilku łyków wina. - Pokaż mi coś na piśmie.

- Zaraz ci coś pokażę, ty oszuście - wrzasnął trębacz, rzucając się w jego stronę. Mack zerwał się z miejsca i przytrzymał go.

- Uspokój go, Leon - zawołał do lidera grupy. Trębacz usiłował uderzyć go w żołądek, nie miał jednak szans, gdyż Mack był znacznie silniejszy. Unieruchomił przeciwnika, chwytając go mocno za nadgarstki. Nie pochwałał

postępowania Wyatta, ale bójka niczego by nie załatwiła. Muzyk dał za wygraną i przestał się szarpać. Mack puścił go. Leon Edelman kręcił się niecierpliwie, ze zdenerwowaniem gładząc swe bokobrody.

- Posłuchaj, Leon - powiedział Mack. - Zawsze rozmawialiśmy szczerze...

- To prawda.

- Nie mogę już znaleźć klientów. A to oznacza, że nie będzie umów o sprzedaży ziemi i nie będzie pieniędzy. Wyatt ma rację. Nie poradzimy sobie z wydatkami. Boom się skończył.

Trębacz zaklął i opadł z powrotem na krzesło. Edelman założył na głowę czapkę ze szkarłatnym otokiem i spojrzał na Wyatta, który kręcił się po namiocie z nieobecny wyrazem twarzy.

- Muszę coś panu powiedzieć, panie Chance - odezwał się cicho. - Wydajesz się byстрыm, uczciwym chłopakiem. Więc naprawdę nie wiem, czemu tracisz czas zadając się z takim kłamliwym cwaniakiem jak Paul. Tu nigdy nie będzie miasta. Ta ziemia jest warta tyle co sterta śmieci. Pański wspólnik też jest śmieciem.

Mack pomyślał ze smutkiem, że Edelman ma rację. Czyż sam nie wiedział o tym niemal od pierwszego dnia?

Muzycy spakowali walizki i po chwili odeszli. Wraz z nimi wyniosła się także pochlipująca pani Brill. Mack stał na środku namiotu, Wyatt szybko opróżniał butelkę. Nawet nie spojrzał na odchodzących. Nie zadał sobie trudu, żeby im podziękować, czy chociaż się pożegnać.

Targane przez wiatr płótno namiotu uderzało miarowo w maszty, co przypominało wystrzały z pistoletu. Mack miał wrażenie, że San Solaro znika nagle, gnane gdzieś przez silny wiatr. Czuł, że muzyk miał rację - to była nędzna, nic niewarta ziemia.

Brzęk szkła sprawił, że oprzytomniał. Wyatt grzebał w skrzynce z winem.

- Jezu, przestań wreszcie!

Wyatt odwrócił głowę. Jego oczy nie były już oczami niewinnego dziecka, wyglądał jak wściekłe zwierzę. Miał długą, czarną, niechlujną brodę. Pociągnął nosem jak węszący pies. Niespodziewanie chwycił najbliższy stolik, uniósł go wysoko i cisnął z całej siły o ziemię. Talerze i pojemniki na żywność pospadały na podłogę.

- Nie słyszałem o żadnym kalifornijskim prawie, które zakazywałoby człowiekowi pić, kiedy zechce - wrzasnął, wymachując pięściami. - Nic nie wiem o takim pieprzonym prawie.

- Gdyby było takie prawo, jestem pewien, że nie byłbyś mu posłuszny - odparł Mack.

Wyatt przykucnął i otworzył kolejną butelkę.

- Posłuchaj, to ci nic nie pomoże - Mack z wysiłkiem starał się zapanować nad sobą. - To miejsce nic nie jest warte. Pytanie brzmi: co powinniśmy zrobić, żeby uniknąć dalszych strat?

- Moich strat. Moich! - krzyknął Wyatt, uderzając się w piersi. - Powinniśmy zrobić jedno - zapomnieć o wszystkim. Zapomnieć o wszystkim choć na chwilę.

Zataczając się ruszył w stronę wyjścia, potykając się po drodze o krzesło. Przeklinając głośno, chwycił je i odrzucił na bok.

- Zapomnij o tym - powtórzył Wyatt, wymachując butelką. Wszedł do biura i zatrzasnął za sobą drzwi. Rozległ się szczeł zasuwanego rygla.

Następnego dnia Mack nie pojechał do miasta. Wybrał się tylko na Railroadzie do Newhall, aby uzupełnić zapasy. Na poczcie czekał na niego długi list od Nellie.

Hearst podniósł jej pensję, równocześnie proponując, aby zajęła się handlem białymi niewolnikami - tanią siłą roboczą, udając naiwnego przybysza z oddalonego okręgu Mount Shasta. Nellie paliła się do napisanie kolejnego sensacyjnego artykułu i Mack wiedział, że nie ma sensu ostrzeganie jej przed wiążącymi się z tym niebezpieczeństwami.

Przez cały dzień nie widział się z Wyattem. O zmroku, leżąc w namiocie, przy chyboczącym świetle lampy zaczął pisać list do Nellie. Wiejący od gór wiatr wciąż szarpał płótnem namiotu.

„Jedyne, co robię, to chronię go przed bójkami. Lecz cóż, u diabła, mam z tego?”

- Mack?

Głos dochodzący spoza namiotu otrzeźwił go. Carla uniosła zasłonę i wsunęła się do środka.

Na widok ciasnoty i nędznych sprzętów skrzywiła się. Rozebrany do pasa Mack dziękował teraz Bogu, że został chociaż w spodniach. Przygładził palcami włosy.

- Przyjechałam, bo umówiłam się z Wyattem. Gdzie on jest?

- Przypuszczam, że w biurze.

- Drzwi są zamknięte. Pukałam bardzo długo, ale nie doczekałam się żadnej odpowiedzi.

- Pewnie jeszcze śpi. Miał wczoraj wyjątkowo zły dzień. Znowu wypił za dużo. Zniechęcona usiadła na stołku koło łóżka. Jej potarganych przez wiatr włosów

tym razem nie przytrzymała złota opaska.

Mack wygładził koc. - Wyatt jest w kiepskiej formie, Carlo. To wspomniały gość, kiedy uda mu się sprzedać działkę, ale od czasu, gdy byłaś tu po raz ostatni, nie podpisał żadnej umowy. San Solaro to katastrofa. Być może twój ojciec będzie musiał zadowolić się tą ziemią, kiedy Towarzystwo nie zdoła zwrócić mu pożyczki.



- Jakiej pożyczki? Mack zmarszczył brwi.
- Pożyczki, której twój ojciec udzielił Wyattowi, żeby mógł kupić tę posiadłość.
- Tata nigdy nawet nie był w tej okolicy.
- Ale Wyatt powiedział mi...
- Tata nie ma pojęcia o istnieniu Wyatta.

Mack nie wiedział, co o tym myśleć. Wycie wiatru działało mu na nerwy. Zaklął i podniósł się z miejsca. Uchylił zasłony, ale na dworze nie zobaczył nic prócz tańczącego w powietrzu kurzu.

- Boże, ten wiatr doprowadzi mnie chyba do szaleństwa.
- Nie jesteś pierwszym, który to mówi. To wiatr z pustyni. Santan.

- Co?

- Santan. Bierze początek w górach, ale pustynia wysysa z niego całą wilgoć. Dlatego jest taki gorący i suchy. W tym roku pojawił się wyjątkowo późno. Indianie nazywają go wiatrem złych duchów. Gdy wieje, ludzie robią okropne rzeczy. Czasem nawet się zabijają.

Mack wpatrywał się w ciemność, usiłując przebić ją wzrokiem, nie dostrzegł jednak nic prócz wirujących drobinek kurzu. Wiatr zawodził jękliwie, od czasu do czasu pomrukując gniewnie. Mack poczuł nagle, że ręce Carli obejmują go w pasie.

- Zwykle jednak, gdy nadchodzi santan, ludzie tracą panowanie nad sobą w inny sposób. - Ręką głaskała go po brzuchu. Poczuł, że jej piersi dotykają jego pleców. - We wszystkich drzemią dzikie, pierwotne instynkty. Santan pozwala się im ujawnić...

Jej wargi przywarły do jego ramienia. Miał ochotę odwrócić się i wziąć ją, teraz, choćby na podłodze - wszystko jedno gdzie. Pragnienie to było tak silne, że odczuwał niemal fizyczny ból. Opanował się jednak i odepchnął jej rękę.

Cofnęła się o krok.

- San Solaro wciąż jest własnością Wyatta - powiedział Mack. - Podobnie jak ty.

- Kiedy wreszcie przestaniesz zachowywać się tak głupio, tak...

- Wracaj do domu, Carlo. Naprawdę, jedź do domu.

Westchnął i wrócił na posłanie, nie patrząc na jej twarz, na której pojawił się najpierw wyraz gniewu, a potem zimna determinacja.

Zamierzała coś powiedzieć, ale jej wzrok padł nagle na skrzynkę, której Mack używał jako nocnego stolika. Chwyła przewodnik T. Fowlera Hainesa i wyciągnęła złotą wstążkę.

- Moja wstążka! Zatrzymałeś ją sobie!

- Co z tego? Zmięła jedwabną wstążkę w dłoni.

- To znaczy, że twoje protesty to tylko czcza gadanina. Tak naprawdę pragniesz tego samego co ja i któregoś dnia skończysz z paplaniem o Wyatcie. On nie ma do mnie żadnych praw. To bardzo proste: ty pragniesz mnie, a ja ciebie. Oto dowód.

Uniosła wstążkę do ust i złożyła na niej uwodzicielski pocałunek. Roześmiała się zwycięsko i rzuciła wstążkę na nie posłane łóżko, po czym wyszła z namiotu. Santan był jak dzikie zwierzę osaczone w pieczarze.

## Rozdział 21

Wiatr pędził ulicami Los Angeles tumany kurzu. Mack musiał cały czas przytrzymywać kapelusz. Zabite okiennice w biurze agencji Southwooda wskazywały wyraźnie, że wakacje Swifty'ego w Vancouver ciągle jeszcze trwają.

Na rynku witryny sklepów i hotele udekorowane były bożonarodzeniowymi chorągiewkami. W tym pełnym nadziei czasie Mack szukał też nadziei w sobie, ale nie mógł jej znaleźć. Coś takiego nigdy jeszcze mu się nie zdarzyło.

Nie był człowiekiem zbyt religijnym, przynajmniej nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Nic nie wiedział o katolicyzmie. A jednak, niemal nieświadomie, zbliżył się do ciężkich drzwi kościoła - Nuestra Señora la Reina. Usiadłszy w ostatniej ławce, oparł głowę na splecionych dłoniach i popatrzył na błyszczący migotliwym światłem świec ołtarz i frasobliwego Chrystusa, spoglądającego nań z krzyża. Siedział tak ponad godzinę, nie niepokojony przez księży, którzy co jakiś czas przechodzili obok niego. Szukał w głębi serca nadziei, która zawsze dodawała mu sił i otuchy w trudnych chwilach.

Wiatr jakby ucichł. Moc tego świętego miejsca uzdrowiła go. Spędzając Boże Narodzenie poza domem człowiek czuje się straszliwie samotny. Wiedział jednak, że poradzi sobie z tym uczuciem, podobnie jak poradzi sobie z San Solaro. Nie miał już wątpliwości. Zaskrzypiały drzwi w bocznej nawie. Ubrany w komżę ksiądz uścisnął dłoń jakiemuś mężczyźnie w kozuchu, po czym zniknął w zakrystii, a tamten człowiek skierował się w stronę wyjścia. W dłoni niósł starą skórzaną walizkę. Mack rozpoznał go i zerwał się z ławki.

- Ojciec Marquez.

- Pan Chance! Que placer encontrarlo. Wielka niespodzianka.

Wyszli na zewnątrz. Wiatr nieco ucichł. W dali, nad Pacyfikiem, ukazało się zza chmur zachodzące słońce. Duchowny wyglądał na zmęczonego. Nie miał w sobie tej energii, którą Mack tak dobrze zapamiętał.

- Jak długo jest ojciec w Los Angeles? - zapytał.

- Godzinę.

- Przenieśli ojca tutaj?

Ksiądz pokręcił głową.

- Doszło do ostrego sporu między właścicielami trzech tutejszych gazet a związkiem zawodowym drukarzy. Czasy zrobiły się ciężkie, więc wszyscy chcą obciąć pensje o dziesięć, albo nawet o dwadzieścia procent. Wiem, że były lokauty. W „Tribune” i „Heraldzie” wynegocjowano porozumienie, ale ludzie z „Timesa” wciąż strajkują. Strajk jest na pewno działaniem właściwym i potrzebnym, ale nie zapełni pustych brzuchów ludzi potrzebujących wsparcia.

- I po to ojciec tu przyjechał?

- Tak - potwierdził z powagą ksiądz. - Bez zgody moich przełożonych. A nawet, prawdę mówiąc, wbrew ich woli.

- Ale... - powiedział Mack z wahaniem - wszystkie trzy gazety wciąż się ukazują. Nie dalej niż wczoraj czytałem „Timesa”.

- Jak to możliwe? Według telegraficznej wiadomości, którą otrzymałem, drukarze nadal strajkują. Muszę pójść do biura związkowców...

- Mój wóz stoi niedaleko stąd. Podwiozę ojca. Terkoczący po wyboistej Spring Street powóz skierował się na południe. Gazowe lampy oświetlały domy i sklepy. W jednym z mijanych domków zobaczyli ozdobioną świeczkami choinkę i usłyszeli śpiewaną pełnymi głosami kolędę.

- Sporo czasu minęło od naszego spotkania w więzieniu w San Francisco.

- I dużo się wydarzyło - dodał Mack.

- Wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Ale są rzeczy, które trwają wiecznie: niesprawiedliwość, chciwość posiadaczy - Marquez zaśmiał się nagle. - Pewnie zdajesz sobie sprawę, że moja reputacja w Kościele jest coraz gorsza, a pozycja coraz słabsza?

- Ale mimo wszystko przyjechał ojciec tutaj.

- Ktoś musiał odpowiedzieć na to wezwanie - odparł ksiądz, wzruszając ramionami. - W istocie rzeczy jest to dla mnie również coś w rodzaju wakacji. Moja rodzina straciła większość swych posiadłości, ale ocalała przynajmniej dom, serce ranczo. Chwilowo jestem jego zarządcą. Mam nadzieję, że kiedyś mój jedyny siostrzeniec, Gonsalvo, ożeni się i zamieszka tutaj. Na razie jednak dom stoi pusty. To piękne miejsce. Z okien widać morze. Pomyślałem, że wynajmę konia i pojedę tam rozejrzeć się. Może wybrałbyś się ze mną?

Mack już miał zamiar odmówić, ale nagle zawahał się - właściwie czemu nie? Wyatt pił bez przerwy. Spał jeszcze, kiedy Mack wyruszył w objazd po hotelach w poszukiwaniu nowych klientów. Robił to tylko z poczucia obowiązku, wiedział bowiem, że i tak nikogo nie znajdzie.

- Chętnie pojedę z tobą, ojczu. Mam trochę czasu, a poza tym nigdy nie widziałem prawdziwego ranczo.

- Daj spokój z tym „ojcem”. Jestem Diego. Mack uśmiechnął się. Uścisnęli sobie dłonie.

Biuro Związku Zawodowego Drukarzy mieściło się w małym drewnianym domku przy South Spring. Pośród stosów broszur, ulotek i egzemplarzy „Timesa” siedziało sześciu mężczyzn. Pomimo wyraźnego przygnębienia, ciepło powitali Marqueza.

Ksiądz zdjął kozuch. Pod spodem miał białą koszulę z koloratką.

- Kłopoty? - zapytał, przypatrując się obandażowanej głowie jednego z drukarzy.

- Tak. Otis ściągnął z San Diego i Sacramento swoich bandziorów. Oberwałem od nich. Przez tych łamistrajków „Times” wciąż się ukazuje. Oczywiście, pułkownik wychwala ich pod niebiosa.

Drukarz podał Marquezowi jedną z ulotek. Ksiądz przeczytał ją, po czym wręczył Mackowi. Kwiecistym stylem napisane tam było, że łamistrajki są „miłującymi wolność przybyszami, pionierami rozsądku, najlepszymi z najlepszych” oraz że robią oni wszystko, by „pokonać cudzoziemską zarazę związków zawodowych”.

- To bezwzględna banda - powiedział inny drukarz. - Nie ma potrzeby, żeby ksiądz się z nimi spotykał.

- Zawsze jest taka potrzeba - odparł Marquez. - Czy ustawiliście pikietę?

- Tak, ojcze.

- Chcę ją zobaczyć.

Trzech pikietujących drukarzy przechadzało się wolno tam i z powrotem przed redakcją „Timesa” na północno - wschodnim rogu First Street i Fourth. Redakcja mieściła się w solidnym, ceglano - granitowym budynku, nad którym górowała trzypiętrowa wieżyczka. Na jej szczycie znajdowała się odlana z brązu rzeźba orła z rozpostartymi skrzydłami. Orzeł trzymał tabliczkę, na której wyryto credo właściciela:

**SZYBKOŚĆ. UCZCIWOŚĆ.**

**PEWNOŚĆ. PRAWDA**

Podczas gdy Mack przywiązywał konia, Marquez przedstawił się pikietującym. Słysząc było, że w środku budynku maszyny drukarskie pracują pełną parą. Siedzący na stołku w oświetlonym gazowymi lampami holu strażnik przyglądał się nowo przybyłemu.

Marquez roześmiał się z czegoś, co powiedział mu jeden z pikietujących, po czym zbliżył się do drzwi. Strażnik wstał i stanowczym ruchem ręki zatrzymał księdza.

- Czego pan chce?  
- Porozmawiać z ludźmi w drukarni.  
- Żadnych gości. Takie są rozkazy pana pułkownika.  
- W takim razie ściągnij tu pułkownika, żebym mógł z nim porozmawiać. - Strażnik nawet nie drgnął. - Zawołaj go. Nalegam.

Strażnik zamknął drzwi na zasuwę. Po chwili zjawił się Otis. Krok w krok za nim podążało trzech potężnej postury drukarzy w poplamionych fartuchach. Zatrzymali się w holu, bacznie przyglądając się pikietującemu. Otis zbliżył się do Marqueza.

- Kim pan jest, sir?  
- Ojciec Diego Marquez z archidiecezji San Francisco.  
- Czy to oficjalna misja? - Otis mówił jak sierżant, który próbuje zastraszyć szeregowca.

- Nie. Przychodzę z własnej woli jako wysłannik własnego sumienia. Chcę porozmawiać z pańskimi nowymi drukarzami.

- Dlaczego? Marquez wytrzymał wrogie spojrzenie Otisa, nie przestraszył się także tonu jego głosu.

- Żeby powiedzieć im, że to, co robią, jest złe. Służą złej sprawie.

- A więc to tak. Jesteś pan po prostu komunistą. Cóż, może pan prowadzić tę obrzydliwą agitację w San Francisco. Tam zapewne nie spotka się pan ze sprzeciwem - to rynsztok, siedlisko radykalnych demokratów. Ale tutaj będą przeciwko panu wszyscy porządni obywatele. Proszę odejść od moich drzwi.

Marquez odetchnął głęboko. Wyglądał potężnie, jak wielka skała.

- Nie ruszę się stąd. Chcę wejść do środka.  
- Chłopcy - zawołał Otis, wymachując niewidzialną szablą. Jego ludzie natychmiast wypadli na chodnik. Marquez

próbował przemknąć się pomiędzy nimi, ale nie zdołał. Jeden z mężczyzn uderzył go w brzuch i ksiądz osunął się na kolana.

Otis wykrzykiwał na zmianę przekleństwa i rozkazy. Stojący z tyłu mężczyzna zbliżył się, zamierzając kopnąć Marqueza, ale nim zdołał to uczynić, Mack chwycił go za szyję i szarpnął do tyłu. Zaskoczony drukarz uniósł pięści, chcąc się bronić. Mack zrobił unik i gdy przeciwnik zachwiał się, tracąc równowagę, uderzył najpierw z lewej, a potem z prawej strony, tak jak uczył go Corbett. Mężczyzna chwycił się za brzuch, z nosa zaczęła mu kapać krew.

Biorący udział w pikiecie drukarze otoczyli Macka i Marqueza. Mack podał księdzu rękę, pomagając mu podnieść się z chodnika.

- Masz dość? - wrzeszczał Otis.

- Nie - odpowiedział Marquez. - Wrócę tu.

- Na własne ryzyko. Na własne ryzyko. Chłopcy, jeśli któryś z tych ludzi spróbuje sforsować drzwi i wdrzeć się do gmachu, nie wahajcie się użyć siły. - Wskazał na Marqueza. - Zapamiętałem twoją twarz. Jeśli będziesz szerzył anarchię w Los Angeles, całe miasto wystąpi przeciw tobie. Zostaniesz uwięziony, pobity, może nawet przytrafić ci się coś jeszcze gorszego. Ta katolicka koloratka nic ci nie pomoże.

- Wygarbujemy tę twoją meksykańską skórę - zawołał jeden z drukarzy Otisa i plunął księdzu prosto w twarz.

Marquez zacisnął pięści, ale zdołał zapanować nad sobą, choć przyszło mu to z wyraźnym trudem. Ludzie Otisa wybuchnęli śmiechem i wrócili do budynku. Ksiądz uścisnął rękę Macka.

- Dziękuję, żeś mi pomógł. Jesteś odważny.

Pikietujący postanowili zrezygnować z wieczornego czuwania.

- Obiecuję wam, że pojutrze stanę tu razem z wami - powiedział ksiądz, gdy gramolili się na wóz.



- To będzie Wigilia, ojciec.

- Jakiż inny dzień byłby bardziej odpowiedni? Nasz Pan sam był prawym i odważnym człowiekiem. Często musiał walczyć z różnymi przeciwnościami losu. Będziemy czynić podobnie w przeddzień Jego narodzin.

- To wszystko jest naprawdę haniebnie. Związek Zawodowy Drukarzy działał tu już wtedy, gdy Otis był jeszcze małym chłopcem i mieszkał w Marietcie, w Ohio. A teraz wyrzuca nas i szczuje jakimiś łobuzami. Czemu ludzie tak postępują?

- Chodzi o pieniądze - odpowiedział Marquez. - Magia pieniędzy i własności. To upadła ludzi. Łamie charaktery, nawet te najsilniejsze.

Mack rozmawiał z księdzem aż do północy. Marquez wyciągnął z walizki trzy noszące ślady intensywnej lektury książki - Biblię, Kapitał Marksa i Postęp i nędzę Henry George'a.

- George był redaktorem „Oakland Transcript”. Któregoś dnia w górach miał wizję, tak jak święty Paweł na drodze do Damaszku. Objawiło mu się, że podstawową przyczyną konfliktu między bogatymi i biednymi w Kalifornii jest monopol posiadania ziemi. Ludzie, którzy pracują na roli, płacą wysoką cenę za samo przeżycie. Ludzie, którzy posiadają ziemię, powiększają swe bogactwo bez pracy, kosztem innych. Żeby temu zaradzić, George zaproponował podatek od tego, co nazwał nie zapracowanym bogactwem - bogactwem powstałym wskutek wzrostu wartości ziemi.

- Nie bardzo podoba mi się ten pomysł - powiedział Mack. - Mam udziały w pewnej posiadłości, a pracuję naprawdę ciężko.

- W takim razie jesteś zapewne wyjątkiem. Ale czy będziesz nim przez całe życie?

- Nie mam ochoty na płacenie wysokich podatków...

- Nie mów jak Otis. I nie potępiaj tego, czego nie rozumiesz. Przeczytaj tę książkę. Wydano ją w siedemdziesiątym dziewiątym roku i wciąż jest wznawiana. George jest teraz na Wschodzie. Ma wielu zwolenników.

Mack zapamiętał tytuł, powiedział dobranoc i owinał się w koc. Zасыpiając widział, że ksiądz wciąż siedzi w rogu, czytając Biblię przy świetle świecy.

Następnego ranka obaj wyruszyli w stronę Pacyfiku, przecinając nową linię kolejową prowadzącą do Redondo. Wiał łagodny wiatr i z każdą chwilą robiło się cieplej, zdjęli więc płaszcze.

- Wziąłem tylko trochę jedzenia i dwie butelki z „Buena Vista” - powiedział Marquez. - Z winnicy Haraszthy'ego. Będziemy świętować Boże Narodzenie jak wygnańcy, którymi zresztą w istocie jesteśmy.

Rozmawiali wesoło. Ich znajomość zaczynała powoli przemieniać się w przyjaźń. Mack opowiedział o swym wymuszonym wyjeździe z San Francisco i o niepowodzeniach w handlu ziemią w Los Angeles. Ksiądz z kolei rozważał głośno swoje problemy z kościelnymi zwierzchnikami.

- No cóż, niech i tak będzie - zakończył. - Mimo wszystko wiem, że nie powinienem być nigdzie indziej jak tylko z moimi braćmi w Los Angeles.

- Drukarze mają rację - sprawy mogą przybrać niekorzystny obrót - stwierdził Mack. - Otis uważa, że swoboda w prowadzeniu interesów przyciągnie biznesmenów i pomoże w rozwoju miasta.

- I nie kłopotuje się tym, że robotnicy będą głodować budując jego wymarzoną metropolię.

Dotarli do rozdroża. Marquez wskazał drogę prowadzącą na południe, w stronę wybrzeża.

Mijali wciąż nowe, wielkie posiadłości przeznaczone na sprzedaż. ZATOKA LA BALLONA. ZBUDUJ DOM W

NOWYM, NAJWSPANIALSZYM PORCIE POŁUDNIA!  
Widać było jednak, że wszystkie tego rodzaju projekty zakończyły się fiaskiem albo były tego bliskie.

- Zamierzali naprawdę zbudować tu port, który zastąpiłby Wilmington - powiedział Mack. - Zaczęli nawet pogłębiać dno w zatoce. Plany były dobre, ale i tak nic z tego nie wyszło.

Przejechali obok Walterii, gdzie dwaj Chińczycy zdejmowali tabliczki z napisem AUKCJA ZIEMI - SPRZEDAŻ PONIŻEJ KOSZTÓW, po czym minęli opustoszały teren New Market. Ujrzeni wielką plantację jabłoni - pięć tysięcy młodych drzewek zasadzonych dla nowych mieszkańców, którzy nigdy nie mieli zrywać z nich owoców ani odpoczywać w ich cieniu.

Wczesnym przedpołudniem dojechali do białego, granicznego kamienia z hiszpańskim napisem. Mack słyszał dochodzący zza kępy palm szum Pacyfiku. Santan ucichł, a od strony morza wiał rześki, łagodny wietrzyk. Wkrótce znaleźli się na półwyspie, na drodze wijącej się wśród niskich wzgórz. Kiedy już je minęli, Mack zatrzymał konia, oszołomiony zapierającym dech w piersiach widokiem.

Półwysep wdzierał się w Pacyfik. Słoneczny blask odbijał się srebrzyście w błękitnej wodzie. Rozglądając się wokoło, Mack dostrzegł malutkie, drewniane domki, najpewniej należące do rybaków. W oddali, na wzniesieniu, stał ceglany dom.

- Jesteśmy - powiedział ksiądz. - To „Rancho de los Palos Verdes del Pacifico”. - Jego potężna, ciemna dłoń zatoczyła w powietrzu łuk. - Ziemia Marquezów z Hiszpanii i Meksyku. Czeka nas jeszcze prawie godzina jazdy.

- Jak duża część półwyspu należała do was, Diego? Oczywiście ksiądz rozbłysły.

- Całość.

Zbudowany z cegły oraz dębowego i sekwojowego drewna, opasany galeryjkami dom był naprawdę ogromny. Wzniesiono go w kształcie litery U, której ramiona zwrócone były w stronę lądu. Marquez oprowadził Macka po budynku. Dom miał dwadzieścia osiem pokoi. Jednego z nich używano do pieczenia chleba, w innym tkano koce i dywany, a w jeszcze innym leżakowały setki butelek wina. Kilka pełniło funkcję magazynów i spiżarni. Pozostałe służyły dawniej za mieszkanie dla wielkiej rodziny. Teraz w większości pokoi nie niepokojone niczym pająki snuły pod sufitem pajęczyny, a wśród leżących na podłodze śmieci panoszyły się szczury. Kuchnia, salon i jedna sypialnia z trzema szerokimi łózkami były mniej zakurzone od innych pomieszczeń.

- To był samowystarczalny świat - tłumaczył Marquez. - Łatwo to zauważyć, zwiedzając ten dom. Poza nim było tu jeszcze wiele innych budynków: stajnie, obory, spichlerze, garbarnia. W pobliskiej podziemnej jaskini przechowywano lód. Kiedyś, przed rewolucją angielską, mieliśmy dziesięć tysięcy sztuk bydła, trzy tysiące owiec i tysiąc rasowych koni. Statki Nowej Anglii rozwoziły to wszystko po całym wybrzeżu. Handel mięsem i skórami, który nazywano „kalifornijskimi banknotami”, kwitł w najlepsze. Na polach na wschodzie uprawialiśmy fasolę i soczewicę - wszystko, czego potrzebowało ranczo. Studnia na dziedzińcu pełna była słodkiej wody. Teraz woda jest tu mętna, śmierdząca i słona.

Nie opodal domu Marquez zastawił wnyki, w które już po godzinie wpadł tłusty królik. Ksiądz zabił go i ściągnął z niego skórę. Z przywiezionej torby wyjął marchewkę i poprosił, by Mack obrał ją i pokroił.

Nad Pacyfikiem zachodziło słońce. Usiedli na galerii na pierwszym piętrze, opierając zmęczone nogi o balustradę, i Marquez otworzył butelkę białego wina „Buena Vista”. Było ciepło, ale mimo to przepyszne.

Ksiądz zapatrzył się w kołysane wiatrem palmy.

- Mój dziadek gościł tutaj kiedyś młodego żeglarza z Harvardu, Richarda Henry'ego Danę. Mój ojciec zginął w tym domu. Kiedy Angole, ich sądy i prawnicy, ukradli naszą ziemię, pomieszało mu się w głowie.

- Przyjaciel w San Francisco opowiadał mi o tym.

- Że stał się banitą? Że przez sześć lat nekął południowe hrabstwa zabijając gringo?

- Tak.

Twarz Marqueza poczerwieniała.

- Otoczyli go tutaj. Dom został zbudowany na wzniesieniu, tak że zbliżający się jeźdźcy byli dobrze widoczni. W tym właśnie celu usunięto zasłaniające drogę drzewa i krzewy. Mój ojciec zobaczył zbliżający się oddział, lecz kiedy naliczył czterdziestu jeźdźców, odłożył swe srebrne pistolety. Wszedł na dziedziniec z odkrytą głową, nie uzbrojony. Gdy podjechali, zaczął krzyczeć, że to nasz rodzinny dom, stojący na naszej ojczystej ziemi, i że nigdy go nie odda...

Marquez ściszył głos tak bardzo, że Mack ledwie rozróżniał słowa zagłuszone przez szum oceanu.

- Strzelali do niego. W jego ciele naliczono potem sześćdziesiąt jeden kul.

- Gdzie byłeś, kiedy się to wydarzyło?

- Początkowo siedziałem w swoim pokoju. Kazano mi się ukryć. Ale potem chyłkiem wyszedłem. Widziałem Angoli krążących wokół niego. Widziałem, jak strzelali. Śmiali się... Świetnie się bawili. Ojciec upadł, a oni wciąż strzelali... Jego ciało drgało po każdym strzale... - Marquez przełknął ślinę. - Widziałem wszystko.

Wielki kondor krążył wysoko nad wodą. Po chwili zniknął im z oczu. Mack był tak poruszony opowiadaniem księdza, że nie mógł wymówić słowa.

Marquez siedział nieruchomo, ściskając w dłoniach kieliszek wina, którego nawet nie spróbował. Obserwował płynący w oddali parowiec. Słońce zachodziło powoli, rzucając na wodę świetlne refleksy.

- Tak wiele jest na świecie okrucieństwa. Tak dużo niesprawiedliwości. Wierzę, że drogi, którymi prowadzi nas Jezus Chrystus, nie wiodą na manowce. A jednak czasem - nawet często - nie prowadzą one do zwycięstwa. Wstyd mi, ale kiedy tak się dzieje, gniew zwycięża we mnie nad rozsądkiem i moja wiara słabnie...

Głos mu się załamał. Mack zobaczył, że po ciemnych, szerokich policzkach księdza spływają łzy. Marquez odwrócił głowę i szybko wypił swe wino.

Ksiądz otworzył okiennice kuchenne. Jedna z nich miała popsute zawiasy. Popatrzył na nią smutno i zostawił tak, jak wisiała.

Nadciągała noc. Powietrze było łagodne, ocean szumiał kojąco. Na drewnianym, grubo ciosanym stole stała pomiędzy nimi już druga butelka białego wina. Marquez był teraz nieco spokojniejszy.

- Doskonałe - powiedział Mack po spróbowaniu królika przyrządzonego przez księdza z marchewką i pieprzem. - Mam w San Francisco przyjaciółkę, reporterkę, której nie spodobałoby się to, że tak zachwycam się tą potrawą. Nienawidzi zabijania zwierząt.

- Nauczyłem się polować wcześniej niż czytać - powiedział pogodnie Marquez. Mack wrócił do ulubionego tematu księdza - sytuacji robotników w Kalifornii.

- Jest daleka od ideału - stwierdził Marquez. - Nawet w San Francisco, które ludzie uważają za bastion robotniczy. Prawda zaś jest taka, że konflikty już od dziesięcioleci dzielą nawet działaczy robotniczych w San Francisco.

Opowiadał o Jimie D'Arcym i jego zwolennikach. Wspomniał też o Denise Kearneyu z partii robotniczej.

- Obaj występują w imieniu robotników, ale obaj są fanatykami, broniącymi głównie swoich organizacji. Chcą zapewnienia pracy dla siebie kosztem tych, którzy mają jeszcze słabszą pozycję. Kearney mówi o tym bez ogródek: „Chińczycy muszą odejść.” To podłość - stwierdził, potrząsając głową. - Być może zbyt wiele oczekuję od ludzi. Chyba dlatego też jestem tak niepewny tego, co robię. - Westchnął i napił się wina. - A co z tobą, młody przyjacielu? Czy jesteś pewien, że zmierzasz we właściwym kierunku? Chcesz polepszyć swą sytuację za pomocą bogactwa - czy nie tak to kiedyś wyraziłeś?

- Tak. Chcę pieniędzy i tych rzeczy, które, jak mówisz, psują charakter. - Zobaczył, że Marquez uśmiecha się lekko. - Kiedy je zdobędę, nie będę jednak skąpy. Wyrastałem w biedzie. Dobrze pamiętam, co to oznacza.

- Chwalebny zamiar - mruknął Marquez. - Ale niezbyt realny.

- Nie wierzysz, że człowiek może być równocześnie bogaty i uczciwy?

- Jeżeli ci się to uda, będziesz prawdziwym wyjątkiem.

Oczy księdza mówiły, że w głębi duszy nie wierzy, by było to możliwe.

Mack przespał tę noc w łóżku w kącie sypialni. Na ścianie nad nim wisały wielkie meksykańskie, srebrne ostrogi. Z drugiej strony pokoju patrzyła nań łagodnie Madonna. „Oto dwa symbole życia tego księdza” - pomyślał.

Rano Marquez naprawił okiennicę kuchenną, po czym ruszyli w powrotną drogę do Los Angeles. Dziwna to była wigilia Bożego Narodzenia - gorąca i wietrzna. Od strony gór znowu dął silny wiatr.

- Myślałem, że santan mamy już za sobą - powiedział Mack, mrużąc oczy.

- Przyroda tak łatwo się nie poddaje. Ale zapewne santan nie potrwa już długo. W tym roku pojawił się w dość niezwykłej porze. Dawni mieszkańcy tych ziem, hołdujący starym zabobonom, powiedzieliby, że to zły znak.

Marquez uśmiechnął się i Mack odwzajemnił jego uśmiech. Polubił księdza. Nie w smak było mu tylko to, że duchowny często zachowywał się tak, jakby był sumieniem innych ludzi.

- Dziękuję za towarzystwo - powiedział Marquez, kiedy dotarli do miasta. Muszę co jakiś czas tam zaglądać. Twoja obecność uczyniła tę podróż mniej uciążliwą.

- Dziękuję za wspaniały obiad. Nawet jeśli musiałeś zabić królika.

- Jestem prawdziwym mieszkańcem Kalifornii. Wesołych Świąt, przyjacielu.

- Wesołych Świąt, Diego.

Santan zawył jeszcze głośniej. Obaj pochylili się, żeby ochronić twarz przed pyłem i piaskiem, który wirował w powietrzu.

Wyatt obudził się na podłodze swego biura i natychmiast poczuł taki smród, że zrobiło mu się niedobrze. Przypomniał sobie poprzednią pijacką noc... Zakreśliło mu się w głowie i upadł twarzą prosto w wymiociny.

Karłowaty właściciel sklepu w Newhall odwiedził go wczoraj w towarzystwie kilku ludzi, domagając się, żeby zapłacił rachunki San Solaro. Od kilku miesięcy brali wszystko na kredyt. Wyatt usiłował ułagodzić gości, ale jego urok tym razem na nic się nie zdał. Sklepikarz zapowiedział, że wezwie komornika. Sukinsyn.

Wyatt podniósł się i oparł o ścianę. Włosy opadały mu na czoło. Wciąż czuł wokół opary alkoholu. Może rzeczywiście



w biurze śmierdziało winem, a może tylko tak mu się zdawało. Na biurku dostrzegł rachunki, które czekały na zapłacenie - one z pewnością były prawdziwe. Na ścianie wisiał wykaz sprzedanych działek - widomy znak klęski. Ze złością zerwał kartkę i podarł ją na strzępy.

Pod biurkiem stała butelka. Na dnie pozostały jeszcze ze dwa cale ciemnoczerwonego wina. Spragniony, w mgnieniu oka opróżnił flaszkę. Zegar na ścianie wskazywał wpół do dwunastej. Wzrok Wyatta spoczął na dokumentach, w których wyszczególniono opłaty za kupno ziemi, na stosy ponagleń do zapłacenia rachunków i na listy grożące wstąpieniem na drogę sądową. Jednym ruchem dłoni zmiotł je z biurka.

Wszystko było skończone. Dobrze o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że z tygodnia na tydzień sytuacja staje się coraz gorsza. Ukrywał to przed wszystkimi. Przed swym świętoszkowatym współnikiem, którego czasem podziwiał, a czasem nienawidził. Przed Carlą Hellman. A także - za pomocą alkoholu - przed samym sobą. Wrócił myślami do przeszłości. Przypomniwał sobie sceny z Osage, z Kansas i początki San Solaro. Otworzył drzwi biura.

Santan powrócił, przemieniając dzień w noc. Chorągiewki oznaczające granice działek łopotały na wietrze. Wyatt rozplakał się. Wszedł do namiotu i znieruchomiał, ujrawszy przed sobą matkę. Błądą, pobożną, milczącą, lecz kochającą...

- Odejdź - krzyknął i złudzenie prysło. Włóczył się ulicami swego umierającego marzenia. Miasta duchów - tak Indianie Escrow nazywali opuszczone posesje. Znów zobaczył matkę, stojącą na pobliskiej działce. Krzyknął i jej postać od razu zniknęła. „O, tak, miasto duchów” - pomyślał.

We włosach miał pełno piasku. Pył wdzierał mu się także do oczu, zatykał usta. Na skrzyżowaniu dwóch ulic dostrzegł butelkę. Uradowany podbiegł do niej i podniósł. Była pusta. Roztrzaskał ją o ziemię.

Wiatr przytargał do jego nóg wielki kawał tektury z napisem: OPERA SAN SOLARO. Potknął się i upadł, rozdzierając ją na pół. Wiatr porwał kawałki tektury, unosząc je gdzieś w dal. Nagle stwierdził, że siedzi w kącie pokoju, za oknem są śnieżne zasy, a matka owija jego nagie, chude ciało w mokre prześcieradła. „Zostaw mnie samego” - wrzasnął.

Tym razem nie usłuchała go. Czuł, jak jej ręka sprawdza frenologiczne ukształtowanie jego czaszki: wypukłości świadczące o inteligencji, stanowczości, skłonności do grzechu, złym charakterze. Potem zobaczył ją w gaju pomarańczowym, spoglądającą nań smutno i poważnie...

Przeszłość znów zawirowała przed jego oczami. Czuł ból w genitaliach i miał straszliwe rozwolnienie z powodu tych wszystkich rzeczy, które w niego wmusiła: syropu pepsynowego, kalomelu, oleju rycynowego...

„Zdrowie i czystość radują Boga, Wyatt. Modłę się nocami, aby twoje ciało było zawsze czyste i zdrowe, mój kochany chłopcze. Połknij to.”

Matka wołała go z pomarańczowego gaju. Mamrocząc coś pod nosem, zaczął iść w jej stronę. Mack nie wymienił pomarańczy, niech go diabli. Były teraz brązowe i pomarszczone.

Wyatt zrywał pomarańcze z drzew, rozrzucając je wokół siebie. Niektóre potoczyły się w stronę drogi. Wkrótce całe zbocze pokryło się owocami.

- Tracę czas w tym miejscu. Za dużo problemów. Za dużo przepisów. To powinno iść łatwiej. Ale nie tu! Nie tu! - Zaczął krzyczeć, zwracając się do wszystkich, którzy zmówili się chcąc, żeby przegrał: Mack, matka, Carla, klienci. - Nie tu! Do diabła z tym miejscem!

Kiedy odzyskał zmysły, stał na dnie wyschniętego kanału. Matka stała nad nim, trzymając w ręku butelkę mlecznobiałego kalomelu. Wyciągnęła ją w jego stronę z

czułością i dumą, jakby było to coś najwspanialszego na świecie. Racja: zdrowie jest najważniejsze. A San Solaro trudno nazwać zdrowym miejscem.

- Niech je piekło pochłonie. I ciebie razem z nim.

Echo jego wrzasków mieszało się z wyciem szalejącego wiatru. Stał w pyle w zapiaszczonym, poplamionym winem i wymiocinami ubraniu.

- Do diabła z tobą! Do diabła z tobą! - krzyknął, wznosząc pięści ku niebu.

Następnego dnia około trzeciej po południu wiatr ucichł równie nagle, jak się zaczął. Mack jechał wolno, marząc o kąpieli. Wreszcie dotarł do bramy Miasta Zdrowia. W San Solaro panowała dziwna cisza. Martwa, niepokojąca cisza. I coś jeszcze... Tekturowe tablice były nie tylko przewrócone, ale podarte na drobne kawałki. Kije od chorągiewek zostały wyrwane i połamane. Targany coraz większym niepokojem jechał szybko przez Grande Boulevard. Działka po działce, parcela po parceli ktoś systematycznie niszczył wszystkie znaki zaplanowanego miasta.

- Wyatt? Odpowiedziało mu tylko echo.

Zobaczył przewrócony namiot. Przecięte nożem liny świadczyły, że zrobiono to celowo.

Mack wbiegł do biura i zatrzymał się na widok przyczepionej do drzwi kartki. Zerwał ją, nie mogąc uwierzyć w napisane na niej słowa. Czy Wyatt oszalał?

**TO WSZYSTKO JEST TWOJE.** Niewątpliwie zostało to napisane ręką jego współnika.

Mack rozejrzał się dokoła. Nigdzie nie pozostała ani jedna tablica, ani jedna chorągiewka.

Wszystko twoje.

- Gwiazdkowy prezent - powiedział do siebie na poły ze zdumieniem, a na poły z przerażeniem.

## Rozdział 22.

Papiery leżały na biurku w starannie ułożonych, równych stosach, wszystkie unieruchomione przyciskami z brązu. Prawnicze książki na półce robiły wrażenie często używanych. W biurze Enrique'a Pottera, na drugim piętrze w „Baker Block”, wszystko mówiło o zamożności i pracowitości właściciela. Nad biurkiem, ponad notatkami, listami i kontraktami, wisiała oprawiona fotografia przedstawiająca otyłą kobietę i pięcioro dzieci. Wszyscy uśmiechali się radośnie do niewidocznego fotografa.

Potter zaciągnął się długim cygarem, spoglądając równocześnie na leżącą przed nim umowę.

- Absolutnie zgodna z prawem, panie Chance. Może pan wykupić udziały swego współnika za jednego dolara.

- Pod warunkiem, że nie wróci.

- Czyżby pan sądził, że może się znów pojawić?

- Nie. Zgodnie z zawieranymi umowami Wyatt miał wpłacone mu pieniądze umieszczać w depozycie w banku. A on umieścił je na swoim prywatnym koncie w banku „Farmer and Merchant”. Nie mam pojęcia, ile tego było, ale przypuszczam, że niemało.

- Nie wiedział pan przedtem o jego prywatnym koncie?

- Nie. Wyatt utrzymywał takie rzeczy w tajemnicy. Wstąpiłem do banku, zanim tu przyszedłem. Nie ujawniono mi ostatniego stanu konta, ale sprawdzono, że Wyatt podjął wszystko pierwszego dnia po świętach.

- Nie zdawali sobie sprawy, że był to depozyt Towarzystwa Rozwoju San Solaro?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć.

- Czy wpłaty były dokonywane gotówką?

- Połowa tak.

- A co z resztą? Czekami? Na kogo były wystawione? Na Towarzystwo? Z zaznaczeniem, że to depozyt?

- Nigdy nie widziałem takiego czeku. Zawsze trafiały bezpośrednio do Wyatta.

- Nie wydawało się to panu dziwne?

- Zbyt słabo się w tym orientowałem, panie Potter.

- Muszę przyznać, że przyjmuje pan to zdumiewająco spokojnie.

- Nic nie poradzę na to, co się stało. Mogę tylko nauczyć się czegoś na przyszłość. Prawnik z Durango spoglądał na swego gościa z coraz większym szacunkiem. Macklin

Chance, choć biednie ubrany, z pewnością nie należał do durniów. Był przedsiębiorczy i niewątpliwie inteligentny. Nie trzeba niczego tłumaczyć mu więcej niż raz.

- Jak dużo działek sprzedało Towarzystwo? - zapytał Potter.

- Tylko trzydzieści osiem.

- Po jakiej cenie?

- To zależało od lokalizacji. Najniżej położone poszły po dwieście pięćdziesiąt dolarów. Działka przy kanale za pięćset pięćdziesiąt.

- Ile zwykle wynosiły wpłaty gotówkowe?

- Wyatt żądał dwudziestu procent, ale niekiedy opuszczał do dziesięciu czy nawet pięciu, byle tylko sfinalizować umowę.

- Tak więc w przypadku najdroższej działki kupujący stracił najwyżej sto dziesięć dolarów. Pański wspólnik nie zabrał zatem zbyt dużej sumy.

- Każda suma jest w tej sytuacji duża - powiedział Mack, rzucając prawnikowi niewesołe spojrzenie. - Poza tym ukradł więcej niż tylko złożone do depozytu zaliczki. Siedemnaście działek sprzedał za pełną cenę. Domagał się wpłaty całej sumy w momencie podpisywania umowy.

Na wargach Pottera pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Tych siedemnastu nabywców działek nie stanowi specjalnego zagrożenia. Nie stawiali przy transakcji żadnych dodatkowych warunków, a parcele, które kupili, naprawdę istnieją. Główne niebezpieczeństwo to ci, co kupno działek uzależniali od spełnienia dodatkowych warunków, a teraz utracili pieniądze złożone w depozycie. Chodzi o stosunkowo małe sumy, ale nie ma gwarancji, że uda się panu ich udobruchać. Ludzie robią się nerwowi, gdy idzie o ich pieniądze. To jest podstawowy problem. Jeżeli chce pan zatrzymać tę posiadłość, musi pan też wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystko.

- Chcę - powiedział Mack bez wahania. Prawnik strzepnął popiół do popielniczki.

- Zmianę właściciela posesji trzeba potwierdzić w sądzie. Jeśli pan sobie życzy, mogę się tym zająć.

- Za ile? Potter roześmiał się.

- Oto bystry klient. Należy pytać prawnika o jego wynagrodzenie przed rozpoczęciem sprawy, a nie po jej zakończeniu, bo zdarza się, że honorarium rośnie wtedy kilkakrotnie. Dziesięć dolarów plus należne opłaty sądowe.

Mack skinął głową na znak zgody. Siedział trzymając kapelusz między kolanami, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z szoku po zniknięciu Wyatta. Od Bożego Narodzenia minęły trzy dni. Przyjechał do Los Angeles na Railroadzie, aby znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Przede wszystkim na najważniejsze: co robić dalej?

- Pańscy wierzyciele... - zaczął Potter.

- Podliczyłem wszystko ostatniej nocy. Tysiąc sto siedemdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia pięć centów.

- Człowiek, który liczy centy, musi być uczciwy.

- I kiedyś musiał być biedny. Kiedy brakuje nawet centów, człowiek uczy się je liczyć. Najwięcej winien jestem

firmie mierniczej. Zapłacę wszystkie długi, gdy tylko będę mógł. Ale nie chcę utracić ziemi.

- Ilu jest wierzycieli?

- Pięciu czy sześciu.

- Proszę dać mi listę. Zajmę się tym. - Potter uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy Macka. - Niech się pan uspokoi, nie wezmę honorarium. Czasem pracuję za darmo, jeżeli sądzę, że w przyszłości zrobię na tym dobry interes. Czuję, że pan jest klientem, w którego warto zainwestować.

- Dziękuję panu. Nie jestem pewien, czy zasługuję na takie zaufanie...

- Fałszywa skromność. Oczywiście, że tak. Mack poczerwieniał i zawstydzony zakaszłał, po czym wybuchnął śmiechem.

Zaśmiał się również Potter. Po chwili jednak spowaźniał.

- Nie wiem, co zamierza pan zrobić z San Solaro, panie Chance. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co w ogóle mógłby pan zrobić. To cenny towar w czasach prosperity, nawet jeśli pański wspólnik miał tylko blade pojęcie o tym, czego potrzebuje powstające miasto. Niestety, nasi Indianie Escrow działają właśnie w ten sposób. Teraz jednak nastały dla nich kiepskie czasy. Mam klienta w Newhall, widziałem więc pańskie San Solaro. Ze względu na nie najlepsze położenie powiedziałbym, że ten teren nadaje się tylko na pastwisko.

Te cicho wypowiedziane słowa zaboląły Macka. Potter oddał mu umowę z Wyattem. Mack wyciągnął z kieszeni przewodnik T. Fowlera Hainesa. Nie umiałby wytłumaczyć, czemu nosił go ze sobą. Po prostu potrzebował tego. Enrique Potter popatrzył na książkę z nie ukrywanym zdumieniem, ale Mack niczego nie wyjaśniając wsunął umowę między kartki przewodnika i schował go. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Mack

popatrzył w okno. Wokół świecącego ponad dachami zimowego słońca pełno było szarych chmur.

- Być może jednak jest w tej ziemi coś cennego - odezwał się po chwili Mack. - Na przykład ropa...

- A więc siedzi pan na ropie? A co pan wie o sposobach jej wydobywania?

- Nic.

- Zważywszy na pańskie kłopoty finansowe, panie Chance, może nadszedł czas, by się tego nauczyć.

Mack pojechał na Railroadzie do „Timesa”. Po drodze minął wóz wypełniony nowo wydrukowanymi gazetami. Dziennikarze i interesanci wchodzili i wychodzili z redakcji przez nikogo nie niepokojeni. Czterej pikietujący drukarze przechadzali się wolno przed budynkiem. Mack rozpoznał jednego z nich.

- Dzień dobry. Czy widział pan ojca Marqueza?

- Był tu do południa. Znów zaczęły się kłopoty.

Railroad zastrzygł uszami.

- Jakie kłopoty? - zapytał Mack. Robotnik splunął gęstym tytoniowym sokiem.

- Dzień po Bożym Narodzeniu ojciec Diego ponownie spotkał się z Otisem. Usiłował powstrzymać go przed wejściem do środka. Padło wiele ostrych słów i Otis wezwał swoich łotrów. Powiedzieli mu, że miejsce księdza jest na ambonie, a nie przy robotniczych sporach. Zaczęli popychać Marqueza, on zaś odpowiedział im tym samym...

- Wyglądało to naprawdę niebezpiecznie - wtrącił się inny mężczyzna. - Ale skończyło się na małej utarczce słownej. Padło dużo gróźb.

- Ktoś zadbał o to, żeby się spełniły - powiedział drukarz, z którym Mack zaczął rozmowę.

- Tak, ale nigdy nie udowodnisz, że Otis miał z tym coś wspólnego.



- O czym mówicie? - zapytał Mack.

- Dziś rano nadeszła wiadomość, że ostatniej nocy ktoś spalił rodzinny dom Marquezów. Ojciec Diego wyruszył tam godzinę temu.

Zobaczył dym na długo przed tym, nim ujrzał ranczo. Długie, wąskie strużki dymu ulatywały w niebo czyniąc je tak czarnym, jak ciemne były plamy mchu na olbrzymich skałach w dolinie Yosemite.

Mack nie miał ostróg, ale tak poganiał Railroada obcasami, że cały pysk muła pokrył się pianą. Nad półwyspem unosiły się deszczowe chmury.

Muł wspiał się na ostatnie wzgórze. Mack zatrzymał się wstrząśnięty tym, co zobaczył. Nie było już domu, w którym spędził noc, lecz tylko zgliszcza i osmolone belki i gruz. Nad ruinami górował jedynie komin, niczym pomnik na cmentarzu. Powietrze przesycone było zapachem spalenizny.

Zobaczył osiodłanego konia przywiązanego do zniszczonej studni. Nigdzie jednak nie było widać księdza. Popędził Railroada i zjechał ze zbocza.

- Diego? - zawołał, gdy dotarł do studni. - Diego, gdzie jesteś? Zaczęło kropić. Mack uniósł się w siodle, by lepiej przyjrzeć się ruinom. Na wschodzie błysnęło i rozległ się grzmot.

- Diego? - powtórzył.

Ksiądz wynurzył się zza komina. Zachwiał się i oparł ręką o kupę gruzu. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał upaść. Jego ciemne włosy rozwiewał wiatr. Mack zeskoczył z muła i przywitał się z przyjacielem.

- Usłyszałem w mieście, co się stało. Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy... - Spojrzał Marquezowi w oczy i ujrzał w nich nienawiść. - Mój Boże, Diego, kto to zrobił?

- Nikt, kogo mógłbym odnaleźć i postawić przed sądem - powiedział gorzko ksiądz.

- Nie sądzisz chyba, że to z polecenia Otisa?

- Oczywiście, że nie. Pułkownik Otis jest jak Piłat. Po co miałby się w to mieszać? Wolał umyć ręce. Wiedział, że motłoch go zastąpi.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Marquez machnął ręką.

- Oto w jaki sposób karzą tych, którzy mają czelność występować przeciwko nim. Nigdy nie można pokonać ich uczciwą drogą. Nie zwycięża się nadstawiając drugi policzek. Zwyciężają tylko ci, którzy walczą naprawdę. A ja nie mogę walczyć, uwięziony w czymś takim.

Szarpnął koloratkę, że aż rozległ się trzask rozdieranej tkaniny. Marquez opuścił rękę. Końce rozerwanej koloratki powiewały na wietrze.

Mack zadrżał, ujrzawszy w oczach księdza zupełnie nowy wyraz. Z jego wzroku zniknęły współczucie i uprzejmość, zastąpione przez zimny gniew.

- O czym ty mówisz, Diego? Co zamierzasz zrobić?

- Co zamierzam zrobić? - powtórzył Marquez z sarkazmem. Cisnął koloratkę w popioły. - Od tej chwili będę walczył z nimi zgodnie z ich zasadami, a nie z zasadami Boga. Wypowiadam im wojnę.

Zaczął padać zimowy deszcz. Ulewa ugasiła żarzące się jeszcze gdzieś pogorzeliśko i wystudziła nadpalone belki. Używając ich, Mack zbudował prowizoryczny szałas - za dach posłużył mu przywieziony na siodle koc. Marquez nie zwracał uwagi na jego wysiłki, chodził bez celu po stromym urwisku. Mack bał się nawet, że ksiądz może rzucić się ze skały. Kiedy po jakimś czasie powrócił, Mack poczęstował go wyciągniętymi z juków sucharami, ale Marquez nie tknął jedzenia. Przez cały czas milczał. Mack spędził niemal bezsenną noc, bez powodzenia próbując zasnąć pod skąpym przykryciem. Marquez pozostał na deszczu - kompletnie przemoczony patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Rano był już nieco spokojniejszy. Uścisnął Mackowi rękę i poklepał go po drżących z zimna plecach.

- Doceniam twoją życzliwość, ale chciałbym, żebyś mnie teraz zostawił samego. - Nie mogę tak po prostu odjechać... - Mack kichnął.

Ksiądz uśmiechnął się słabo.

- Jedź. Zrób, o co proszę. Nie chcę mieć ciebie na sumieniu. Mam jeszcze coś do załatwienia.

Kapelusz Macka ociekał wodą. Popatrzył Marquezowi w oczy, próbując odgadnąć jego zamiary. Co miał na myśli, mówiąc o wojnie? Dokąd teraz pójdzie?

- Zostaw mnie - powtórzył ksiądz. Jego głos brzmiał zimno i zdecydowanie. Mack wymamrotał coś i osiodłał Railroada.

Kiedy wjechał na najbliższe wzgórze, obejrzał się. Marquez klęczał na deszczu wśród ruin ze złożonymi rękami i opuszczoną głową. Mack czuł, że Bóg, do którego ksiądz się modli, nie jest Bogiem miłosierdzia i przebaczenia.

## Rozdział 23.

Następnego wieczoru Mack zajął się przeglądaniem papierów pozostawionych przez Wyatta.

Wyciągnął z szuflad wszystko: księgi handlowe, nie otwarte listy, notatki, które Wyatt sporządzał dla samego siebie. Znalazł kartkę, na której jego wspólnik notował pomysły na rozreklamowanie San Solaro: „wycieczka przy świetle księżyca”, „kolacja z szampanem” - pomysły, których nigdy nie zrealizował. Księgi były poplamione i wypełnione niestarannym pismem. Większość listów pochodziła od wierzycieli domagających się spłacenia długów. Papiery te świadczyły, że Wyatt był człowiekiem tyleż inteligentnym, co niekonsekwentnym i pozbawionym skrupułów. Mack pomyślał, że w głębi duszy tak właśnie zawsze oceniał swego wspólnika. Nie chciał jednak dotąd nawet sam przed sobą przyznać, że Wyatt jest nie tylko człowiekiem o niebezpiecznie chwiejnym charakterze, ale po prostu przestępcą.

W szumie deszczu usłyszał nagle stukot końskich kopyt. Wziął lampę naftową i stanął z nią w drzwiach. Z nocnego mroku wynurzył się powozik o żółtych kołach. Carla zeskoczyła z kozła, trzymając w ręku ociekający wodą parasol, który słabo ochraniał ją od deszczu. Jej mokre włosy pociemniały. Była wyraźnie podekscytowana.

- Przyjechałam, kiedy tylko się dowiedziałam. Głośno o tym w całym hrabstwie. To prawda, że Wyatt zwiął?

- Prawda. Wejdz.

Krople deszczu bębniły głośno o dach. Carla strząsnęła wodę z parasola.

- Wygląda na to, że jeszcze nie spałeś... - zaczęła.

- Ostatnio mało sypiam. Przeglądałam dokumenty - wskazał na stosy papierzysk. - Próbuję odkryć, kogo oszukał. - Uderzył pięścią w stół. - Kto dał mu pieniądze na zakup ziemi? Oto

zasadnicze pytanie. Jak, do diabła, zdobył trzydzieści tysięcy dolarów?

- Z pewnością nie dowiesz się tego krzyżąc. - Postawiła parasol w rogu biura i poprawiła strój. - Czy okażesz się na tyle dobrze wychowany, aby poprosić mnie, żebym usiadła?

Mack wskazał jej krzesło.

- Co teraz będzie, Mack? Czy Wyatt zostawił ci długi?

- Owszem. Mam dobrego prawnika w Los Angeles, który się tym zajmuje. Zamierzam spłacić wszystkie długi, o ile wierzyciele zgodzą się poczekać. - Usiadł na biurku, dopiero teraz czując, jak bardzo jest zmęczony. Wywołana wstrząsem energia zaczęła się wyczerpywać. Potarł dłonią czoło. - Przykro mi, ale nie mam wina, żeby cię poczęstować. Nie za wiele zostało też jedzenia.

Carla bezwiednie przygładziła ręką włosy.

- Nie przyjechałam tutaj jeść i popijać wino... - Jej ciemnoniebieskie oczy, co zauważył z niepokojem, wyraźnie mówiły, w jakim celu przybyła. - Do kogo należy San Solaro teraz, po ucieczce Wyatta? - zapytała po chwili.

Opowiedział jej o umowie, którą spisali. Gdy skończył, klasnęła w dłoń.

- A więc teraz to twoja własność. Wiedziałam, że odniesiesz sukces.

- O, tak - powiedział gorzko. - Zamiast dwudziestu, mam obecnie sto procent niczego.

- Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, żeby spłacić wierzycieli - ja je mam. Więcej niż potrzeba. Są twoje.

- Ale ja sam chcę zarobić pieniądze na spłatę długów. Jej oczy błysnęły.

- Pogniewałabym się na ciebie, ale jesteś tak obłędnie uczciwy, że to aż śmieszne. - Pochyliła się w jego stronę i pocałowała go lekko w usta. Mokre włosy połaskotały go w policzek.

Poczuł bijący od jej ciała zapach piżma.

- Jesteś równie uparty jak stary Swampy. Możemy porozmawiać o tym później. Teraz zajmiemy się nagłą sprawą, która czeka na rozwiązanie już od wielu tygodni.

Znów go pocałowała. Tym razem pocałunek był dłuższy. Mimo zmęczenia, jego ciało zareagowało od razu.

- Przyjechałam tu, bo wiedziałam, że będziesz sam. Nareszcie. Nigdy nie należałam do Wyatt, wbrew temu, co sądziłeś.

Wolno, pieściliwie przesunęła językiem po jego policzku.

- A więc teraz przypomnę ci... - Jej ręka przesunęła się niżej. Roześmiała się. - Wyatt zniknął. Nikt nam nie przeszkodzi. Papiery mogą poczekać.

- Carlo...

- Nie, Mack. Żadnych protestów. Zawsze zdobywam to, czego chcę. A teraz pragnę właśnie ciebie.

Jej ręka wciąż spoczywała między jego nogami. Nie panując już nad sobą, Mack chwycił jej twarz w dłonie i zaczął ją gwałtownie całować. Długo tłumione pożądanie zawładnęło nim bez reszty.

Nie wypuszczając jej z objęć, zgasił lampy.

- Nie tutaj - powiedział. - To należało do niego. W namiocie.

- Nie, nie mogę czekać. Nie chcę czekać.

Carla pochylała się nad jego piersią. Siedziała na nim okrakiem, a jej uda poruszały się rytmicznie, to unosząc się, to opadając. Jedną ręką Mack obejmował ją w talii, drugą zaś pieścił jej piersi. Pod palcami czuł twarde, nabrzmiałe sutki. Namiętność porwała ich oboje. Carla odrzuciła do tyłu głowę i przygryzła wargi. Rozpuszczone włosy opadły jej na plecy.

Nagle chwycił ją obiema rękoma, uniósł i położył na łóżku. Krzyknęła zaskoczona i podniecona, kiedy objął jej uda swoimi nogami. Jej opalone ciało drżało z niecierpliwości.

Położył się na niej, ani na chwilę nie przestając jej całować. Wyciągnęła rękę i poprowadziła go do środka.

Krzyknęła i zamknęła oczy. Mack tonął w zapachu jej ciała, w jego miękkości. Jej ręce obejmowały jego plecy, pięty uderzały w pośladki. Wszedł w nią jeszcze mocniej i głębiej. Wznosili się coraz wyżej, aż na sam szczyt.

Zmęczony zasnął w jej ramionach.

Burza przybrała na sile. Ulewny deszcz bębnił w dach. Błyskawice rozświetlały nocne niebo, a jednostajny szum padających kropli przerywały grzmoty.

Delikatnie dotknął krągłego, zmysłowego ciała Carli, pocałunkiem muskając jej plecy. Przebudziła się, mrużąc coś. Czując jego rękę, zaśmiała się cicho.

- Poczekaj... - odepchnęła go.

Uniósł się na łokciu.

- Na co?

- Czy masz jeszcze tę złotą wstążkę? Chcę ją zawiązać.

Wchodząc drugi raz w głąb jej ciała czuł, jak cała się przed nim otwiera, rozpalona, wilgotna z podniecenia. Była niezwykła - to łagodna, to znów gwałtowna. Na zmianę biła go i głaskała, szepcząc mu do ucha słowa, które sprawiały, że podwajał swoje miłosne wysiłki.

Gdy zbliżali się do orgazmu, do ich uszu dotarł nowy dźwięk. Po chwili Mack odgadł jego źródło - to suchy kanał wypełnił się wodą, która rwącym potokiem spływała ze wzgórz.

- Kocham cię, kocham! - krzyczała Carla.

Pełne ciemnoszarych chmur popielate niebo co chwilę zraszało ziemię przelotnymi deszczami. Do kanału ze wzgórz

bez przerwy spływała Woda, tworząc gdzieś olbrzymie stawy.

Powietrze było chłodne i orzeźwiające. Szli wzdłuż kanału, Carla ścisnęła go za ramię. Jej piękna, czysta, wolna od różu i makijażu twarz błyszczała świeżością i zadowoleniem. Zaczesane do tyłu włosy przewiązała wstążką. Mack nigdy dotąd nie widział jej takiej: zaspokojonej, cichej i łagodnej.

Z uwagą wpatrywał się w wodę.

- O czym myślisz?

- Poczujesz się urażona.

- Nie, powiedz.

- Myślę o tym. - Skoczył do kanału i znalazł się po kolana w mulistej wodzie. Teraz przynajmniej kanał stał się taki, jak go opisywał Wyatt w swej kłamliwej ulotce. - Woda! - krzyknął, wyrzucając w górę ramiona. Pamiętał, co o znaczeniu wody mówił Marquez i stary Indianin w Wheatville.

Carla patrzyła na niego zaskoczona, on zaś brodził w wodzie, rozpryskując ją wokół siebie.

- Gdybyśmy mieli tyle wody przez cały czas - zawołał - ta ziemia nie byłaby bezwartościowa. Wyatt obiecywał to kupującemu, ale nie miał zielonego pojęcia, jak to zrobić. Ja zaś zamierzam się tego dowiedzieć.

Zmęczony i mokry wdrapał się na brzeg.

- No więc powiedziałem ci, o czym myślę. I co, uraziło cię to, prawda?

- Tylko trochę - odparła rozbawiona. Zdobyłam to, czego pragnęłam. - Niespodziewanie pogłaskała go po policzku. W jej oczach błysnął niepokój. - Czy było ci dobrze, Mack? Powiedz mi, że tak. Chyba w niczym innym nie jestem tak dobra.



Mack wspomniał nagle Nellie. Co powiedziała o kobiecie, która tak nisko się ceni? Z pewnością wściekła się. Cóż ma jednak zrobić Carla, skoro tak to właśnie czuje? Wygląda teraz na całkowicie bezbronną i niepewną siebie, jak dziecko.

Nietrudno było ją uspokoić.

- Było mi dobrze - uśmiechnął się. - Bardzo dobrze.

- A więc wracajmy...

- Nie, Carlo. Na dzisiaj koniec. Muszę przebrnąć przez resztę tych przeklętych papierów i postanowić, co zrobić z tą ziemią.

- Powiedziałam, że nie musisz się tym kłopotać. Mam dość pieniędzy dla nas obojga.

- Wziąłem już od ciebie wszystko, co mogłem.

Ostry ton jego głosu sprawił, że jej uległość w jednej chwili znikła. Powróciła dawna znajoma Carla. Uśmiechnęła się w sposób tajemniczy, sarkastyczny.

- Na razie - powiedziała, całując go. Ruszyli z powrotem w stronę biura.

- Kiedy cię znów zobaczę, Mack?

- Nie wiem. Może wtedy, gdy doprowadzę to wszystko do porządku. Kiedy odjechała, z irytacją uświadomił sobie, że włosy wciąż miała związane złotą wstążką.

W Nowy Rok Mack znalazł starą kopertę zawierającą gazetowy wycinek. Leżała na samym dnie najniższej szuflady, razem z kosmykiem ciemnych włosów zawiniętych w tanią kobiecą chusteczkę, świadectwem urodzin z hrabstwa Osage w Kansas oraz małym owalnym dagerotypem przedstawiającym młodą kobietę o zmęczonej twarzy i sztucznym, wymuszonym uśmiechu. Wycinek pochodził z listopada 1887 roku z „San Diego Bee”.

„Sensacyjne morderstwo! Zwłoki Don Ysidora Sternsa odkryte w jego rezydencji! Zmasakrowane ciało bogatego i

powszechnie szanowanego Don Ysidora Sternsa, wieloletniego mieszkańca San Diego, odkryto w poniedziałek rano na Rancho de la Bahia - w rodzinnym domu Sternsów od dziewięćdziesięciu lat. Z policyjnego raportu wynika, że Don Ysidor został pobity na śmierć. Zgładzono go w wyjątkowo brutalny sposób. Don Ysidor, wdowiec, mieszkał sam - jego dzieci i wnuki zamieszkują w innych częściach Kalifornii. Regularnie uczęszczał na niedzielną mszę do swojego kościoła. Kiedy nie pojawił się tam ostatniej niedzieli, ojciec Anselm Gruder, obawiając się, że jego parafianin zachorował, odwiedził w poniedziałek rano jego rezydencję i znalazł zwłoki. Nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na włamanie. Policja odkryła jednakże wielką metalową kasetę z wyłamany zamkiem. Don Ysidor był człowiekiem zamożnym. Zainwestował poważne sumy w budowę linii kolejowych w San Diego i w syndykat Elisha Babcocka, który zbudował okazały Coronado Hotel."

Mack położył poźółkły wycinek na biurku. Drżały mu ręce.

- Niech cię diabli, Wyatt. Niech cię diabli.

Teraz wiedział już, skąd Wyatt wziął pieniądze na kupno San Solaro, choć wciąż nie rozumiał, w jaki sposób oczarował on swą przyszłą ofiarę tak, że został wpuszczony do domu.

Nazajutrz po Nowym Roku pojechał do Los Angeles. Odwiedził Pottera i dał prawnikowi starą kopertę, zapieczętowaną kilkoma kroplami wosku.

- Może pan to schować w swoim sejfie?

- Oczywiście. Co to jest?

- Rodzinne papiery. Nic ważnego.

Enrique Potter pokiwał głową, położył kopertę przed sobą i uśmiechnął się przyjaźnie do Macka.

- Szczęśliwego Nowego Roku. Z pewnością zapowiada się dla pana lepiej niż poprzedni.

- Nie wiem, z czego pan tak wnioskuje. Towarzystwo Rozwoju San Solaro jest dłużnikiem tych wszystkich ludzi, którzy wpłacili zaliczki...

- Tak, ale spójrzmy na to z praktycznego punktu widzenia. Jak wielu z nich mieszka w pobliżu?

Mack przebiegł w myśli listę.

- Nikt.

- A więc będą musieli znowu tu przyjechać, albo przynajmniej wynająć adwokata w Kalifornii, żeby wystąpić przeciwko panu sędownie. Zważywszy na małe sumy, o jakie chodzi, może się zdarzyć, że nigdy się tu nie zjawią. Zresztą, jeśli będzie trzeba, mogę z pomocą kruczków prawnych odwlec sprawę.

- Niech więc pan tak zrobi. Oddam te wszystkie pieniądze. Z procentem. Ale wciąż pozostają długi u miejscowych wierzycieli. Tysiąc sto siedemdziesiąt trzy dolary...

- Nie. Tych sześciu wierzycieli zostało spłaconych. San Solaro nie ma więc żadnych niecierpiących zwłoki płatności.

Mackowi wydało się, że się przesłyszał.

- Nie ma... ?

- Żadnych długów. Posiadłość jest pańską własnością i może pan z nią zrobić, co tylko pan zechce.

- Potter, co się tu do diabła dzieje? Prawnik otworzył szufladę.

- W sylwestra odwiedziła mnie pewna młoda, bardzo piękna kobieta. Powiedziała mi, że jest pańską wspólniczką. Dała mi tysiąc sto siedemdziesiąt trzy dolary gotówką. Nie wspomniałem jej o dwudziestu pięciu centach.

Mack nawet nie usłyszał ostatniego żartu prawnika.

- Nie mam żadnych wspólników - wybuchnął. - Z wyjątkiem Wyatta.

- Też tak myślałem. Jednakże bardzo nalegała na to, by panu pomóc. Dla pańskiego dobra spisałem z nią krótką umowę. Wynika z niej, że pożyczka, której udzieliła, jest bezprocentowa, że nie ma określonej daty zwrotu i żadnych dodatkowych warunków. Inaczej mówiąc, można zwrócić pieniądze jutro albo nigdy. Nie spodziewałem się, że zechce podpisać taką umowę, ale uczyniła to bez zmruczenia oka.

Wyjął z biurka zrolowany i przewiązany złotą wstążką dokument. Mack rozwinął papier. Pod tekstem umowy zobaczył podpis Carli.

- Córka Otto Hellmana - powiedział Potter. - Bardzo intrygujące.

- Do diabła, jak mogła mi to zrobić?

- Sądziłem, że będzie pan zadowolony. Już spłaciłem wierzycieli. Nie mogę wrócić teraz do nich i powiedzieć, że chce pan odzyskać pieniądze i znów się u nich zadłużyć. Obawiam się, że będą woleli zatrzymać gotówkę. Prawdę mówiąc, nie rozumiem pańskiej reakcji.

- Sprawy osobiste. Przepraszam. - Mack zerwał się z miejsca tak szybko, że niewiele brakowało, a przewróciłby krzesło. - Proszę, niech pan znajdzie kogoś, kto miałby baczenie na San Solaro. Wyjeżdżam na jakiś czas, żeby zdobyć pieniądze na zwrot depozytów i dalszy rozwój posiadłości. Kiedyś zapłacę panu za te wszystkie starania.

- Nie ma pośpiechu. Traktuję to jak inwestycję na przyszłość. Jak będziemy się kontaktować?

- Odezwę się do pana, najszybciej jak to będzie możliwe.

- Dobrze, panie Chance.

- Skoro zgodził się pan być moim prawnikiem, proszę mówić mi Mack. Pottera wyraźnie ucieszyła ta propozycja.

- Mogę zapytać, dokąd się udajesz?

- Zgodnie z twoją sugestią tam, gdzie jest ropa.

- Bądź ostrożny. W naftowych miasteczkach zbierają się najgorsze męty z całego Zachodu. Radzę ci, abys wziął broń...

Ale jego klient zniknął już za drzwiami.

Mack zamknął drzwi biura na żelazne rygle, przeciągnął łańcuchy i założył kłódki. Odszedł kilka kroków i popatrzył na budynek oświetlony słabym styczniowym słońcem, które z trudem przebijało się z za grubej warstwy chmur.

Przywiązał do siodła małą płócienną torbę i poklepał Railroada po zadzie.

- Chodź, staruszk. Znów ruszamy w drogę.

Muś zastrzygł uszami. Mack wspiął się na siodło i ruszył w stronę bramy. Obejrzał się tylko raz. Oszukańczy gaj pomarańczowy tonął w powodzi słonecznego światła.

Gniew Macka nieco osłabł, choć wciąż nie potrafił wybaczyć Wyattowi, że wciągnął go do interesu, u którego źródła stało morderstwo. Nie było żadnych konkretnych dowodów, że jego wspólnik rzeczywiście zabił i obrabował Ysidora Sternsa, ale z jakiego innego powodu przechowywałby wraz z osobistymi pamiątkami wycinek z gazety?

Oczywiście to nie Wyatt nalegał, by Mack wszedł z nim w spółkę. On sam zapukał do jego drzwi. Cóż, teraz nic już nie można było z tym zrobić. San Solaro istniało niezależnie od tego, skąd wzięto nań pieniądze. I on, Mack, był jego właścicielem. Nie podobało mu się to, co zrobiła Carla, ale i na to nie mógł nic poradzić. Przynajmniej na razie.

Znów odzyskał nadzieję i wiarę we własne siły. Kanał wysechł, ale przecież Mack widział już w nim wodę, która może przemienić tę wypaloną przez słońce dolinę w żyzną okolicę. Był właścicielem tego kanału oraz tysiąca ośmiuset akrów ziemi wokół niego. I pomimo długu wobec tych, których Wyatt okradł, nie tracił ducha. Stał się właścicielem wielkiej posiadłości.

Przejechał przez kałużę brei. Uznał to za dobry znak. Pamiętając o tym, co Potter mówił o konieczności noszenia broni w naftowych miastach, postanowił przy pierwszej okazji kupić rewolwer. Przejechał przez łukową bramę i skierował się na zachód.

Koślawy napis na przekrzywionej tablicy informował: HELLMAN.

Ponure, granatowe niebo zwiastowało nadchodzący deszcz. Od strony Pacyfiku wiał silny wiatr. Mack mocniej nacisnął na głowę kapelusz. Wciąż nie był pewny, czy trafił we właściwe miejsce. Nędzna dróżka odchodząca od głównego traktu znikła gdzieś za pobliskim wzgórzem.

Ze wzgórza dostrzegł rancho położone nad Santa Clara River. Dom był solidny, ale wzniesiony bez przepychu. Ozdobiony był brązową sztukaterią, a dach kryty miał czerwoną, półokrągłą dachówką. Wśród zabudowań gospodarczych kręciło się kilku vaqueros.

Zastukał kołatką. Drzwi otworzyła mu szeroka w ramionach kobieta z niezwykle długimi, czarnymi warkoczami. Mack z góry ułożył sobie to, co chciał powiedzieć.

- Hablo con senorita Hellman, por favor.
- Senorita Hellman? Skinął głową.
- Pero ella no esta aqui - Indianka widząc, że Mack słabo zna hiszpański, powtórzyła swoje słowa po angielsku. - Nie tutaj.
- Czy szybko wróci?
- Nie, wszystko spakowała. Pojechała do Paryża.
- Do Paryża? Tego we Francji?
- A czy jest inny?

Czuł się rozczarowany. Całymi dniami myślał o Carli. Nocami również. Pragnął jej tak, jak człowiek uzależniony pragnie narkotyku. Wiele razy miał ochotę porzucić wszystko

i pognać do hrabstwa Ventura, ale zawsze powstrzymywał się, powtarzając sobie: „Jest piękna, ale także kapryśna i niebezpieczna”.

W końcu zdecydował się złożyć jej pożegnalną wizytę i obiecać, że zwróci pożyczkę tak szybko, jak będzie mógł. Zakłopotany, obracał w dłoniach kapelusz. Indianka poczęła zamykać wielkie, rzeźbione drzwi.

- Chwileczkę. Przyjechałem pożegnać się z seniorita Hellman. Proszę zapisać moje nazwisko - Macklin Chance.

Obojętność w twarzy kobiety ustąpiła miejsca unizonej grzeczności.

- Ach, Chance. Senior Chance. Zostawiła dla pana wiadomość.

- Jaka?

- Prosiła, by powiedzieć panu, że musi wyjechać na trochę...

- Musi? Dlaczego?

Kobieta zignorowała jego pytania.

- Powiedziała, że może być pan pewien, iż spotka się z panem ponownie. - Indianka życzyła mu dobrego dnia i zamknęła drzwi. Kiedy wsiadał na muła, zobaczył nadciągające z zachodu ciemnoszare chmury burzowe. Ruszył jednak w drogę, nie zważając na silny wiatr. Ani na chwilę nie mógł przestać myśleć o nagłym wyjeździe Carli.

Dwa dni później, u fryzjera w Newhall, przeglądając pochodzącą sprzed tygodnia gazetę z Los Angeles, natrafił na następującą wiadomość:

„Rodzinny skandal w San Diego! Policja wezwana do rezydencji Beavisów! Potentat drzewny przebywa w szpitalu z powodu zadanych sztyletem ran! Szaleństwo żony wywołane romansiem męża! Ujawniono nazwisko kochanki!”

„Niezły skandal” - tak wyraził się Hellman. Teraz Mack zrozumiał wszystko. Pojął sens słów Carli. Choć musiała

uciekać przed kłopotami, nie będzie to przecież trwało wiecznie.

„Może być pan pewien.”

Przepełniała go radość, a równocześnie dręczył lęk przed powtórny spotkaniem. Własne wątpliwości złościły go, wiedział jednak, że się od nich nie uwolni. Mimo to cieszył się na myśl, że Carla powróci.